

Joanne Harris

Świat W Ziarnku Piasku

Przełożyła Ewa Horodyska

Mojej matce

Jeannette Payen Short

Żaden człowiek nie jest wyspą

John Donne

Ujrzyć świat w ziarnku piasku...

William Blake

PROLOG

Wyspy są inne. Im mniejsza wyspa, tym prawdziwsze staje się to stwierdzenie. Wystarczy spojrzeć na Brytanię. Trudno sobie wyobrazić, że ten wąski skrawek lądu może zawierać w sobie taką różnorodność. Krykiet, herbata ze śmietanką, Szekspir, Sheffield, ryba z frytkami zawinięta w gazetę, Soho, dwa uniwersytety, plaża w Southend, pasiaste leżaki w Green Park, Coronation Street, Oxford Street, leniwe niedzielne popołudnia. Tyle sprzeczności. A wszystkie maszerują wspólnie niczym podchmieleni demonstranci, którzy nie zdążyli się jeszcze zorientować, że protestują głównie przeciw sobie nawzajem. Wyspy są siedzibą pionierów, odszczepieńców, malkontentów, nieprzystosowanych, izolacjonistów z natury. Są, jak już powiedziałam, inne.

Ta wyspa, na przykład. Można w jeden dzień przejechać rowerem z jednego krańca na drugi. Człowiek zdolny kroczyć po wodzie dotarłby na stały ląd w jedno popołudnie. Le Devin, jedna z wielu wysepek, które uwięzły niczym kraby na mieliźnie u wybrzeży Wandei. Od strony lądu przesłania ją Noirmoutier, od południa Yeu i w mglisty dzień zupełnie jej nie widać. Rzadko pojawia się na mapach. W istocie nie bardzo zasługuje na miano wyspy, będąc zaledwie ambitnym zlepek piaszczystych ławic, wydzwigniętych z Atlantyku na skalistej grani, z dwiema wioskami, małą przetwórnią ryb i jedną jedyną plażą. Nad samym brzegiem rodzinne Les Salants, szereg chat zaledwie wystarczający, by stworzyć wioskę, i zstępujący chwiejnie wśród skał i wydm ku morzu, które podczas każdego niepomyślnego przyływu wdziera się coraz dalej. Dom, miejsce, od którego nie ma ucieczki, miejsce, ku któremu prowadzi kompas serca.

Gdyby dano mi wybór, niewykluczone, że wolałabym coś innego. Może jakieś miejsce w Anglii, gdzie obie z matką byłyśmy szczęśliwe przez blisko rok, dopóki mój niespokojny duch nie pogał nas w drogę. A może Irlandię albo Jersey, Ionę albo Skye. Widzicie, że wyszukuję wyspy jakby instynktownie, jakbym próbowała odtworzyć moją wyspę, Le Devin, jedyne miejsce, którego nic nie potrafi zastąpić.

Kształtem przypomina uśpioną kobietę. Les Salants to jej głowa, osłonięta ramionami przed niepogodą. La Goulue to brzuch, a La Houssiniere leży w zacisznym zgięciu kolan. Otacza ją La Jete, obręcz piaszczystych wysepek, które rozszerzają się i kurczą zależnie od pływów, przesuwają stopniowo linię brzegu, podgryzając ją z jednej strony i nawarstwiając się z drugiej. Rzadko zachowują swój kształt dostatecznie długo, by uzyskać nazwy. Dalej rozpościera się

wielkie nieznanne, płytki szelf, który za La Jetee opada stromo w niezmierną głębokość, zwaną przez miejscowych Nid' Poule. List w butelce, rzucony z pierwszego lepszego punktu wyspy, wróci najpewniej do La Goulue - Łakomczuchy - która ochrania wioskę Les Salants przed silnym morskim wiatrem. Położenie na wschód od skalistego czubka Pointe Griznoz sprawia, że gruby piach, muł i wszelkie odpady często się tu gromadzą. Przyczyniają się do tego przypływy i zimowe sztormy, wznoszące na skałach mury obronne z wodorostów, które dopiero po pół roku czy po roku spłukuje następny sztorm.

Jak widać, Le Devin nie grzeszy urodą. Przygarbiona, pierwotna sylwetka przypomina naszą świętą patronkę, Marine-de-la-Mer. Turyści pojawiają się rzadko. Niewiele znajdują tu atrakcji. Jeżeli z lotu ptaka wyspy wyglądają jak tancerki w tiulowych krynolinach, Le Devin jest chórzystką z tylnego rzędu - dość przeciętną chórzystką - która potknęła się na próbie. Obydwie zmyliłyśmy krok, ona i ja. Spektakl toczy się dalej bez nas.

Wyspa zachowała jednak swą tożsamość. Kilkukilometrowy spłachetek lądu, który nie stracił indywidualności, a jego dialekty, potrawy, tradycje i ubiory odróżniają go od innych wysp, podobnie jak od kontynentalnej Francji. Wyspiarze uważają się raczej za Devinoficyków niż za Francuzów czy choćby Wandę języków. Nie darzą zaufaniem żadnego polityka. Niewielu z ich synów zadaje sobie trud pełnienia służby wojskowej. Ich oddalenie od najistotniejszych spraw wydaje się wręcz absurdalne. A w oddaleniu od biurokracji i prawa Le Devin przestrzega własnych reguł.

Nie oznacza to, że obcy nie są mile widziani. Przeciwnie; zachęcalibyśmy turystów, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak to robić. W Les Salants turystyka oznacza zamożność. Spoglądamy ponad falami na Noirmoutier, na te hotele, pensjonaty, sklepy i uroczy długi most z kontynentu, wznoszący się nad falami. Latem drogi są jak rzeka aut z obcymi tablicami rejestracyjnymi i walizkami wylewającymi się z bagażników, plaże roją się od ludzi, a my próbujemy sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby przyjechali do nas. Ale zazwyczaj poprzestajemy na marzeniach. Turyści - ci nieliczni, którzy zapuszczają się aż tutaj - z uporem wybierają La Houssiniere, żeby być bliżej kontynentu. Nie mają czego szukać w Les Salants, gdzie zamiast plaży jest skaliste wybrzeże i pryzmy kamieni zlepionych twardym piaskiem, nawiewanym przez uparty, nieustający wiatr.

Ludzie z La Houssiniere wiedzą o tym. Od niepamiętnych czasów trwa waśń między houssinianami a salanianami, która zaczęła się od sporów na tle religijnym, a następnie objęła

prawa do połowów ryb, budownictwo, handel i wreszcie - nieuchronnie - kwestię gruntów. Zajęte ziemie należą zgodnie z prawem do tych, którzy je zajęli, i do ich potomków. Jest to jedyny majątek salanian. La Houssiniere natomiast sprawuje nadzór nad dostawami z kontynentu (najstarsza z tamtejszych rodzin kieruje jedynym promem) i ustala ceny. Jeśli jakiś houssinianin ma sposobność okpić salanianina, wykorzysta ją. A jeśli salanianinowi uda się wziąć górę nad houssinianinem, cała wioska uczestniczy w jego tryumfie.

La Houssiniere posiada tajną broń. Nazywa się ona Les Immortelles i jest niedużą piaszczystą plażą, dwie minuty spaceru od zatoki, otoczoną z jednej strony nadgryzionym zębem czasu falochronem. Tu żaglówki ślizgają się po falach, osłonięte od zachodnich wiatrów. Tylko tutaj można się bezpiecznie kąpać albo żeglować z dala od silnych morskich prądów, szarpiących przylądek. Owa plaża - wybryk natury - poróżniła dwie osady. Wioska rozrosła się do rozmiarów miasteczka. Dlatego La Houssiniere rozkwita - na miarę wyspiarskich standardów. Jest tam restauracja, hotel, kino, dyskoteka, kemping. Latem zatoczkę wypełniają łodzie wczasowiczów. La Houssiniere gości mera wyspy, komendanta policji, pocztę oraz jedynego duchownego. W sierpniu różne rodziny z kontynentu wynajmują tu domy i wprowadzają swoje obyczaje.

Tymczasem Les Salants w lecie ogarnia martwota; piecze się i dyszy w skwarze i wichurze. Ale dla mnie to mimo wszystko jest dom. Nie najpiękniejsze ani nawet najgościnniejsze miejsce na ziemi. Ale to moje miejsce.

Wszystko powraca. Takie powiedzenie kursuje na Le Devin. Życie po jednej barwej stronie morskiego prądu jest jak zatwierdzenie nadziei. Wszystko w końcu powraca. Rozbite łodzie, listy w butelkach, pasy ratunkowe, rupiecie, zagubieni rybacy. Niewielu potrafi się oprzeć przyciągającej sile La Goulue. Może odezwać się po latach. Kontynent wabi pieniędzmi, miastami, kolorowym, błazeńskim życiem. Troje z czworga osiemnastolatków wyjeżdża, marząc od świcie poza granicami La Jetee. Ale Łakomczucha jest nie tylko głodna - jest cierpliwa. A dla takich jak ja, nigdzie niezakotwiczonych, powrót wydaje się przesądzony z góry.

Miałam kiedyś swoją historię. To jest teraz bez znaczenia. Na Le Devin nikt nie dba o żadną historię poza własną. Fala wyrzuca na brzeg przedmioty - rozmaite szczątki, piłki plażowe, martwe ptaki, puste portfele, kosztowne obuwie sportowe, plastikowe sztucce, a nawet ludzi - i nie pytamy o ich pochodzenie. Morze usuwa wszystko, do czego nikt nie rości sobie pretensji. A także morskie stworzenia, przemieszczające się od czasu do czasu tą autostradą: portugalskie fregaty, orki, koniki morskie, rozgwiazdy, od czasu do czasu wieloryb. Zatrzymują się lub

odpływają, ścigane wzrokiem gapiów, którzy zapominają o nich, zaledwie te wypłyną na szersze wody. Dla wyspiarzy nie istnieje nic poza La Jetee. Od tego punktu aż po Amerykę nie ma żadnej plamki na horyzoncie. Nikt nie wyprawia się tak daleko. Nikt nie bada ruchu fal ani tego, co przynoszą. Tylko ja. Mam prawo, bo sama jestem rozbitkiem.

Weźmy na przykład tę plażę. To zdumiewające. Jedna jedyna plaża na wysepce, fortunny układ przyływów i odpływów, sto tysięcy ton piachu, pradawnego i twardego jak skała, który tysiące zazdrosnych spojrzeń obraca w coś cenniejszego niż złoto. Niewątpliwie wzbogaciło to mieszkańców La Houssiniere, choć wszyscy wiemy, jak łatwo i jak nieodwołalnie sprawy mogły ułożyć się inaczej.

Zmienny prąd, zbaczący o sto metrów w lewo lub w prawo. Wahania dominującego wiatru. Geograficzne przesunięcia dna morskiego. Silny sztorm. Wszystko to może w każdej chwili wywołać niszczący przewrót. Szczęśliwy traf jest jak wahadło - kołysze się wolno przez dziesięciolecia, kryjąc w swym cieniu to, co nieuniknione.

Les Salants cierpliwie oczekuje swej kolejności.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozbitkowie

Wróciłam po dziesięciu latach nieobecności, w upalny dzień u schyłku sierpnia, tuż przed nadejściem pierwszych letnich przyprawów. Gdy patrzyłam na zbliżający się brzeg z pokładu „Brismanda I”, starego promu kursującego do La Houssiniere, czułam się niemal tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Nic się nie zmieniło - rzeńskie powietrze, deski pokładu pod stopami, okrzyki mew kołujących pod rozgrzanym błękitem nieba. Dziesięć lat, niemal połowa mojego życia, wymazane jednym ruchem, jak rysunek na piasku. Prawie tak.

Nie miałam właściwie żadnego bagażu, co potęgowało złudzenie. Ale zawsze podróżowałam bez bagażu. Podróżowałyśmy tak obydwie, moja matka i ja; nigdy nie dźwigałyśmy zbędnego balastu. I koniec końców, to ja opłacałam czynsz za nasze paryskie mieszkanie, uzupełniając dzięki pracy w obskurnej nocnej knajpie dochody z obrazów, których matka nienawidziła. Walczyła z rozedmą płuc i udawała, że nie wie, iż umiera.

Mimo wszystko wolałabym wracać jako osoba bogata, ktoś, komu się powiodło. Żeby pokazać ojcu, jak świetnie dałyśmy sobie radę bez jego pomocy. Skromne oszczędności matki dawno się jednak wyczerpały, a moje zasoby kilka tysięcy franków w Credit Maritime i teka niesprzedanych obrazów - były niewiele większe niż to, z czym wyjeżdżałyśmy. Ale nie przykładałam do tego wagi. Nie planowałam dłuższego pobytu. Wrażenie, że czas się zatrzymał, było bardzo silne, lecz wiedziałam teraz inne życie. Zmieniłam się. Już nie byłam wyspą.

Nikt mi się nie przyglądał, gdy stanęłam z boku na pokładzie „Brismanda I”. Była pełnia sezonu i na promie znajdowało się sporo turystów. Niektórzy nawet mieli na sobie ubiór podobny do mojego: płócienne spodnie i rybackie vareuse, bezkształtne okrycia, coś pośredniego między koszulą a kurtką. Mieszczuchy, dokładające wszelkich starań, by nie wyglądać na mieszczuchów. Turyci z plecakami, walizkami, psami i dziećmi tłoczyli się między skrzynkami owoców i innych produktów spożywczych, klatkami pełnymi kurcząt, workami z pocztą, pudłami. Panował przeraźliwy harmider. Przebijał się przez niego szum morza uderzającego o kadłub promu i skrzeczenie mew. Moje serce biło zgodnie z rytmem fal.

Gdy „Brismand I” wpływał do portu, skierowałam wzrok ponad wodą ku promenadzie. W dzieciństwie lubiłam to miejsce; często bawiłam się na plaży, znajdując schronienie pod opasłymi brzuszyskami starych budek plażowych, podczas gdy mój ojciec załatwiał swoje sprawy w zatoce. Rozpoznałam spłowiałe parasole na tarasie kawiarenki, gdzie zwykła

przesiadywać moja siostra, stoisko z hot dogami, sklepik pamiątkarski. Było tam chyba bardziej tłoczno niż za moich czasów. Rybacy z krabami i homarami ustawili się co kilka metrów wzdłuż nabrzeża, by sprzedać owoce swego połowu. Od strony promenady dobiegała muzyka; poniżej, na plaży, która nawet podczas przypływu wydawała się gładsza i obfitsza niż za dawniejszych czasów, bawiły się dzieci. La Houssiniere miało dobre widoki na przyszłość.

Moje spojrzenie powędrowało wzdłuż Rue des Immortelles, głównej ulicy, biegnącej równoległe do wybrzeża. Zauważyłam trzy osoby siedzące ramię w ramię w moim niegdyś ulubionym miejscu: przy falochronie pod promenadą, z widokiem na zatokę. Przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie obserwowałam stamtąd daleką, szarą paszczę kontynentu i ciekawa byłam, co w sobie kryje. Zmrużyłam oczy, by widzieć wyraźniej; nawet z tej odległości dostrzegłam, że dwie z osób stojących na wybrzeżu to zakonnice.

Rozpoznałam je z bliska: siostra Extase i siostra Therese, karmelitanki z domu opieki „Les Immortelles”, które zestarzały się jeszcze przed moimi narodzinami. Ich obecność dziwnie mnie uspokoiła. Jadły lody, habity miały podwinięte do kolan, a ich bose stopy zwieszały się nad barierką. Siedzący obok nich mężczyzna, którego twarz przesłaniało szerokie rondo kapelusza, niczym się nie wyróżniał.

„Brismand I” przybił do mola. Spuszczono trap i zaczekałam, aż turyści zejną na ląd. Molo było równie zatłoczone jak prom; uliczni przekupnie sprzedawali napoje i ciastka, jakiś taksówkarz reklamował swoje przedsiębiorstwo, dzieci ze stolikami na kółkach starały się przyciągnąć uwagę turystów. Nawet jak na sierpień panował spory ruch.

- Odnieść bagaż, mademoiselle? - Pызaty chłopak w wypłowiałym czerwonym podkoszulku, mniej więcej czternastoletni, pociągnął mnie za rękaw. - Odnieść do hotelu?

- Dziękuję, dam sobie radę. - Pokazałam swoją miniaturową walizkę.

Chłopak spojrzał na mnie zaintrygowany, jak gdyby usiłując rozpoznać moją twarz. Potem wzruszył ramionami i udał się na poszukiwanie bogatszej zdobyczy.

Na promenadzie kłębił się tłum. Przyjeżdżający i wyjeżdżający turyści, a między nimi tubylcy z La Houssiniere. Odprawiłam ruchem głowy starszego mężczyznę, który chciał mi sprzedać ręcznie robiony breloczek do kluczy; był to Jojo-le-Goeland, który w lecie zabierał nas na przejażdżki łodzią i choć nigdy nie był naszym przyjacielem - pochodził, bądź co bądź, z La Houssiniere - poczułam się dotknięta, że mnie nie rozpoznał.

- Zostanie pani na dłużej? Jest pani turystką? - To był znowu ten pызaty chłopak, tym

razem w towarzystwie kolegi, ciemnookiego wyrostka w skórzanej kurtce, który palił papierosa bardzo gorliwie, choć z niewielką przyjemnością. Obaj chłopcy taszczyli walizki.

- Nie jestem turystką. Pochodzę z Les Salants.

- Z Les Salants?

- Owszem. Mój ojciec nazywa się Jean Prasteau. Jest szkutnikiem. A przynajmniej był.

- Grosjean Prasteau! - Chłopcy wlepili we mnie ciekawskie spojrzenia.

Może powiedzieliby coś więcej, gdyby nie podeszło do nich trzech innych nastolatków.

Najstarszy zwrócił się z wyższością do pызatego:

- Co wy tu znowu robicie, salanie, hę? Wiecie, że wybrzeże należy do houssinian. Nie macie prawa odnosić bagażu do „Les Immortelles”!

- Kto tak powiedział? - zaperzył się pызaty. - To nie twoja promenada! Nie twoi turyści!

- Lolo ma rację - powiedział ciemnooki chłopiec. - Byliśmy tu pierwsi.

Dwaj salanie przysunęli się nieco do siebie. Houssinianie górowali nad nimi liczebnie, wyczułam jednak, że dwaj chłopcy woleliby się raczej bić niż zrezygnować z walizek. Na chwilę zobaczyłam siebie w ich wieku, czekającą na ojca i ignorującą śmiech ładnych dziewczyn z La Houssiniere na tarasie kawiarni - aż wreszcie nie mogłam tego wytrzymać i uciekałam do swej bezpiecznej kryjówki pod plażowymi budkami.

- Oni byli pierwsi - potwierdziłam. - Zmykajcie.

Houssinianie przez chwilę patrzyli na mnie z urazą, a następnie ruszyli w stronę mola, pomrukując pod nosem. Lolo rzucił mi spojrzenie pełne czystej wdzięczności. Jego kolega wzruszył tylko ramionami.

- Pójdę z wami - powiedziałam. - „Les Immortelles”, tak?

Duży biały budynek znajdował się kilkaset metrów dalej przy promenadzie. Dawniej mieścił się w nim dom opieki.

- Teraz jest tam hotel - poinformował mnie Lolo. - Należy do monsieur Brismanda.

- Tak, znam go.

Claude Brismand, krępy houssinianin z sumiastym wąsem, który pachniał wodą kolońską, chodził w espadrylach jak wieśniak i miał głos mocny i dojrzały jak dobre wino. We wsi nazywali go Cwany Brismand. Szczęściarz Brismand. Przez lata wierzyłam, że jest wdowcem, choć krążyły plotki, że ma gdzieś na kontynencie żonę i dziecko. Zawsze go lubiłam, mimo iż pochodził z La Houssiniere; był wesoły, rozmowny i miał kieszenie wypchane cukierkami.

Ojciec go nie znosił. Jak gdyby na przekór, moja siostra Adrienne wyszła za mąż za jego bratanka.

- Wszystko w porządku. - Dotarliśmy do końca promenady. Przez oszklone drzwi widziałam hol „Les Immortelles” - recepcję, wazon z kwiatami, postawnego mężczyznę, który siedział przy otwartym oknie i palił cygaro. Przez chwilę rozważałam, czy nie wejść do środka, ale zrezygnowałam. - Teraz już chyba dacie sobie radę. Idźcie.

Ruszyli - ciemnooki w milczeniu, Lolo z miną wyrażającą skruchę w imieniu kolegi.

- Proszę się nie przejmować Damienem - rzucił półgłosem. - On zawsze chce z kimś walczyć.

Uśmiechnęłam się. Kiedyś też byłam taka. Moja siostra, starsza o cztery lata, modnie ubrana i z fryzurą jak z salonu piękności, nigdy nie miała problemu z przystosowaniem; w kawiarnianym ogródku jej śmiech zawsze rozbrzmiewał najgłośniej.

Przemierzałam zatłoczoną ulicę, kierując się ku miejscu, gdzie siedziały dwie stare karmelitanki. Nie byłam pewna, czy mnie poznają - saliankę, która miała piętnaście lat, gdy ją ostatnio widziały - ale w dawnych czasach darzyłam je sympatią. Zbliżywszy się, zauważyłam bez zdziwienia, że prawie się nie zmieniły: obydwie miały bystre oczy, skórę zaś zbrązowiałą i twardą niczym wysuszone morskie stworzenia, które fale wyrzuciły na piasek. Siostra Therese okryła głowę ciemną chustą zamiast białej wyspiarskiej quichenotte coiffe; inaczej chyba nie potrafiłabym ich rozróżnić. Towarzyszący im obcy mężczyzna nosił koralowy naszyjnik i kapelusz z opadającym rondem. Miał około trzydziestki i miłą, choć nie uderzająco przystojną twarz; wzięłabym go za turystę, gdyby nie swoboda i poufałość, z jaką mnie powitał; niemy znak wyspiarskiego pochodzenia.

Siostra Extase z siostrą Therese wpatrywały się we mnie przez chwilę, a potem ich twarze rozjaśniły się identycznymi, promiennymi uśmiechami.

- Przecież to mała córeczka Grosjeana!

Długie wspólne przebywanie z dala od klasztoru wytworzyło u nich jednakowe nawyki. Głosy również miały podobne, przenikliwe i skrzeczące jak u srok. Łączyła je szczególna empatia, niczym bliźniaczki: jedna kończyła zdanie zaczęte przez drugą, obie zaś podkreślały nawzajem swoje słowa zachęcającymi gestami. O dziwo, w ogóle nie zwracały się do siebie po imieniu, a wyłącznie per ma soeur, choć - o ile mi wiadomo - nie były spokrewnione.

- To Mado, ma soeur, mała Madeleine Prasteau. Ależ wyrosła! Czas biegnie...

- ...tak szybko tu, na wyspie. Zdawałoby się, że minęło zaledwie parę lat...
- ...od naszego przyjazdu, a teraz jesteśmy już...
- ...stare i cherlawe, ma soeur, stare i cherlawe. Ale miło cię znowu zobaczyć, mała Mado.

Zawsze byłaś taka inna. Tak bardzo inna niż...

- ...twoja siostra. - Ostatnie słowa wypowiedziały chórem. Ich czarne oczy rozbłyły.
- Cieszę się, że wróciłam. - Dopiero gdy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, jak

bardzo się cieszę.

- Niewiele się zmieniło, prawda, ma soeur?
- Nie, nigdzie nie widać dużych zmian. Wszystko po prostu...
- ...starzeje się i tyle. Tak jak my. - Zakonnice rzeczowo pokiwały głowami i zajęły się

lizaniem lodów.

- Widzę, że przerobiono „Les Immortelles” - zauważyłam.
- Owszem - przytaknęła siostra Extase. - W przeważającej części. Kilkoro z nas jeszcze

mieszka na najwyższym piętrze.

- Brismand mówi o nas: długoterminowi goście.
- Ale jest nas mało. Georgette Loyon, Raoul Lacroix, Bette Plancpain. Wykupił ich domy,

bo na starość już nie dawali sobie rady.

- Kupił je za grosze i wyremontował dla letników.

Zakonnice wymieniły spojrzenia.

- Brismand ich trzyma, bo dostaje za to pieniądze z klasztoru. Chce zachować dobre stosunki z Kościołem. Potrafi pilnować własnych interesów.

Zapadła cisza, gdy obie zakonnice lizały w zadumie swoje lody.

- A to jest Rouget, mała Mado. - Siostra Therese wskazała nieznajomego, który słuchał ich uwag z szerokim uśmiechem.

- Rouget to Anglik...

- ...i zamierza nas sprowadzić na manowce za pomocą lodów i słodkich słówek. W naszym wieku, pomyśl tylko.

Anglik pokręcił głową.

- Nie słuchaj ich - doradził. - Ja im ustępuję tylko dlatego, że inaczej mogłyby zdradzić wszystkie moje tajemnice. Jego głos miał silny, choć przyjemnie brzmiący akcent.

Siostry zachichotały.

- Tajemnice, he, he! Niewiele jest spraw, o których nie wiemy, prawda, ma soeur? Może i jesteście...

- ...stare, ale słuch mamy w porządku.

- Ludzie nie zwracają na nas uwagi...

- ...bo jesteście...

- ...zakonnice.

Mężczyzna, zwany przez nie Rougetem, spojrzął na mnie i uśmiechnął się szeroko. Miał inteligentną, wyrazistą twarz, która ożywiała się w uśmiechu. Czułam, że jego oczy wychwytyją każdy szczegół mojego wyglądu, nie bez życzliwości, lecz wyczekująco i z zaciekawieniem.

- Rouget? - Większość imion na Le Devin to przydomki. Jedynie cudzoziemcy i przybysze z kontynentu używają nazwisk.

Zdjął kapelusz przesadnym, ironicznym gestem.

- Richard Flynn, filozof, budowniczy, rzeźbiarz, spawacz, rybak, majster-klepka, meteorolog... - Wskazał nieokreślonym gestem piaski koło „Les Immortelles”. A przede wszystkim badacz i przeczyszczeni plaż.

Siostra Extase powitała jego słowa przyjaznym chichotem, który oznaczał, że jest to stary i dobrze znany żart.

- Kłopot dla nas obu - wyjaśniła.

Flynn parsknął śmiechem. Jego włosy miały mniej więcej tę samą barwę, co korale na szyi. Rude włosy, zła krew, jak mawiała moja matka, choć na wyspach jest to rzadko spotykany kolor i uważa się powszechnie, że przynosi szczęście. To tłumaczyło przydomki. Ale przydomki stanowią w Le Devin swego rodzaju nobilitację, niezwykłą w przypadku cudzoziemca. Potrzeba czasu, żeby zasłużyć na wyspiarskie miano.

- Mieszkasz tutaj? - Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Pomyślałam, że jest w nim jakiś niepokój, ukryta część, która może w każdej chwili ulec zmianie.

Wzruszył ramionami.

- To równie dobre miejsce, jak każde inne.

Zaskoczył mnie nieco. Zupełnie jakby wszystkie miejsca były dla niego takie same. Spróbowałam sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek nie dba, gdzie znajduje się jego dom, nie czuje tego ustawicznego drażnienia w sercu. Przerazająca wolność. A jednak nadano mu imię. Ja przez całe życie byłam po prostu la fille d Grosjean, podobnie jak moja siostra.

- No więc - wyszczerzył zęby - czym się zajmujesz?
- Jestem malarką. To znaczy, sprzedaję obrazy.
- Co malujesz?

Pomyślałam o ciasnym paryskim mieszkaniu i o pokoju, w którym urządziłam sobie pracownię. Maleńka, zamknięta przestrzeń, za mała na pokój gościnny - matka nawet w tym przypadku ustąpiła z wielką niechęcią - z moimi sztalugami, teczkami i płótnami opartymi o ścianę. Mogłam wybrać każdy temat, powtarzała z upodobaniem. Miałam talent. Dlaczego więc zawsze malowałam to samo? Z braku wyobraźni? A może po to, żeby ją dręczyć?

- Przeważnie wyspy.

Flynn popatrzył na mnie, lecz nic nie powiedział. Jego oczy miały ten sam grafitowy odcień, co chmury gromadzące się nad linią horyzontu. Dziwnie trudno było mi patrzeć w te oczy, zupełnie jakby dostrzegały cudze myśli.

Siostra Extase skończyła swoje lody.

- A jak tam twoja mama, mała Mado? Przyjechała z tobą?

Zawahałam się. Flynn nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Umarła - odpowiedziałam po chwili. - W Paryżu. Mojej siostry przy tym nie było. - Wychwyciłam nieprzyjemny ton swego głosu, gdy pomyślałam o Adrienne.

Obie zakonnice uczyniły znak krzyża.

- To smutne, mała Mado. Bardzobardzo smutne. - Chude palce siostry Therese ujęły moją dłoń. Siostra Extase poklepała mnie po kolanie. - Czy zamówiłaś nabożeństwo w Les Salants? - zapytała siostra Therese. - Ze względu na ojca?

- Nie. - Nadal słyszałam szorstkie nuty w swoim głosie. - Już jest po wszystkim. Zawsze powtarzała, że nigdy tu nie wróci. Nawet w urnie.

- Szkoda. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Siostra Extase zerknęła na mnie spod swej quichenotte.

- Na pewno nie było jej łatwo tu żyć. Wyspy...

- Wiem.

, „Brismand p znowu wypływał w morze. Przez chwilę czułam się kompletnie zagubiona, jak gdyby ktoś przeciął moją jedyną linię ratunkową. Przeszył mnie nagły dreszcz.

- Ojciec nie ułatwił nam życia - powiedziałam, odprowadzając wzrokiem prom. - Ale teraz jest wolny. Tego właśnie pragnął. Żeby zostawiono go w spokoju.

2

- Prasteau. To wyspiarskie nazwisko.

Głos taksówkarza - houssinianina, którego nie znałam zabrzmiał oskarżycielsko, jak gdybym używała mego nazwiska bez pozwolenia.

- A tak. Urodziłam się tutaj.

- Ha. - Zerknął na mnie, jakby usiłując zidentyfikować moje rysy. - Jacyś krewni nadal mieszkają na wyspie?

Skinęłam głowę.

- Ojciec. W Les Salants.

- Aha. - Wzruszył ramionami, jak gdyby wzmianka o Les Salants zgasiła jego ciekawość.

Oczyrna duszy ujrzałam Grosjeana na przystani i siebie, obserwującą go. Ze skruchą poczułam ukłucie dumy, przypominając sobie kunszt mojego ojca. Zmusiłam się, by patrzeć na tył głowy taksówkarza, dopóki to uczucie nie przeminie.

- A zatem Les Salants.

W taksówce cuchnęło stęchlizną, a zawieszenie ledwo się trzymało. Gdy znajomą drogą wyjeżdżaliśmy z La Houssiniere, czułam trzepotanie w żołądku. Wszystko przypominało mi się teraz zbyt dobrze, zbyt wyraźnie; poletko tamaryszku, skała, fragment falistego dachu, który mignął nad grzbietem wydmy, wywoływały bolesne wspomnienia.

- Wie pani, gdzie chce jechać, hę? - Droga była kiepska; na zakręcie tylne koła taksówki zaczęły buksować w sypkim piachu. Kierowca zaklął i z furią zwiększył obroty silnika.

- Tak. Rue de l'Ocean. Na drugi koniec.

- Jest pani pewna? Tam nie ma nic, tylko wydmy.

- Tak, jestem pewna.

Wiedziona instynktem, kazałam zatrzymać auto kawałek przed wioską; chciałam przybyć pieszo, jak przystało salaniance. Taksówkarz wziął pieniądze i odjechał, nie oglądając się za siebie, w fontannie piasku tryskającej spod kół i przy rżących odgłosach z rury wydechowej. Gdy wokół mnie znowu zaległa cisza, doznałam niepokojącego uczucia i w kolejnym porywie skruchy uświadomiłam sobie, że czuję radość.

Przyrzekłam matce, że nigdy tu nie wrócę.

Dlatego miałam wyrzuty sumienia; przez chwilę czułam się wręcz skarłała, niczym

drobna plamka pod bezkresnym niebem. Sama moja obecność w tym miejscu była zdradą wobec matki, wobec naszych wspólnie spędzonych lat, wobec życia, które ułożyliśmy sobie z dala od Le Devin.

Po wyjeździe nikt do nas nie napisał. Przekroczywszy granice La Jete, stałyśmy się bezużytecznymi rozbitkami, zlekceważonymi i zapomnianymi. Matka często mi to powtarzała w zimne wieczory, w naszym ciasnym paryskim mieszkaniu, do którego docierały obce głosy z ulicy, a przez popsute żaluzje przebijało mieniące się na czerwono i niebiesko światło neonu pobliskiej piwiarni. Nic nie zawdzięczałyśmy Le Devin. Adrienne postąpiła słusznie: dobrze wyszła za męża, urodziła dzieci, wyprowadziła się do Tangeru razem ze swym mężem Marinem, który handlował antykami. Jej dwóch synów oglądałyśmy tylko na zdjęciach. Rzadko się z nami kontaktowała. Matka uznała to za dowód jej przywiązania do najbliższych i stawiała mi ją za przykład. Moja siostra osiągnęła w życiu powodzenie; powinnam być z niej dumna i nie odczuwać zawiści.

Ale ja się uparłam: wprawdzie uciekłam z wyspy, ale nie potrafiłam w pełni pojąć, jak wspaniałe możliwości otwiera przede mną świat zewnętrzny. Mogłam mieć wszystko, co chciałam: dobrą pracę, bogatego męża, stabilizację. Wybrałam dwa lata szkoły artystycznej, następne dwa bezcelowych podróży, pracę w barze, sprzątanie, dorywcze zajęcia, sprzedawanie obrazów na rogach ulic, by nie płacić galeriom za pośrednictwo. Le Devin nosiłam w sobie jak pamięć zbrodni, tłumiąc poczucie winy obietnicami i wiedząc przez cały czas, że w głębi duszy kłamię.

- Wszystko powraca.

Tak brzmi maksyma poszukiwacza plażowych skarbów. Wypowiedziałam ją głośno, jak gdybym odpierała nieme oskarżenie. W końcu nie zamierzałam tu zostać. Zapłaciłam za mieszkanie miesięczny czynsz z góry; mój skromny dobytek oczekiwał spokojnie powrotu właścicielki. Teraz jednak nie mogłam się oprzeć marzeniom: Les Salants, niezmienione, gościnne i mój ojciec...

3

Pobiegłam niezdarnie wyboistą drogą w stronę zabudowań; w stronę domu. Wioska była pusta. Większość domów miała pozamykane okiennice - zabezpieczenie przed upałem - i sprawiała wrażenie tymczasowych, opuszczonych siedzib, jak plażowe budki po sezonie.

Niektóre wyglądały tak, jakby ich nie odnawiano od mojego wyjazdu; ściany, niegdyś bielone każdej wiosny, pod działaniem piasku stały się zupełnie bezbarwne. Samotne geranium unosiło głowę z wyschniętej skrzynki na oknie. Kilka domów było po prostu drewnianymi budami, pokrytymi blachą falistą. Teraz przypominałam sobie o nich, choć nie pojawiły się na żadnym z moich obrazów. Nieliczne płaskodenne łodzie, czyli platts, wciągnięto przez etier - słony potok, wpływający do wsi od strony La Goulue - i zostawiono na brunatnym odpływowym osadzie. Dwie rybackie łódki zarzuciły kotwicę na głębszej wodzie. Rozpoznałam je od razu: „Eleanore” Guenole, zbudowana przez mojego ojca i jego brata, jeszcze zanim się urodziłam, a po drugiej stronie „Cecilia”, należąca do ich współzawodników w połowach, Bastonnetów. Wysoko na maszcie którejś łodzi coś uderzało monotonnie o metal - ting-ting-ting-ting - w podmuchach wiatru.

Nie dostrzegłam prawie żadnych oznak ludzkiej obecności. Raz zza okiennicy mignęła czyjaś twarz; na dźwięk głosów trzasnęły drzwi. Pod parasolem przed barem Angela siedział jakiś starzec i popijał devinnoise, wyspiarski likier ziołowy. Rozpoznałam go natychmiast - był to Matthias Guenole, a jego bystre niebieskie oczy spoglądały z twarzy ogorzałej i twardej jak drewno wyłowione z morza - lecz nie okazał najmniejszego zaciekawienia, kiedy go pozdrowiłam. Najpierw przebłysk rozpoznania i krótkie skinienie głowy, uchodzące w Les Salants za uprzejmy gest, a potem obojętność.

Miałam piasek w butach. Piasek zasypywał także ściany niektórych domów, zupełnie jakby wydmy przypuściły atak na wioskę. Niewątpliwie letnie sztormy zebrały swoje żniwo. Koło starego domu Jeana Grossela zawalił się mur, w kilku dachach brakowało gontów, a za Rue de l’Ocean, gdzie Omer Prossage z żoną Charlotte mieli farmę i sklepik, ziemia wydawała się nasiąknięta wodą i stały tam szerokie kałuże, w których odbijało się niebo. Woda z ciągu rur wlewała się do rowu, a stamtąd spływała do potoku. Zauważyłam pompę pracującą tuż przy domu, zapewne po to, by przyspieszyć proces, i usłyszałam warkot generatora. Za farmą wirowały pracowicie skrzydła niedużego wiatraka.

Na końcu głównej drogi zatrzymałam się przy studni przed kaplicą Marine-de-la-Mer. Ręczna pompa, choć pokryta rdzą, nadal działała i napompowałam trochę wody, żeby obmyć twarz. Niemal zapomnianym rytualnym gestem prysnęłam wodą do kamiennej misy obok kaplicy i przy tej sposobności zauważyłam, że mała nisza z figurą świętej została świeżo odmalowana, a na kamieniach pozostawiono świece, wstążki i kwiaty. Święta stała wśród złożonych ofiar,

masywna i nieodgadniona.

- Powiadają, że jeśli ucałujesz jej stopy i spluniesz trzy razy, odzyskasz coś, co straciłaś.

Odwrociłam się tak gwałtownie, że omal nie upadłam. Stała za mną tęga, rumiana, pogodna kobieta z dłońmi na biodrach i lekko przechyloną głową. Z jej uszu zwisały dwa połączane koła; włosy miały ten sam intensywny odcień.

- Capucine!

Postarzała się nieco (gdy wyjeżdżałam, dobiegała czterdziestki), lecz poznałam ją od razu; nosiła przydomek La Puce i mieszkała w poobijanej różowej przyczepie turystycznej na skraju wydm z gromadką niesfornych dzieci. Nigdy nie wyszła za mąż - faceci są po prostu zbyt męczący, żeby dało się z nimi wytrzymać, skarbie - pamiętałam jednak muzykę grającą do późna w nocy i mężczyzn, którzy przemykali ukradkiem, starając się ze wszystkich sił nie zwracać uwagi na niewielką przyczepę z falbaniastymi zasłonkami w oknach i zapraszającym światełkiem nad drzwiami. Moja matka jej nie lubiła, ale Capucine zawsze odnosiła się do mnie życzliwie, częstując wiśniami w czekoladzie i opowiadając najrozmaitsze skandaliczne plotki. Jej śmiech miał w sobie coś nieprzyzwoitego; prawdę mówiąc, była jedyną dorosłą osobą na wyspie, która głośno się śmiała.

- Mój Lolo widział cię w La Houssiniere. Powiedział, że tu przyjedziesz! - Uśmiechnęła się szeroko. - Jak tak dalej pójdzie, będę musiała częściej całować świętą!

- Miło cię widzieć, Capucine. - Odwzajemniłam jej uśmiech. - Już myślałam, że wioska zupełnie opustoszała.

- No cóż. - Wzruszyła ramionami. - To był marny sezon. Ale w dzisiejszych czasach wszystko idzie ku gorszemu. Jej twarz zasepiła się na chwilę. - Przykro mi z powodu twojej matki, Mado.

- Skąd wiesz?

- Ha! Przecież to wyspa. Jedyne, co nam zostało, to wiadomości i plotki.

Zawahałam się, czując głośne uderzenia własnego serca.

- A... a co z moim ojcem?

Jej uśmiech lekko przygasł.

- Jak zwykle - odparła zdawkowym tonem, po czym, odzyskawszy zimną krew, otoczyła mnie ramieniem. - Chodź, Mado, napijemy się devinnoise. Możesz u mnie nocować. Mam wolne łóżko, odkąd Anglik się wyprowadził.

Musiałam zrobić zaskoczoną minę, bo Capucine zaśmiała się po swojemu, głęboko i lubieżnie.

- Nie nabijaj sobie nic do głowy. Jestem teraz szacowną kobietą... no, prawie. - W jej ciemnych oczach zapaliła się iskierka rozbawienia. - Ale polubisz Rougeta. Zjawił się u nas w maju i wywołał nieliczne poruszenie! Nie widzieliśmy czegoś takiego od dnia, kiedy Aristide Bastonnet złowił rybę, która miała głowę po obu stronach. Ten Anglik! Zaśmiała się cicho do siebie, kręcąc głową.

- Tego maja? - Oznaczało to, że przebywa tu zaledwie od trzech miesięcy. I w ciągu tych trzech miesięcy nadano mu imię.

- Ha! - Capucine zapaliła gitane'a i zaciągnęła się z satysfakcją. - Zjawił się pewnego dnia bez grosza przy duszy, ale od razu zaczął załatwiać interesy. Pracował u Omera i Charlotte, dopóki ta ich mała nie zaczęła robić do niego słodkich oczu. Mieszkał u mnie w przyczepie, a potem znalazł sobie lokum. Chyba się poprzytykał ze starym Brismandem i innymi z La Houssiniere. - Obrzuciła mnie ciekawskim spojrzeniem. - Adrienne wyszła za jego bratanka, prawda? Jak im się powodzi?

- Mieszkają wTangerze. Rzadko się kontaktujemy.

- W Tangerze, he? A zawsze mówiła...

- Wspomniałaś o swoim znajomym - przerwałam. Na myśl o mojej siostrze zaczynałam mówić łamiącym się, niepewnym głosem. - Czym się zajmuje?

- Ma różne pomysły. Buduje konstrukcje. - Capucine machnęła ręką w kierunku Rue de l'Ocean. - Choćby wiatrak Omera. Uruchomił go.

Minęłyśmy krzywiznę wydmy i dostrzegłam różową przyczepę, taką, jak ją zapamiętałam, może trochę bardziej zniszczoną i bardziej zapadniętą w piach. Dalej, jak wiedziałam, znajdował się dom ojca, przesłonięty gąszczem tamaryszków. Capucine zauważyła moje spojrzenie.

- O nie, nie ma mowy - oznajmiła stanowczo, ujmując mnie za ramię i kierując w stronę przyczepy. - Musimy chwilę poplotkować. Daj ojcu trochę czasu, niech poczta pantoflowa go uprzedzi.

Na Le Devin plotka jest rodzajem waluty. Cała wyspa żyje plotkami na temat rywalizacji rybaków, nieślubnych dzieci i niewiarygodnych wydarzeń, pogłoskami i rewelacjami. Mogłam ocenić swą wartość w oczach Capucine; chwilowo stanowiłam cenny nabytek.

- Dlaczego? - Wciąż wpatrywałam się w gąszcz tamaryszku. - Dlaczego nie miałabym się z nim spotkać teraz, zaraz?

Capucine zrobiła nieodgadnioną minę.

- Minęło sporo czasu, he? Zdążył przywyknąć do samotności. - Pchnęła drzwi przyczepy, które nie były zamknięte na klucz. - Wejdz, skarbie, a ja ci wszystko opowiem.

W przyczepie panował dziwnie domowy nastrój, być może wywołany przez ciasne, pomalowane na różowo wnętrza, ubrania porozwieszane wszędzie, gdzie się dało, woń papierosów i tanich perfum. Mimo wszechobecnego niechlujstwa to miejsce zachęcało do zwierzeń.

Ludzie powierzają Capucine sekrety, których za nic nie powierzyliby pere Albanowi, jednemu księdzu na wyspie. Wygląda na to, że buduar, nawet nadgryziony zębem czasu, przyciąga silniej niż konfesjonał. Capucine nie zyskała z wiekiem powszechnego szacunku, a mimo to cieszy się względami mieszkańców wioski. Podobnie jak zakonnice, poznała zbyt wiele sekretów.

Rozmawialiśmy przy kawie i ciastkach. Capucine potrafiła pochłonąć nieograniczone ilości cukrowych ciasteczek, zwanych devinnoiseries, uzupełniając je raz po raz gitane'ami, kawą i wiśniami w czekoladzie, które brała z olbrzymiego pudełka w kształcie serca.

- Zaglądam do niego dwa razy w tygodniu - poinformowała mnie, dolewając kawy do miniaturowych filiżanek. Czasami zanoszę ciasto albo robię przepierkę.

Czekała na moją reakcję i z zadowoleniem przyjęła podziękowania.

- Ludzie gadają, wiesz - powiedziała. - Ale to nic. Te czasy dawno minęły.

- Chyba wszystko z nim w porządku, prawda?

- Sama wiesz, jaki on jest. Nikomu się nie zwierza.

- Nigdy się nie zwierzał.

- No właśnie. Ci, co go znają, rozumieją. Ale z obcymi bywa gorzej. Nie chodzi tu o ciebie - zreflektowała się natychmiast. - On po prostu nie lubi zmian. Ma swoje nawyki. W każdy piątek wieczorem przychodzi do Angela i wychyla devinnoise z Omerem, regularnie jak w zegarku. Rzecz jasna, niewiele mówi, ale z jego głową jest absolutnie w porządku.

Na wyspach wszyscy boją się obłędu. W niektórych rodzinach przechodzi on z pokolenia na pokolenie niczym wadliwy gen, coś takiego, jak wyższa zapadalność na hemofilię oraz skłonność do posiadania dodatkowych palców w zamkniętych społecznościach. Zbyt gęsta krew,

powiadają houssinianie. Moja matka ciągle powtarzała, że z tego właśnie powodu Grosjean ożenił się z dziewczyną z kontynentu.

Capucine pokręciła głową.

- To niełatwa pora roku. Daj mu trochę czasu.

Oczywiście. Dzień Świętej Patronki. Gdy byłam dzieckiem, często pomagaliśmy z ojcem w odnawianiu kaplicznej wnęki - na koralowo, z tradycyjnym motywem gwiazd przed dorocznymi uroczystościami. Salanianie są przesądni z konieczności, choć w La Houssiniere uważa się podobne wierzenia i tradycje za coś z lekka groteskowego. Oczywiście w La Houssiniere nadal stoi kościół. La Houssiniere jest chronione przez La Jetee. La Houssiniere nie musi się zdawać na łaskę przyptywów i odpływów. W Les Salants morze jest bliższe i trzeba je ułagodzić.

- Rozumie się - przerwała moje rozmyślenia Capucine że Grosjeanowi morze odebrało więcej niż innym. A w Dzień Patronki, niemal w rocznicę tego, co się stało... no cóż. Musisz być wyrozumiała, Mado.

Skinęłam głową. Znałam tę historię, choć wydarzyła się jeszcze przed ślubem moich rodziców. Dwaj bracia, bliscy sobie niczym bliźniacy, nosili nawet wspólnie to samo imię, jak to na wyspie. Ale P'titjean utopił się w wieku dwudziestu trzech lat, bezsensownie, z powodu dziewczyny, choć zdołano przekonać ojca Albana, że był to przypadek. Trzydzieści lat później Grosjean nadal obwinał siebie.

- A więc to się nie zmieniło. - Moja wypowiedź nie była pytaniem.

- Skarbie, to się nigdy nie zmieni.

Widziałam nagrobek, pojedynczą granitową płytę na La Bouche - cmentarzu tuż nad La Goulue.

Jean-Marin Prasteau

1949-1972

Ukochany brat

Ojciec sam wrył ten głęboki napis w twardym kamieniu. Zajęło mu to pół roku.

- W każdym razie, Mado - podjęła Capucine i wbiła zęby w kolejne ciastko - zostaniesz na razie u mnie, przynajmniej do końca święta. Chyba nie musisz tak zaraz wracać? Masz parę

dni wolnego?

Kiwnęłam głową, nie chcąc zdradzać nic ponadto.

- Tu jest więcej miejsca, niż ci się wydaje - oznajmiła dziarsko La Puce, wskazując zasłonę, która oddzielała sypialnię od salonu. - Będzie ci tam wygodnie, a mój Lolo to dobry chłopak, nie wtyka co i rusz nosa za parawan. - Ca - pucine wzięła kolejną wiśnię w czekoladzie z zapasu, który wydawał się niewyczerpany. - Powinien już tu być. Nie mam pojęcia, co on robi przez cały dzień. Wciąż się włóczy z tym młodym Guenole.

Lolo, jeśli dobrze zrozumiałam, był wnukiem Capucine; jej córka Clothilde zostawiła syna pod opieką babki i wyjechała szukać pracy na kontynencie.

- Wszystko powraca, tak powiadają. Ha! Moja Clo nie kwapi się do powrotu. Za dobrze się tam bawi. - Oczy Capucine ściemniały. - Nie, nie ma co całować Świętej na jej intencję. Ciągłe obiecuje, że przyjedzie na wakacje, ale zawsze znajduje wymówkę. Może za dziesięć lat... - Spojrzała na moją twarz i urwała. - Przepraszam, Mado. Nie miałam na myśli ciebie.

- Nic nie szkodzi. - Dopiłam kawę i wstałam. - Dziękuję za propozycję.

- Chyba tam teraz nie pójdziesz? Nie dzisiaj?

- A czemu nie?

- Nie spodoba ci się - ostrzegła. - Dom jest w niezbyt dobrym stanie.

- Dam sobie radę.

- Więc pójde z tobą, jeśli pozwolisz. Albo wezwę Rou - geta.

- Po co? - Ukłuła mnie igielka rozdrażnienia. - Co on ma z tym wspólnego?

Capucine zrobiła nieokreśloną minę.

- Jest naszym przyjacielem. Twój ojciec lubi go mieć koło siebie.

- Nie, naprawdę dziękuję. Wolę iść sama.

Capucine wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami, wsparłszy się pod boki. Ramiączka różowego fartucha zdążyły się lekko osunąć.

- Nie spodziewaj się za wiele - ostrzegła. - Wszystko się zmienia. A ty się już zadomowiłaś tam, na kontynencie.

- Nie martw się. Dam sobie radę.

- Mówię poważnie. - Spiorunowała mnie wzrokiem. Nie nabijaj sobie niczego do głowy, dziewczyno. Nie myśl, że uda ci się uciec, jeśli się tu schowasz.

- Zupełnie jakbym słyszała moją matkę.

Capucine wykrzywiła twarz.

- Gdy tak mówisz, czuję się staro.

Wiedziałam, o co jej chodzi. Że pragnę bezpieczeństwa. Że tam, na kontynencie, zaczęłam bać się życia. Ale to nie była prawda. W życiu na wyspie nie ma nic pewnego. Wszystko się kołysze. Nie można się nigdzie zakotwiczyć. Wówczas jednak nie miało to znaczenia. Wróciłam do domu. Do miejsca, które przyciąga z powrotem wszystko - butelki z listami, papierowe łódki, okruchy rzucone ptakom. Wszystko to fale zmyły na zimny, bezlitosny brzeg, zmeły na papkę i porzuciły w zapomnieniu na pastwę wszechogarniających wydm.

Do dzisiaj.

4

Moja matka wywodziła się z kontynentu. Przez to jestem wyspiarką tylko w połowie. Pochodziła z Nantes i była romantyczką, lecz jej miłość do Le Devin minęła niemal równie szybko jak upodobanie do chłodnej urody mojego ojca.

Nie nadawała się do życia w Les Salants. Była gadatliwa, rozśpiewana, płakała, śmiała się, perorowała, uzewnętrzniała każde uczucie. Mój ojciec nawet na samym początku miał niewiele do powiedzenia. Nie potrafił rozmawiać o błahostkach. Wypowiadał się przeważnie monosylabami; witał ludzi skinieniem głowy. Ciepłe uczucia okazywał jedynie łodziom rybackim, które budował i sprzedawał na tyłach naszego domu. W lecie pracował na dworze, zimą przenosił się z narzędziami do szopy, a ja lubiłam przesiadywać w pobliżu i obserwować, jak obrabia drewno, namacza deski, by nadać im giętkość, wygładza wdzięczne linie dziobu i stępki, zszywa żagle. Zawsze były białe albo czerwone, w barwach wyspy. Korralowa kulka zdobiła dziób. Każda łódka była wypolerowana i wypokostowana, a nie malowana, z wyjątkiem nazwy wypisanej na dziobie. Ojciec miał słabość do romantycznych nazw, takich jak „Belle Ysolde”, „Sage Heloise” czy „Blanche de Coetquen”, nazw ze starych ksiąg, choć - o ile mi wiadomo - nigdy żadnej nie przeczytał. Praca była dla niego rozmową - z nikim nie spędzał tyle czasu, co ze swymi „damami”, pieszcząc ich gładkie, ciepłe kadłuby pewnymi dłońmi kochanka, nigdy jednak nie nazwał łodzi imieniem któreś z nas, nawet matki, która bardzo tego pragnęła. Gdyby to zrobił, może by z nim została.

Okrążywszy wydmę, zobaczyłam puste podwórze. Drzwi szopy były zamknięte i sądząc po wysokości suchych traw, które je zarastały, nie otwierano ich od miesięcy. Przy bramie tkwiły

dwie łodzie, do połowy przysypane piaskiem. Traktor z przyczepą stał pod foliowym zadaszeniem i wydawał się na chodzie, ale podnośnik, którego ojciec swego czasu używał do ładowania łodzi na przyczepę, był zardzewiały i zaniedbany.

Dom również nie wyglądał najlepiej. W dawnych czasach panował tu ustawiczny bałagan, wszędzie poniewierały się szczątki rozpoczętych, a potem porzuconych projektów ojca. Teraz dom sprawiał wrażenie rudery. Bielone ściany spłwiałały; szklaną tafelę zabito deskami; od drzwi i okiennic odchodziły płaty łuszczącej się farby. Zauważyłam kabel rozciągnięty na piasku aż do przybudówki, z której dobiegał szum generatora; była to jedyna oznaka życia.

Nikt nie opróżnił skrzynki pocztowej. Wyjęłam plik listów i broszur reklamowych i weszłam z nimi do pustej kuchni. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Obok zlewu piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Na kuchence stał dzbanek z zimną kawą. Zapach choroby. Rzeczy matki toaletka, komoda, kwadratowy gobelin - znajdowały się na dawnych miejscach, lecz teraz wszystko pokrywał kurz, a na betonowej wylewce chrzęścił piasek.

Mimo to dostrzegłam pewne oznaki ludzkiej działalności. W kącie, w skrzynce na narzędzia, leżały rurki, drut i kawałki drewna; zauważyłam też, że miejsce bojlera, który Grosjean, odkąd sięgnę pamięcią, zamierzał zreperować, zajęło brzuchate miedziane urządzenie, podłączone do butli z butanem. Luźne przewody wsunięto schludnie za pływiznę; ktoś najwyraźniej zajął się kominkiem i kominem, który zawsze dymił. Te dowody działalności dziwnie kontrastowały z zapuszczeniem reszty domu, jak gdyby Grosjean, pochłonięty innymi zajęciami, nie miał czasu zetrzeć kurzu ani wyprać ubrań. To dla niego typowe, pomyślałam. Zaskoczyło mnie tylko, że po raz pierwszy zdołał doprowadzić niektóre swoje zamysły do końca.

Położyłam listy na kuchennym stole. Z rozdrażnieniem stwierdziłam, że cała dygoczę. Zbyt wiele emocji domagało się ujścia. Zmusiłam się do zachowania spokoju. Przejrzałam pocztę - gromadziła się chyba od pół roku, a może nawet od roku - i znalazłam swój ostatni list, nieotwarty. Długo wpatrywałam się w kopertę z paryskim adresem na odwrocie, przywołując wspomnienia. Nosiłam ten list przy sobie kilka tygodni, zanim go wreszcie wysłałam, odczuwając przy tym oszołomienie, lecz także coś w rodzaju wyzwolenia. Mój przyjaciel Luc z kawiarni pytał mnie wcześniej, dlaczego zwlekam. „W czym problem? Przecież chcesz się z nim spotkać, prawda? Chcesz mu pomóc?”.

Nie było to takie proste. Budowałam swoje nadzieje na podobnej zasadzie, na jakiej małże wytwarzają perły, warstwa po warstwie, dopóki zwykłe ziarnko piasku nie stanie się

lśniącym cudem. Przez dziesięć lat Grosjean nie napisał do mnie ani razu. Posyłałam mu rysunki, zdjęcia, świadectwa szkolne, listy, na które nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Mimo to je wysyłałam, rok po roku, zupełnie jak wiadomości w butelkach wrzucanych do morza. Nigdy, rzecz jasna, nie powiedziałam o tym matce. Dokładnie wiem, jak by na to zareagowała.

Odłożyłam list lekko drżącą ręką. Potem wsunęłam go do kieszeni. Może nawet tak było lepiej. Mogłam wszystko od nowa przemyśleć. Rozważyć możliwości.

Tak jak mi się od początku wydawało, nikogo nie było w domu. Próbowałam nie czuć się niczym intruz, otwierając drzwi mego dawnego pokoju, a następnie pokoju Adrienne. Niewiele się tam zmieniło. Pozostały nasze rzeczy: moje modele łodzi, plakaty filmowe mojej siostry oraz słoiczki z upiększającymi miksturami. Pokój Adrienne był największy i najjaśniejszy. Okna mojego wychodziły na północ, a w zimie pojawiała się w nim wilgotna plama. Dalej znajdował się pokój rodziców.

Pchnęłam drzwi i weszłam w półmrok; okiennice były zamknięte. Owionął mnie zapach zaniedbania. Niezasłane łóżko ukazywało pasiaste powłoczki i wymięte prześcieradło. Z jednej strony stała przepełniona popielniczka, na podłodze piętrzyła się sterta brudnych ubrań, we wnęce przy drzwiach stał gipsowy posążek Sainte-Marine, a w tekturowym pudle zalegały rupiecie. Dostrzegłam wśród nich pewną fotografię - rozpoznałam ją natychmiast, choć straciła ramki. Zrobiła ją matka w moje siódme urodziny i widać było naszą trójkę - Grosjeana, Adrienne i mnie uśmiechających się do wielkiego tortu w kształcie ryby.

Mnie ktoś wyciął ze zdjęcia - topornie, nożyczkami tak że pozostali tylko Gros Jean i Adrienne, wspierająca się lekko na jego ramieniu. Ojciec uśmiechał się do niej ponad miejscem, w którym powinna być moja twarz.

Wtem z zewnątrz dobiegł mnie jakiś odgłos. Pośpiesznie wetknęłam zdjęcie do kieszeni i ze ściśniętym gardłem zaczęłam nasłuchiwać. Ktoś przeszedł cicho pod oknem sypialni, tak lekkim krokiem, że omal nie zagłuszyło go bicie mojego serca; ktoś, kto szedł boszo albo nosił espadryle.

Czym prędzej pobiegłam do kuchni. Nerwowym gestem odgarnęłam włosy, zastanawiając się, co on powie - co ja sa - ma powiem - czy w ogóle mnie rozpozna. Zmieniłam się przez te dziesięć lat, straciłam dziecięcy tłuszcz, a moje dawniej krótko ścięte włosy teraz sięgały ramion. Nie jestem piękną, jaką była moja matka, choć niektórzy twierdzili, że istnieje między nami podobieństwo. Jestem za wysoka, nie poruszam się tak wdzięcznie jak ona,

a moje włosy mają pospolity brązowy odcień. Za to oczy odziedziczyłam po niej: o dziwnej, chłodnej, szarzielonej barwie, która pewnym ludziom wydaje się brzydka, spoglądające spod gęstych brwi. Pożałowałam nagle, że nie dołożyłam więcej wysiłku, aby poprawić swój wygląd. Mogłam przynajmniej ubrać się w sukienkę.

Drzwi się otworzyły. W progu stanęła jakaś postać w grubej rybackiej kurtce, z papierową torbą w ramionach. Poznałam tego człowieka od razu, mimo włóczkowej czapki, skrywającej włosy; jego szybkie, zręczne ruchy w niczym nie przypominały niedźwiedziowej ociężałości ojca. Zanim zdążyłam zareagować, wyminął mnie i wszedł do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Anglik. Rouget. Flynn.

- Pomyślałem, że przyda ci się parę drobiazgów - powiedział, stawiając torbę na stole. A potem, gdy dostrzegł moją minę: - Czy coś się stało?

- Nie spodziewałam się ciebie - wykrztusiłam. - Zaskoczyłeś mnie. - Serce nadal tłukło mi się w piersi. Zaciśnęłam palce na fotografii w kieszeni, czując na przemian zimno i gorąco, niepewna, ile Flynn potrafi wyczytać z mojej twarzy.

- Nerwy, co? - Otworzył torbę i zaczął wyładować jej zawartość na stół. - Przyniosłem chleb, mleko, ser, jajka, kawę, płatki śniadaniowe. Nie musisz mi oddawać pieniędzy, to wszystko na jego koszt. - Włożył bochenek do płóciennej torby na chleb, wiszącej na drzwiach.

- Dziękuję. - Nie mogłam nie zauważyć, jak swobodnie się czuje w domu mojego ojca; bez wahania otwierał szafki i chował zakupy. - Mam nadzieję, że nie sprawiło ci to wielkiego kłopotu.

- Najmniejszego. - Uśmiechnął się szeroko. - Mieszkam o dwie minuty stąd, w starym blokhauzie. Wpadam tu czasami.

Blokhauz stał na wydmach tuż nad La Goulue. Oficjalnie należał do mojego ojca, razem ze skrawkiem ziemi, na którym go postawiono. Pamiętałam go: niemiecki bunkier, pozostałość po wojnie, brzydki kawałek zwietrzałego betonu, na pół zasypyany przez piaski. Całymi latami wierzyłam, że w nim straszy.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś może tam zamieszkać - powiedziałam.

- Wyremontowałem go - oznajmił pogodnie Flynn, wstawiając mleko do lodówki. - Najgorzej było z usunięciem całego tego piachu. Oczywiście robota nie jest jeszcze skończona; muszę wykopać studnię i położyć odpowiednie rury, ale to wygodny, solidny budynek i nie kosztował mnie nic, jeśli nie liczyć czasu i kilku rzeczy, których nie mogłem znaleźć ani sam

zrobić.

Pomyślałam o Grosjeanie i jego wiecznych „postępujących pracach”. Nic dziwnego, że polubił tego człowieka. Ma coś wspólnego z budownictwem, powiedziała Capucine. Usuwa różne usterki; Zrozumiałam, kto dokonał napraw w domu ojca. Nagle ścisnęło mi się serce.

- Wiesz, chyba się dzisiaj z nim nie zobaczysz - usłyszałam. - Nosi go od kilku dni. Mało kto się z nim widuje.

- Dzięki. - Odwróciłam głowę, by nie spojrzeć Flynnowi w oczy. - Wiem, jaki jest mój ojciec.

To przynajmniej była prawda. Po wieczornej procesji w dniu Sainte-Marine Grosjean zawsze oddalał się w kierunku La Bouche i zapalał świece na grobie P'titjeana. Ów doroczny rytuał był świętością. Nic nie mogło go zakłócić.

- Nie ma zielonego pojęcia, że wróciłaś - podjął Flynn. - Kiedy się dowie, pomyśli, że Święta odpowiedziała na wszystkie jego modlitwy.

- Nie pocieszaj mnie - rzuciłam. - Grosjean nigdy nie ucałował Świętej na niczyją intencję.

Zapadło długie, krępujące milczenie. Zastanawiałam się, jak dużo ten Anglik wie o moim ojcu, co on mu powiedział, i poczułam niebezpieczne pieczenie w oczach. Cały Grosjean, pomyślałam, żeby dla kaprysu zaprzyjaźnić się z tym cudzoziemcem, podczas gdy...

- Słuchaj, wiem, że nic mi do tego - odezwał się wreszcie Flynn - ale na twoim miejscu trzymałbym się z dala od dzisiejszej uroczystości. Wszyscy są jacyś napięci. Uśmiechnął się, a ja w tym momencie dostrzegłam z ukłuciem zazdrości jego swobodny wdzięk. - Przyda ci się trochę odpoczynku. Może byś się tu rozgościła, przespała, a rano zobaczysz, jak sytuacja wygląda.

Dobrze mi życzył. Wiedziałam o tym. Odczułam nawet przelotną pokusę, żeby mu się zwierzyć. Ale to nie leży w mojej naturze; matka często powtarzała, że jestem ponurakiem, jak ojciec, i niełatwo mi się wysławić. Po raz pierwszy zastanowiłam się, czy mój powrót do domu nie był fatalną omyłką. Ponownie dotknęłam zdjęcia w kieszeni niczym talizmanu.

5

- Dam sobie radę - odparłam. Uroczystość Sainte-Marine-de-la-Mer przypada raz w roku, w wieczór sierpniowej pełni księżyca. Tego wieczoru przenosi się Świętą z wioskowej kaplicy do ruin kościoła w Pointę Griznoz. Trudne to zadanie, gdyż figura Świętej ma trzy stopy wysokości i

jest ciężka, wykuto ją bowiem w bryle bazaltu, dlatego posąg na cokole dźwigają nad wodę czterej mężczyźni. Potem mieszkańcy defilują przed nią gęsiego; niektórzy zatrzymują się i całują stopy Świętej w pradawnym, rytualnym geście, żywiąc nadzieję, że utracony przedmiot - lub, częściej, osoba - powróci do nich. Dzieci ozdabiają ją kwiatami. Drobnymi ofiarami - przeważnie kwiaty, paczuski skalnej soli, owiązane wstążką, a nawet pieniądze - rzuca się w fale przyływu. W koszach pali się cedrowe i sosnowe wióry. Czasami ktoś puszcza fajerwerki, które płoną wyzywająco nad obojętnym morzem.

Zaczekałam, aż zapadnie zmrok, i dopiero wtedy wyszłam z domu. Wiatr, zawsze silniejszy po tej stronie wyspy, skrzył na południe i odgrywał swój dance macabre przy oknach i drzwiach. Zastanawiałam się, czy nadejdzie burza. Wiatr z południa to zły wiatr, jak powiadają wyspiarze. W noc Sainte-Marine nie jest to dobry znak.

Zaledwie wyruszyłam w drogę, otulona ciasno płaszczem, dostrzegłam od strony Pointe poblask żaru z węglowych koszy. Niegdyś stał tam kościół. Przez prawie sto lat była to ruina; morze pochłaniało ją kęs po kęsie, aż wreszcie pozostał tylko jeden fragment - kawałek północnej ściany, nisza z widocznym jeszcze śladem Sainte-Marine na tle wietrzejących kamieni. W wieżyczce nad niszą wisiał kiedyś dzwon - La Marinette, osobisty dzwon Świętej lecz przepadł dawno temu. Jedna z legend powiada, że utonął w morzu; inne przytaczają historię o tym, jak to La Marinette wykradł i przetopił pozbawiony skrupułów houssinianin, na którego Salrite-Marine rzuciła klątwę, a upiorne bicie dzwonu doprowadziło go do szaleństwa. Zdarza się nadal, że słychać dzwonienie; zawsze w wietrzne noce i zawsze jest to zwiastun nieszczęścia. Cynicy przypisują owe wibrujące odgłosy nagłym porywom południowego wiatru, uderzającego o skały i rozpadliny Pointe Griznoz, lecz salanianie wiedzą lepiej: to La Marinette wciąż przekazuje ostrzeżenia, wciąż obserwuje spod fal Les Salants.

Zbliżywszy się do Pointe, dostrzegłam ludzkie sylwetki na tle podświetlonej płomieniami ściany starego kościoła. Wiele sylwetek, co najmniej trzydzieści, czyli połowę mieszkańców wioski. Pere Alban, ksiądz z wyspy, stał na brzegu, trzymając kielich i pastorał; w blasku ognia wydawał się poszarzały i wymizerowany. Gdy go mijałam, pozdrowił mnie krótko i bez zdziwienia. Zalaływało od niego zapachem ryb, a dół sutanny miał pieczołowicie wsunięty w cholewy wysokich gumiaków.

Tradycyjna uroczystość przedstawia dziwnie poruszający widok, choć mieszkańcy Les Salants zupełnie nie zdają sobie sprawy z własnej malowniczości. Należą do rasy zupełnie

odmiennej niż ja i moja matka; są przeważnie niscy i krępej budowy, o drobnych rysach, celtyckiego typu, czarnowłosi i niebieskoocy. Ta ich uderzająca uroda szybko jednak gaśnie i w starszym wieku przypominają gargulce, ubrane w czerń odziedziczoną po przodkach, z dodatkiem w przypadku kobiet - białych quichenotte. Doprawdy, trzy czwarte populacji sprawia wrażenie, jakby przekroczyło sześćdziesiąty piąty rok życia.

Pośpiesznie, z nadzieją przebiegłam spojrzeniem po twarzach obecnych. Staruszka w odwiecznej żałobie, długowłosi starcy w rybackich getrach i czarnych paltach albo w vareuse i wysokich butach, kilku młodych mężczyzn w jaskrawych koszulach, ozdabiających rybackie stroje. Nie było między nimi mojego ojca.

Tym razem nie wyczuwałam świątecznego nastroju, który zapamiętałam z dzieciństwa; przed kaplicą złożono mniej kwiatów i zaledwie namiastkę zwyczajowych ofiar. Zauważyłam natomiast, że ludzie mają ponure miny, jak gdyby znaleźli się w obleżonym mieście. Panowała atmosfera napiętego oczekiwania.

Wreszcie nadeszły - poblask lamp z wydm w okolicy Pointe Griznoz i zawodzący dźwięk biniou, który zwykł towarzyszyć początkom procesji. Biniou jest tradycyjnym instrumentem; gdy się na nim dobrze gra, jego brzmienie przypomina nieco kobzę. Teraz usłyszałam w tym dźwięku coś kociego, płacziwą nutę, przebijającą się przez wycie wichru.

Widziałam platformę z posągami Świętej; czterech mężczyzn, po dwóch z każdej strony, dźwigało ją, brnąc grząską drogą. Gdy procesja podeszła bliżej, zauważyłam szczegóły: stertę czerwonych i białych kwiatów u stóp Sainte-Marine w ceremonialnych szatach, papierowe latarnie, świeże złocenia na starej kamiennej płycie. Zjawiły się również salaniańskie dzieci o twarzach zaróżowionych od wiatru i ostrych głosach, w których pobrzmiwało wyczerpanie i nerwy. Rozpoznałam wnuka Capucine, pyzatego Lola, i jego kolegę Damiena. Biegli swobodnie plażą z papierowymi latarniami, zieloną i czerwoną.

Gdy pochód okrążył ostatnią wydmę, wiatr rozdmuchał płomień w jednej z latarni i ten nagły blask oświetlił mojego ojca.

Był jednym z tych, którzy nieśli figurę Świętej - i przez chwilę mogłam go obserwować, nie będąc zauważoną. Światło płomieni było dla niego łaskawe; jego twarz wydawała się niemal niezmienną, a rysy nabrały nietypowego ożywienia. Był tęższy, niż pamiętałam, przytył z wiekiem, a jego masywne ramiona z wysiłkiem podtrzymywały platformę. Oblicze ojca przybrało wyraz niesamowitego skupienia. Inni niosący figurę byli młodszy. Zauważyłam Alaina

Guenole i jego syna Ghislaina, rybaków nawykłych do ciężkiej pracy. Kiedy procesja przystanąła przed grupą wyczekujących, dostrzegłam ze zdumieniem, że tylną część platformy dźwiga Flynn.

- Santa Marina.

Z tłumu przede mną wystąpiła kobieta, która musnęła ustami stopy Świętej. Rozpoznałam ją - była to Charlotte Prossage, właścicielka sklepiku spożywczego, pulchna, szczerbiotliwa kobietka o wiecznie zakłopotanej minie. Pozostali trzymali się w pełnej szacunku odległości, dotykając od czasu do czasu amuletów albo fotografii.

- Santa Marina. Przywróć nam dochody. Zimowe przypływy zalewają pola. Ostatnim razem musiałam je oczyszczać przez trzy miesiące. Jesteś naszą Świętą. Zaopiekuj się nami.

Jej głos dźwięczał spokojnie, a jednocześnie słysząc w nim było nutę lekkiej urazy. Oczy strzelały niespokojnie to tu, to tam.

Gdy Charlotte zakończyła modlitwę, jej miejsce zajęli inni: mąż Omer, zwany La Patate z uwagi na swą komiczną, bezkształtną twarz; Hilaire, miejscowy weterynarz, łysy i w okrągłych okularach; rybacy, wdowy, nastolatka o rozbieganych oczach - a wszyscy mamrotali szybko, tym samym oskarżycielskim tonem. Nie mogłam się przepychać, bo na pewno kogoś bym uraziła. Twarz Grosjeana ponownie przesłoniło morze falujących głów.

- Marine-de-la-Mer. Odsuń morze od moich drzwi. Napędź makrele w moje sieci. Zatrzymaj tego klusownika Guenole z dala od ostrygowych ławic.

- Sainte-Marine, daj nam obfity połów. Niechaj mój syn wypływa bezpiecznie w morze.

- Sainte-Marine, pragnę mieć czerwone bikini i ciemne okulary ray-bany. Chciałabym leżeć na materacu przy basenie. Chcę Lazurowego Wybrzeża i plaży w Cannes. Chcę popijać margarity, jeść lody i frytki. Cokolwiek, byle nie rybę. Proszę. Gdziekolwiek, byle nie tu.

Dziewczyna, która modliła się o ciemne okulary, zerknęła na mnie przelotnie, odstępując od Świętej. Poznałam ją: była to Mercedes, córka Charlotte i Omera. Gdy opuszczałam wyspę, liczyła sobie siedem czy osiem lat, a teraz, wysoka i długonoga, miała rozpuszczone włosy i nadąsane, ładne usta. Nasze oczy się spotkały; uśmiechnęłam się, lecz dziewczyna posłała mi tylko niechętne spojrzenie i przepchnęła się obok mnie w stronę zgromadzonego tłumu. Jej miejsce zajęła stara kobieta w chustce na głowie, pochylona błagalnie nad podniszczoną fotografią.

Procesja ruszyła ponownie w kierunku morza, gdzie stopy Świętej miały zostać zanurzone w wodzie dla błogosławieństwa. W chwili gdy dotarłam na drugi koniec, GrosJean

właśnie się odwracał. Zobaczyłam jego profil, pokryty teraz kropelkami potu, złowiłam błysk wisiora na jego szyi i znowu nie udało mi się przyciągnąć jego wzroku. Po chwili było już za późno; nosiciele posągu posuwali się ostrożnie w dół skalnym uskokiem, a pere Alban wyciągniętą ręką podtrzymywał Świętą, żeby się nie zsunęła. Biniou zawodziły smętnie; zapaliła się druga, a potem trzecia latarnia, rzucając na wiatr czarne motyle.

Wreszcie dotarli do morza. Ksiądz usunął się na bok, a czterej mężczyźni wnieśli Sainte-Marine do wody. W Pointę nie ma piasku, wyłącznie kamienie i blask odbity od powierzchni oświetlał zdradliwe przejście. Zbliżał się przypływ. Wydało mi się, że przez lament biniou przebijają pierwsze odgłosy wiatru dudniącego w szczelinach, głuchy pomruk, który niebawem osiągnie natężenie niemal dorównujące biciu zatopionego dzwonu...

- La Marinette! - To była stara kobieta w chustce, Desiree Bastonnet; jej oczy pociemniały z lęku. Chude, nerwowe dłonie wciąż obracały fotografię, a poblask lamp odbijał się od uśmiechniętej chłopięcej twarzy.

- Wcale nie - dał się słyszeć głos Aristide'a, jej męża, głowy rybackiego klanu o tym samym mianie, człowieka po siedemdziesiątce, z sumiastymi wąsami i długimi siwymi włosami, wymykającymi się spod płaskiego kapelusza. Długo przed moimi narodzinami stracił nogę w tym samym wypadku podczas połowu, w którym zginął jego najstarszy syn. Obrzucił mnie baczny spojrzeniem, gdy go mijałam. - Dość już tej przesądnej gadaniny, Desiree - nakazał żonie przyciszonym głosem. - I odłóż to.

Desiree odwróciła oczy i zacisnęła palce na fotografii. Z tyłu zerknął na mnie z nieśmiałą ciekawością młodzieniec lat dziewiętnastu lub dwudziestu zza niedużych okularów w drucianej oprawce. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili Aristide obrócił się na pięcie i młody człowiek ruszył pośpiesznie za nim, stąpając boso i bezszelestnie po kamieniach.

Nosiciele stali teraz zanurzeni po pierś w wodzie, zwróceniem twarzami w stronę brzegu, podtrzymując Świętą, której stopy obmywało morze. Fale pluskały o cokół, zmywając zeń kwiaty. Alain i Ghislain Guenole zajęli pozycje z przodu, Flynn i mój ojciec z tyłu, stawiać czoło wezbranemu morzu. Nawet w sierpniu łatwo było zmarznąć przy tym zajęciu; moja twarz zdrętwiała od chłodnej mgiełki, wiatr przenikał przez wełniany płaszcz, aż dygotałam. A przecież byłam przynajmniej sucha.

Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, pere Alban uniósł pastorał do ostatniego błogosławieństwa. W tej samej sekundzie Grosjean zwrócił głowę w stronę księdza i nasze oczy

się spotkały.

Przez chwilę mój ojciec i ja trwaliśmy wewnątrz pęcherza ciszy. Wpatrywał się we mnie zza stóp Świętej, rozchyliwszy lekko usta, ze zmarszczką skupienia między brwiami. Wisior na jego szyi żarzył się czerwienią.

Coś utkwiło mi w gardle, jakaś przeszkoda utrudniająca oddychanie. Moje dłonie sprawiały wrażenie, że należą do kogo innego. Zrobiłam krok w jego stronę.

- Ojczy? To ja, Mado.

Cisza, zalegająca wszędzie niczym popiół.

Wydało mi się, że Flynn obok niego wykonuje jakiś gest. A potem fala załamała się gwałtownie za ich plecami i Grosjean, nie przestając na mnie patrzeć, potknął się, stracił grunt pod nogami, wyciągnął rękę, aby się czegoś przytrzymać... i zrzucił Sainte-Marine z platformy w głęboką toń za Pointę Griznoz.

Przez sekundę zdawała się unosić cudem na wzburzonych falach, a jedwabna spódnica wydymała się wokół niej niczym purpurowy dzwon. Później zniknęła.

Grosjean stał bezradnie, z oczyma utkwionymi w przestrzeń. Pere Alban bezskutecznie usiłował pochwycić upadającą Świętą. Aristide parsknął zaskoczonym śmiechem. Za nim młodzieniec w okularach postąpił krok w stronę wody i przystanął. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem z ust salanian wydarł się jęk, wtórujący zawodzeniu wiatru. Mój ojciec jeszcze przez moment trwał w miejscu, a na jego zastygłej twarzy migotały w absurdalnym tańcu światła latarni; następnie zawrócił i umknął, brnąc wśród fal, potykając się na kamieniach, prostując ponownie i prąc naprzód w ciężkim, nasiąkniętym wodą ubraniu. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nikt się nie odezwał. Ludzie odwracali się, by go przepuścić, odwracając przy tym oczy.

- Ojczy! - zawołałam, gdy zbliżył się do mnie, ale minął mnie, nie obejrzawszy się nawet. Kiedy dotarł do cypla Pointę Griznoz, wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk, długie, urywane zawodzenie, ale mógł to być wiatr.

6

Zgodnie z tradycją, po uroczystości na nadmorskim urwisku wszyscy idą do baru Angela wychylić po kieliszku na cześć Świętej. Tym razem zrobiła to mniej niż połowa wiernych. Pere Alban udał się prosto do domu do La Houssiniere, nie pobłogosławiwszy nawet wina; dzieci -

oraz większość matek - poszły spać i dało się wyraźnie odczuć brak zwykłej żywołowości.

Główną przyczyną była, oczywiście, utrata Sainte-Marine. Bez niej modlitwy nie mogły zostać wysłuchane, a fale poskromione. Omer La Patate zaproponował natychmiastowe poszukiwania, lecz przyływ sięgał zbyt wysoko, a postrzępione skały były niebezpieczne, dlatego akcję odłożono do rana.

Ja sama wróciłam natychmiast do domu i czekałam tam na Grosjeana. Nie przyszedł. Wreszcie, około północy, wybrałam się do Angela, gdzie zastałam Capucine kojącą zdenerwowanie kawą i devinnoiseres.

Na mój widok wstała z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Nie ma go - powiedziałam, siadając obok niej. - Nie wrócił do domu.

- I nie wróci. Nie teraz - skostatowała Capucine. - Po tym, co się stało i jak znowu zobaczył ciebie, akurat dzisiejszego wieczoru... - Urwała, kręcąc głową. - Ostrzegałam cię, Mado. Nie mogłaś wybrać gorszej chwili.

Ludzie patrzyli na mnie; wyczuwałam ich zaciekawienie i pewien chłód, który sprawił, że poczułam się sztywno i obco.

- Myślałam, że każdy może przyjść na uroczystość Sainte-Marine. Czy nie po to się ją urządza?

Capucine zmierzyła mnie wzrokiem.

- Nie wciskaj mi kitu, dziewczyno - rzekła surowo. Wiem, dlaczego wybrałaś dzisiejszy dzień. - Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym przez nozdrza. - Zawsze byłaś uparta. Nie potrafiłaś do niczego podejść spokojnie. Wszystko robiłaś bez zastanowienia, wszystko naraz próbowałaś zmienić. - Posłała mi zmęczony uśmiech. - Daj swojemu ojcu szansę, Mado.

- Szansę? - To był Aristide Bastonnet, pod rękę z Desiree. - Po tym, co się dzisiaj zdarzyło na Pointę, jaką możemy mieć szansę?

Uniosłam głowę. Starzec stał za nami, wspierając się ociężale na lasce, jego oczy krzeszały iskry. Młody człowiek w okularach trzymał się nieco z boku, włosy opadały mu na oczy, minę miał zakłopotaną. Teraz go poznałam: Xavier, wnuk Aristide'a. Dawniej był samotnikiem, wolał książki od zabaw. Mimo niewielkiej różnicy wieku prawie nie rozmawialiśmy z sobą.

Aristide nadal piorunował mnie spojrzeniem.

- Po co wróciłaś, hę? - spytał z naciskiem. - Tu już nic nie ma. Przyjechałaś, żeby się pozbyć biednego Grosjeana? Przejąć jego dom? Jego pieniądze?

- Nie odpowiadaj - wtrąciła Capucine. - Jest pijany.

Aristide zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- Wszystkie jesteście takie same! - oznajmił. - Wracacie tylko wtedy, kiedy czegoś chcecie!

- Dziadku - zaczął protestować Xavier, kładąc dłoń na ramieniu starego.

Aristide strząsnął ją jednak. Choć był niższy o głowę, gniew przeobraził go w olbrzymia; jego oczy płonęły jak u proroka. Żona, stojąca tuż przy nim, spojrzała na mnie niespokojnie.

- Przepraszam - odezwała się cicho. - Sainte-Marine... nasz syn...

- Zamilcz! - warknął Aristide, odwracając się tak raptownie, że mimo laski byłby upadł, gdyby nie bliskość Desiree. - Myślisz, że ją to obchodzi, hę? Myślisz, że kogokolwiek to obchodzi?

Wymaszerował, szurając drewnianą nogą po betonie i nie oglądając się nawet, a za nim podążyła rodzina. Zapadła cisza.

Capucine wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się nim, Mado. Po prostu wypił o jedno devinnoise za dużo. Przybór wód, sprawa ze Świętą... no i jeszcze ty wróciłaś do domu.

- Nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia - powiedział Matthias Guenole. - On jest Bastonnetem. Pomieszało mu się w głowie.

Zabrzmiało to mniej pocieszająco, niż mogłoby się wydawać; Guenole od pokoleń nienawidzili Bastonnetów.

- Biedny Aristide. Wszędzie widzi spiski.

Odwróciłam się i zobaczyłam drobną staruszkę we wdowiej czerni, przycupniętą na stołku tuż obok mnie. Toinette Prossage, matka Omera i najstarsza mieszkanka wyspy.

- Jeśli idzie o Aristide'a, ludzie bez przerwy próbują się go pozbyć, dobrać się do jego oszczędności... ha! - Zaśmiała się chrapliwie. - Jakby wszyscy nie wiedzieli, że wydał je całe na remonty w domu. Bonne Marine, nawet gdyby po tylu latach jego chłopak powrócił, nie zostanie mu nic prócz starej łodzi i skrawka nasiąkniętej wodą ziemi, od której nawet Brismand go nie uwolni.

Matthias prychnął.

- Ten sęp.

Musnęłam palcami list, który wciąż miałam w kieszeni.

- Brismand?

- Oczywiście - odparła Toinette. - Kogo innego byłoby stać na inwestycje w tej okolicy?

Według Toinette, Brismand miał pewne plany w związku z Les Salants. Plany tyleż złowrogie, co niejasne. Dostrzegałam tradycyjną niechęć salanian do houssinianina, któremu się powiodło.

- On by mógł sporo zrobić dla Les Salants. Ot tak, fiu! oznajmiła staruszka z wymownym gestem. - Ma pieniądze i maszyny. Osuszyć bagna, postawić falochron w La Goulue - może to załatwić w pół roku. Koniec z podtopieniami. Ha! Ale nie za darmo, ręczę wam. Nie na świadczeniu uprzejmości zdobył majątek.

- Może powinniście wysłuchać jego propozycji.

Matthias posłał mi nieprzyjazne spojrzenie.

- Co, sprzedać wszystko houssinianinowi?

- Daj jej spokój - rzuciła Capucine. - Dziewczyna chce dobrze.

- Tak, a gdyby potrafił zapobiec podtapianiu...

Matthias stanowczo pokręcił głową.

- Nie sposób kontrolować morza - powiedział. - Robi, co zechce. Jeśli z woli Świętej mamy utonąć, to utoniemy.

Był to któryś z kolei zły rok, jak się dowiedziałam. Mimo opieki Sainte-Marine każdej zimy przyływy sięgały wyżej. Tego roku woda zalała nawet Rue de l'Océan, pierwszy raz po wojnie. Lato również okazało się wyjątkowo niespokojne. Wezbrane fale zatoki przykryły pół wioski na trzy stopy, wyrządzając szkody, których jeszcze do końca nie udało się usunąć.

- Jak tak dalej pójdzie, czeka nas los starej wioski - podjął Matthias Guenole. - Wszystko zatopione, nawet kościół. Nappełnił fajkę i ubił tytoń brudnym kciukiem. - No właśnie. Kościół. Jeżeli Święta nie może nam pomóc, to kto może?

- Naprawdę czarny rok - oznajmiła Toinette Prossage to był tysiąc dziewięćset ósmy. Moja siostra Marie-Laure umarła na gripę tej samej zimy, kiedy ja się urodziłam. Dźgnęła powietrze wykrzywionym palcem. - Tak, ja, dziecko czarnego roku; wszyscy myśleli, że nie przeżyję. Ale przeżyłam! I jeśli chcemy przeżyć ten rok, musimy zrobić coś więcej niż tylko kłapać na siebie dziobami jak mewy. Popatrzyła surowo na Matthiasa.

- Łatwo powiedzieć, Toinette, ale skoro Święta nie wstawia się za nami...

- Nie to miałam na myśli, Matthiasie Guenole, i ty o tym wiesz.

Matthias wzruszył ramionami.

- Nie ja zacząłem tę historię - powiedział. - Gdyby Aristide Bastonnet choć jeden raz przyznał, że się omylił...

Toinette zwróciła się do mnie z roziskrzonymi oczyma:

- Widzisz, jak to wygląda? Dorośli mężczyźni, starzy mężczyźni, a zachowują się jak małe dzieci. Nic dziwnego, że Święta okazuje niezadowolenie.

Matthias najeżył się.

- To nie moi chłopcy upuścili Świętą.

Capucine przeszła go gniewnym spojrzeniem. Jego twarz przybrała zakłopotany wyraz.

- Przepraszam - bąknął. - Nikt nie ma pretensji do Grosjeana. Jeśli ktoś tu zawinił, to Aristide. Nie pozwolił swojemu wnukowi nieść Świętej, bo wtedy byłoby dwóch Guenole na jednego Bastonnetta. On sam, rzecz jasna, nie mógł pomóc. Przez tę drewnianą nogę. - Westchnął. - Już wam mówiłem. To będzie czarny rok. Słyszałyście przecież dzwonienie La Marinette.

- To nie był La Marinette - zaprzeczyła Capucine. Odruchowo rozstawiła palce lewej dłoni w geście odpędzającym nieszczęście. Zauważyłam, że Matthias robi to samo.

- Powiadam wam, on nadciąga. Minęło trzydzieści lat...

Matthias ponownie rozstawił palce.

- Siedemdziesiąty drugi. To był niedobry rok.

Wiedziałam o tym; tamtego roku poniosło śmierć trzech mieszkańców wioski, wśród nich brat mojego ojca.

Matthias pociągnął łyk devinnoise.

- Pewnego razu, wicie, Aristide wyobraził sobie, że znalazł La Marinette. To było wczesną wiosną tamtego roku, gdy stracił nogę. Okazało się, że to niewypał z pierwszej wojny światowej. Ironia losu, nie uważacie?

Zgodziłam się z nim. Słuchałam najuprzejmiej, jak mogłam, choć w dzieciństwie wielokrotnie opowiadano mi tę historię. Nic się nie zmieniło, pomyślałam z odcieniem desperacji. Nawet opowieści były równie stare i zmęczone, jak mieszkańcy wioski, zużyte niczym paciorki na sznurku, których zbyt często dotykano. Wezbrały we mnie litość i zniecierpliwienie i westchnęłam głęboko. Matthias kontynuował, nie zwracając na nic uwagi,

jakby wypadek zdarzył się wczoraj:

- Był na pół zagrzebany w ławicy piasku. Wydawał dźwięk, kiedy rzuciło się w niego kamieniem. Wszystkie dzieciaki przyszły z patykami i odłamkami skał i próbowały wydobyć ten dźwięk. Kilka godzin później odpływ zabrał bombę i wybuchła, sama z siebie, sto metrów od miejsca, gdzie jest teraz La Jete. Wytłukła chyba wszystkie ryby stamtąd aż do Les Salants. Ha!

- Matthias posepnie delektował się fajką. - Desiree przyrządziła cały kocioł bouillabaisse, bo nie mogła znieść myśli, że te wszystkie ryby się zmarnują. Zatrula pół wioski. - Popatrzył na mnie przekrwionymi oczyma. - Nigdy nie umiałem rozstrzygnąć, czy to był cud, czy nie.

Toinette przytaknęła ruchem głowy.

- Cokolwiek to było, przyniosło nam pecha. Syn Aristide'a, Olivier, zginął tamtego roku, no i... wiadomo kto. Przy tych słowach spojrzała na mnie.

- P'titjean.

Znów skinęła głową.

- Ha! Ci bracia! Trzeba ci było ich słyszeć w dawnych latach - podjęła. - Gadatliwi jak sroki. Gadali bez przerwy.

Matthias napił się devinnoise.

- Czarny Rok zabrał Grosjeanowi serce, zupełnie tak samo, jak zabrał domy z La Goulue. Przyływy może i były wyższe tamtego roku, ale niewiele. - Westchnął z żałosliwą satysfakcją i machnął w moją stronę cybuchem fajki. Ostrzegam cię, dziewczyno. Nie czuj się tu jak w domu. Bo jeszcze jeden rok taki jak tamten...

Toinette wstała i spojrzała przez okno na niebo. Za Pointę rozciągał się matowopomarańczowy horyzont, rozszczepiony teraz odległą błyskawicą.

- Nadchodzą złe czasy - zauważyła bez widocznego niepokoju. - Zupełnie jak w siedemdziesiątym drugim.

7

Spałam w moim dawnym pokoju, wciąż mając w uszach szum morza. Gdy się obudziłam, było już jasno - i nadal ani śladu ojca. Zaparzyłam kawę i popijałam ją powoli, czując bezsensowne przygnębienie. Czego się spodziewałam? Powitania córki marnotrawnej? Wciąż prześladowała mnie gorzka atmosfera święta, a stan, w jakim znajdował się dom, jeszcze pogarszał sprawę. Postanowiłam wyjść na zewnątrz.

Niebo było zasnute chmurami i słyszałam krzyki mew znad La Goulue. Domyśliłam się, że nadeszła pora odpływu. Włożyłam płaszcz i poszłam się rozejrzeć.

Można poczuć zapach La Goulue, zanim się ją zobaczy. Zawsze jest silniejszy podczas odpływu; woń ryb i wodorostów, która obcemu przybyszowi mogłaby się wydać nieprzyjemna, lecz we mnie budzi skomplikowane, nostalgiczne skojarzenia. Nadchodząc od strony wyspy, widziałam opuszczone płaskodenne łodzie, połyskujące w srebrzystym świetle. Stary niemiecki bunkier, na pół zagrzebany w wydmie, wyglądał na tle nieba jak porzucony klocek. Dym unoszący się nad wieżyczką oznaczał zapewne, że Flynn szykuje śniadanie.

Z całego Les Salants przez lata najbardziej ucierpiała La Goulue. Brzuch wyspy uległ daleko posuniętej erozji, a ścieżka, którą pamiętałam z dzieciństwa, zapadła się do morza, pozostawiając po sobie niechlujne osuwisko. Morze zmyło rząd wiekowych plażowych budek; ocalała tylko jedna, podobna do długonogiego owada, zawieszona nad kamieniami. Wylot przesmyku był szerszy, acz najwyraźniej podjęto pewne wysiłki, by go zabezpieczyć - chropowaty mur z kamieni spojonych zaprawą nadal wznosił się krzywo po zachodniej stronie, choć i on osunął się z czasem, wystawiając przesmyk na działanie przyptywów. Zaczynałam rozumieć pesymizm Matthiasa Guenole; przytyw połączony z silnym wiatrem musi podnieść poziom wody, która przeleje się przez groblę nad przesmykiem wprost na drogę. Ale główna zmiana, jaka zaszła w La Goulue, była o wiele wymowniejsza. Mur wodorostów, piętrzący się nawet w lecie, zniknął i pozostały tylko nagie kamienie, których nie pokrywała nawet warstwa mułu. To mnie zaintrygowało. Czy zmienił się kierunek wiatrów? Zazwyczaj wszystko powraca do La Goulue. Dzisiaj nie było tu nic - żadnych wodorostów, żadnych śmieci ani kawałka drewna. Mewy zdawały się o tym wiedzieć: skrzeczały gniewnie jedna na drugą, kołując w powietrzu, lecz siadały na ziemi na krótko, nie szukając pożywienia. W oddali krąg La Jetee rysował się bladą falbanką na tle ciemnej wody. Na brzegu nie dostrzegłam żadnych śladów obecności ojca. Może poszedł do La Bouche, pomyślałam; cmentarz znajdował się kawałek od wioski, za przesmykiem. Byłam tam kilka razy, ale nie chodziłam często; na Le Devin zmarli to męska sprawa.

Stopniowo docierała do mnie świadomość czyjejś bliskiej obecności. Być może zaszła jakaś zmiana w sposobie poruszania się mew; nie ulega wątpliwości, że podszedł bezszelestnie. Odwróciwszy się, zobaczyłam Flynnę stojącego kilka jardów za mną i patrzącego w tę samą stronę, co ja. Trzymał dwa wędzarki do połowu homarów, a przez ramię przewieszony miał

plócienny worek. Więcierze były pełne, na każdym zaś wymalowano czerwoną literę B - jak Bastonnet.

Przywłaszczenie to jedyne przestępstwo, które na Le Devin traktuje się poważnie. Okradanie czyichś więcierzy jest takim samym złem, jak spanie z czyjąś żoną.

Flynn uśmiechnął się do mnie bez śladu skruchy.

- Zdziwiałem, co morze potrafi wyrzucić - zauważył pogodnie, wykonując jednym z więcierzy gest w stronę Pointę. - Pomyślałem, że przyjdę tu wcześniej i rozejrzę się, zanim połowa wioski zacznie szukać Świętej.

- Świętej?

Pokręcił głową.

- Obawiam się, że ślad po niej zaginął. Musiał ją porwać przyływ. Prądy są tu tak silne, że może się teraz znajdować w drodze do La Goulue.

Milczałam. Potrzeba czegoś więcej niż wysoki przyływ, by morze wyrzuciło więcier z homarami. Gdy byłam mała, Guenole i Bastonnetowie zwykli czatować na siebie nawzajem na wydmach, uzbrojeni w śrutówki naładowane solą, w nadziei że przyłapią tych drugich na gorącym uczynku.

- Szczęściarz z ciebie - powiedziałam.

Jego oczy błysnęły.

- Jakoś sobie radzę.

W następnej chwili nie zwracał już na mnie uwagi i wygarniał bosą stopą perełki dzikiego czosnku, który rósł na piasku. Kiedy zbierał kilka, podniósł je i włożył do kieszeni. W słonym powietrzu doleciał mnie ich ostry zapach. Pamiętałam, że sama je kiedyś zbierałam dla matki do gulaszu rybnego.

- Swego czasu była tu ścieżka - odezwałam się, patrząc na zatokę. - Schodziłam nią na mieliznę. Teraz jej nie ma.

Flynn kiwnął głową.

- Toinette Prossage pamięta, że stał tutaj cały szereg domów, z przystanią, małą plażą i tak dalej. Wszystko wylądowało w morzu dawno temu.

- Plaża? - To brzmiało sensownie. Niegdyś podczas odpływu można było dojść z La Goulue do piaszczystych ławic La Jete; z biegiem lat migrowały niczym żółte wieloryby wraz ze zmieniającymi się prądami. Popatrzyłam na samotną budkę plażową, teraz bezużyteczną,

przycupniętą wysoko nad kamieniami.

- Na wyspie nic nie jest bezpieczne.

Ponownie zerknęłam na wiecierze. Unieruchomił homa - ry, żeby nie mogły walczyć.

- „Eleanore” Guenole zerwała się z cumy dziś w nocy ciągnął Flynn. - Myślą, że to sprawka Bastonnetów. Ale to musiał zrobić wiatr.

Najwyraźniej Alain Guenole, jego syn Ghislain i ojciec Matthias byli od świtu na nogach, poszukując zaginionej „Eleanore”. Solidna, płaskodenna łódź rybacka mogła popłynąć z falą przybrzeżną i teraz spoczywa, nienaruszona, gdzieś na mieliźnie. Optymistyczne myślenie, ale warto spróbować.

- Czy mój ojciec wie? - spytałam.

Flynn wzruszył ramionami. Jego mina mówiła, że uważa „Eleanore” za straconą.

- Może nie doszły go wieści. Nie wrócił na noc do domu, prawda? - Musiał dostrzec wyraz zaskoczenia na mojej twarzy, ponieważ się uśmiechnął. - Mam lekki sen - wyjaśnił. - Słyszałem twojego ojca, jak szedł do La Bouche.

La Bouche. Więc miałam słuszność.

Cisza, zakłócana jedynie wrzaskami mew. Wyczuwałam, że Flynn czeka, aż się odezwę; i ponownie zaczęłam się zastanawiać, ile dowiedział się od Grosjeana. Pomyślałam o skrzynce wypełnionej nieotwieraną korespondencją, o okaleczonej fotografii urodzinowej.

- To skomplikowany człowiek - powiedziałam wreszcie. - Trzeba się nauczyć patrzeć na sprawy jego oczyma. Trzeba się starać.

- Długo cię tu nie było.

- Znam mojego ojca.

Pauza. Flynn w milczeniu bawił się swym koralowym naszyjnikiem.

- Nie byłeś tam, prawda?

- Nie. To miejsce nie należy do moich ulubionych. Czemu pytasz?

- Chodź - powiedział, kładąc wiecierze na ziemi i wyciągając do mnie rękę. - Jest coś, co powinnaś zobaczyć.

Ci, którzy odwiedzają La Bouche po raz pierwszy, zawsze są zaskoczeni. Być może rozmiarami cmentarza; ścieżkami i alejkami wśród nagrobków, na których wryto nazwiska salanian - setki, a kto wie, czy nie tysiące Bastonnetów, Guenole, Prossage'ow, nawet naszych krewnych Prasteau, którzy spoczywają jeden obok drugiego niczym zmęczeni plażowicze,

zapomniawszy o dawnych niesnaskach.

Kolejna zaskakująca rzecz to wielkość nagrobków; pobliźnione i wygładzone przez wiatr olbrzymy z wyspiarskiego granitu wznoszą się niczym monolity, przykute samym ciężarem do niespokojnej gleby. W przeciwieństwie do żywych, martwi salanie mają towarzyski charakter: chętnie odwiedzają się nawzajem w grobach, niesieni przemieszczającymi się warstwami piasku, nie zważając na rodowe waśnie. Aby ich pohamować, używamy najcięższych kamiennych płyt. Nagrobek P'titjeana jest masywnym blokiem różowo-szarego granitu, jak gdyby żaden wykopany grób nie był dla zmarłego wystarczająco głęboki.

Flynn nie chciał odpowiedzieć na moje pytania, gdy kroczyliśmy w stronę starego cmentarza. Szłam za nim niechętnie, stąpając z dużą ostrożnością po kamieniach. Widziałam już pierwsze nagrobki, wyrastające ponad grzbiety osłaniających je wydm. Cmentarz La Bouche zawsze stanowił dla mojego ojca teren prywatny. Nawet teraz czułam niejasne wyrzuty sumienia, zupełnie jakbym wykradała czyjaś tajemnicę.

- Wejdz na wydme - polecił Flynn, dostrzegając moje wahanie. - Stamtąd wszystko zobaczysz.

Przez długą chwilę stałam po prostu na grzbiecie wydmy, spoglądając w dół na La Bouche.

- Od jak dawna to tak wygląda? - spytałam wreszcie.

- Od wiosennych sztormów.

Podjęto próbę ochrony grobów. Wzdłuż ścieżki biegnącej najbliżej przesmyku leżały worki z piaskiem, niektóre nagrobki obwałowano ziemią, lecz było widać jak na dłoni, że te skromne środki zawiodły w obliczu tak rozległych zniszczeń. Kamienie nagrobne sterczały z podmytej ziemi niczym chore zęby - niektóre stały jeszcze prosto, inne przybrały niebezpieczny kąt nachylenia nad płytkim rozlewiskiem, utworzonym w miejscu, gdzie woda przelała się przez niskie obwałowania nad przesmykiem. Tu i ówdzie wystawał wazon ze zwiędłymi kwiatami; w innych miejscach na obszarze ponad pięćdziesięciu metrów widziałam tylko kamienie i gładkie, blade odbicie nieba.

Przez długą chwilę trwałam w milczeniu, patrząc.

- Od tygodni przychodzi tu codziennie - wyjaśnił Flynn. - Mówiłem mu, że to nie ma sensu. Nie chciał mi uwierzyć.

Widziałam teraz grób P'titjeana, nieopodal zatopionej ścieżki. Ojciec przystroił go

czerwonymi kwiatami i koralikami, na cześć Sainte-Marine. Te skromne ofiary wyglądały dziwnie żałośnie na tle kamiennej wysepki.

Dla ojca był to niewątpliwie cios. Nawet dzwonienie La Marinette nie wywołałoby w tym głęboko przesądnym człowieku równie silnej reakcji.

Ruszyłam w stronę ścieżki.

- Nie radzę - ostrzegł Flynn.

Zignorowałam go. Ojciec był odwrócony ode mnie plecami i do tego stopnia pochłonięty tym, co robił, że usłyszał mnie, dopiero gdy zbliżyłam się na odległość kroku. Flynn nie ruszył się z miejsca, prawie niewidzialny wśród porośniętych trawą wydm, jeśli nie liczyć stłumionego przebłysku kasztanowatych włosów.

- Ojciec? - przemówiłam po chwili, a on odwrócił się do mnie.

Teraz, w dziennym świetle, dostrzegłam, jak bardzo GrosJean się postarzał. Wydał mi się niższy, skurczony, ubranie zwisało na nim fałdami, a krągłą twarz powlekała szpakowata szczecina starczego zarostu. Rękawy miał poplamione błotem, jakby po kopaniu, dostrzegłam także błotniste bryzgi na cholewach jego gumiaków. Z jego dolnej wargi zwisał gitane.

Postąpiłam krok naprzód. Ojciec wpatrywał się we mnie w milczeniu, błyszczącymi niebieskimi oczyma, okolonymi siecią słonecznych zmarszczek. Nie zareagował na moją obecność; równie dobrze mógł obserwować łodzie rybackie, wypływające w morze, albo obliczać odległość między łodzią a przystanią, uważając, by się nie pośliznąć.

- Ojciec - powtórzyłam z obcym, sztywnym uśmiechem. Odgarnęłam włosy, by odsłonić twarz. - To ja.

Gros Jean nadal sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Jego dłoń powędrowała w stronę szyi, ku wisiorowi. Nie, to nie był wisior. Raczej medalion. Taki, w jakim trzyma się pamiątki.

- Pisałam do ciebie. Myślałam, że... gdybyś chciał... Mój głos także brzmiał obco. Grosjean wpatrywał się we mnie z twarzą pozbawioną wyrazu. Cisza zakryła wszystko, jak skrzydła czarnych motyli.

- Mógłbyś przynajmniej spróbować coś powiedzieć rzuciłam.

Cisza. Trzepotanie skrzydeł.

- No i co ty na to?

Cisza. Powyżej na wydmi czekał nieruchomo Flynn.

- No i co? - powtórzyłam. Drżące motyle zagnieździły się w moim głosie, wprawiając go w dygot. Z trudem łapałam oddech. - Wróciłam. Nic na to nie powiesz?

Przez chwilę wydało mi się, że widzę przelotny błysk w jego oczach. Może sprawiła to tylko moja wyobraźnia. W każdym razie błysk zniknął w ciągu sekundy. A potem, zanim zdałam sobie z tego sprawę, ojciec zawrócił i bez słowa skierował się ku wydmom.

8

Powinnam była się tego spodziewać. W pewien sposób spodziewałam się tego, przeżyłam przed laty podobne odrzucenie. Mimo to coś mnie paliło: skoro matka nie żyła, a Adrienne odeszła, miałam chyba prawo oczekiwać jakiejś reakcji.

Mogłoby być inaczej, gdybym była chłopcem. Gros Jean, jak większość wyspiarzy, pragnął mieć syna, kilku synów, którzy by zadbali o przystań i o rodzinny grób. Córki, pociągające za sobą koszty, nie interesowały Grosjeana Prasteau w najmniejszym stopniu. Dość, że urodziła się jedna; po czterech latach druga zniszczyła resztki intymnego współżycia rodziców. W okresie dojrzewania usiłowałam odpokutować za rozczarowanie, które sprawiłam: krótko strzygłam włosy i unikałam towarzystwa dziewcząt, byle zyskać jego aprobatę. W pewnym stopniu okazało się to skuteczne: niekiedy pozwalał mi łowić ryby albo zabierał z widłami i koszami na ławice ostryg. Były to dla mnie cenne chwile, wykradane Adrienne i matce, gdy wędrowały razem do La Houssiniere; przechowywałam je i napawałam się nimi w tajemnicy.

Odzywał się wówczas do mnie, nawet gdy nie rozmawiał z moją matką. Pokazywał mi gniazda mew i piaszczyste wybrzeża La Jete, do których rok w rok powracały foki. Czasami znajdowaliśmy przedmioty wyrzucone przez fale i zabieraliśmy je do domu. Z rzadka przytaczał mi wyspiarskie opowieści i porzekadła. Wszystko powraca. To był jego ulubiony motyw.

- Przepraszam - odezwał się Flynn. Zapewne podszedł ukradkiem, gdy stanęłam nad grobem P'titjeana.

Skinęłam głowę. Gardło bolało mnie jak od krzyku.

- On z nikim nie rozmawia - wyjaśnił Flynn. - Przeważnie porozumiewa się znakami. Nie wydaje mi się, żeby przemówił więcej niż tuzin razy, odkąd tu jestem, a i wtedy wygłasza zwykle swoje „tak” lub „nie”.

Czerwony kwiat unosił się na wodzie tuż nad ścieżką. Obserwowałam go, czując mdłości.

- Więc rozmawia z tobą - powiedziałam.

- Czasami.

Czułam go przy boku, zakłopotanego, gotowego udzielić pociechy - i przez chwilę jej zapragnęłam. Wiedziałam, że mogę zwrócić się ku niemu - był na tyle wysoki, że mogłam złożyć głowę na jego ramieniu - i pachniałby ozonem i morzem, a także niewyprawioną wełną. Wiedziałam, że pod ubraniem byłby ciepły.

- Mado, przepraszam...

Spojrzałam ponad nim, z twarzą pozbawioną wyrazu, nienawidząc jego współczucia, a jeszcze bardziej własnej słabości.

- Stary skurczybyk nadal rozgrywa swoje gierki - powiedziałam. Tu nastąpił długi, roztrzęsiony wdech. - Nic się nie zmienia.

Flynn obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie.

Odprowadził mnie do domu, niosąc więcierze z homarami i worek. Mówiłam niewiele; on podtrzymywał rozmowę. Nie słyszałam jego zdań, lecz byłam za nie w jakiś sposób wdzięczna. Od czasu do czasu dotykałam listu w kieszeni.

- Dokąd teraz pójdziesz? - zapytał Flynn, gdy dotarliśmy do ścieżki skracającej w stronę Les Salants.

Opowiedziałam mu o paryskim mieszkaniu. O brasserie na froncie. O kafejce, do której chodziliśmy w letnie wieczory. O lipowych alejach.

- Brzmi nieźle. Może się tam kiedyś przeprowadzę.

Spojrzałam na niego.

- Myślałam, że podoba ci się tutaj.

- Może i tak, ale nie zamierzam zostać tu na zawsze. Nikt nigdy nie zrobił majątku, zagrzebując się w piasku.

- Majątku? Czy do tego właśnie dążysz?

- Oczywiście. Jak wszyscy.

Zapadło milczenie. Kroczyliśmy obok siebie, on bezszelestnie, ja - miażdżąc zaścielające wydme odłamki muszli, które chrzęściły cicho pod moimi butami.

- Nigdy nie tęsknisz za domem? - spytałam po chwili.

- Boże, skąd! - Grymas wykrzywił jego twarz. - Mado, to był ślepy zaułek. Zapadła dziura. Ani pracy, ani pieniędzy, ani w ogóle życia. Wszystko, co mieliśmy, zawsze dostawał mój brat. Wyniosłem się stamtąd najwcześniej, jak mogłem.

- Twój brat?

- Tak. John. Złoty Chłopiec. - Uśmiechnął się surowo, z goryczą, podobnie jak ja, gdy myślałam o Adrienne. Krewni. Komu właściwie są potrzebni, hę?

Zastanawiałam się, czy Gros Jean jest tego samego zdania; czy to dlatego wykluczył mnie ze swojego życia.

- Nie mogę go tak po prostu zostawić - wyznałam cicho.

- Naturalnie, że możesz. To jasne, że on nie chce...

- A czy to ważne, czego on chce? Widziałeś podwórze, prawda? Widziałeś dom? Skąd bierze pieniądze? I co będzie, kiedy się wyczerpią?

W Les Salants nie ma banku. Zgodnie z wyspiarskim porzekadłem, bank pożycza ci parasol podczas słonecznej pogody i odbiera go, gdy zaczyna padać. Oszczędności przechowuje się w pudełkach po butach i pod kuchennymi zlewami. Pożyczki są przeważnie zaciągane w ramach prywatnych umów. Nie potrafiłam sobie wyobrazić Grosjeana pożyczającego pieniądze ani majątku ukrytego pod podłogą.

- Da sobie radę - powiedział Flynn. - Ma tutaj przyjaciół. Zaopiekują się nim.

Spróbowałam przywołać obraz Omera La Patate, opiekującego się moim ojcem; albo Matthiasa; albo Aristide'a. Zamiast tego ujrzałam twarz Grosjeana w dniu, kiedy opuszczaliśmy dom. Ów pusty wyraz, za którym równie dobrze mogła się kryć rozpacz, obojętność lub jeszcze coś innego; niemal niedostrzegalne skinienie głową na znak potwierdzenia, gdy się odwracał. Łodzie czekają. Nie ma czasu, by się żegnać. Wołanie z okna taksówki: „Napiszę, obiecuję!”. Matka zmagająca się z walizkami, jej twarz skurczona pod brzemieniem niewypowiedzianych słów.

Byliśmy coraz bliżej domu. Widziałam nad wydmami jego czerwony dach. Z komina unosiła się cienka smuga dymu. Flynn kroczył obok mnie z pochyloną głową, w milczeniu, opadające włosy przesłaniały mu twarz.

Wtem przystanął. Ktoś znajdował się w środku; ktoś stał przy kuchennym oknie. Nie widziałam jego rysów, lecz masywną sylwetkę łatwo było rozpoznać: potężna, niedźwiedziowata

postać, przyciskająca czoło do szyby.

- Grosjean? - szepnęłam.

Flynn zaprzeczył ruchem głowy. Oczy miał czujne.

- Brismand.

9

Nie zmienił się. Owszem, był starszy. Posiwał. Przytył w pasie, ale wciąż nosił espadryle i rybacką czapkę, którą pamiętałam z dzieciństwa. Na grubych palcach połyskiwały pierścionki, a koszulę pod pachami miał poplamioną potem, choć dzień był chłodny. Gdy weszłam, stał przy oknie z parującym kubkiem w dłoni. W powietrzu unosiła się silna woń kawy z armaniakiem.

- Ach, to przecież mała Mado. - Jego dudniący głos brzmiał głęboko i donośnie. Uśmiech był szczery i zaraźliwy. Wąsy, choć szpakowate, wyglądały bardziej pompatycznie niż kiedykolwiek, jak u komicznej postaci z wodewilu albo komunistycznego dyktatora. Zrobił trzy szybkie kroki naprzód i otoczył mnie piegowatymi ramionami. - Mado, jak to dobrze, jak dobrze cię znowu widzieć! - Jego uścisk, jak wszystko w nim, był potężny. - Zaparzyłem kawę. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. W końcu jesteśmy rodziną, czyż nie? - Skinęłam głową, na wpół uduszona w jego objęciach. - Jak się miewa Adrienne? A dzieci? Mój bratanek nie pisuje tak często, jak powinien.

- Moja siostra też nie.

Zaśmiał się, a jego śmiech był mocny jak kawa.

- Dzieciaki, ha! Ale ty... ty! Niech ci się przyjrzę. Ależ wyrosłaś! Czuję się przy tobie jak stuletni staruszek, ale to nic, skoro mogę popatrzeć na twoją buzię. Twoją prześliczną buzię.

Niemal o tym zapomniałam - o jego wdzięku. Jest w nim coś zaskakującego, coś, co uniemożliwia obronę. Dostrzegałam inteligencję za jego wylewną powierzchownością, oczy miał mądre, ciemnoszare, niemal czarne. Tak, lubiłam go w dzieciństwie. Teraz nadal go lubiłam.

- Ciągle zalewa wioskę, co? Przykra sprawa. - Westchnął głośno. - Pewnie wszystko wydaje ci się inne niż dawniej. Ale nie każdemu odpowiada życie na wyspie. Młodzież pragnie rozrywek, których biedna stara wyspa nie może zaoferować.

Miałam świadomość, że tuż za drzwiami stoi Flynn, trzymając te swoje wiewiórki. Odniosłam wrażenie, że nie chce wejść, choć jednocześnie wyczułam jego zaciekawienie, a także, że nie zamierza zostawić mnie sam na sam z Brismandem.

- Wejdz do domu - zachęcałam go. - Napijesz się kawy.

Flynn pokręcił głową.

- Zobaczymy się później.

- Zostaw go. - Brismand, obrzuciwszy Flynna przelotnym spojrzeniem, zwrócił się ponownie w moją stronę i przyjacielskim gestem objął mnie za ramiona. - On się nie liczy. Opowiedz mi wszystko o sobie.

- Monsieur Brismand...

- Claude, proszę cię, Mado. - Jego wszechogarniająca życzliwość wydawała mi się nieco przytłaczająca, jak gdyby był jakimś olbrzymim świętym Mikołajem. - Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś, że przyjeżdżasz? Już prawie straciłem nadzieję.

- Nie mogłam wcześniej. Mama była chora.

Na chwilę wszystko wróciło: zapach szpitalnej sali, syczenie aspiratora, ton jej głosu, gdy napomknęłam o powrocie, choćby na krótko.

- Wiem. - Nalał filiżankę kawy. - Przykro mi. A teraz ta sprawa z Grosjeanem. - Usadowił się w krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, i poklepał miejsce obok. Cieszę się, że tu jesteś, mała Mado - powiedział z prostotą. - Cieszę się, że mi zaufałaś.

Najcięższe okazały się pierwsze lata po opuszczeniu Le Devin. Na szczęście byliśmy silni. Romantyczna natura matki nabrała przerażająco twardych, praktycznych rysów, co nam się bardzo przydało. Nie posiadając żadnych kwalifikacji, dorabiała jako sprzątaczką. Mimo to żyliśmy w biedzie.

Grosjean nie przysyłał ani grosza. Matka przyjęła to z gorzką satysfakcją, czując, że sama ma czyste sumienie. W szkole - dużym paryskim liceum - sfatygowane ubrania pogłębiały moje wyobcowanie.

Pomógł nam jednak Brismand - na swój sposób. Staliśmy się rodziną, mimo odmiennych nazwisk. Nie przysyłał nam pieniędzy, ale na Boże Narodzenie dostawałyśmy paczki z ciuchami i książkami, a dla mnie, gdy odkrył moje zainteresowania, nadchodziły pudła farb. W szkole odnalazłam w sobie zamiłowania artystyczne, które przypominały mi niekiedy warsztat ojca, piłę i zapach świeżych trocin. Z utęsknieniem oczekiwałam tych lekcji. Miałam talent. Rysowałam plaże, łodzie i pobielone chaty na tle nieba. Moja matka ich nie znosiła, rzecz jasna. Stały się później naszym głównym źródłem utrzymania, lecz mimo to matka nienawidziła tematyki.

Podejrzewała, choć nigdy nie powiedziała tego głośno, że łamię w ten sposób naszą umowę.

Gdy studiowałam w college'u, nadchodziły listy od Brismanda. Nie do matki - ona pokochała blichtr i światła Paryża i nikt nie miał prawa przypominać jej o Le Devin - ale do mnie. Nie były to długie listy, lecz pochłaniałam każdy strzęp informacji. Czasami żałowałam, że to Grosjean, a nie on, jest moim ojcem.

A potem, rok temu, nadeszła pierwsza wiadomość, że w Les Sañants nie najlepiej się dzieje. Na początek zdawkowa wzmianka - nie widział Grosjeana od pewnego czasu a potem ciąg dalszy. Ekscentryczność mojego ojca, dająca się łatwo zauważyć już w latach mego dzieciństwa, objawiała się coraz wyraźniej. Krążyły pogłoski, iż zapadł na poważną chorobę, choć odmówił pójścia do lekarza. Brismand martwił się o niego.

Nie odpisałam na te listy. Całą moją uwagę pochłaniała wówczas matka. Rozedma płuc, którą pogłębiło zatrute miejskie powietrze, coraz bardziej jej dokuczała, a lekarz usiłował ją nakłonić do zmiany klimatu. Doradzał nadmorskie okolice, gdzie powietrze byłoby zdrowsze. Ale matka nie chciała o tym słyszeć. Uwielbiała Paryż. Przepadała za sklepami, kinami, kafejkami. O dziwo, nie zazdrościła bogatym kobietom, u których sprzątała, czerpiąc zastępczą przyjemność z ich strojów, mebli, ich życia. Wyczuwałam, że czegoś takiego pragnie dla mnie.

Listy od Brismanda nadchodziły nieprzerwanie. Ciągle się martwił. Napisał do Adrienne, lecz nie otrzymał odpowiedzi. To akurat rozumiałam: gdy matka znalazła się w szpitalu, zadzwoniłam do siostry i dowiedziałam się od Marina, że Adrienne spodziewa się następnego dziecka i nie może podróżować. Matka zmarła cztery dni później, a zapłakana Adrienne poinformowała mnie przez telefon, że lekarz zabronił jej wszelkich wysiłków. Po dwóch synach rozpaczliwie pragnęła córki i czuła, że matka by ją rozumiała.

Piłam kawę bardzo powoli. Brismand czekał cierpliwie, obejmując mnie potężnym ramieniem.

- Wiem, Mado. Nie jest ci lekko.

Otarłam oczy.

- Mogłam się tego spodziewać.

- Trzeba było przyjść do mnie. - Rozejrzył się; z pewnością zauważył brudną podłogę, spiętrzone talerze, nieotwarte listy, atmosferę zaniedbania.

- Chciałam się sama przekonać.

- Rozumiem - kiwnął głową Brismand. - To twój ojciec. Rodzina jest wszystkim.

Wstał nagle, wypełniając sobą całą kuchnię i wsunął ręce w kieszenie.

- Miałem syna, jak wiesz. Moja żona wywiozła go stąd, zaledwie skończył trzy miesiące.

Czekałem trzydzieści lat z nadzieją, niemal z pewnością, że kiedyś wróci.

Przytaknęłam ruchem głowy. Słyszałam wcześniej tę historię. Mieszkańcy Les Salants uważali, oczywiście, że to Brismand jest winien.

Pokręcił głową, nagle postarzały, odrzucając teatralne gesty.

- Głupota, nie sądzisz? Te nasze złudzenia. Te haczyki, które zarzucamy na siebie nawzajem. - Spojrzał na mnie. Grosjean cię kocha, Mado. Na swój sposób.

Pomyślałam o urodzinowej fotografii i o ręce ojca spoczywającej na ramieniu Adrienne. Brismand ujął moją dłoń.

- Nie chcę wywierać na ciebie żadnego nacisku - powiedział łagodnie.

- Wiem. W porządku.

- To miłe miejsce, Mado. „Les Immortelles”. Szpitalne wyposażenie, lekarz z kontynentu, duże pokoje, no i mógłby się widywać ze znajomymi, kiedy by tylko zechciał. Ja bym to załatwił.

Zawahałam się. Siostra Therese z siostrą Extase zdążyły mi opowiedzieć o długofalowym planie Brismanda, dotyczącym mieszkań. Wydawał się kosztowny, i przytoczyłam tę opinię. Brismand potrząsnął lekceważąco głową.

- Zajmę się tym. Pieniądze ze sprzedaży gruntów pokryją wszystkie jego wydatki. Może nawet coś zostanie. Wiem, co czujesz, Mado. Ale ktoś musi wykazać się zdrowym rozsądkiem.

Obiecałam, że przemyślę sprawę. Już wcześniej Brismand napomknął o tym w listach, choć nigdy tak otwarcie, jak teraz. Propozycja wydawała się korzystna; w przeciwieństwie do matki Grosjean nie wierzył w ubezpieczenie zdrowotne, ja zaś nie mogłam sobie pozwolić na dokładanie jego finansowych trosk do moich. Potrzebował opieki, to było oczywiste. A na mnie czekało w Paryżu życie, do którego mogłam - powinnam - wrócić. O czymkolwiek wcześniej marzyłam, rzeczywistość Les Salants okazała się ponura. Zbyt wiele się tu zmieniło.

Wychodząc z domu, spotkałam Alaina Guenole i jego syna Ghislaina, zbliżających się od strony wioski. Obydwaj dyszeli ciężko, a pod wyspiarską rezerwą wyczuwało się poruszenie. Byli bardzo do siebie podobni, mieli typowe dla wyspiarzy ostre rysy, ale podczas gdy jego

ojciec nosił tradycyjną płócienną vareuse, Ghislain miał na sobie jadownicę żółtą koszulkę z krótkimi rękawami, która żarzyła się niczym neon na tle jego smagłej skóry. Na mój widok wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyspieszył kroku, wbiegając niepewnie po zboczu wielkiej wydmy.

- Madame Grosjean - wysapał i urwał, by nabrać tchu. - Chcemy pożyczyć przyczepę od ciągnika. To pilne.

Przez chwilę byłam przekonana, że mnie nie poznał. Ghislain Guenole, dwa lata starszy ode mnie, z którym bawiłam się w dzieciństwie. Czy naprawdę nazwał mnie „madame Grosjean”?

Alain skinął mi głową na powitanie. On również był zaniepokojony, lecz najwyraźniej nie uznawał żadnej sprawy za dostatecznie pilną, by skłoniło go to do biegu.

- Chodzi o „Eleanore”! - zawołał zza wydmy. - Widziano ją w La Houssiniere, tuż koło Les Immortelles. Idziemy po nią, ale potrzebna jest nam przyczepa. Czy twój ojciec jest w domu?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem, gdzie jest.

Na twarzy Ghislaina odbiła się troska.

- Nie możemy czekać - powiedział. - Musimy ją wziąć natychmiast. Może pani... jeśli mu pani powie, do czego była potrzebna...

- Oczywiście, możecie ją wziąć - szybko podjęłam decyzję. - Pójdę z wami.

Alain, który podszedł do nas, spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Nie sądzę...

- Mój ojciec zbudował tę łódź - oznajmiłam stanowczo. - Przed laty, jeszcze zanim się urodziłam. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wam nie pomogła. Wiecie, jak ją lubi.

Gros Jean ją lubił, nawet więcej niż lubił; tyle pamiętałam. „Eleanore” była pierwszą z jego „dam”, lecz chyba najdroższą jego sercu. Myśl, że mogłaby zginąć bez śladu, napełniła mnie przerażeniem.

Alain wzruszył ramionami. Łódź stanowiła dla niego źródło utrzymania, nic więcej. Tam gdzie w grę wchodziły pieniądze, nie było miejsca na sentymenty. Gdy Ghislain pobiegł po traktor, uświadomiłam sobie, że czuję ulgę, jakby ten kryzys był swego rodzaju odroczeniem.

- Na pewno chce się pani fatygować? - spytał Alain, kiedy jego syn mocował przyczepę do starego ciągnika. - Trudno to nazwać rozrywką.

Ubodła mnie zawarta w jego słowach niedbała sugestia.

- Chcę pomóc.
- Skoro pani sobie życzy.

„Eleanore” osiadła na skałach około pięciuset metrów od La Houssiniere. Zaklinował ją w miejscu wzbierający przyływ i choć morze nie podniosło się jeszcze wysoko, porywisty wiatr przy każdej fali popychał uszkodzony kadłub dalej na skały. Niewielka grupka salanian, w tym Aristide, jego wnuk Xavier, Matthias, Capucine i Lolo, przyglądała się z wybrzeża. Przebiegłam uważnym spojrzeniem po twarzach, lecz nie dostrzegłam wśród nich ojca. Zobaczyłam za to Flynna w rybackich gumiakach i golfie, z workiem przerzuconym przez ramię. Wkrótce przyłączył się do nich kolega Lola, Damien; widząc go obok Alaina i Ghislaina, zauważyłam od razu, że ma rysy Guenole.

- Odsuń się, Damien - polecił Alain zbliżającemu się chłopakowi. - Nie chcę, żebyś plątał się pod nogami.

Damien posłał mu ponure spojrzenie i usiadł na kamieniu. Gdy po chwili popatrzyłam w tamtą stronę, zobaczyłam, że pali papierosa, wyzywająco odwrócony plecami. Alain, z oczyma utkwionymi w „Eleanore”, zdawał się tego nie dostrzegać.

Usiadłam obok Damiena. Przez pewien czas mnie ignorował. Potem ciekawość zwyciężyła i odwrócił się twarzą do mnie.

- Słyszałem, że mieszka pani w Paryżu - odezwał się półgłosem. - Jaki on jest?

- Taki jak inne miasta - odparłam. - Duży, hałaśliwy, zatłoczony.

Przez chwilę miał przygnębioną minę, ale zaraz się rozpozodził.

- Europejskie miasta, być może. Amerykańskie miasta są inne. Mój brat dostał amerykańską koszulkę. Ma ją teraz na sobie.

Uśmiechnęłam się, odwracając oczy od świecącego torsu Ghislaina.

- W Ameryce jedzą tylko hamburgery - powiedział Alain, nie odrywając oczu od „Eleanore” - i wszystkie dziewczyny są grube.

Na twarzy chłopaka odmalowało się oburzenie.

- Skąd wiesz? Nigdy tam nie byłeś.

- Ty też nie.

Z pobliskiego mola, chroniącego zatoczkę, uszkodzoną łódź obserwowała również grupa

houssinian. Jojo-le-Goeland, stary houssinianin o marynarskim obejściu i lubieżnym oku, pozdrowił nas machnięciem ręki.

- Przyszliście popatrzeć? - Uśmiechnął się szeroko.

- Z drogi, Jojo - warknął Alain. - Mężczyźni mają tu robotę do zrobienia.

Jojo parsknął śmiechem.

- Nieźle się napracujecie, próbując się stąd do niej dostać - zauważył. - Idzie przyptyw i wieje wiatr od morza. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyście napytali sobie biedy.

- Nie słuchajcie go - doradziła Capucine. - Gada tak, odkąd tu stoimy.

Jojo zrobił zboląłą minę.

- Mógłbym ją wam odholować na plażę - zaproponował. - Z pomocą mojej „Marie Joseph”. Łatwiej będzie podjechać traktorem po piasku. A potem ją załadować.

- Ile? - zapytał podejrzliwie Alain.

- No cóż, jest łódź. Robota. Kwestia dostępu... Powiedzmy, tysiąc.

- Dostępu? - Alain był rozdrażniony. - Dokąd?

Jojo uśmiechnął się drwiąco.

- Do Les Immortelles, ma się rozumieć. Do prywatnej plaży. Polecenie pana Brismanda.

- Prywatna plaża! - Alain zerknął na „Eleanore” i zmarszczył brwi. - Od kiedy?

Jojo pieczołowicie zapalił niedopałek gitane’a.

- Wyłącznie dla gości hotelowych - dodał. - Nie chce, żeby mu tam śmieciła byle hałastrą.

Było to kłamstwo, o czym każdy wiedział. Widziałam, że Alain rozważa możliwość popychania „Eleanore” gołymi rękami. Spiorunowałam Jojo spojrzeniem.

- Znam pana Brismanda - poinformowałam go - i nie sądzę, żeby zechciał pobierać opłatę za dostęp do tej plaży.

Jojo uśmiechnął się szyderczo.

- To może idź i go zapytaj - zaproponował. - Zobaczymy, co ci odpowie. Nie musisz się śpieszyć, „Eleanore” nigdzie nie odpłynie.

Alain ponownie spojrzał na łódź.

- Uda nam się to zrobić? - spytał Ghislaina.

Ghislain wzruszył ramionami.

- Uda się, Rouget?

Flynn, który w trakcie poprzedniej wymiany zdań poszedł ze swoim workiem w stronę

mola i zniknął nam z oczu, teraz się pojawił, już bez worka, przyjrzał się łodzi i pokręcił głową.

- Chyba nie - odparł. - Nie bez pomocy „Marie Joseph”. Lepiej zróbcie, co on mówi, zanim woda jeszcze bardziej się podniesie.

„Eleanore” była typowo wyspiarską, ciężką łodzią do połowu ostryg, o płytkim kilu, ułatwiającym dotarcie do ławic, i dnie powleczonym ołowiem. Przy fali pływowej napierającej od tyłu ściągnięcie jej ze skał mogło wkrótce okazać się niewykonalne. Oczekiwanie na sprzyjający prąd - dziesięć godzin albo dłużej - oznaczało wyłącznie dalsze uszkodzenia. Jojo uśmiechnął się szerzej.

- Uważam, że może nam się udać - powiedziałam. Trzeba obrócić dziób na wiatr. Na płytkiej wodzie będziemy mogli użyć przyczepy.

Alain popatrzył na mnie, a potem na pozostałych salanian. Widziałam, że ocenia naszą wytrzymałość, oblicza, ilu rąk potrzeba do przeprowadzenia akcji. Obejrzałam się z nadzieją, że wypatrzę gdzieś Grosjeana, ale go nie było.

- Wchodzę w to - rzuciła Capucine.

- Ja też - zawtórował Damien.

Alain zmarszczył brwi.

- Wy, chłopcy, trzymajcie się z boku - polecił. - Nie chcę, żeby coś wam się stało.

Ponownie zerknął na mnie, a następnie na innych. Matthias był za stary, by wziąć udział w niebezpiecznym przedsięwzięciu, ale z Flynnem, Ghislainem, Capucine i ze mną mogło nam się powieść. Aristide wzdąrdliwie trzymał się na dystans, choć w oczach Xaviera dostrzegłam tęskny wyraz.

Jojo czekał, wciąż uśmiechnięty.

- No i co powiesz?

Starego żeglarza najwyraźniej bawiło, że Alain liczy się z moją opinią. Tanie jak babska gadanina. Tak brzmi jedno z wyspiarskich porzekadeł.

- Spróbuj - zachęciłam. - Co masz do stracenia?

Alain ciągle się wahał.

- Ona ma rację - wtrącił niecierpliwie Ghislain. - Co z tobą? Starzejesz się czy jak? Mado ma w sobie więcej bojowego ducha niż ty!

- Dobra - postanowił wreszcie Alain. - Podejmiemy próbę.

Złowiłam spojrzenie Flynnna.

- Chyba zyskałaś wielbiciela. - Uśmiechnął się i zeskoczył lekko na mokry piasek.

Popatrzyłam na niego z dezaprobatą.

- A więc sprzedałaś swoją zdobycz - zauważyłam.

- E, daj spokój - rzucił. - Nie mów mi, że na moim miejscu nie zrobiłabyś tego samego.

- Oczywiście, że nie. To przywłaszczenie.

- Tak, jasne. - Miał zaraźliwy uśmiech.

- Jasne - potwierdziłam stanowczo i ruszyliśmy w milczeniu po śliskich skałach ku „Eleanore”.

Zapadał już wieczór, a przyptyw osiągnął trzy czwarte wysokości, gdy w końcu uznaliśmy naszą porażkę, a tymczasem cena wzrosła o kolejny tysiąc franków. Byliśmy przemarznięci, zdrtwiali, wyczerpani. Flynn stracił animusz, a mnie „Eleanore” omal nie przygwoździła do skały w trakcie prób ruszenia jej z miejsca. Pod nieoczekiwanym naporem wezbranej fali dziób zwrócił się ostro w prawo, a kadłub łodzi uderzył mnie boleśnie w bark, odtrącając na bok i spowijając moją twarz czarną płachtą wody. Poczułam skałę za plecami i ogarnęła mnie panika, gdyż przez chwilę byłam pewna, że zostanę przygnieciona, a może i gorzej. Lęk - i ulga, że o włos uniknęłam nieszczęścia - wprawiły mnie w wojowniczy nastrój. Natarłam na Flyna, który stał tuż za mną.

- Miałaś przytrzymać dziób! Co się stało, do diabła?

Flynn upuścił liny zabezpieczające łódź. W przygasającym świetle jego twarz była zamazaną plamą. Obrócił się do mnie bokiem i usłyszałam jego przekleństwa, bardzo płynne jak na cudzoziemca.

Z przeciągłym, zgrzytliwym dźwiękiem kadłub „Eleanore” raz jeszcze przemieścił się po skałach, a potem znowu osiadł w poprzednim miejscu. Od strony mola dobiegły szydercze wiwaty houssinian.

Sposepniały Alain zawołał nad wodą do Jojo:

- No dobra! Wygrałeś. Idź po „Marie Joseph”.

Popatrzyłam na niego, a on pokręcił głową.

- To na nic. Teraz już nie damy rady. Lepiej mieć to wszystko za sobą.

Jojo uśmiechnął się od ucha do ucha. Przez cały czas przyglądał się akcji, ćmiąc jeden niedopałek za drugim i nic nie mówiąc. Rozgoryczona, ruszyłam w stronę brzegu. Pozostali, w

przemoczonych ubraniach, brnęli za mną. Najbliżej znalazł się Flynn, z opuszczoną głową i dłońmi wetkniętymi pod pachy.

- Prawie ją mieliśmy - powiedziałam. - Mogło nam się udać. Gdybyśmy tylko unieruchomili przekłety dziób.

Flynn wymamrotał coś pod nosem.

- Co mówisz?

Westchnął.

- Kiedy skończysz się mnie czepiać, może byś zechciała przyprowadzić traktor. Będzie potrzebny w „Les Immortelles”.

- Nie przypuszczani, żebyśmy już teraz wybierali się dokądkolwiek.

- Nie wyzywaj się na mnie. O ile pamiętam, mówiłem od początku...

- O, tak. Naprawdę dałeś mi szansę, no nie?

Rozczarowanie nadało mojemu głosowi szorstki ton. Alain zerknął na mnie przelotnie, a potem odwrócił oczy. Widziałam, że jest mu wstyd, iż mnie posłuchał. Grupa gapiów z La Houssiniere zaczęła ironicznie klaskać. Salaniec mieli ponure miny. Aristide, który przyglądał się z mola, obrzucił mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Xavier, towarzyszący dziadkowi przez cały czas akcji ratunkowej, uśmiechnął się z zażenowaniem, błyskając okularami w drucianych oprawkach.

- Mam nadzieję, że dla ciebie gra była warta świeczki odezwał się Aristide swoim ostrym głosem.

- Mogło się udać - powiedziałam.

- Bo kiedy ty zajmowałaś się udowadnianiem, że jesteś równie twarda jak wszyscy inni, Guenole omal nie stracił łodzi.

- Przynajmniej się starałam - burknęłam z rozdrażnieniem.

Stary wzruszył ramionami.

- Czemu mielibyśmy pomagać temu Guenole?

I opierając się mocno na lasce, podążył moim w stronę wybrzeża, a za nim kroczył w milczeniu Xavier.

Doholowanie „Eleanore” do plaży zajęło dwie godziny, a wciągnięcie jej z mokrego piasku na przyczepę - następne półtorej. Do tej chwili przyływ osiągnął najwyższy poziom i

zaczął zapadać zmrok. Jojo palił swoje niedopałki i żuł okruchy tytoniu, od czasu do czasu strzykając śliną pod nogi. Ponieważ Alain nalegał, obserwowałam powolny przebieg akcji ratowniczej znad linii przyływu i czekałam, aż wróci mi uczucie w posiniaczonym ramieniu.

Wreszcie operacja dobiegła końca i nadeszła chwila wytchnienia. Flynn usiadł na suchym piasku, opierając się plecami o koło traktora. Capucine i Alain zapalili gitane'y. Z tego krańca wyspy wyraźnie było widać stały ląd, podświetlony pomarańczową łuną. Co pewien czas balise - latarnia ostrzegawcza - wysyłała swój prosty, migotliwy sygnał. Zimne niebo miało fioletowy odcień i mleczne obrzeże, a w prześwitach między chmurami pokazały się pierwsze gwiazdy. Wiatr od morza przenikał przez moją mokrą odzież, przyprawiając mnie o dreszcze. Dłonie Flynn'a krwawiły. Nawet w półmroku dało się dostrzec miejsca, gdzie mokre liny werżnęły mu się w ciało. Trochę żałowałam, że nakrzyczałam na niego. Zapomniałam, że nie ma rękawic.

Ghislain stanął obok mnie. Słyszałam jego oddech tuż nad karkiem.

- Dobrze się czujesz? Nieźle oberwałaś, kiedy łódź cię walnęła.

- Czuję się świetnie.

- Jest ci zimno. Cała drżysz. Może przyniosę...

- Daj mi spokój. Czuję się świetnie.

Zapewne nie powinnam była burczeć na niego. Chciał dobrze. Ale coś pobrzmiewało w jego głosie - jakiś paskudnie opiekuńczy ton. Niektórzy mężczyźni miewają w stosunku do mnie takie odruchy. Usłyszałam cichy, drwiący śmiech Flynn'a. O jego samopoczucie, jak zauważyłam, nikt nie zapytał.

Byłam przekonana, że Grosjean w końcu się pojawi. Teraz, gdy zrobiło się tak późno, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie przyszedł. Musiała przecież dotrzeć do niego wieść o „Eleanore”. Ze zniechęceniem otarłam oczy.

Ghislain wciąż mi się przyglądał znad swojego gitane'a. Jego jaskrawa koszulka połyskiwała słabo w półmroku.

- Na pewno nic ci nie jest?

Uśmiechnęłam się do niego blado.

- Przepraszam. Powinniśmy byli uratować „Eleanore”. Gdybyśmy tylko mieli więcej ludzi. - Potarłam ramiona dla rozgrzewki. - Wydaje mi się, że Xavier by nam pomógł, gdyby nie obecność Aristide'a. Widziałam, że ma ochotę.

Ghislain westchnął.

- Kiedyś dobrze się dogadywaliśmy z Xavierem - powiedział. - Jasne, że jest Bastonnetem. Ale wtedy to nie miało aż tak wielkiego znaczenia. Teraz jednak Aristide nie spuszcza go z oka i...

- Ten okropny staruch. O co mu chodzi?

- Myślę, że się boi - odparł Ghislain. - Został mu tylko Xavier. Chce, żeby nie opuszczał wyspy i ożenił się z Mercedes Prossage.

- Mercedes? To ładna dziewczyna.

- Niebrzydka. - Było już zbyt ciemno, by to dostrzec, ale słysząc ton Ghislaina, nie miałam wątpliwości, że się rumieni.

Patrzyliśmy na mroczniejące niebo. Podczas gdy Ghislain dopalał papierosa, Alain i Matthias oglądali szkody wyrządzone „Eleanore”. Okazały się poważniejsze, niż przypuszczaliśmy. Skały zerwały całe poszycie. Ster był w kawałkach i brakowało silnika. Czerwona kulka na szczęście, którą mój ojciec umieszczał na każdej swojej łodzi, zwisała ze szczątków masztu. Czułam się wyczerpana i chora, ruszając za mężczyznami transportującymi łódź na drogę. Zauważyłam, że wzmocniono kamiennymi blokami stary falochron na drugim końcu plaży, tworząc szeroką groble, wysuniętą w kierunku La Jetee.

- To chyba coś nowego, prawda? - spytałam.

Ghislain przytaknął.

- Robota Brismanda. Przez ostatnie dwa lata przypiływy dawały się we znaki. Wymywały piasek. Te kamienie trochę chronią plażę.

- Czegoś takiego wam potrzeba w Les Salants - zauważyłam, myśląc o spustoszeniach w La Goulue.

Jojo uśmiechnął się szeroko.

- Idź z tym do Brismanda. Na pewno będzie wiedział, co robić.

- Jakbyśmy zamierzali go pytać - mruknął Ghislain.

- Wy, salanie, jesteście bandą uparciuchów - zawyrokował Jojo. - Wolicie, żeby wszystko zabrało morze, niż mielibyście zapłacić godziwą sumę za naprawy.

Alain popatrzył na niego. Jojo natychmiast uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając pieńki zębów.

- Zawsze powtarzałem twojemu ojcu, że powinien się ubezpieczyć - zauważył. - Nie chciał mnie słuchać. - Zerknął na „Eleanore”. - Tak czy siak, czas już był pozbyć się tej krypy.

Kup sobie coś nowego. Nowoczesnego.

- To przyzwoita łódź - odparł Alain, nie chwytając przynęty. - Stare łodzie są praktycznie niezniszczalne. Nie jest tak źle, jak się wydaje. Trzeba ją załatać, dać nowy silnik...

Jojo ze śmiechem pokręcił głową.

- Całkiem po salaniańsku - powiedział. - Kapuściana głowa. Pewnie, załataj ją. Będzie cię to kosztowało dziesięć razy więcej, niż jest warta. I co wtedy? Chcesz wiedzieć, ile wyciągam w sezonie za same przejażdżki?

Ghislain rzucił mu kosę spojrzenie.

- Sam mogłeś zabrać ten silnik - oznajmił zaczepnie żeby go sprzedać na wybrzeżu. Ciągłe czymś handlujesz. Nikt ci nie zadaje pytań.

Jojo wyszczerzył zęby.

- Widzę, że wy, Guenole, nadal umiecie obracać językiem - zauważył. - Twój dziadek był taki sam. Powiedz mi, co wynikło z tego procesu przeciw Bastonnetom? Ile na nim zarobiłeś, hę? A ile cię kosztował, jak myślisz? A twojego ojca? I brata?

Ghislain, speszony, spuścił oczy. Wszyscy dobrze wiedzą w Les Salants, że sprawa sądowa między Guenole a Bastonnetami ciągnęła się dwadzieścia lat i zrujnowała obie strony. Jej przyczyna - niemal zapomniany zatarg o ławice ostryg na La Jete - stała się kwestią akademicką na długo przed końcem procesu, gdyż przemierzające się piaszczyste łachy pochłonęły sporny teren, lecz wzajemna wrogość nie wygasła, przechodząc z pokolenia na pokolenie, jakby miała zrekompensować zmarnotrawione dziedzictwo.

- Wasz silnik pewnie zmyło do zatoki - podjął Jojo, wykonując niedbały gest w stronę La Jete. - Albo to, albo znajdziecie go w La Goulue, jeśli będziecie kopać wystarczająco głęboko. - Wypłuł na piasek grudkę mokrego tytoniu. - Słyszałem, że zeszłej nocy zgubiliście Świętą. Gapy z was, co?

Alain z wysiłkiem zachował spokój.

- Łatwo ci się śmiać, Jojo - odparł. - Ale, jak powiadają, fortuna kołem się toczy, nawet tutaj. Gdybyście nie mieli tej plaży...

Matthias kiwnął głową. -

- Racja - wtrącił burkliwie. Mówił z tak silnym wyspiarskim akcentem, że z trudem rozumiałam jego słowa. - Dzięki tej plaży dobrze wam się wiedzie. Nie zapominaj o tym. Mogła należeć do nas.

Jojo zaniósł się chrapliwym rechotem.

- Do was! - zakpił. - Gdyby należała do was, zmarnowalibyście ją dawno temu, tak jak wszystko inne.

Matthias postąpił krok naprzód, jego starcze dłonie drżały. Alain ostrzegawczo położył ojcu dłoń na ramieniu.

- Dość tego. Jestem zmęczony. A jutro czeka nas robota.

Coś jednak zapadło mi w pamięć. Coś związanego z La Goulue, pomyślałam, z La Bouche i zapachem dzikiego czosnku na wydmach. Mogła należeć do nas. Próbowałam to zidentyfikować, ale byłam zbyt zziębnięta i wyczerpana, by jasno myśleć. I Alain miał słuszość; to nic nie zmieniało. Nadal rano czekała mnie robota.

11

Po powrocie do domu zastałam ojca w łóżku. Doznałam pewnej ulgi; nie czułam się na siłach podejmować dyskusji, która mogła - wedle wszelkich oznak - nabrać uszczypliwego charakteru. Położyłam mokre ubranie koło kominka, żeby przeschło, wypijałam szklanek wody i poszłam do swojego pokoju. Gasząc nocną lampkę, dostrzegłam przy łóżku słoik z polnymi kwiatami - dzikimi goździkami, niebieskim ostem i trawami o pierzastych kioskach. Był to osobiście wzruszający gest ze strony mego niezbyt wylewnego ojca i leżąc przez jakiś czas bezsennie, próbowałam zrozumieć jego znaczenie, aż wreszcie zmorzył mnie sen i za chwilę już nadszedł ranek.

Gdy się obudziłam, Grosjeana nie było w domu. Zawsze lubił wstawać wcześniej; latem budził się o czwartej i wyruszał na długie nadmorskie spacerki. Ubrałam się, zjadłam śniadanie i poszłam za jego przykładem.

Okolo dziewiątej dotarłam do La Goulue, gdzie tłoczyli się już salanie. Przez chwilę nie mogłam zrozumieć dlaczego, ale zaraz przypomniałam sobie zaginioną Sainte-Marine, którą poprzedniego dnia na krótko usunęło w cień zniknięcie „Eleanore”. Tego ranka, gdy tylko woda opadła, wznowiono poszukiwania Świętej, na razie bez rezultatu.

W poszukiwaniach uczestniczyła chyba połowa wioski. Wszyscy czterej Guenole przeczesywali mieliznę, a na pokrytym drobnymi kamykami odcinku poniżej ścieżki zebrała się grupka gapiów. Mój ojciec zszedł daleko poza linię przyływu; uzbrojony w długie drewniane grabie, z metodyczną powolnością wodził nimi po morskim dnie, przerywając od czasu do czasu,

by usunąć kamyk lub kępkę wodorostów.

Z boku poniżej ścieżki dostrzegłam Aristide'a i Xaviera, którzy obserwowali akcję, lecz nie brali w niej udziału. Nieco dalej Mercedes opalała się i czytała czasopismo, a Charlotte patrzyła z właściwą sobie zaniepokojoną miną. Zauważyłam, że Xavier omija wzrokiem większość ludzi, ale najwytrwalej unika Mercedes.

Twarz Aristide'a wyrażała ponurą uciechę, jakby dotarli do niego złe wieści, dotyczące innej osoby.

- Nieszczęśliwy traf z tą „Eleanore”, he? Alain mówi, że w La Houssiniere żądają sześciu tysięcy franków za naprawy.

- Sześciu tysięcy? - To przekraczało wartość łodzi; Guenole z pewnością nie było stać na taki wydatek.

- Ha. - Aristide uśmiechnął się kwaśno. - Nawet Rouget powiada, że nie opłaca się jej naprawiać.

Spojrzałam ponad jego ramieniem w stronę horyzontu; żółta smuga spomiędzy chmur rozświetlała odkrytą mieliznę nikłym poblaskiem. U wylotu przesmyku kilku rybaków rozpostarło sieci i mozolnie wybierało z nich wodorosty. Wciągnięto „Eleanore” wyżej na brzeg, gdzie spoczęła przechylona w mule, z wręgami sterczącymi niczym żebra martwego wieloryba.

Za moimi plecami Mercedes wykwintnym ruchem obróciła się na bok.

- Z tego, co słyszałam - oznajmiła dźwięcznym głosem byłoby lepiej, gdyby ona pilnowała własnego nosa.

- Mercedes! - jęknęła jej matka. - Jak możesz tak mówić?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- To przecież prawda. Gdyby nie zmarnowali aż tyle czasu...

- Natychmiast przestań! - Charlotte odwróciła się do mnie, poruszona. - Przepraszam. Ma napięte nerwy.

Xavier sprawiał wrażenie zażenowanego.

- Pechowo się złożyło - powiedział do mnie półgłosem. To była dobra łódź.

- Owszem. Mój ojciec ją zbudował. - Spojrzałam ponad mielizną ku miejscu, w którym Gros Jean wciąż prowadził poszukiwania. Musiał się oddalić prawie o kilometr od brzegu; jego drobna, uparta postać niemal zniknęła w lekkiej mgiele. - Od jak dawna szukają?

- Od jakichś dwóch godzin. Odkąd zaczął się odpływ. Xavier wzruszył ramionami, nie

patrząc mi w oczy. - Do tego czasu mogła się znaleźć nie wiadomo gdzie.

Guenole najwyraźniej czuli się odpowiedzialni. Zaginięcie ich „Eleanore” opóźniło poszukiwania, a krzyżujące się prądy z La Jetee dokonały reszty. Zdaniem Alaina, Sainte-Marine legła gdzieś na dnie zatoki i tylko cud mógł ją sprowadzić z powrotem.

- La Bouche, „Eleanore” i jeszcze to - usłyszałam głos Aristide’a, wciąż wpatrującego się we mnie z podejrzaną uciechą. - Powiedz no, mówiłaś już ojcu o Brismandzie? Czy może to kolejna niespodzianka?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

- O Brismandzie?

Stary wyszczerzył zęby.

- Ciekawiło mnie, ile czasu upłynie, zanim zaczniesz węszyć. Miejsce w „Les Immortelles” w zamian za ziemię? Czy to ci zaproponował?

Xavier zerknął na mnie, później na Mercedes i Charlotte. Obie słuchały uważnie. Mercedes przestała udawać, że czyta, i wlepiła we mnie oczy znad czasopisma, z lekko otwartymi ustami.

Spokojnie wytrzymałam wzrok starego, nie chcąc, by zmuszano mnie do kłamstwa.

- Jeśli mam do czynienia z Brismandem, jest to wyłącznie moja sprawa. Nie będę o tym rozmawiać.

Aristide wzruszył ramionami.

- Więć miałem słusność - orzekł z gorzką satysfakcją. Idziesz na rękę houssinianom.

- Tu nie chodzi o salanian i houssinian - zaprzeczyłam.

- Skąd, chodzi o to, co jest najlepsze dla Grosjeana. Tak mówią, no nie? Że to wszystko dla jego dobra?

Zawsze miałam porywczy charakter. Niełatwo było wprawić mnie w gniew, ale gdy już buchnął płomieniem, buzował mocno. Teraz czułam, jak we mnie wzbiera.

- A co ty o tym wiesz? - spytałam ostro. - Nikt nigdy nie wrócił, żeby się tobą zaopiekować, o ile mi wiadomo.

Aristide zeszywniał.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł.

Ja jednak nie mogłam się powstrzymać.

- Dogryzasz mi, odkąd przyjechałam - podjęłam. - Czego nie potrafisz pojąć, to tego, że

kocham mojego ojca. Ty nie kochasz nikogo!

Drgnął, jakbym go uderzyła, i w tym momencie zobaczyłam go takim, jaki naprawdę był: już nie złego trolla, tylko zmęczonego starego człowieka, zgorzkniałego i przestraszonego. Wezbrał we mnie nieoczekiwany smutek i współczucie dla niego - dla mnie samej. Wracałam do domu pełna dobrych chęci, pomyślałam bezradnie. Co je tak szybko zatrało?

Lecz Aristide nie stracił rezonu; popatrzył na mnie z wyzwaniem w oczach, choć wiedział, że wygrałam.

- Dlaczego miałabyś przyjeżdżać? - spytał półgłosem. Ty czy ktokolwiek inny, dlaczego, jeśli nie dlatego, że czegoś chcecie?

- Wstydź się, Aristide, ty stary pleciugo. - To była Toinette, która cicho zeszła ze ścieżki i stanęła za nami. Brzegi quichenotte niemal całkowicie zasłaniały jej twarz, ale widziałam oczy, błyszczące, bystre jak u ptaka. - W twoim wieku słuchasz głupich plotek? Powinieneś być mądrzejszy.

Aristide odwrócił się, zaskoczony. Toinette miała, wedle własnej rachuby, prawie sto lat; on, mając siedemdziesiąt, był w porównaniu z nią młokosem. Dostrzegłam w jego twarzy niechętny szacunek, zmieszany z lekkim zawstydzeniem.

- Toinette, Brismand był u nich w domu...

- A niby dlaczego nie? - Staruszka postąpiła o krok naprzód. - Dziewczyna jest jego powinowatą. Co, myślisz, że ją obchodzą twoje stare waśnie? Czy to nie one rozsadzają Les Salants od pięćdziesięciu lat?

- Mimo to mówię...

- Lepiej nic nie mów. - Oczy Toinette błysnęły niczym fajerwerki. - A jeśli się dowiem, że dalej rozpuszczasz te wredne plotki, ha...

Aristide spochmurniał.

- Mieszkamy na wyspie, Toinette. Wieści się rozchodzą. To nie będzie moja wina, jeśli dotrą do Grosjeana.

Toinette spojrzała w stronę mielizny, a potem na mnie. Na jej twarzy odbiła się troska i w tym momencie zrozumiałam, że jest za późno. Aristide zasiał swoje trujące ziarno. Zastanawiałam się, kto mu powiedział o wizycie Brismanda; w jaki sposób tak wiele odgadł.

- Nie martw się. Przemówię mu do rozumu. Posłucha mnie. - Toinette ujęła moją dłoń w obie swoje; były suche i brązowe jak drewno wyrzucone na brzeg. - Chodź - powiedziała

dziarsko, pociągając mnie za sobą. - Na nic się tu nie przydasz. Chodź ze mną do domu.

Dom był jednoizbową chatą na drugim końcu wioski. Był staromodny nawet według wyspiarskich norm: o kamiennych ścianach i niskim dachu, krytym omszałą dachówką i wspartym na poczerniałych od dymu krokwiach. Drzwi i okna miał maleńkie, niemal dziecięcych rozmiarów, a funkcję toalety pełniła rozchwierutana szopa z boku domu, za stertą drewna. Zbliżywszy się, ujrzałyśmy samotną kozę skubiącą trawę, która wyrastała z dachu.

- A więc wzięłaś i zrobiłaś to jednak, he? - przemówiła Toinette, popychając frontowe drzwi.

Musiałam pochylić głowę, żeby nie zawadzić o futrynę.

- Nic nie zrobiłam.

Toinette zdjęła quichenotte i posłała mi surowe spojrzenie.

- Nie próbuj ze mną tej gierki, dziewczyno - fuknęła. Wiem wszystko o Brismandzie i jego intrygach. Mnie namawiał na to samo, rozumiesz: miejsce w „Les Immortelles” w zamian za mój dom. Obiecał nawet dodać gratis usługi pogrzebowe. Usługi pogrzebowe! - Zaniósła się chichotem. - Powiedziałam mu, że zamierzam żyć wiecznie! Obróciła się do mnie, poważniejąc. - Znam go dobrze. Wycyganiłby pantalonek od zakonnicy, gdyby trafił mu się kupiec. I ma pewne plany w związku z Les Salants. Plany, w których nie widzi miejsca dla nikogo z nas.

Słyszałam to już wcześniej u Angela.

- Jeśli je ma, nie potrafię ich sobie wyobrazić - odparłam. - Był dla mnie miły, Toinette. Milszy niż większość salanian.

- Aristide. - Staruszka zmarszczyła brwi. - Nie osądzaj go zbyt surowo, Mado.

- Dlaczego?

Dźgnęła mnie patykowatym palcem.

- Twój ojciec nie jest tu jedyny, który ucierpiał - oznajmiła szorstko. - Aristide stracił dwóch synów, jednego na morzu, drugiego przez własny upór. Dlatego zgorzkniał.

Jego starszy syn, Olivier, utonął podczas połowu w 1972 roku. Młodszy, Philippe, spędził następne dziesięć lat w domu, który stał się pograżonym w ciszy mauzoleum Oliviera.

- Naturalnie zszedł na manowce. - Toinette pokręciła głową. - Związał się z dziewczyną z La Houssiniere. Możesz sobie wyobrazić, co o tym myślał Aristide.

Dziewczyna miała szesnaście lat. Kiedy zorientowała się, że jest w ciąży, Philippe wpadł

w panikę i obydwójce uciekli na kontynent, zostawiając Aristide'a i Desiree, by stawili czoło rozgniewanym rodzicom. Po tym wydarzeniu w domu Bastonnetów zabroniono wymawiać imienia Philippe'a. Wdowa po Olivierze zmarła kilka lat później na zapalenie opon mózgowych, a jej jedyny syn, Xavier, znalazł się pod opieką dziadków.

- Xavier to w tej chwili ich jedyna nadzieja - wyjaśniła Toinette, wtórując wcześniejszym słowom Ghislaina. Dostaje wszystko, czego zapagnie. Wszystko, dopóki tu mieszka.

Pomyślałam o bladej, pozbawionej wyrazu twarzy Xaviera, o jego niespokojnych oczach za szklami okularów. Ghislain stwierdził, że gdyby Xavier się ożenił, na pewno zostałby na wyspie. Toinette odgadła moje myśli.

- O tak, od dzieciństwa jest prawie zaręczony z Mercedes - potwierdziła. - Ale moja wnuczka to krnąbrna sztuka. Ma własne poglądy.

Przypomniałam sobie Mercedes, jej chmurną twarz i szczególną nutę w głosie Ghislaina, kiedy o niej mówił.

- Ona nigdy nie wyjdzie za biedaka - podjęła Toinette. - Z chwilą, gdy Guenole stracili swoją łódź, ich chłopak stracił u niej szansę.

Zastanowiłam się nad jej słowami.

- Chcesz powiedzieć, że to Bastonnetowie zniszczyli „Eleanore”?

- Nic nie chcę powiedzieć. Nie rozsiewam plotek. Ale cokolwiek się stało, ty przede wszystkim nie powinnaś się w to mieszać.

Ponownie pomyślałam o ojcu.

- On kochał tę łódź - oświadczyłam nieustępliwie.

Toinette spojrzała na mnie.

- Ha, może i tak. Ale to na „Eleanore” P'titjean wypłynął w ostatni rejs, to „Eleanore” znaleziono dryfującą tamtego dnia, gdy zaginął i przez cały ten czas, ilekroć twój ojciec na nią patrzył, widział zapewne swego brata, który go wzywa. Wierz mi, lepiej mu będzie bez niej. - Toinette uśmiechnęła się i ujęła moją rękę drobnymi palcami, suchymi i lekkimi jak opadłe liście.

- Nie martw się o ojca, Mado - dodała. - Wszystko będzie dobrze. Porozmawiam z nim.

12

Zjawiłam się w domu pół godziny później i odkryłam, że Grosjean był tu przede mną. Gdy tylko dostrzegłam uchylone drzwi, wiedziałam już, że coś jest nie w porządku. Z kuchni

napływała silna woń alkoholu, a kiedy weszłam, pod nogami zachręściły mi odłamki szkła z rozbitej butelki devinnoise.

Okazało się, że to tylko początek.

Wytłukł całą porcelanę i szkło, na jakie się natknął. Każda filiżanka, talerz i butelka zostały rozbite. Półmiski Jean de Bretagne należące do mojej matki; serwis do herbaty; ustawione rządkiem kieliszki do likieru w kredensie. Drzwi mojego pokoju były otwarte; pudła z ubraniami i książkami porzucane. Wazonik leżał rozdeptany obok łóżka, kwiatki wymieszane z rozkruszonym szkłem. W niesamowitej ciszy wciąż wibrowało echo jego wściekłości.

Nie było to dla mnie czymś zupełnie nowym. Napady szału mojego ojca, niezbyt częste, lecz przerażające, kończyły się zawsze okresami oderwania od rzeczywistości, trwającymi całe dni, a nawet tygodnie. Matka mówiła, że najbardziej ją męczyła właśnie te okresy ciszy, długie fazy pustki, kiedy wydawał się nieobecny, jeśli nie liczyć pewnych rytuałów - wizyt w La Bouche, pijatyk w barze Angela, samotnych spacerów nad morzem.

Usiadłam na łóżku, czując nagłą słabość w kolanach. Co spowodowało ten wybuch? Utrata Świętej? Utrata „Eleanore”? Coś jeszcze innego?

Zastanowiłam się nad tym, co Toinette powiedziała mi o P'titjeanie i „Eleanore”. Nic o tym nie wiedziałam. Usiłowałam wyobrazić sobie, co ojciec czuł, gdy dowiedział się o łodzi. Smutek po stracie najstarszego dzieła swych rąk? Ulgę, że P'titjean nareszcie spocznie w spokoju? Zaczęłam rozumieć, dlaczego nie pośpieszył na ratunek. Chciał, żeby zaginęła; a ja w swojej głupocie próbowałam ją ocalić.

Podniosłam książkę - jedną z tych, których nie wzięłam ze sobą do Paryża - i wygładziłam okładkę. Jak się zdawało, wyładował furię przede wszystkim na książkach; niektóre miały wyrwane strony, inne nosiły ślady podeszew. Tylko ja jedna z nas wszystkich lubiłam książki; matka i Adrienne wołały czasopisma i telewizję. Nie mogłam oprzeć się myśli, że ten akt wandalizmu był wymierzony bezpośrednio we mnie.

Dopiero po kilku minutach przyszło mi do głowy sprawdzić pokój Adrienne. Pozostał, oczywiście, nietknięty. GrosJean chyba nawet do niego nie zajrzał. Wsunęłam rękę do kieszeni, w której miałam zdjęcie urodzinowe. Wciąż tam było. Adrienne uśmiechnęła się do mnie nad pustym miejscem, które niegdyś zajmowałam; długie włosy przesłaniały jej twarz. Przypomniało mi się, jak to zawsze dostawała prezent na moje urodziny. Tamtego roku była nim sukienka widoczna na fotografii - biała, powiewna, z czerwonym haftem. Ja dostałam swoją pierwszą

wędkę. Podobała mi się, naturalnie, ale czasami się zastanawiałam, dlaczego mnie nikt nigdy nie kupił sukienki.

Długo leżałam na łóżku Adrienne z nozdrzami wypełnionymi wonią devinnoise i twarzą zakrytą spłowiałą różową kapą. Kiedy w końcu wstałam, zobaczyłam swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy. Błada, spuchnięte oczy, smętnie zwisające włosy. Przyjrzałam się dobrze. A później wyszłam z domu, stąpając ostrożnie wśród potłuczonego szkła. Cokolwiek dzieje się złego z Grosjeanem, powiedziałam sobie, cokolwiek dzieje się z Les Salants, nie ja miałam temu zaradzić. Dał mi to bardzo wyraźnie do zrozumienia. Tu kończył się zakres mojej odpowiedzialności.

Wyruszyłam do La Houssiniere z ulgą, do której sama przed sobą nie chciałam się przyznać. Próbowałam, powtarzałam w duchu. Naprawdę próbowałam. Gdybym tylko znalazła w kimś oparcie... ale milczenie ojca, nieskrywana wrogość Aristide'a, a nawet budząca wątpliwości życzliwość Toinette dowodziły, że jestem sama. Również Capucine, gdyby odkryła moje zamiary, stanęłaby najprawdopodobniej po stronie mego ojca. Zawsze darzyła Grosjeana sympatią. Nie, Brismand miał rację. Ktoś musiał wykazać się rozsądkiem. A salanianie, trzymający się kurczowo swego zabobonu i dawnych zwyczajów, mimo iż morze co roku kogoś zabierało, nie potrafili tego zrozumieć. Pozostawał jedynie Brismand. Skoro ja nie byłam w stanie przemówić Grosjeanowi do rozumu, może uda się to lekarzom Brismanda.

Pomaszerowałam w stronę Les Immortelles długą, okrężną drogą, mijając La Bouche, gdzie zaczynał wzbierać przyptyw, a z oddali dobiegał biały szum. Za La Bouche fale obmywały największy cypel wyspy z obu stron naraz. Pewnego dnia morze połknie przewężenie łączące dwie części Le Devin, na zawsze odcinając Les Salants od La Houssiniere. Dla salanian, pomyślałam, będzie to oznaczało koniec.

Pogrążona w zadumie,omal nie przeoczyłam Damiena Guenole, który siedział nieruchomo, oparty o skałę i palił papierosa. Miał na sobie skórzaną kurtkę zapiętą pod szyję i rybackie gumki. Obok leżała jego torba i wędka.

- Przepraszam - powiedział, gdy drgnęłam nerwowo. Nie chciałem cię przestraszyć.
- Nie szkodzi. Po prostu zaskoczyła mnie twoja obecność.
- Podoba mi się tutaj - wyjaśnił Damien. - Jest cicho. Nikt mnie nie zaczepia. - Jego oczy, gdy spoglądał na morze, miały podobnie jak ono zielonkawy odcień. - Lubię stąd obserwować

przyływ. Zbliża się jak maszerująca armia. - Zaciągnął się głęboko, osłaniając papierosa przed wiatrem stuloną dłonią. Nie patrzył na mnie, lecz poza mnie, na obrzeżone białą falbanką brzegi La Jete i szarą przestrzeń za nimi, ciągnącą się aż po kontynent. Wyraz jego twarzy był zagadkowy: dziecinny, a jednocześnie zaskakująco twardy. Jeszcze trochę i będzie po nas, no nie? - zauważył półgłosem. - Les Salants przepadnie. I bardzo dobrze. - Uniósł papierosa, ukazując na chwilę rozjaśnioną twarz. - Ci houssinianie wpadli na dobry pomysł - rzekł dobitnie. - Zalać to betonem i zacząć od nowa. Osobiście nie mogę się doczekać.

W połowie drogi do Les Immortelles spotkałam Flynna, nadchodzącego z przeciwnej strony. Nie spodziewałam się, że natrafię tu na kogoś - nadbrzeżna ścieżka była wąska i rzadko uczęszczana - on jednak nie okazał zdziwienia na mój widok. W jego zachowaniu zaszła pewna zmiana: pogodną bez troskę zastąpiła powściągliwa obojętność, oczy niemal straciły blask. Zadałam sobie pytanie, czy przyczyna tkwi w tym, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru z „Eleanore”, i poczułam obręcz ściskającą mi serce.

- A więc nikt nie znalazł Świętej? - Mój ożywiony głos nawet dla mnie brzmiał fałszywie.
- Idziesz do La Houssiniere.

Choć nie było to pytanie, wiedziałam, że Flynn oczekuje odpowiedzi.

- Spotkać się z Brismandem - dodał tym samym, beznamiętnym tonem.
- Zdaje się, że wszystkich bardzo interesują moje posunięcia - zauważyłam.
- Nie bez powodu.
- Co masz na myśli? - Usłyszałam we własnym głosie ostrą nutę.

- Nic. - Przesunął się lekko w bok, robiąc mi miejsce i najwyraźniej zamierzając ruszyć w swoją stronę; jego oczy powędrowały już gdzie indziej.

Nagle zatrzymanie go wydało mi się bardzo ważne. Przynajmniej on powinien zrozumieć mój punkt widzenia.

- Proszę... Jesteś jego przyjacielem - zaczęłam. Wiedziałam, że domyśla się, o kim mówię.

Przystanął na chwilę.

- Więc?
- Więc może zechcesz z nim porozmawiać. Jakoś go przekonać.
- Co? - spytał. - Przekonać go, żeby opuścił dom?

- Potrzebuje specjalistycznej opieki. Muszę mu to wytłumaczyć. Ktoś powinien przejąć odpowiedzialność. - Pomyślałam o domu, o potłuczonym szkle, podartych książkach. - Może sobie zrobić krzywdę - dokończyłam.

Flynn spojrział na mnie, a jego oczy miały tak srogi wyraz, że aż się spłoszyłam.

- Brzmi to rozsądnie - powiedział cicho. - Ale obydwoje wiemy lepiej, nieprawdaż? - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Chodzi o ciebie. Całe to gadanie o odpowiedzialności sprowadza się do jednego. Do tego, co tobie odpowiada.

Usiłowałam mu powiedzieć, że to nie tak. Ale słowa, które wydawały się zupełnie naturalne w ustach Brismanda, w moich brzmiały sztucznie i nieprzekonująco. Czułam, że Flynn odbiera je w ten sposób: uważa, że robię to dla siebie, dla własnego bezpieczeństwa, a nawet w ramach zemsty na Grosjeanie za wszystkie lata milczenia. To nie tak, próbowałam powiedzieć. Na pewno nie tak.

Flynn jednak nie okazał zainteresowania. Wzruszenie ramion, kiwnięcie głową - i oddalił się szybkim, cichym krokiem kłusownika, ja zaś spoglądałam za nim z narastającym gniewem i oszołomieniem. Kim on właściwie jest, do diabła? I jakim prawem mnie osądza?

Dotarwszy do Les Immortelles, zdałam sobie sprawę, że mój gniew, zamiast opaść, wzmógł się jeszcze. Nie czułam się na siłach rozmawiać z Brismandem - w obawie, że pierwsze życzliwe słowo mogłoby doprowadzić mnie do łez, które powstrzymywałam od dnia przyjazdu. Dlatego snułam się w okolicach mola, słuchając cichego pluskania fal i obserwując łódki spacerowe, żeglujące po zatoce. Pora była zbyt wczesna dla turystów; zaledwie kilka osób leżało na plaży poniżej promenady, gdzie świeżo pomalowane budki przycupnęły rzędem na białym piasku.

W pewnej chwili zauważyłam, że z drugiej strony drogi przygląda mi się jakiś młody mężczyzna, siedzący na krzykliwym japońskim motocyklu. Długie włosy, wpadające w oczy, papieros trzymany niedbale między palcami, obcisłe dzinsy, skórzana kurtka i ciężkie buty. Nie od razu go poznałam. Joel Lacroix, przystojny i rozpuszczony syn jedyne go na wyspie policjanta. Zostawił motocykl przy krawężniku i podszedł do mnie, przecinając drogę.

- Nie jesteś stąd, prawda? - zagadnął i zaciągnął się dymem.

Najwyraźniej nie pamiętał, kim jestem. Właściwie dlaczego miałby pamiętać? Ostatni raz odezwał się do niego, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły, a poza tym był o parę lat starszy.

Uśmiechnął się, taksując mnie pełnym uznania wzrokiem. - Jeśli chcesz, mógłbym ci pokazać okolicę - zaproponował. - Wszystko, co tu warte obejrzenia. Choć nie jest tego dużo.

- Dziękuję, może innym razem.

Joel pstryknął papierosem na drogę.

- Gdzie się zatrzymałaś, hę? W „Les Immortelles”? A może masz tu krewnych?

Z jakiegoś powodu - niewykluczone, że przez to jego badawcze spojrzenie - nie miałam ochoty ujawniać swojej tożsamości. Skinęłam głową.

- Mieszkam w Les Salants.

- No to pewnie lubisz prymitywne warunki. Tam, po zachodniej stronie, wśród kóz i słonych bagnisk? Połowa tamtejszych ma po sześć palców u każdej ręki, wiesz. Bli-isko spokrewnieni. - Przewrócił oczyma, a potem przyjrzał mi się uważniej, z błyskiem spóźnionego rozpoznania. - Przecież ja cię znam - powiedział po pauzie. - Nazywasz się Prasteau. Monique... Marie...

- Mado - poprawiłam.

- Słyszałem, że wróciłaś. Nie poznałem cię.

- To zrozumiałe. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Joel z zażenowaniem odrzucił włosy.

- A więc wróciłaś do Les Salants? Ludzie są dziwni. Moja obojętność ostudziła jego zainteresowanie. Zapalił następnego papierosa srebrną zapalniczką harley-davidson, niemal dorównującą rozmiarami paczce gitane'ow. Dla mnie nie ma jak miasto. Pewnego dnia po prostu wsiadę na motor i prysnę stąd. Dokądkolwiek, byle tu nie siedzieć. Nie będę przez resztę życia objął się po Le Devin. Schował zapalniczkę do kieszeni i niespiesznym krokiem ruszył w stronę czekającej hondy, zostawiając mnie obok plażowych budek.

Już wcześniej zdjęłam buty i teraz czułam, że piasek pod moimi stopami zrobił się ciepły. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę z jego grubości. W jednym miejscu nadal widać było ślady traktora. Przypomniało mi się, jak buksowały w nim koła przyczepy, kiedy z mozołem wypychaliśmy okaleczoną „Eleanore” na drogę; jak uległa pod naszym wspólnym naporem; i jeszcze zapach dzikiego czosnku na wydmach...

Przystanąłam. Ten zapach. Wtedy też o nim myślałam. W jakiś sposób kojarzyłam go z Flynnem, a także z czymś, co powiedział Matthias Guenole, któremu ręce trzęsły się z gniewu po jednej z uwag Jojo-le-Goelanda - z czymś, co dotyczyło plaży.

O, właśnie. „Mogła należeć do nas”.

Dlaczego? Fortuna kołem się toczy, powiedział. Ale dlaczego wspomniał o plaży? Ciągłe mi to umykało; i pachniało tymiankiem, dzikim czosnkiem, słonym powietrzem znad wydm. Nieważne, to nie miało znaczenia. Dotarłam aż nad wodę, przybierającą teraz, lecz bez pośpiechu, ściekającą po piasku łagodnymi strumyczkami, przesączającą się z zagłębień pod kamieniami. Na lewo, niedaleko mola, widziałam groblę świeżo wzmocnioną kamiennymi blokami, dzięki czemu powstał szeroki falochron, rozciągnięty na odległość stu metrów. Wspinała się na niego dwójka dzieci; w czystym powietrzu rozbrzmiewały ich pokrzykiwania, przypominające do złudzenia głosy mew. Próbowałam sobie wyobrazić, czym byłaby taka plaża dla Les Salants, ilu przyciągnęłaby turystów, jak to miejsce mogłoby tętnić życiem. Dzięki tej plaży dobrze warn się wiedzie, powiedział Matthias. Cwany Brismand zasłużył na swój przydomek.

Kamienie tworzące falochron były jeszcze gładkie, nie osiadły na nich wodorosty ani pąkle. Od mojej strony wznosiły się na wysokość mniej więcej dwóch metrów; druga strona była znacznie niższa. Spiętrzył się tam piasek, naniesiony przez prąd. Słyszałam rozbawione dzieci, które rzucały w siebie garściami wodorostów, piszcząc z podniecenia. Obejrzałam się na plażowe budki. Jedyna ocalała budka w La Goulue ulokowana była wysoko nad ziemią; pamiętałam jej długie owadzie nogi, wczepione w skałę. Budki w Les Immortelles tuliły się do ziemi, tak iż z trudem dałoby się pod nie wpełznąć.

Przybyło tu trochę piasku, pomyślałam.

I nagle do mnie dotarło; zapach dzikiego czosnku stał się mocniejszy i usłyszałam Flyna mówiącego mi, że Toinette pamięta „przystań, plażę i tak dalej” w La Goulue. Patrzyłam wtedy na budkę i zastanawiałam się, gdzie się podział cały piasek.

Dzieci wciąż ciskały wodorostami. Po drugiej stronie falochronu nazbierało się ich sporo; wprawdzie nie aż tyle, ile niegdyś w La Goulue, ale w Les Immortelles ktoś zapewne codziennie je usuwał. Podeszłam bliżej i dostrzegłam wśród brązu i zieleni ciemnoczerwone łatki - ten kolor coś mi przypominał. Odsunęłam nogą warstwę przesłaniających go wodorostów.

I wtedy rozpoznałam, co to takiego. Przyływ obszedł się z nią brutalnie, jedwab był poszarpany, haft wystrzępiony, a całość oblepiona mokrym piaskiem. Ale nie mogłam jej pomylić z niczym innym. Odświętna szata Sainte-Marine, która przepadła podczas uroczystości i którą fale wyrzuciły nie u brzegów Łakomczuchy, jak się tego spodziewaliśmy, lecz tutaj, w Les

Immortelles, miejscu przynoszącym szczęście La Houssiniere. Przyniósł ją tu przyływ.

Przyływ.

Uświadomiłam sobie nagle, że dygoczę, choć nie z zimna. O wszystkie nasze nieszczęścia obwinialiśmy południowy wiatr, a tymczasem to przyływy uległy zmianie; przyływy, które niegdyś nagoniały ławice ryb do La Goulue, a teraz ograbiały ją ze wszystkiego; przyływy wdzierające się przesmykiem do wioski, choć dawniej chronił nas przed nimi Pointę Griznoz.

Długo stałam wpatrzona w strzępy jedwabiu, nie ośmielając się głębiej odetchnąć. Tak wiele skojarzeń; tak wiele obrazów. Pomyślałam o plażowych budkach, o piasku, o pierwotnym molo. Kiedy je zbudowano? Kiedy morze zabrało przystań i plażę w La Goulue? A teraz starą konstrukcję obudowano na nowo, tak niedawno, że nawet nie zdążyła porosnąć pąklami.

Jedno prowadzi do drugiego; drobne powiązania, drobne zmiany. Pływy i prądy wokół wyspy tak małej i piaszczystej jak Le Devin są bardzo zmienne, a skutek każdej takiej zmiany może okazać się niszczycielski. Przyływy wymywają piasek, powiedział mi Ghislain tamtego wieczoru, gdy ratowaliśmy „Eleanore”. Brismand chronił swoją inwestycję.

Brismand był dla mnie miły, martwił się podtopieniami. I wyraził zainteresowanie ziemią Grosjeana. Zaproponował Toinette kupno jej domu. Do kogo jeszcze się zwracał?

Przyływy i odpływy nie pytają o pozwolenie. To wyspiarski aksjomat. Morze nie jest jednak całkowicie nieokiełznaną siłą. Bywa przewidywalne, a nawet można nad nim w pewnym stopniu zapanować. Salanian jednak zupełnie nie interesują przyczyny i skutki związane z bezpośrednim otoczeniem. Badanie przyływów i odpływów uważają za stratę czasu. Może dlatego tak długo nic nie zauważyli. Raz jeszcze spojrzałam na poszarpany łachman, który był niedawno fragmentem odświętnej szaty Sainte-Marine. Zbyt nikła poszlaka, by na jej podstawie wyciągać tak istotne wnioski. Ale gdy już raz odkryłam powiązania, nie zapomnę o nich. Czy umocnienia wzniesione przez Brismanda w jakiś sposób skierowały siłę przyływów na Les Salants? A jeśli tak, czy on o tym wiedział?

13

W pierwszej chwili pomyślałam, że muszę natychmiast porozmawiać z Brismandem. Po zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że lepiej nie. Oczyma duszy widziałam jego zdumioną twarz, błysk rozbawienia; słyszałam tubalny śmiech, kwitujący moje podejrzliwe uwagi. Był dla mnie miły, okazał mi niemal ojcowską życzliwość. Nienawidziłam samej siebie

za to, że go podejrzywam.

Ale nie mogłam wyzbyć się przeświadczenia, że prace przeprowadzone w La Houssiniere spowodowały szkody w Les Salants. To było proste równanie; i działało w widoczny sposób.

Capucine i Toinette nie zdradzały najmniejszego zainteresowania moim odkryciem. W nocy woda wdarła się jeszcze dalej, a u Angela zapanowała niewesoła atmosfera, gdy salanie topili swe nowe smutki w ponurym milczeniu.

- Gdybyś odnalazła samą Świętą... - Toinette odsłoniła w uśmiechu pieńki zębów. - To ona przynosi szczęście Les Salants, a nie jakaś plaża sprzed trzydziestu lat. Chyba nie chcesz powiedzieć, że Sainte-Marine dopłynęła aż do Les Immortelles? To faktycznie byłby cud.

Zaginiona Święta nie pojawiła się, rzecz jasna, na Pointę ani w La Goulue. Pewnie utonęła, orzekła Toinette, przykryło ją błoto koło La Griznoz i za dwadzieścia lat odkopie ją jakiś dzieciak szukający małży - o ile ktokolwiek ją odkopie.

Wszyscy we wsi czuli, że Święta opuściła Les Salants. Ci bardziej przesądni mówili o czarnym roku; nawet młodzież odczuwała przygnębienie.

- Uroczystość Sainte-Marine była jedynym naszym wspólnym przedsięwzięciem - wyjaśniła Capucine, wlewając sobie do kawy szczodłą miarkę devinnoise. - Tylko wtedy próbowaliśmy nawiązać kontakt. Teraz wszystko się rozlatuje. I nic na to nie poradzimy.

Ruchem ręki wskazała okno, lecz nie musiałam przez nie wyglądać, by zrozumieć, o co chodzi. Ani w pogodzie, ani w połowach nie nastąpiła poprawa. Sierpniowe przypiływy dobiegały końca, ale we wrześniu mogło być gorzej, a październikowa równonoc oznaczała sztormy znad Atlantyku, które dotrą do wyspy. Rue de l'Océan zmieniła się w kipiące błoto. Kilka płaskodennych plats, podobnie jak „Eleanore”, zmyło morze, mimo iż wyciągnięto je wysoko ponad linię pływu. Co gorsza, zniknęły gdzieś ławice makreli i rybołówstwo utknęło w martwym punkcie. Na dodatek rybacy z La Houssiniere przeżywali okres niezwykłego dobrobytu.

- To cholerna klątwa - oświadczył Aristide znad pobliskiego stolika. - Ci przekłeci houssinianie, ha. Zagarnęli wszystko. Zatokę, miasteczko, teraz nawet ryby. Niedługo zostaną nam tylko skały, żebyśmy mieli się czego trzymać. Ustawił wygodniej drewnianą nogę i pociągnął głęboki łyk devinnoise.

- W La Houssiniere nie dzieje się nic złego - odezwał się Omer zza stolika. - Mercedes, moja córka, mówi, że pakują ryby wagonami. Niektórzy to mają szczęście.

- Szczęście? - Matthias Guenole popijał posepnie i samotnie pod ścianą baru. - Szczęście

nie ma z tym nic wspólnego. Oni mają pieniądze; twardą gotówkę i solidne zabezpieczenie. Nam też by się to przydało.

- Znowu to samo - prychnął wzgardliwie Aristide. - Pleciesz jak stara baba. - Obrzucił mnie ponurym spojrzeniem; nigdy nie krył przekonania, że Angelo nie powinien wpuszczać do baru kobiet. - Kto potrzebuje szczęścia? Jeśli szukacie gotówki, zawsze możecie dostać pożyczkę od przyjaciół z La Houssiniere.

Była to zadawniona kość niezgody, odkąd jeden fałszywie oskarżył drugiego o kunszacty z wrogiem.

Matthias wstał. Jego długie wąsy drżały.

- Myślisz, że wzięłbym pieniądze od Brismanda, he? Myślisz, że bym mu sprzedał dom?

- To ty zacząłeś mówić o zabezpieczeniach, nie ja!

Dwaj starcy, stojący teraz naprzeciw siebie, mierzyli się spojrzeniami niczym stający do współzawodnictwa prorocy. Omer, który przysłuchiwał się wymianie zdań, wkroczył między nich.

- Przestańcie obydwaj. - Jego dobroduszna twarz była nienaturalnie ściągnięta. - Nie tylko wy macie problemy.

Aristide speszył się nieco; pomimo worków z piaskiem dom Prossage'ow bardzo ucierpiał wskutek podtopienia.

- No właśnie - wtrąciła Toinette. - Wy dwaj ani na chwilę nie zapominacie o waszych zatargach, choćby całe Les Salants miało utonąć.

Aristide usiadł, siląc się na obojętność.

- Powiedz to Guenole - doradził oschle. - To on mówił o sprzedaży domu, nie ja.

Powinłam była mieć więcej oleju w głowie i nie wtrącać się w ich rozmowę. Ale nie mogłam się powstrzymać. Pragnęłam zawiadomić wszystkich o odkryciu, jakiego dokonałam w Les Immortelles. To przesłanie nadziei, myślałam; wyraźny dowód, że sami możemy stworzyć własne szczęście.

- Nie rozumiem, dlaczego ochrona Les Salants miałaby zaraz oznaczać wyprzedaż własności - zaczęłam najłagodniej, jak potrafiłam.

Aristide rzucił mi pogardliwe spojrzenie.

- Ruszyła do boju - oznajmił głośno, stukając laską w nogę stołu. - Ple, ple, ple. Spodziewałem się tego lada chwila!

Przysięgam sobie, że nie uda mu się mnie rozzłościć.

- Można by pomyśleć, że nic cię nie obchodzi, co się tu dzieje - ciągnęłam - byle tylko houssinianie trzymali się z daleka.

- Ha. - Stary odwrócił głowę. - A ciebie co to obchodzi? Ty sobie poradzisz, Brismand się tobą zaopiekuje.

Wzmianka o Brismandzie sprawiła, że poczułam się nieswojo. Byłam przekonana, że nie wie, jak oddziałują na Les Salants zabezpieczenia Les Immortelles, a mimo to nie miałam ochoty mówić o tym wzajemnym wpływie Aristide'owi, który od razu dopatrzyłby się najgorszego.

- Robisz z Brismanda jakiegoś demona - podjęłam. Może już czas na właściwą ocenę sytuacji. Zamiast z nim walczyć, można przyjąć jego pomoc.

- On nie może nam pomóc - odparł Aristide, nie odwracając głowy. - Nikt nie może.

- Nie rozumiem cię! - wykrzyknęłam. - Co się stało z Les Salants? Jeden wielki chaos, droga na pół zatopiona, morze porywa łodzie, domy się rozpadają. Czemu nikt z tym nic nie robi? Czemu wy wszyscy tylko siedzicie i patrzycie?

- A co mamy zrobić, he? - rzucił Aristide przez ramię. Odwrócić przypiływ, jak król Kanut?

- Zawsze coś można zrobić - fuknęłam. - Zabezpieczyć się, jak w La Houssiniere. Choćby obłożyć drogę workami z piaskiem.

- To na nic - prychnął stary, niecierpliwie przekładając drewnianą nogę. - Nie da się zapanować nad morzem. Równie dobrze mogłabyś pluć pod wiatr.

Wiatr przyjemnie chłodził moją twarz, gdy przecinałam, zniechęcona, Rue de l'Ocean. Jaki sens miały próby przyjścia im z pomocą? Jaki sens miało cokolwiek, skoro Les Salants nie chciało się zmienić? To ten typowy dla salanian uparty stoicyzm, cecha, której nie zrodziła pewność siebie, lecz fatalizm, a nawet przesady. Co on powiedział? „Równie dobrze mogłabyś pluć pod wiatr”. Podniosłam kamień i cisnęłam nim pod wiatr najdalej, jak potrafiłam; wpadł w kępę oyat i zniknął. Pomyślałam o matce; o tym, jak całe jej ciepło i dobre chęci uległy erozji, ona sama zaś stała się oschłą, napięta i przepełniona gorzkimi myślami. Kiedyś też kochała wyspę. Przez pewien czas.

Ale ja odziedziczyłam uparty charakter ojca. Często o tym wspominała, gdy wspólnie spędzałyśmy wieczory w naszym małym paryskim mieszkaniu. Mówiła, że Adrienne jest bardziej podobna do niej - czuła i życzliwa. Ja zaś byłam trudnym dzieckiem, chmurnym,

zamkniętym w sobie. Gdyby tylko Adrienne nie musiała przeprowadzić się do Tangeru...

Nie reagowałam na te utyskiwania. Nie było sensu nawet próbować. Dawno już przestałam zwracać jej uwagę na rzeczy oczywiste - że Adrienne rzadko pisze i dzwoni, że ani razu nie zaprosiła matki do siebie. Adrienne nie musiała się nigdzie przeprowadzać; jak się wydaje, obydwójce z Marinem pragnęli tylko uciec jak najdalej od Le Devin. Dla matki jednak milczenie Adrienne dowodziło po prostu jej przywiązania do założonej rodziny. Nieliczne listy, które nadeszły, były pieczołowicie przechowywane; polaroidowe zdjęcie dzieci zajęło honorowe miejsce nad kominkiem. Nowe życie Adrienne w Tangerze - nieprawdopodobnie uromantycznione i przeobrażone w baśń o bazarach i świątyniach Maghrebu - stało się nirwaną, do której obie powinnyśmy dążyć i która nas w końcu wezwie.

Odpędziłam przykre myśli. Chwilowo zachowałam moje odkrycie w tajemnicy - jedynym dowodem rzeczowym był wystrzępiony kawałek jedwabiu. Potrzebowałam mocniejszych dowodów, zarówno dla siebie, jak i dla innych - dowodów, z którymi mogłabym stanąć przed Claude Brismandem i, być może, zapewnić sobie jego pomoc. To oczywiste, pomyślałam, że jeśli zdołam mu pokazać, do czego niechcący doprowadził, wykażę, na czym polega jego odpowiedzialność, będzie musiał podjąć jakieś działania.

Najpierw poszłam do domu. Nadal panował w nim ten sam zatrważający bałagan i na chwilę niemal opuściła mnie odwaga. Brismand powiedział, że zawsze znajdzie się dla mnie miejsce w „Les Immortelles”. Wystarczy tylko poprosić. Wyobraziłam sobie czyste łóżko, białą pościel, gorącą wodę. Pomyślałam o ciasnym paryskim mieszkaniu, o parkiecie i krzepiącym zapachu farby i politory. A także o kafejce po drugiej stronie ulicy, o moules-frites w piątkowy wieczór i ewentualnym późniejszym kinie. Co ja tutaj robię? Zadałam sobie pytanie. Po co się z tym wszystkim użeram?

Podniosłam jedną z moich książek, wygładzając kartki. Bogato ilustrowana opowiadka o królewnie przemienionej za przyczyną złych czarów w ptaka i o myśliwym, który... W dzieciństwie miałam bujną wyobraźnię, życie wewnętrzne wynagradzało mi wyspiarską stagnację. Założyłam, że mój ojciec czuje to samo. Teraz nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, co - jeśli cokolwiek - kryje się za jego milczeniem.

Zebrałam z podłogi jeszcze kilka książek, wzdrygając się na ich widok - rozrzucone bezładnie, walały się na potłuczonym szkłe, grzbietami do góry. Ubrania nie były aż tak ważne -

przywiozłam ich niewiele i zamierzałam zrobić zakupy w La Houssiniere - ale pozbierałam je i wrzuciłam do pralki. Nieliczne papiery, przybory do rysunku, które posiadałam od dzieciństwa - popękane akwarele, pędzel włożyłam z powrotem do tekturowego pudła przy łóżku. I wówczas zauważyłam coś w nogach łóżka - coś błyszczącego i prawie wdeptanego w dywanik, leżący na kamiennej posadzce. Jaśniejsze niż szkło, połyskiwało łagodnie w zabłąkanej plamce słonecznego blasku, sączącego się przez szpary w okiennicach. Podniosłam to coś.

Był to medalion mojego ojca, ten sam, który wcześniej zauważyłam, teraz nieco wyszczerbiony, z łańcuszkiem rozerwanym obok zapięcia. Pewnie go zgubił w ataku szału, pomyślałam; może kiedy szarpnął za kołnierzyk koszuli, żeby go rozluźnić. Wtedy zerwał łańcuszek i nie zwrócił uwagi na medalion, który wysliznął mu się spod ubrania. Przyjrzałam się bliżej. Medalion był posrebrzany, mniej więcej rozmiarów pięciofrankówki, a z boku miał malutki zatrzask. Bardziej pasowałby do kobiety. Z jakichś powodów przypomniła mi się Capucine. Pamiątka.

Otworzyłam go z absurdalnym poczuciem winy, zupełnie jakbym podpatrywała ojca, by wykryć jego tajemnice i coś wypadło mi na dłoń: loczek puszystych włosów. Miał brązowy odcień, taki, jaki niegdyś miały włosy Grosjeana, i w pierwszej chwili pomyślałam, że mógł należeć do jego brata. Grosjean nie miał romantycznej natury; o ile mi wiadomo, nigdy nie pamiętał o urodzinach matki ani o rocznicy ślubu i sama myśl, że nosił na szyi kosmyk włosów swojej żony, skłoniła mnie do zażenowanego uśmiechu. Odchyliłam wieczko i wtedy zobaczyłam fotografię.

Był to fragment wycięty z większej całości; młoda twarz w złoczonej ramie, z ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu, z krótkimi, najeżonymi włosami i dużymi, okrągłymi oczyma... Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, jak gdybym potrafiła przekształcić spojrzeniem własną podobiznę w wizerunek kogoś godniejszego. Ale to oczywiście byłam ja, moja postać z urodzinowego zdjęcia: w jednej ręce trzymałam nóż do krojenia tortu, drugą wyciągałam w stronę ojca. Wydobyłam z kieszeni pierwotną fotografię, nieco sfatygowaną od ciągłego dotykania. Twarz mojej siostry wydała mi się teraz nadąsana, zazdrosna, głowa odwrócona z urazą, jak u dziecka, które zawsze musi znajdować się w centrum uwagi...

Poczułam, że policzki płoną mi z emocji, a serce tłucze się dziko w piersi. To mnie wybrał mimo wszystko, to moje zdjęcie nosił na szyi razem z kosmykiem dziecięcych włosów. Nie matki. Nie Adrienne. Moje. Myślałam, że o mnie zapomniał, a tymczasem właśnie mnie

upamiętnił w ten sposób, nosząc przy sobie w tajemnicy niczym talizman. Jakie to miało znaczenie, że nie odpowiadał na moje listy? I że się do mnie nie odzywał?

Wyprostowałam się, zapominając o rozterkach i mocno ściskając medalion w dłoni. Teraz już dokładnie wiedziałam, co mam robić.

Zaczekałam, aż zapadnie zmrok. Przyptyw zbliżył się do najwyższego poziomu - dobra pora na to, co zamyslałam. W gumowcach i vareuse ruszyłam w stronę smaganych wiatrem wydm. Za La Goulue widziałam przyćmione światła kontynentu i latarnię wysyłającą co kilka sekund czerwony sygnał ostrzegawczy; poza tym morze jaśniało typowym dla Jadeitowego Wybrzeża zielonkawym blaskiem, rozbłyskując od czasu do czasu zimniejszą poświatą, gdy rąbek księżycy wyłaniał się zza chmur.

Na dachu blokhauzu dostrzegłam Flynnę spoglądającego w stronę zatoki; jego sylwetka rysowała się na tle nieba. Obserwowałam go przez chwilę, usiłując odgadnąć, co robi, lecz było za daleko. Pośpiesznie skierowałam się ku La Goulue, gdzie wkrótce miał nastąpić odpływ.

W torbie przerzuconej przez ramię niosłam pomarańczowe plastikowe pływaki, którymi rybacy z wysp oznaczają sieci do połowu makreli. Jako dziecko nauczyłam się pływać, posługując się pasem ratunkowym zrobionym z takich pływaków, a ponadto często używaliśmy ich do znakowania więcierzy na homary i koszy na kraby u wybrzeży La Goulue, zbierając je po skałach w czasie odpływu i wiążąc razem niczym gigantyczne paciorki. Wówczas była to zabawa, acz niepozbawiona powagi; każdy rybak płacił franka za odzyskany pływak, co stanowiło często nasze jedyne kieszonkowe. Ta zabawa z pływakami miała mi się dzisiaj przydać.

Stanąwszy na skałach poniżej urwiska, wyrzuciłam pływaki do morza, wszystkie trzydzieści sztuk, uważając, by trafić poza linię fal powierzchniowych, w otwarty prąd. Kiedyś, nie tak dawno temu, najbliższy przyptyw wyrzuciłby z powrotem co najmniej połowę. Teraz... ale na tym polegał eksperyment.

Przez kilka minut obserwowałam morze. Mimo podmuchów wiatru było ciepło, ostatnie tchnienie lata, a gdy rozproszyły się chmury nad moją głową, zobaczyłam na niebie szeroki pas Drogi Mlecznej. Czując, jak spływa na mnie wielki spokój, czekałam pod bezkresnym, dziko rozgwieżdżonym niebem na przesilenie pływu.

Światło w kuchennym oknie powiedziało mi, że Grosjean wrócił. Widziałam jego przygarbioną postać z papierosem w ustach, rysującą się niczym monolit w żółtym poblasku. Przeszył mnie dreszcz niepokoju. Czy się odezwie? Czy wpadnie w furię?

Nie obejrzał się, kiedy weszłam. Nie oczekiwałam tego zresztą. Trwał nieruchomo wśród rumowiska będącego jego własnym dziełem; w jednej ręce trzymał filiżankę kawy, poźótkle palce otulały gitane'a.

- Zgubiłeś medalion - powiedziałam, kładąc go na stole.

Wydało mi się, że dostrzegam drobną zmianę w układzie jego ciała, ale nie spojrzał na mnie. Obojętny i ciężki jak posąg Sainte-Marine, wydawał się nieporuszony.

- Jutro zacznę tu robić porządki - podjęłam. - Trzeba będzie w to włożyć trochę pracy, ale niedługo będziesz miał znowu przytulny dom.

Nadal nie odpowiadał. Zamiast gniewu poczułam nagłą i przemożną litość - obudziło ją to jego żalosne milczenie, te zmęczone oczy.

- Nie martw się - powiedziałam. - Wszystko będzie dobrze.

Podeszłam i objęłam go za szyję, wdychając dobrze znany zapach soli i potu, farby i pokostu. Siedzieliśmy tak razem około minuty, dopóki z jego papierosa nie pozostał niedopałek, który wypadł mu z ręki na kamienną podłogę, sypiąc wokół iskrami.

Nazajutrz rano wstałam wcześniej i ruszyłam na poszukiwanie moich rybackich pływaków. Nie natrafiłam na ich ślad ani w La Goulue, ani w przesmyku, bliżej Les Salants; nie spodziewałam się zresztą tego. Nadeszły chude czasy dla Łakomczuchy.

Przed szóstą znalazłam się w La Houssiniere; niebo było blade i bezchmurne, a w pobliżu dostrzegłam zaledwie kilka ludzkich postaci, głównie rybaków. Wydało mi się, że widzę Jojo-le-Goelanda grzebiącego na mieliźnie i dwie odległe sylwetki przy linii przyływu, z dużymi kwadratowymi sieciami, jakich houssinianie używają do połowu krewetek. Poza tym było pusto.

Pierwszy pomarańczowy pływak znalazłam pod mołem. Podniosłam go i ruszyłam dalej w stronę falochronu, przystając od czasu do czasu, by zajrzeć pod kamień lub kępę wodorostów. Zanim dotarłam do falochronu, zebrałam jeszcze tuzin pływaków i wypatrzyłam trzy inne, zaklinowane między skałami, poza moim zasięgiem.

Czyli razem szesnaście. Niezły połów.

- Czy to jakaś gra?

Odwróciłam się zbyt raptownie, upuszczając na mokry piasek torbę, z której wyleciała zawartość. Flynn obrzucił pływaki zaciekawionym spojrzeniem. Jego włosy załopotały na wietrze niczym chorągiewka sygnalizacyjna.

- No jak? To gra?

Przypomniała mi się jego wczorajsza oziębłość. Dzisiaj wydawał się odprężony, zadowolony z siebie, a z jego oczu zniknął agresywny wyraz.

Nie odpowiedziałam od razu. Zmusiłam się, żeby pozbierać pływaki, i bardzo wolno wkładałam je do torby. Szesnaście na trzydzieści. Niewiele więcej niż połowa. Ale wystarczało, by potwierdzić to, o czym i tak już wiedziałam.

- Nie wyobrażałem sobie ciebie jako plażowej poszukiwaczki skarbów - zauważył Flynn, wciąż mi się przyglądając. - Znalazłaś coś ciekawego?

Zastanowiłam się, jako co mnie sobie wyobrażał? Miejską dziewczynę na urlopie? Zawadę? Zagrożenie?

Usiadłam u stóp falochronu i opowiedziałam mu o swoim odkryciu, wspomagając się rysunkami na piasku. Dygotałam - poranny wiatr był zimny - ale umysł miałam jasny. Zdołałam dowód, tak łatwy do uzyskania, gdy raz się zaczęło szukać. Teraz Brismand będzie musiał zwrócić na to uwagę. Będzie musiał mnie wysłuchać.

Flynn przyjął moje słowa z irytującym brakiem zdziwienia. Zastanawiałam się, dlaczego opowiedziałam o wszystkim właśnie jemu - cudzoziemcowi, obcemu. Oczywiście, że go to nie obchodziło. Dla niego jedno miejsce nie różniło się od drugiego.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Czy cię w ogóle interesuje, co się tu dzieje?

Flynn patrzył na mnie dziwnie.

- Widzę, że zmieniasz front. Ostatnim razem, jak słyszałem, prawie się odcięłaś od wszystkich w Les Salants. Łącznie z twoim ojcem.

Poczułam, że płoną mi policzki.

- To nieprawda - zaprotestowałam. - Próbuję pomóc.

- Wiem. Ale tracisz tylko czas.

- Brismand mi pomoże - nie ustępowałam. - Będzie musiał.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Tak sądzisz?

- Jeśli nie zechce, sami coś wymyślimy. We wsi znajdzie się mnóstwo ludzi chętnych do pomocy. Teraz mam już dowód.

Flynn westchnął.

- Nie dasz rady tym ludziom niczego udowodnić - wyjaśnił cierpliwie. - Twoja logika do nich nie dociera. Prędzej przywarują w miejscu, będą się modlić i narzekać, dopóki woda nie przeleje im się nad głowami. Naprawdę wyobrażasz sobie, że ktokolwiek z nich odsunie swary na bok dla dobra społeczności? Myślisz, że cię posłuchają, jeśli będziesz ich do tego namawiała?

Przeszyłam go gniewnym spojrzeniem. Miał, oczywiście, rację. Tyle sama wiedziałam.

- Mogę przynajmniej spróbować - odparłam. - Ktoś musi.

Flynn wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiesz, jak cię nazywają we wsi? La Poule. Ciągłe o czymś gdaczesz.

La Poule. Przez chwilę stałam w milczeniu, zbyt wściekła, by wydobyć z siebie głos. Wściekła na siebie za to, że się tym przejmuję. Na niego - za beztrojski defetyzm. Na nich za ich głupią, bydlęcą obojętność.

- Spójrz na to od jaśniejszej strony - doradził złośliwie Flynn. - Przynajmniej masz już wyspiarski przydomek.

15

Nie powinnam była w ogóle z nim rozmawiać, pomyślałam sobie. Nie ufałam mu, nie lubiłam go; dlaczego właściwie oczekiwałam od niego zrozumienia? Maszerując pustą plażą w stronę dużego białego domu, noszącego tę samą, co ona, nazwę, czułam na przemian fale zimna i gorąca. Naiwnie poszukiwałam u niego aprobaty, ponieważ był nieznajomym, człowiekiem z kontynentu, który potrafił rozwiązywać problemy techniczne. Chciałam zrobić na nim wrażenie moimi własnymi wnioskami, dowieść mu, że nie jestem wtrącałką, za jaką mnie uważa. A on tylko mnie wyśmiał. Piasek osuwał się pod moimi butami, gdy wchodziłam po stopniach na promenadę; pod paznokciami też miałam piasek. Nie powinnam była zawracać sobie głowy Flynnem, powtórzyłam gniewnie. Powinnam była zaufać Brismandowi.

Zastałam go w holu „Les Immortelles”, przeglądającego jakieś rejestry. Wydawał się uszczęśliwiony, że mnie widzi, i poczułam tak wielką ulgę, że przez chwilę byłam niebezpiecznie bliska łez. Porwał mnie w ramiona; jego woda kolońska pachniała intensywnie, głos dudnił wesoło.

- Mado! Właśnie o tobie myślałem. Kupiłem ci prezent. - Torba z pływakami upadła mi na wyłożoną płytkami podłogę. Z trudem chwytałem oddech w jego niedźwiedzim uścisku. - Zaczekaj chwilę, zaraz przyniosę. Wydaje mi się, że rozmiar będzie dobry.

Zniknął w jednym z pomieszczeń na tyłach i zostałam sama w holu. Wrócił szybko, niosąc coś zawiniętego w bibułę.

- No, cherie, rozpakuj. Czerwień to kolor w sam raz dla ciebie. Wiem o tym.

Matka zawsze zakładała, że - w przeciwieństwie do niej i Adrienne - ładne rzeczy po prostu mnie nie interesują. Nasunęły jej to przekonanie moje lekceważące uwagi i pozorny brak dbałości o wygląd, w rzeczywistości jednak pogardzałam moją siostrą, jej kolekcją zdjęć porozwieszanych na ścianie, zestawami kosmetyków i rozchichotanymi przyjaciółkami, bo wiedziałam, że to nie dla mnie. Lepiej było udawać, że mnie te rzeczy nie interesują, nie chcę ich. Że nic mnie nie obchodzą.

Bibułka zaszeleściła cicho pod moimi palcami. Przez chwile nie mogłam wydobyć głosu.

- Nie podoba ci się - skonstatował Brismand z miną smutnego psa; nawet jego wąsy lekko opadły.

Z zaskoczenia nie potrafiłam znaleźć słów.

- Podoba - wykrztusiłam wreszcie. - Jest śliczna.

Odgadł mój rozmiar nad podziw trafnie. A sukienka była piękna: z jaskrawoczerwonego krepdeszynu, który połyskiwał w chłodnych promieniach porannego słońca. Wyobraziłam sobie, że noszę ją w Paryżu, a do niej sandaalki na wysokim obcasie, włosy rozpuszczone...

Brismand wydawał się wręcz komicznie zadowolony z siebie.

- Pomyślałem, że to cię trochę oderwie od trosk. Podniesie na duchu. - Jego oczy powędrowały w stronę torby u moich stóp. - Co to takiego, mała Mado? Szukałaś skarbów na plaży?

Pokręciłam głową.

- Sprawdziałam coś.

Opowiedzenie Flynnowi o wnioskach, do jakich doszłam, nie sprawiło mi trudności. Z Brismandem poszło gorzej, choć słuchał mnie z całą powagą, od czasu do czasu kiwając z zainteresowaniem głową, gdy przedstawiałam pokrótce moje odkrycie, wspomagając się zamaszystą gestykulacją.

- Tu masz Les Salants. Widać kierunek głównych prądów morskich z La Jete. Tędy

wieje najsilniejszy wiatr z zachodu. A tutaj, o, masz prąd zatokowy. Wiadomo, że La Jetee osłania wschodnią stronę wyspy, ale ta ławica piasku - postukałam palcem - kieruje prąd w tę stronę, on zaś omija Pointę Griznoz i dociera tutaj, do La Goulue.

Brismand zachęcająco skinął głową.

- Przynajmniej tak było kiedyś. Ale teraz coś się zmieniło. Zamiast się tu zatrzymać, prąd mija La Goulue i dociera tutaj.

- Do Les Immortelles, tak.

- Dlatego właśnie „Eleanore” ominęła zatokę i dotarła na drugą stronę wyspy. I dlatego makrele popłynęły dalej!

Znowu skinął głową.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęłam. - Skąd się biorą obecne zmiany? Co się zmieniło?

Wydawało się, że to go zastanawia. Jego spojrzenie pobiegło ku plaży, odbijając promienie słońca.

- Popatrz. - Wskazałam nowe umocnienia. Z naszego miejsca widzieliśmy je wyraźnie; zadarty nos grobli sterczał na wschód, a obie strony osłaniał falochron. - Teraz widzisz, jak to wygląda. Wydłużyłeś groblę, żeby ochraniała plażę. Falochron zapobiega wymywaniu piasku. A grobla osłania plażę i kieruje prąd leciutko w tę stronę, ściągając piach z La Jetee - z naszej części wyspy - prosto do Les Immortelles.

Brismand raz jeszcze przytaknął ruchem głowy. Pomyślałam, że nie do końca zrozumiał znaczenie moich słów.

- Nie widzisz, co się dzieje? - spytałam z naciskiem. Musimy coś zrobić. Trzeba to powstrzymać, zanim wyrządzi większe szkody.

- Powstrzymać? - uniósł brew.

- No tak. Les Salants... podtopienia...

Brismand współczującym gestem położył dłonie na moich ramionach.

- Mała Mado. Wiem, że próbujesz im pomóc, ale ja muszę chronić Les Immortelles. To dlatego kazałem obudować falochron. Nie mogę go teraz usunąć, bo niby jakieś prądy zmieniły kierunek. Z tego, co wiemy, i tak by go zmieniły. Wydał jedno ze swoich potężnych westchnień.

- Wyobraź sobie syjamskie bliźnięta - podjął. - Czasami należy je rozdzielić tak, by jedno mogło przeżyć. - Upewnił się rzutem oka, że rozumiem, co do mnie mówi. - A czasami trzeba dokonać trudnego wyboru.

Wpatrywałam się w niego zdętwiała. O co mu chodziło? Że należy poświęcić Les Salants, aby La Houssiniere mogło przetrwać? Że to, co się działo, było w jakiś sposób nieuniknione?

Przypomniały mi się wszystkie te lata, gdy utrzymywał z nami kontakt; obszerne listy, paczki z książkami, od czasu do czasu prezenty. Nie zamykał żadnych furtek, porozumiewał się z wszystkimi. Chronił swoją inwestycję.

- Wiedziałaś, prawda? - wycodziłam. - Od początku wiedziałaś, co się stanie. I nie pisnęłaś słowa.

Jego postawa - przygarbione ramiona, ręce wsunięte głęboko w kieszenie - wyrażała głębokie ubolewanie z powodu tak okrutnego zarzutu.

- Mała Mado. Jak możesz tak mówić? Pechowy zbieg okoliczności, bez wątpienia. Ale to się zdarza. Jeśli wolno mi wyrazić swą opinię, tym bardziej martwię się o twojego ojca i jestem głęboko przekonany, że byłoby mu znacznie lepiej w innym miejscu.

Zmierzyłam go spojrzeniem.

- Mówiłeś, że mój ojciec jest chory - oznajmiłam dobitnie. - Co mu dolega? - Dostrzegłam nieznaczne wahanie. Serce? - nie ustępowałam. - Wątroba? Płuca?

- Mado, nie wiem dokładnie i naprawdę...

- Czy to rak? A może marskość wątroby?

- Przecież ci powiedziałem, Mado, że nie wiem dokładnie. - Lekko zacisnął szczęki i nie był już tak jowialny, jak przedtem. - Ale jeśli tylko zechcesz, mogę wezwać mojego lekarza, a on ci przedstawi bezstronną, fachową diagnozę.

„Mojego lekarza”. Popatrzyłam na prezent od Brismanda, spoczywający w zwojach bibułki. Promienie słońca lizały ognisty jedwab. Ma rację, pomyślałam; czerwień to mój kolor. Mogłam zostawić wszystko w jego rękach. Wrócić do Paryża - nowy sezon w galerii dopiero się zaczynał - i popracować nad nową teką. Tym razem miejskie krajobrazy, może kilka portretów. Po dziesięciu latach powinienam chyba zmienić temat.

Wiedziałam jednak, że tego nie zrobię. Sytuacja uległa zmianie; zmieniła się wyspa, a wraz z nią coś we mnie. Nostalgia, którą odczuwałam przez wszystkie te lata, spędzone z dala od Les Salants, utkwiała we mnie głęboko, stała się brzemieniem. A mój powrót - złudzenia, sentyment, rozczarowanie, radość - tak naprawdę, mimo tego wszystkiego, jeszcze się nie dokonał. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że wróciłam do domu.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Uznał moje milczenie za zgodę. - Możesz zamieszkać w „Les Immortelles”, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Aż się wzdragam na myśl, że siedzisz tam sama z Grosjeanem. Dam ci najlepszy pokój. Na koszt firmy.

Choć byłam pewna, że nie jest ze mną szczerzy, doznałam absurdalnego uczucia wdzięczności. Strząsnęłam je z siebie.

- Nie, dziękuję - usłyszałam własny głos. - Zostanę w domu.

16

Następny tydzień przyniósł kolejną falę burzliwej pogody. Woda zalała słone płycizny za wioską, obracając wniwecz dwuletnie prace melioracyjne. Poszukiwania Świętej musiały zostać odłożone ze względu na wysokie przypiływy, aczkolwiek jedynie garstka optymistów wciąż żywiła nadzieję na jej odnalezienie. Straciliśmy drugą łódź rybacką - „Korrigane” Matthiasa Guenole, najstarsza pływająca jednostka na wyspie, ugrzęzła przy silnym wietrze na mieliźnie tuż za La Griznoz i Matthias z Alainem nie zdołali jej odzyskać. Nawet Aristide przyznał, że to duża strata.

- Miała chyba ze sto lat - ubolewała Capucine. - Pamiętam ją z czasów, kiedy jeszcze byłam dziewczyną. Piękne czerwone żagle. No tak, wtedy Aristide puszczał swoją „Peoch ha Labour” i płynęły razem, każda próbowała pierwsza złapać wiatr, żeby zdystansować tę drugą. To było, rzecz jasna, zanim zginął Olivier, a Aristide stracił nogę. Później „Peoch” popadła w ruinę na etier i w końcu pewnej zimy zabrał ją przypiływ. A on nawet palcem nie ruszył, żeby ją uratować. - Wzruszyła pulchnymi ramionami. - Nie rozpoznałabyś go wówczas, Mado. Był mężczyzną w kwiecie wieku. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią Oliviera. Teraz w ogóle o nim nie wspomina.

Był to głupi wypadek. Przeważnie tak bywa. Olivier i Aristide przeszukiwali roztrzaskany trawler na La Jetee podczas odpływu; kadłub niespodziewanie zmienił pozycję i uwięził Oliviera tuż pod linią wody. Aristide usiłował dotrzeć do niego, ale ześliznął się między „Peoch” a rozbity trawler i burty zmiażdżyły mu nogę. Wzywał pomocy, lecz nikt go nie usłyszał. Po trzech godzinach wyłowił go przepływający w pobliżu rybak, ale tymczasem odwróciła się fala i Olivier utonął.

- Aristide wszystko słyszał - powiedziała Capucine, dolewając sobie creme de cassis do kawy. - Mówił, że słyszał wołanie Oliviera o pomoc i jego płacz, gdy woda zaczęła przybierać.

Nigdy nie odnaleziono ciała. Przyptyw ściągnął wrak w odmęty Nid'Poule, zanim ktokolwiek zdążył go przeszukać, a poszedł na dno o wiele za szybko. Hilaire, miejscowy weterynarz, amputował Aristide'owi nogę (w Les Salants nie ma lekarza, a Aristide nie życzył sobie pomocy houssinianina), lecz stary twierdzi, że do dziś czuje swędzenie i bóle w nocy. Przypisuje to faktowi, że Olivier nie został należycie pochowany. Pochowano za to uciętą nogę - Aristide nalegał - w odległym krańcu La Bouche. Stoi tam drewniany palik, na którym ktoś napisał: Tu spoczywa noga starego Bastonneta, maszerująca ku chwale!!! Poniżej ktoś zasadził rośliny, które przypominają kwiaty, ale z bliska okazuje się, że to ziemniaki. Capucine podejrzewa, że zrobił to któryś z Guenole.

- Potem uciekł Philippe, jego drugi syn - ciągnęła. Aristide wytoczył sprawę sądową rodzinie Guenole, a Desiree, nie mając własnych dzieci, zajęła się Xavierem. Biedny stary Aristide już nigdy nie był taki jak dawniej. Nawet kiedy mu powiedziałam, że dla mnie to nie jego noga najbardziej się liczy. - W jej chichocie zabrzmiała nuta znużonej lubieżności. - Jeszcze jedną cafe-cassis?

Pokręciłam głową. Z wydm dobiegały pokrzykiwania Lolo i Damiena.

- Wtedy był z niego przystojny mężczyzna - snuła wspomnienia Capucine. - W tamtych czasach oni wszyscy byli przystojni, ci moi ulubieni chłopcy. Papierosa? - Zapaliła zrecznie i z pomrukiem rozkoszy zaciągnęła się dymem. Nie? Przydałoby ci się, wiesz. To uspokaja.

- Nie sądzę - uśmiechnęłam się.

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyła pulchnymi ramionami, opiętymi jedwabnym szlafrokiem.

- Nie wyzbędę się moich drobnych słabostek. - Ruchem głowy wskazała pudełko wiśni w czekoladzie, stojące przy oknie. - Podaj mi jedną, dobrze, kochanie?

Pudełko miało kształt serca i było jeszcze do połowy pełne.

- Wielbiciel - wyjaśniła, wrzucając czekoladkę do ust. - Nadal się podobam, mimo mojego wieku. Poczęstuj się.

- Dziękuję, ale tobie chyba smakuje bardziej niż mnie odparłam.

- Skarbie, wszystko smakuje mi bardziej niż tobie - zapewniła Capucine, przewracając oczyma.

Parsknęłam śmiechem.

- Widzę, że nie poddajesz się przygnębieniu.

- Puf. - Ponownie wzruszyła ramionami. - Zawsze mogę się przeprowadzić, gdybym

musiała. Po tylu latach byłoby z tym trochę roboty, ale dałabym sobie radę. - Pokręciła głową. - Nie, to nie ja powinnam się martwić. A jeśli chodzi o innych...

- Wiem. - Zdążyłam już jej opowiedzieć o przeobrażeniach w Les Immortelles.

- Ale to taka drobnostka - zaprotestowała. - Ciągłe nie rozumiem, jak kilka metrów falochronu mogło spowodować tak wielką zmianę.

- Och, niewiele potrzeba - poinformowałam ją. - Wystarczy skierować prąd trochę w bok. Prawie tego nie widać. A jednak wywołuje zmiany odczuwalne na całej wyspie. To coś takiego, jak padające klocki domina. Brismand o tym wie. Może nawet wszystko sobie wcześniej zaplanował.

Przytoczyłam jej użyte przez Brismanda porównanie z syjamskimi bliźniętami. Capucine kiwała głową, pokrzepiając się kolejnymi wiśniami w czekoladzie.

- Skarbie, jeśli chodzi o tych przeklętych houssinian, uwierzę we wszystko - oznajmiła swobodnie. - Hm. Spróbuj choć jedną. Mam ich jeszcze dużo.

Nieczcierpliwie pokręciłam głową.

- Ale po co mu podtopiona ziemia? - ciągnęła Capucine. - Miałby z niej nie więcej pożytku niż my.

Mimo przestróg Flynna przez cały ten długi tydzień próbowałam przekazać nowinę salanianom. Lokal Angela wydawał się najlepszym miejscem do tego celu i często tam zaglądałam, w nadziei że obudzę zainteresowanie rybaków. Ale karty, szachy, telewizja satelitarna, transmitująca mecze piłkarskie, zawsze miały pierwszeństwo i moje uporczywe nalegania napotykały niechętnie twarze, uprzejme skinienia głową i żartobliwe spojrzenia, które mroziły wszelkie dobre chęci i sprawiały, że czułam się głupio i wrzał we mnie gniew. Gdy wchodziłam, cichły rozmowy. Garbiły się plecy. Miny rzedły. Niemal słyszałam szepty, niczym na widok surowej nauczycielki: „Idzie La Poule. Szybko. Udawaj, że jesteś zajęty”.

Aristide niezmiennie okazywał mi wrogość. To on nadał mi przydomek La Poule; a moje wysiłki, by wytłumaczyć salanianom ruchy przyptywów, wzmagały jeszcze jego niechęć. Teraz ilekroć skrzyżowały się nasze drogi, witał mnie z ponurym sarkazmem.

- A oto i La Poule. Wpadłeś na kolejny zbawienny pomysł, hę? Zaprowadzisz nas do Ziemi Obiecanej? Zrobisz z wszystkich milionerów?

- Ha, to La Poule. Jakie plany na dzisiaj? Zamierzasz cofnąć przyptyw? Powstrzymać

deszcz? Wskrzесиć zmarłych?

Jednym ze źródeł jego goryczy, jak mnie poinformowała Capucine, było ewidentne fiasko jego wnuka w staraniach o Mercedes Prossage, pomimo złej passy rywala. Obezwładniająca nieśmiałość, jaką Xavier okazywał w obecności dziewczyny, stanowiła większą przeszkodę niż utrata środków utrzymania, która dotknęła Guenole, a zachowanie Aristide'a, obserwującego Mercedes przez cały czas i przybierającego marsową minę, ilekroć odezwała się do innego mężczyzny, bynajmniej nie poprawiało sytuacji. Skutek był taki, że Mercedes nieodmiennie trwała w swej wzdorliwej i napuszonej pozie, i choć często, gdy przyływały łodzie, widywałam ją nad etier, zdawała się nie zwracać uwagi na żadnego z wielbicieli; opłowywała paznokcie albo czytała jakieś czasopismo, przyodziana w któryś ze swych skąpych kostiumów.

Nie tylko Ghislain i Xavier podziwiali jej wdzięki. Zauważyłam z pewnym rozbawieniem, że również Damien spędza wyjątkowo długie godziny nad przesmykiem, paląc papierosy i podnosząc kołnierz kurtki dla osłony przed wiatrem. Opuszczony Lolo wałęsał się samotnie po wydmach. Mercedes, rzecz jasna, nie zwróciła najmniejszej uwagi na zauroczenie Damiena, a jeśli nawet, nie dała tego poznać po sobie. Obserwując dzieciaki wracające mikrobusem ze szkoły w La Houssiniere, zauważyłam, że Damien często siedzi sam i nie odzywa się nawet do kolegów. Kilkakrotnie dostrzegłam sińce na jego twarzy.

- Wydaje mi się, że młodzi houssinianie dają naszym dzieciom wycisk w szkole - zwróciłam się do Alaina wieczorem u Angela.

Alain jednak nie okazał współczucia. Od czasu zaginięcia „Korrigane” był skwaszony i małomówny, gotów się obrazić za najniewinniejszą uwagę.

- Chłopak musi się czegoś nauczyć - odparł krótko. Dzieciaki zawsze sobie dokuczają. Musi to jakoś znieść i tyle. My też to znosiliśmy.

Powiedziałam mu, że to dość surowe postępowanie w przypadku trzynastoletniego chłopca.

- Niedługo skończy czternaście - uściślił Alain. - Tak to już jest. Houssinianie i salanianie. Zupełnie jak kosz z krabami. Zawsze tak było. Ojciec musiał mi sprawić lanie, żebym poszedł do szkoły, bo aż tak się tego bałem. Ale jakoś przeżyłem, no nie?

- Może nie wystarczy tylko przeżyć - powiedziała. Może powinniśmy się bronić.

Alain uśmiechnął się znacząco i nieprzyjemnie. Za nim Aristide uniósł głowę i poruszył ramionami w trzepoczącym geście. Zignorowałam go, choć paliły mnie policzki.

- Wiecie dobrze, co wyrabiają houssinianie. Widzieliście zabezpieczenia w Les Immortelles. Gdyby postawić coś takiego w La Goulue, wtedy może...

- Ha! Znowu to samo! - prychnął Aristide. - Nawet Rouget uważa, że nie ma się co wysilać!

- Tak, znowu to samo! - Byłam zła i kilka osób podniosło głowy, słysząc mój głos. - Bylibyśmy bezpieczni, gdybyśmy zrobili to samo, co houssinianie. Jeszcze możemy się zabezpieczyć, teraz, zanim będzie za późno.

- Zabezpieczyć? Jak? I kto za to zapłaci?

- My wszyscy. Możemy się złożyć. Zmobilizować siły.

- Bzdura! To niemożliwe! - Stary wstał i przeszył mnie płonącym spojrzeniem nad ramienia Alaina.

- To sprawka Brismanda - oznajmiłam.

- Brismand, Brismand. - Podziabął ziemię swoją łaską. Brismand jest bogaty. I ma szczęście! - zaśmiał się chrapliwie. - Na wyspie każdy to wie!

- Brismand sam zasłużył na swoje szczęście - odparłam spokojnie. - A my możemy zrobić to samo. Wiesz o tym, Aristide. Ta plaża... mogła być nasza. Gdybyśmy tylko potrafili odwrócić to, co się stało...

Oczy Aristide'a na chwilę zetknęły się z moimi i wydało mi się, że coś przebiegło między nami; jakaś iskra, bliska zrozumienia. Wtedy się odwrócił.

- Fantazje - prychnął szorstko. - Jesteśmy salanianami. Po co nam, do jasnej cholery, jakaś plaża?

17

Zniechęcona i wściekła, skupiłam się na naprawie domu. Zadzwoiłam do gospodyni w Paryżu, żeby ją uprzedzić, iż pozostanę tu nieco dłużej. Przełałam trochę gotówki z mojego konta i spędziłam długi czas na czyszczeniu, odmalowywaniu i urządzaniu wnętrza. Grosjean złagodniał trochę, choć nadal rzadko się odzywał; przyglądał mi się w milczeniu, gdy pracowałam, pomagając od czasu do czasu z naczyniami albo przytrzymując drabinę, gdy wymieniałam dachówki. Tolerował radio; za rozmowami nie przepadał.

Musiałam się od nowa nauczyć rozumieć chwile jego milczenia, znaczenie jego gestów. Posiadałam tę umiejętność w dzieciństwie; przypominałam ją sobie niczym grę na niemal

zapomnianym instrumencie. Drobne gesty, niezauważalne dla obcych, lecz pełne znaczenia. Gardłowe dźwięki, wyrażające zadowolenie lub znużenie. Skąpe uśmiechy.

Uświadomiłam sobie, że to, co brałam za dąsy bądź urazę, było w rzeczywistości głęboką, cichą depresją. Zupełnie jakby mój ojciec wycofał się ze zwykłego biegu życia, opadając na dno niczym zatopiona łódź, poprzez coraz głębsze warstwy obojętności, a jego pijatyki u Angela pogarszały tylko sytuację.

- Prędzej czy później dojdzie do siebie - pocieszyła mnie Toinette, gdy wyraziłam owe dręczące obawy. - Czasami robi się taki na miesiąc, pół roku, niekiedy dłużej. Żałuję tylko, że nie wszyscy mają podobne symptomy.

Zastałam ją w ogrodzie; zbierała ślimaki ze sterty drewna. Z wszystkich salanian ona jedna lubiła niepogodę.

- To muszę przyznać deszczowi na plus - oznajmiła, schylając się tak nisko, że trzasnęło jej w krzyżach. - Wywabia ślimaki. - Sięgnęła z wysiłkiem za stertę drewna, stęknęła i wrzuciła mięczaka do garnka. - Ha! Dorwałam go jednak. - Pokazała mi swój plon. - Najlepsze jedzenie na świecie. Pełza dookoła i aż się prosi, żeby je zgarnąć. Trzeba trochę posolić, żeby pozbyć się śluzu. A potem wrzucić na patelnię z cebulką i czerwonym winem. Zapewnia życie wieczne. Coś ci powiem - dodała nieoczekiwanie, podsuwając mi garnek. - Zabierz kilka sztuk dla ojca. Wydobędziesz go ze skorupy, co ty na to? - Zaniósła się radosnym chichotem.

Niestety, nie było to takie łatwe. Przyczyna tkwiła niewątpliwie w La Bouche; Grosjean bywał tam codziennie, choć woda nadal podchodziła. Czasami siedział aż do zmroku, niemrawo okopując podmyte groby lub - przeważnie - stojąc u wylotu przesmyku i obserwując morze, jak wznosi się i opada. La Bouche to klucz, powtarzałam sobie. Jeśli istniała jakakolwiek droga do mojego ojca, wiodła właśnie tamtędy.

18

Po mokrym sierpniu nastał wietrzny wrzesień i choć wichury zwróciły się ku zachodowi, warunki w Les Salants nie uległy zmianie na lepsze. Aristide paskudnie się przeziębił podczas zbierania małży u wybrzeży la Goulue. Toinette Prossage również się rozchorowała, ale nie życzyła sobie, żeby Hilaire ją zbadał.

- Nie będzie mi ten konował mówił, co mam robić - wysapała z irytacją. - Niech lepiej dogląda koni i kóz. Jeszcze nie jest ze mną tak źle.

Omer udawał, że stroi sobie z tego żarty, lecz widziałam, że się martwi. Zapalenie oskrzeli w wieku lat dziewięćdziesięciu to poważna sprawa. A pogoda nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i mieli napięte nerwy.

La Bouche, w ogólnym mniemaniu, znalazło się na końcu listy naszych problemów.

- To zawsze było pechowe miejsce - zauważył Angelo, który pochodził z Fromentine i nie miał żadnych krewnych pochowanych w La Bouche. - Co możesz poradzić, hę?

Jedynie starsi ludzie naprawdę przejmowali się podtopieniem cmentarza; między innymi Desiree Bastonnet, żona Aristide'a, która odwiedzała grób syna ze wzruszającą akuracnością w każdą niedzielę po mszy. Mimo zrozumienia dla uczuć Desiree przeważał pogląd, że żywi mają pierwszeństwo przed zmarłymi.

Jednak to Desiree zapoczątkowała kolejną falę zmian. Od dnia przyjazdu wymieniałam z nią tylko ukłony, ona natomiast ledwo kiwała mi głową i umykała pośpiesznie choć miałam wrażenie, że nie tyle nie życzy sobie rozmowy ze mną, ile boi się urazić Aristide'a. Tym razem była sama, szła drogą od strony La Houssiniere, odziana jak zwykle w żałobną czerń. Uśmiechnęłam się do niej, gdy mnie mijała, ona zaś rzuciła mi zaskoczone spojrzenie, zerknęła ukradkiem na boki i odwzajemniła uśmiech. Jej drobna twarz kołysała się pod rondem czarnego kapelusza. W rękę ścisnęła bukiet żółtych kwiatów.

- Mimoza - wyjaśniła, zauważając moje spojrzenie. Ulubiony kwiat Oliviera. Zawsze dostawał je na urodziny... takie wesołe kwiatuszki, tak ślicznie pachnące. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Aristide mówi, że to nie ma sensu i drogo kosztuje poza sezonem. Ale pomyślałam sobie...

- Idzie pani do La Bouche.

Desiree skinęła głową.

- Miałby teraz pięćdziesiąt sześć lat.

Pięćdziesiąt sześć lat; może byłby ojcem. Dostrzegłam w jej oczach jakiś błysk i niewypowiedziany smutek; wizję wnuków, które mogły przyjść na świat.

- Chcę kupić tabliczkę - podjęła. - Do kościoła w La Houssiniere. „Ukochany syn. Zaginał na morzu”. Pere Alban mówi, że mogłabym składać pod nią kwiaty, kiedy tylko odwiedzę Les Immortelles. - Obdarzyła mnie słodkim, bolesnym uśmiechem. - Twojemu ojcu dopisało szczęście, Mado, cokolwiek mówi o tym Aristide. Ma szczęście, że wróciłeś do domu.

Była to najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek słyszałam z ust Desiree Bastonnet. Tak

mnie zdumiała, że nie zdołałam wykrztusić słowa; a gdy wreszcie ułożyłam odpowiedź, Desiree już odeszła ze swoim bukietem mimozy.

Natknęłam się na Xaviera przy etier; płukał puste wiewiórki na homary. Wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle, a okulary nadawały mu wygląd zabłąkanego naukowca.

- Twoja babcia chyba nie najlepiej się czuje - powiedziałam. - Przekaż jej, żeby mnie zawiadomiła następnym razem, gdy będzie się wybierała do La Houssiniere. Nie powinna przebywać takiej drogi pieszo, w jej wieku.

Xavier miał zakłopotaną minę.

- Pewnie się przeziębiła - bąknął. - Często przesiaduje w La Bouche. Myśli, że jeśli będzie się wystarczająco długo modliła, nastąpi cud. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że gdyby Święta chciała sprawić cud, już by to uczyniła.

Po drugiej stronie przesmyku dostrzegłam Ghislaina i jego brata przy wraku „Eleanore”. Jak było do przewidzenia, Mercedes siedziała w pobliżu, opiłowując paznokcie; miała na sobie jaskrawożółtą koszulkę z napisem TO TUTAJ. Xavier ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

- Zaproponowano mi pracę w La Houssiniere - podjął. Przy pakowaniu ryb. Dobrze płacą.

- O?

Kiwnął głową.

- Nie mogę tu utknąć na zawsze - powiedział. - Muszę szukać zarobku. Wszyscy wiedzą, że z Les Salants już koniec. Lepiej brać, co dają, zanim ktoś mnie uprzedzi.

Znad wody dobiegł śmiech Ghislaina, nieco zbyt głośny, po którejś z uwag Damiana. Z dziobu „Eleanore” zwiślał niedbale długi sznur z nawleczonymi barwenami.

- Kupuje te ryby od Jojo-le-Goelanda - zauważył cicho Xavier. - Udaje, że złowił je w La Goulue. Jakby ją w ogóle obchodziło, ile on nałowi ryb.

Jak gdyby świadoma, że o niej rozmawiamy, Mercedes wyjęła lusterko i poprawiła kredką usta.

- Żeby tylko dało się dziadkowi przemówić do rozumu mruknął Xavier. - Dom jest jeszcze coś wart. Łódź także. Żeby on nie był taki zawzięty na houssinian... - Speszył się, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

- To stary człowiek - wtrąciłam. - Nie lubi zmian.

Xavier pokręcił głową.

- Próbował osuszyć La Bouche - wyjaśnił, zniżając głos. - Myśli, że nikt nie wie.

Zdaniem Xaviera, dlatego właśnie zachorował; ziąb chwycił, kiedy kopał rowki koło tablicy pamiątkowej syna. Stary zdążył wykopać dziesięć metrów rowu, zanim upadł. Znalazł go Grosjean, który pobiegł po Xaviera.

- Stary dureń - podsumował nie bez czułości. - Naprawdę myślał, że to coś zmieni.

Zaskoczenie musiało się odbić na mojej twarzy, bo Xavier parsknął śmiechem.

- Nie jest takim twardzielem, jakiego udaje - powiedział. - I wie, co La Bouche znaczy dla Desiree.

To mnie zdziwiło. Zawsze uważałam Aristide'a za patriarchę, który nie zastanawia się nad uczuciami innych.

- Gdyby był sam - ciągnął Xavier - już dawno by się przeniósł do „Les Immortelles” lata temu, kiedy jeszcze mógł sprzedać dom za przyzwoitą sumę. Ale nie zrobiłby tego babci. Za nią też czuje się odpowiedzialny.

Rozmyślałam o tym, wracając do domu. Aristide - opiekuńczy małżonek? Aristide - sentymentalny? Zastanawiałam się, czy w moim ojcu również kryje się coś podobnego, czy za jego chmurną biernością płonął niegdyś ogień.

19

Przez kilka ostatnich dni Flynn był bardziej przystępny, jego zachowanie bliższe temu, co prezentował podczas naszego pierwszego spotkania w La Houssiniere, w towarzystwie dwóch sióstr. Może z powodu Grosjeana; po odrzuceniu propozycji Brismanda, by umieścić ojca w „Les Immortelles”, niechęć, z jaką się do mnie odnoszono w Les Salants, wyczuwalnie zelżała pomimo drwin Aristide'a. Przekonałam się, że Flynn naprawdę lubi mojego ojca i było mi trochę wstyd, że tak niesprawiedliwie go oceniłam. Za użytkowanie blokhauzu zapłacił ciężką pracą; nawet teraz wpadał co kilka dni, przynosząc złowioną (lub ukradzioną) rybę albo jakieś warzywa, a przy okazji dokonując przyobiecanych Grosjeanowi napraw. Zaczęłam się dziwić, jak mój ojciec dawał sobie radę bez Flynnna.

- O, całkiem dobrze - zapewnił mnie Flynn. - Jest twardszy, niż ci się wydaje, i bardzo uparty.

Zastałam Flynnna wieczorem w blokhauzie; pracował nad doprowadzeniem wody.

- Piasek pod skałami działa jak filtr - wyjaśnił. - Aktywność powierzchniowa podnosi poziom wody. Pozostaje mi tylko przepompować ją przez tę rurę.

Był to typowy dla niego przebłysk pomysłowości. W całej wiosce dały się zauważyć ślady jego działalności: stary wiatrak, przebudowany tak, że osuszał pola, agregat prądotwórczy w domu Grosjeana, kilkanaście uszkodzonych bądź popsutych urządzeń, które zostały naprawione, wyczyszczone, naoliwione, dostosowane, przerobione i uruchomione na nowo jedynie dzięki smykałce i kilku częściom zapasowym.

Opowiedziałam Flynnowi o mojej rozmowie z Xavierem i zapytałam, czy można by zbudować coś podobnego, co osuszyłoby La Bouche.

- Osuszyć można - odparł po namyśle - ale nie na dłu - go. Każdy przyptyw podtopi go na nowo.

Przemyślałam jego słowa. Miał rację: cmentarz La Bouche potrzebował czegoś więcej niż melioracji. Potrzebowaliśmy czegoś takiego, jak falochron w La Houssiniere, solidnej kamiennej bariery, chroniącej wylot La Bouche i powstrzymującej fale przyptywu przed wdzieraniem się do przesmyku. Podsunęłam to Flynnowi.

- Jeśli houssinianie potrafili zbudować groblę - powiedziałam - my też potrafimy. Możemy użyć kamieni z La Goulue. Przywrócilibyśmy bezpieczeństwo.

Flynn wzruszył ramionami.

- Być może. Zakładając, że zdobędziesz skądś pieniądze. Przekonasz ludzi, żeby ci pomogli. I wybierzesz właściwe miejsce. Wystarczy się pomylić o kilka metrów i cała robota na nic. Nie wystarczy ot, tak sobie, zwalić stu ton skały przy Pointę i liczyć, że to zadziała. Będzie ci potrzebny inżynier.

Nie dałam się zniechęcić.

- Ale można to przeprowadzić? - spytałam z naciskiem.

- Nie bardzo. - Przyjrzał się pompie i coś w niej poprawił. - Twój problem nie zniknie, tylko przeniesie się w inne miejsce. Procesu erozji także nie odwrócisz.

- Nie, ale może da się ocalić La Bouche.

Dostrzegłam na twarzy Flynnna rozbawienie.

- Stary cmentarz? W jakim celu?

Przypomniałam mu o Grosjeanie.

- Bardzo to wszystko przeżył - wyjaśniłam. - Święta, La Bouche, „Eleanore”... - No i mój przyjazd, rzecz jasna, dodałam w duchu. Oraz związane z nim zamieszanie. - Uważa, że to moja wina - dokończyłam po chwili.

- Wcale nie.

- Przeze mnie upuścił Świętą. A teraz jeszcze La Bouche...

- Na miłość boską, Mado. Czy ty zawsze musisz brać na siebie odpowiedzialność? Nigdy nie zostawisz w spokoju biegu wydarzeń? - Głos Flynnna brzmiał oschle. - On cię nie obwinia, Mado. Obwinia siebie.

20

Zawiedziona, że nie udało mi się przekonać Flynnna, poszłam prosto do La Bouche. Trwał odpływ i poziom wody był niski, lecz mimo to wiele grobów znajdowało się pod wodą, a ścieżkę wypełniały głębokie kałuże. Im bliżej przesmyku, tym poważniej wyglądały szkody: przez wyrwę w umocnionym brzegu przeciekał morski szlam.

Tu właśnie, jak zauważyłam, pojawił się słaby punkt na odcinku nie dłuższym niż piętnaście metrów. Tędy przelewała się fala przyptywu, ilekroć napierał na przesmyk, podobnie jak w Les Salants, zanim osiadła na słonej mieliźnie. Gdyby tylko dało się trochę podnieść wały, woda miałaby czas się cofnąć.

Ktoś już podjął próbę, piętząc worki z piaskiem nad krawędzią przesmyku. Prawdopodobnie mój ojciec albo Aristide. Było jednak oczywiste, że same worki nie wystarczą; aby naprawdę chroniły, należałoby zgromadzić ich setki. Ponownie rozważyłam kamienną barierę; nie w La Goulue, lecz tutaj. Prowizoryczny środek, być może, ale przyciągający uwagę, uświadamiający salanianom możliwości...

Pomyślałam o traktorze z przyczepą, stojącym na podwórzu przy warsztacie. Był tam również podnośnik, gdybym tylko zdołała go uruchomić: wciągarka przeznaczona do ustawiania łodzi w odpowiednim położeniu dla dokonania przeglądu czy napraw. Działała w powolnym tempie, wiedziałam jednak, że udźwignie każdą rybacką łódź, nawet taką jak „Marie Joseph” Jojo-le-Goelanda. Z pomocą podnośnika, myślałam, mogłabym nawet przywlec nad przesmyk pojedyncze głazy i wzniesć coś w rodzaju bariery, którą by się później wzmocniło wałami ziemnymi i zabezpieczyło kamieniami oraz brezentowymi płachtami. To mogłoby zadziałać, powiedziałam sobie. Tak czy inaczej, warto było spróbować.

Sprowadzenie traktora z przyczepą do La Bouche zajęło mi prawie dwie godziny. Tymczasem nadeszło popołudnie, choć słońce przebijało blado przez powłokę chmur, a kierunek

wiatru znowu uległ zmianie, zwracając się ostro na południe. Włożyłam rybackie gumki i vareuse, włóczkową czapkę i rękawiczki, lecz mimo to odczuwałam chłód, a powiewy wiatru niosły z sobą wilgoć; nie deszcz, tylko drobną mżawkę, towarzyszącą przypiływom. Sprawdziłam położenie słońca; wynikało z niego, że mam cztery, może pięć godzin. Niewiele czasu, by zrobić to, co było do zrobienia.

Pracowałam najszybciej, jak potrafiłam. Już wcześniej wypatrzyłam kilka dużych, pojedynczych gładów, okazało się jednak, że tkwią w piasku mocniej, niż mi się wydawało, i musiałam je wykopać. W dołach wezbrała woda i do wyciągnięcia gładów użyłam traktora. Wciągarka z irytującą powolnością przenosiła je na miejsce krótkim, dźwigowym uchwytem. Musiałam je kilkakrotnie przestawiać, zanim uzyskałam odpowiednie położenie; za każdym razem poprawiałam łańcuchy opasujące gład i wracałam do podnośnika, a potem opuszczałam uchwyt tak, by skała ułożyła się na brzegu we właściwej pozycji, umożliwiającej zdjęcie łańcucha. Zdażyłam już przemoknąć mimo rybackiego przyodziewku, ale nie zwracałam na to uwagi. Widziałam, że poziom wody ciągle się podnosi; przy uszkodzonym brzegu był wręcz niebezpiecznie wysoki, a powierzchnia marszczyła się lekko. Głazy znajdowały się jednak na miejscu, okryte brezentową płachtą, i żeby je dodatkowo zabezpieczyć, potrzebowałam tylko paru mniejszych kamieni i kilku łopat ziemi do umocnienia konstrukcji.

I wtedy właśnie zepsuł się podnośnik. Nie jestem pewna, czy nawaliło ramię, zmuszone do wysiłków przekraczających jego wytrzymałość, czy coś w silniku, czy może zawiniła płytka woda, po której jeździłam - dość że maszyna stanęła i nie chciała ruszyć. Zmarnowałam sporo czasu, szukając przyczyn usterki, a gdy ich nie znalazłam, zaczęłam przenosić kamienie własnoręcznie, wybierając największe, jakie zdołałam udźwignąć, i obsypując je łopatom ziemi. Przyływ wzbierał radośnie, napędzany południowym wiatrem. Z oddali dobiegał szum fal wdzierających się na mielizny. Kopałam dalej, wożąc ziemię przyczepą na brzeg. Zużyłam cały brezent, obciążając go kamieniami, żeby woda nie wypłukała ziemi.

Zabezpieczyłam mniej niż jedną czwartą nieodzownego odcinka. Mimo to moje prowizoryczne umocnienia zdawały egzamin. Gdyby tylko podnośnik nie odmówił posłuszeństwa...

Zapadał zmrok, choć chmury nieco się rozproszyły. Niebo nad Les Salants przybrało złowróżbne, czerwono-czarne barwy. Przystanąłam na chwilę, by rozprostować obolałe plecy, i na grzbiecie wydmy dostrzegłam jakąś sylwetkę, rysującą się na tle nieba.

Gros Jean. Nie widziałam jego twarzy, lecz układ ciała zdradzał, że mnie obserwuje. Trwał tak jeszcze przez krótką chwilę, a potem, gdy zaczęłam brnąć niezdarnie w jego stronę przez zamuloną wodę, po prostu odwrócił się i zniknął za zboczem wydmy. Ruszyłam jego śladem, lecz zmęczona, poruszałam się zbyt wolno i zdawałam sobie sprawę, że go już nie dogonię.

Poniżej widziałam prąd wpływający w przesmyk. Przyptyw nie osiągnął jeszcze wysokiego poziomu, ale z obecnego punktu obserwacyjnego dostrzegłam słabe punkty w moich zabezpieczeniach, miejsca, w których zwinne palce brunatnych fal wydłubią ziemię i kamienie, tworząc wyrwę. Traktor stał już po sam brzuch w wodzie; jeszcze trochę, a zaleje silnik. Zakląłam i runęłam biegiem w stronę przesmyku. Uruchomiłam traktor, który dwukrotnie zgasł, zanim wreszcie udało mi się wyprowadzić go - przy wtórze głośnych protestów i w kłębach tłustego dymu - w bezpieczniejsze miejsce.

Niech diabli wezmą przyptyw. Niech diabli wezmą szczęście. Ze złością cisnęłam kamieniem w wodę. Obił się o brzeg z ironicznym mlaśnięciem. Podniosłam szczątki zwiędłej azalii i posłałam je w ślad za kamieniem. Nagle wezbrał we mnie gwałtowny, apokaliptyczny gniew i w jednej sekundzie zaczęłam sięgać po następne pociski, kamienie, kawałki drewna, rozmaite szczątki. Łopata leżała na przyczepie traktora; złapałam ją i wbiłam z wściekłością w podmokły grunt, kopiąc zajadle i wyrzucając obfite fontanny ziemi i wody. Z oczu spływały mi strumienie łez, gardło miałam obolałe. Zatraciłam się w tej czynności.

- Mado, przestań już. Mado.

Zapewne go słyszałam, ale odwróciłam się, dopiero gdy poczułam dłoń na ramieniu. Na palcach pod rękawiczkami zrobiły mi się pęcherze. Mój oddech niemal płonął. Twarz miałam zbryzganą błotem. Stał za mną po kostki w wodzie, jego zwykły ironiczny grymas ustąpił miejsca zagniewaniu i trosce.

- Na miłość boską, Mado. Nigdy nie dajesz za wygraną?

- Flynn. - Wbiłam w niego bezmyślne spojrzenie. - Co tutaj robisz?

- Szukałem Grosjeana. - Zmarszczył brwi. - Znalazłem coś, co morze wyrzuciło w La Goulue. Pomyślałem, że mogłoby go to zainteresować.

- Więcierz z homarami - podsunęłam cierpko, przypominając sobie ów pierwszy dzień w La Goulue.

Flynn odetchnął głęboko.

- Jesteś równie szalona jak on - powiedział. - Wykończysz się w tych warunkach.

- Ktoś musi coś zrobić - odparłam, podnosząc łopatę, którą upuściłam, kiedy mi przeszkodził. - Ktoś im musi pokazać.

- Komu? I co pokazać? - Starał się panować nad sobą, lecz nie bardzo mu to wychodziło; jego oczy rzucały groźne błyski.

- Pokazać, jak się bronić. - Spiorunowałam go wzrokiem. - Jak połączyć siły.

- Połączyć siły? - powtórzył drwiąco. - Chyba już tego próbowałaś. I jak, osiągnęłaś coś?

- Dobrze wiesz, dlaczego nic nie osiągnęłam. Gdybyś tylko zechciał się przyłączyć... Ciebie by posłuchali.

Z wysiłkiem zniżył głos.

- Zdaje się, że nie rozumiesz. Ja nie chcę się angażować. Przez całe życie bez przerwy żałuję, że się zaangażowałem w to czy tamto. Jedno zawsze prowadzi do drugiego, a potem do następnego.

- Jeśli Brismand potrafił zabezpieczyć Les Immortelles - nalegałam przez zaciśnięte zęby - my możemy zrobić to samo. Moglibyśmy odbudować stary falochron, wzmocnić ścianę klifu w La Goulue...

- Jasne - prychnął ironicznie Flynn. - Ty, dwieście ton skały, spychacz, inżynier brzegowy... aha, i jeszcze z pół miliona franków.

Zatkało mnie na moment.

- Aż tyle? - wykrztusiłam wreszcie.

- Co najmniej.

- Jak się zdaje, dużo wiesz na ten temat.

- Owszem. Zwracam uwagę na takie rzeczy. Widziałem prace w Les Immortelles. Zapewniam cię, że nie było łatwo. A Brismand wykorzystał fundamenty położone ponad trzydzieści lat temu. Ty zaś mówisz o zaczynaniu od zera.

- Potrafiłbyś coś wymyślić, gdybyś zechciał - powtórzyłam, dygocząc. - Orientujesz się, na czym to wszystko polega. Mógłbyś znaleźć sposób.

- Nie - zaprzeczył Flynn. - A nawet gdybym mógł, to w jakim celu? La Houssiniere potrzebuje tej plaży. Czerpie z niej zyski. Po co naruszać równowagę?

- Brismand już ją naruszył - rzuciłam ostro. - Wiedział, że kradnie nam piasek. Piasek z La Jetee, który powinien nas chronić.

Flynn wpatrywał się w horyzont, jakby mógł tam wyśledzić coś godnego uwagi.

- Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?

- Nigdy - odparłam bezbarwnym tonem.

Nie patrzył na mnie. Nisko wiszące chmury miały niemal ten sam ochrowy odcień co jego włosy. Słone tchnienie wzbierającego przypływu szczypało mnie w oczy.

- I nie zrezygnujesz, dopóki nie uzyskasz rezultatów?

- Nie.

Chwila ciszy.

- Czy rzeczywiście warto? - spytał wreszcie.

- Moim zdaniem, tak.

- Słowo daję. Jeszcze jedno pokolenie i nikt tu nie zostanie. Przyjrzyj się im, na miłość boską. Każdy, kto miał choć szczyptę rozsądku, już dawno wyjechał. Nie lepiej byłoby po prostu zostawić to naturze?

Popatrzyłam na niego bez słowa.

- Lokalne społeczności często obumierają. - Jego cichy głos brzmiał przekonująco. - Wiesz o tym. To część tutejszego życia. Może nawet tak jest lepiej. Ludzie zaczną nareszcie myśleć samodzielnie. Ułożą sobie życie od nowa. Spójrz na nich, jak się krzyżują między sobą. Przyda im się zastrzyk świeżej krwi. Tutaj po prostu kurczowo trzymają się pustki.

- To nieprawda - obstawałam przy swoim. - Mają prawo. I zbyt wielu z nich to starzy ludzie. Zbyt starzy, by gdziekolwiek zaczynać od nowa. Przypomnij sobie Matthiasa Guenole albo Aristide'a Bastonneta czy Toinette Prossage. Znają jedynie wyspę. Oni nigdy nie przeprowadzą się na kontynent, nawet jeśli to zrobią ich dzieci.

Wzruszył ramionami.

- Wyspa nie kończy się na Les Salants.

- Co? Mają zostać obywatelami drugiej kategorii w La Houssiniere? Płacić czynsz Claude'owi Brismandowi? Skąd wezmą pieniądze? Wiesz przecież, że żaden z tych domów nie jest ubezpieczony. Stoją za blisko morza.

- Pozostaje jeszcze „Les Immortelles” - przypomniał łagodnie.

- Nie! - Prawdopodobnie myślałam o ojcu. - To nie do przyjęcia. Tu jest nasz dom. Niedoskonały, niełatwo w nim żyć, ale tak się rzeczy mają. Tu jest dom - powtórzyłam. I tu zostaniemy.

Czekałam. Intensywny zapach przybierającego morza stał się przytłaczający. Szum fal pulsował mi w głowie i w żyłach niczym krew. Patrzyłam na Flynn'a i czekałam, aż się odezwie, czując, jak ogarnia mnie nagle wielki spokój.

W końcu spojrzał na mnie i pokiwał głową.

- Jesteś uparta. Podobnie jak twój ojciec.

- Jestem salanianką - odparłam z uśmiechem. - Kapuściana głowa.

Nastąpiła kolejna, dłuższa pauza.

- Nawet gdybym wymyślił jakiś sposób, to wiesz, może nie zadziałać. Przebudowa wiatraka to jedno, ale tu wchodzi w grę coś innego. Nie ma żadnej gwarancji, że się uda. Będziemy musieli skłonić ich do współdziałania. Zagnać do roboty wszystkich w Les Salants. Trzeba nam cudu.

Nam. Od tego słowa zapłonęły mi policzki, a serce podskoczyło gwałtownie w piersi.

- Więc to możliwe? - Zaparło mi dech, mój głos brzmiał groteskowo. - Istnieje sposób, żeby zapobiec podtopieniom?

- Muszę się nad tym zastanowić. Ale to jest sposób, żeby zaczęli działać wspólnie.

Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, jak gdyby z rozbawieniem. W jego oczach pojawiło się jednak coś jeszcze, wyraz nieruchomego skupienia, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

- Wiesz - odezwał się po chwili - wcale nie wiadomo, czy ktoś ci za to podziękuje. Nawet jeśli się uda, mogą ci mieć za złe. Już wyrobiłaś sobie reputację.

Wiedziałam o tym.

- Wszystko mi jedno.

- W dodatku złamiemy prawo - ciągnął. - Powinnaś zwrócić się o zezwolenie, dostarczyć plany, dokumentację. To najwyraźniej nie wchodzi w rachubę.

- Już mówiłam, wszystko mi jedno.

- Trzeba nam cudu - powtórzył, czułam jednak, że wzbiera w nim śmiech. W jego oczach, jeszcze przed chwilą tak chłodnych, tańczyły iskielki.

- No więc?

Zaśmiał się nieskrępowanie, a ja uświadomiłam sobie, że choć mieszkańcy Les Salants często się uśmiechają, parskają, a nawet chichoczą pod nosem, tylko nielicznym spośród nich zdarza się głośno śmiać. Był to dla mnie dziwny, egzotyczny dźwięk, pochodzący z jakiegoś

odległego miejsca.

- Zgoda - powiedział Flynn.

CZEŚĆ DRUGA

Odwracanie przyływu

W nocy zalało dom Omera. Woda w przesmyku wezbrała po deszczach i gdy nadszedł przypływ, znowu przerwała umocnienia; a ponieważ dom Omera stał najbliżej, ucierpiał w pierwszej kolejności.

- Ostatnio nawet nie kłopotczą się wynoszeniem mebli wyjaśniła Toinette. - Charlotte otwiera po prostu wszystkie drzwi i czeka, aż woda wyleje się tyłem. Wzięłabym ich do siebie, ale nie mam miejsca. Poza tym ich córka zamęcza mnie na śmierć. Jestem za stara, żeby wytrzymać z młodą dziewczyną.

Mercedes wkroczyła w fazę buntu. Znudziwszy się Ghislainem i Xavierem, zaczęła przesiadywać w „Chat Noir” w La Houssiniere, królując w gronie wielbicieli. Xavier przypisywał to zaborczej postawie Aristide’a. Charlotte, która mogła wezwać dodatkową pomoc, nie miała do tego głowy. Toinette przewidywała katastrofę.

- Mercedes igra z ogniem - oznajmiła. - Xavier Bastonnet to dobry chłopak, ale w głębi duszy jest równie zawzięty, jak jego dziadek. Ona go w końcu straci, a znając moją Mercedes, wtedy właśnie odkryje, że tylko na nim jej zależało.

Jeżeli Mercedes oczekiwała reakcji na swoją nieobecność, spotkał ją zawód. Ghislain i Xavier przeszywali się nawzajem spojrzeniami nad etier, niczym zwaśnieni kochankowie. Od czasu do czasu zdarzały się drobne złośliwości, o które każdy z nich obwiniał rywala - pocięte żagle na „Cecili” i kłęb rosówek, które tajemniczym sposobem znalazły się w bucie Ghislaina - choć żaden nie potrafił niczego udowodnić. Młody Damien zniknął z Les Salants i teraz przebywał głównie w okolicach promenady, wdając się w bójki.

Mnie również przyciągało to miejsce. Nawet poza sezonem tętniło tam życie, rysowały się nieprzewidywalne możliwości. Les Salants było martwe, tonęło w stagnacji. Sam widok sprawiał ból. Poszłam do Les Immortelles ze szkicownikiem i ołówkami, choć moje zdrętwiałe palce nie potrafiły już rysować. Czekałam; nie wiem, na co, nie wiem, na kogo.

Flynn nie chciał powiedzieć, czego mam się spodziewać. Byłoby lepiej, oznajmił, gdybym nie wiedziała. Wtedy moje reakcje okażą się bardziej spontaniczne. Po naszej rozmowie zniknął na dłużej i choć wiedziałam, że coś planuje, nie chciał mi udzielić wyjaśnień, gdy go wreszcie wytropiłam.

- Potępisz mnie. - Wydawał się napompowany energią, jego oczy ciskały iskry, szare,

połyskliwe i nieprzewidywalne niczym proch strzelniczy. Za jego plecami widziałam uchylone drzwi blokhauzu, a w środku coś dużego, owiniętego w papier. Łopata opierała się o ścianę, czarna od szlamu z mielizny. Flynn, zauważywszy moje spojrzenie, zamknął drzwi kopniakiem.

- Jesteś zbyt podejrzliwa, Mado - westchnął. - Mówiłem ci przecież, że pracuję nad twoim cudem.

- Skąd mam wiedzieć, że nastąpił?

- Będiesz wiedziała.

Obejrzałam się ponownie na drzwi blokhauzu.

- Chyba niczego nie ukradłeś?

- Oczywiście, że nie. Zostały po mnie tylko szczątki wyrzucone przez morze.

- Znowu kradzież - oznajmiłam z dezaprobatą.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nigdy mi nie zapomnisz tych homarów? Co znaczy jedna mała kradzież między przyjaciółmi?

- Ktoś cię kiedyś przyłapie - oznajmiłam, powściągając uśmiech - i jeśli zarobisz postrzał ze śrutu, dobrze ci tak.

Flynn parsknął tylko śmiechem, lecz nazajutrz rano znalazłam za kuchennymi drzwiami starannie zapakowaną paczkę, owiązaną czerwoną wstążką.

Wewnątrz znajdował się jeden homar.

Wkrótce potem nadeszła zimna, wietrzna noc. W takie noce Gros Jean często zdradzał niepokój. Wstawał z łóżka i sprawdzał okiennice albo popijał kawę w kuchni, nasłuchując szumu morza. Zastanawiałam się, czego właściwie nasłuchuje.

Tamtej nocy słyszałam go wyraźniej, bo i ja nie mogłam zasnąć. Znowu zerwał się wiatr od wschodu i słyszałam, jak dobija się do drzwi i okien niczym stado rozzuchwalonych szcurów. Około północy zapadłam w drzemkę i przyśniła mi się matka, o czym niemal natychmiast zapomniałam, lecz te sny kojarzyły się z rytmem jej oddechu, gdy leżałyśmy obok siebie w jednym z wielu tanich, wynajętych pokoi; jej oddech, który od czasu do czasu zatrzymywał się na pół minuty lub nawet dłużej, a potem powracał ze słyszalnym charkotem...

Wstałam o pierwszej i zaparzyłam kawę. Widziałam przez szpary okiennic czerwone światło latarni za La Jete, a dalej ciemnopomarańczowe niebo, rozdierane gorącymi

błyskawicami. Morze dyszało chrapliwie; wichura, choć nie nabrała siły sztormu, zmuszała do śpiewu liny kotwiczne, zasypując szyby fontannami piasku. Nasłuchując, odniosłam wrażenie, że dobiega mnie pojedyncze uderzenie dzwonu - jedno tęskne „bum!” ponad szumem wiatru. To zapewne kaprys wyobraźni, pomyślałam, noc płata mi figle; lecz zaraz usłyszałam ten dźwięk po raz drugi, a potem trzeci, wyraźnie i jednoznacznie poprzez wycie wichru i szum fal. „

Zadrzałam.

A więc się zaczęło.

Bicie dzwonu narastało, niesione z La Pointe porywami wiatru. Brzmiało niesamowicie, nienaturalnie głucho, jak gdyby zatopiony kościół dzwonił na trwogę. Tuż za skalistym Pointe dostrzegłam coś niezwykłego, roztańczonego, niebieskawy odbłask morza. Wysłał w górę świetliste smugi, co najmniej dwa razy, rozdzierając chmury gwałtownym rozbłyskiem bladego ognia.

Nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że Grosjean stoi za mną. Był ubrany; miał na sobie nawet vareuse i gumiaki.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Nie ma powodów do zmartwienia. To tylko sztorm, nic więcej.

Ojciec milczał. Trwał obok mnie niby figura wyciosana z drewna, jak jedna z zabawek, które niegdyś rzeźbił dla mnie z okrawków. Nie dał mi w żaden sposób do zrozumienia, że mnie słyszy. Wyczuwałam jednak silne emocje, coś, co chwyciło mnie jak kot nylonową pończochę. Jego dłonie drżały.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłam idiotycznie.

- La Marinette - powiedział mój ojciec.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie, jakby go od dawna nie używał. Nierozszyfrowane sylaby przez chwilę ścigały się w moim umyśle.

- La Marinette - powtórzył Grosjean, tym razem z większym naciskiem, kładąc mi dłoń na ramieniu. Jego błękitne oczy przybrały błagalny wyraz.

- To tylko kościelny dzwon - pocieszyłam go. - Ja też to słyszę. Po prostu wiatr niesie dźwięki z La Houssiniere.

Grosjean niecierpliwie pokręcił głową.

- La... Marinette - powtórzył.

Flynn - byłam pewna, że to jego dzieło - wybrał właściwy symbol we właściwym czasie. Ale reakcja ojca na dźwięk dzwonu zmroziła mnie. Wrywał się naprzód niczym pies na smyczy,

ściskając moje ramię tak mocno, że niewątpliwie pozostawił sińce. Jego twarz była biała.

- Proszę, powiedz mi, o co chodzi - przemówiłam, delikatnie wysuwając ramię. - Co jest nie w porządku?

Ale Grosjean już nie potrafił nic powiedzieć. Przemawiały tylko jego oczy, mroczne i rozplomienione, niczym oczy świętego, który zbyt długo przebywał na pustyni i postradał zmysły.

- Pójdę się rozejrzeć - oznajmiłam. - Zaraz wrócę.

Zostawiłam go z twarzą przy szybie, naciągnęłam przeciwdeszczową kurtkę i wyszłam prosto w dżdżystą noc.

22

Szum fal rozbrzmiewał donośnie, lecz dźwięk dzwonu wybijał się ponad ten szum, głęboki i ciężki, wprawiający w drżenie całą wyspę - a przynajmniej tak się wydawało. Za ledwie zbliżyłam się do wydmy, wytrysnął zza niej kolejny snop światła. Przemknął po niebie, rozświetlając wszystko, a potem zniknął bez śladu. Widziałam światła padające od okien, rozchylające się okiennice i sylwetki - nie do rozpoznania w długich płaszcach i włóczkowych czapkach stojące ciekawsko w drzwiach i wychylające się przez płot. Pod znakiem drogowym zauważyłam zwalistą sylwetkę Omera, któremu towarzyszyła zwiewna postać w szlafroku - niewątpliwie Charlotte. Przy oknie uplasowała się również Mercedes w nocnej koszuli. Zjawili się Ghislain i Alain Guenole, a tuż za nimi Matthias. Gromada dzieci wśród nich Lolo i Damien. Lolo miał na głowie czerwoną czapkę i skakał zwawo w nikłym świetle zza otwartych drzwi. Jego cień wyprawiał harce. Głos ledwo docierał poprzez dźwięk dzwonu.

- Co się tam dzieje, do diabła? - Głos Angela tłumila rybacka czapka i peleryna. Miał przy sobie latarkę i zaświecił mi nią w twarz, jakby spodziewał się intruza. Gdy mnie rozpoznał, wyraźnie się uspokoił.

- A, to ty, Mado. Byłaś może na Pointę? Co się tam dzieje?

- Nie wiem. - Podmuchy wiatru sprawiły, że mój głos brzmiał cicho i niepewnie. - Zobaczyłam światła.

- Ha, jak można ich nie widzieć? - Guenole dotarli do wydmy z lampami i strzelbami. - Jeśli jakiś sukinsyn wyczynia sztuczki... - Alain wykonał wymowny gest swoją śrutówką. - Ci Bastonnetowie są do tego zdolni. Zaraz pójdę na Pointę i sam zobaczę, co się tam dzieje, ale

zostawię młodego na straży. Jeśli myślą, że dam się na to nabrać, to chyba im się wydaje, że urodziłem się wczoraj.

- Ktokolwiek się za tym kryje, to nie Bastonnetowie oznajmił Angelo. - Już widzę Aristide'a, a Xavier trzyma go pod rękę. Bardzo się śpieszy.

Istotnie, staruszek kuśtykał najszybciej, jak potrafił, wzdłuż Rue de l'Océan, wspierając się z jednej strony na lasce, z drugiej zaś na ramieniu wnuka. Jego długie włosy powiewały dziko spod rybackiej czapki.

- Guenole! - ryknął, zaledwie znalazłszy się w zasięgu słuchu. - Powinienem był wiedzieć, że to wy się za tym kryjecie, sukinsyny! Co wy sobie, do diabła, wyobrażacie, budząc ludzi o tej porze?

Matthias parsknął śmiechem.

- Nie myśl, że możesz rzucić mi piaskiem w oczy - powiedział. - Nieczyste sumienie zawsze najgłośniej krzyczy. Chyba nie powiesz, że nic o tym nie wiedziałeś, he? Bo po co byś się tak szybko zgłaszał?

- Moja żona zniknęła - odparł Aristide. - Usłyszałem tylko trzaśnięcie drzwiami. Wyszła na skały przy tej pogodzie... w jej wieku. Zamarznie na śmierć! - Uniósł laskę, głos łamał mu się z gniewu. - Czy nie zostawisz jej w spokoju? - wykrzyknął chrapliwie. - Nie wystarczy, że nasz syn... twój syn... - Zamachnął się laską na Matthiasa i byłby upadł, gdyby Xavier go nie podtrzymał. Ghislain uniósł swoją śrutówkę, Aristide zarechotał.

- No, dalejże! - wrzasnął. - Strzelaj do mnie i sprawdź, czy mnie to obchodzi! Zastrzel jedn nogiego starca, co ci zależy, czego w końcu można się spodziewać po Guenole. No, strzelaj, mogę stanąć bliżej, wtedy nawet ty trafisz... Santa Marina, czy ten przekłety dzwon wreszcie nie zamilknie? - Postąpił o jeden drżący krok naprzód, lecz powstrzymał go Xavier.

- Mój ojciec mówi, że to La Marinette - powiedziałam.

Guenole i Bastonnetowie wpatrywali się we mnie przez chwilę. Aristide pokręcił głową.

- Nie - zaprzeczył. - Po prostu ktoś się wygłupia. Nikt nie słyszał La Marinette od czasu, gdy...

Wiedziona przecuciem, obejrzałam się w stronę wydmy. Dostrzegłam sylwetkę mężczyzny na tle zachmurzonego nieba i rozpoznałam mojego ojca. Aristide też go zobaczył i ze stęknieniem ugryzł się w język.

- Ojczy - zaczęłam łagodnie - dlaczego nie idziesz do domu?

Gros Jean nawet nie drgnął. Objęłam go i poczułam, że drży.

- Słuchajcie, wszyscy jesteśmy zmęczeni - odezwał się przyciszonym głosem Alain. - Chodźmy sprawdzić, co się dzieje. Wstałem dzisiaj skoro świt. - Z nieoczekiwaną gwałtownością odwrócił się do syna. - A ty, na rany Chrystusa, odłóż tę cholerną strzelbę. Wyobrazasz sobie, że jesteś na Dzikim Zachodzie?

- Jest naładowana tylko solą - zaczął Ghislain.

- Powiedziałem, odłóż ją!

Ghislain z urażoną miną opuścił broń. Nad Pointę wystrzeliły dwie kolejne race, wypełniając ciężkie powietrze skwierczącym, błękitnym ogniem. Grosjean wzdrygnął się na ten dźwięk.

- Ogień świętego Elma - oznajmił Angelo.

Aristide nie wydawał się przekonany. Pomaszerowaliśmy w stronę Pointę Griznoz. Dołączyli do nas Omer i Charlotte Prossage, a potem podpierający się laską Hilaire, Toinette i kilka innych osób. Dum-dum, grzmiał zatopiony dzwon, błękitne ognie trzaskały, a podniesione głosy zdradzały podniecenie, które łatwo mogło się przerodzić w gniew, lęk lub coś jeszcze gorszego. Poszukałam wzrokiem Flynnna, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Poczułam ukłucie niepokoju; miałam nadzieję, że ten człowiek wie, co robi.

Pomogłam Grosjeanowi wspiąć się na wydmę. Xavier szedł przodem, niosąc latarnię, Aristide zaś podążał za nami, powłócząc drewnianą nogą i mocno podpierając się laską. Ludzie szybko nas wyprzedzili, sadząc nierównymi susami po sypkim piasku. Zauważyłam Mercedes z rozpuszczonymi włosami, w płaszczu narzuconym na białą nocną koszulę, i zrozumiałam, dlaczego Xavier wysforował się naprzód.

- Desiree - wymamrotał Aristide.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Na pewno nic się jej nie stało.

Ale stary mnie nie słuchał.

- Już raz go słyszałem, wiesz - mruknął tak cicho, jakby mówił do siebie. - La Marinette. W lecie Czarnego Roku, tego dnia, kiedy utonął Olivier. Wmawiałem sobie, że to kadłub trawlera tak łomocze, bo rzuca nim fala. Potem zrozumiałem. To były dźwięki La Marinette. Zwiastowały nieszczęście, jak zawsze. A Alain Guenole... - Jego ton uległ gwałtownej zmianie. - Alain się z nim przyjaźnił, wiesz? Byli rówieśnikami. Wyłączyli razem na połowy, choć nie pochwalaliśmy tego.

Był już zmęczony, opierał się mocno na lasce, gdy okrążaliśmy dużą wydmę. Za nią piętrzyły się skały Pointé Griznoz, a ocalała ściana zniszczonej kaplicy Sainte-Marine rysowała się na tle nieba niczym megalit.

- Powinien tam być - ciągnął Aristide władcym tonem. - Umówili się na dwunastą, żeby uratować, co się da, ze starego statku. Gdyby przyszedł, może by ocalił mojego syna. Gdyby przyszedł. Ale on zabawiał się na wydmach ze swoją dziewczyną, Evelyne Gaillard, córką Georges Gaillarda z La Houssiniere. Stracił poczucie czasu. Poczucie czasu! powtórzył stary niemal tryumfalnie. - Pieprzył się do upadłego z tą houssinianką, kiedy jego przyjaciel, mój syn...

Dyszał ciężko, zanim wspięliśmy się na grzbiet wydmy. Zebrała się tam już grupa salanian; latarki i latarnie oświetlały ich twarze. Ognie świętego Elma - jeśli to były one zniknęły. Umilkł także dzwon.

- To znak! - wykrzyknął czyjś głos, zdaje się, że Matthiasa Guenole.

- To podstęp - mruknął Aristide.

Z każdą chwilą przybywało ludzi. Zjawiła się już połowa wioski i mogłam iść o zakład, że na tym nie koniec.

Wiatr siekł nam twarze solą i piaskiem. Jakieś dziecko zaczęło płakać. Słyszałam za plecami szmer modlitwy. Toinette wykrzykiwała coś o Sainte-Marine - pacierz albo przestrożę.

- Gdzie jest moja żona? - głos Aristide'a wzniósł się ponad wrzawę. - Co się stało z Desiree?

- Święta! - zawołała Toinette. - Święta!

- Patrzcie!

Popatrzyliśmy. Była tam; stała nad nami w wysokiej ściennej niszy. Toporna figura, ledwo widoczna w nikłym świetle, o grubych rysach, wytrawionych ogniem. Rozmigotane promienie latarek wprawiały ją w ruch, jak gdyby zamierzała ulecieć ze swego nieprawdopodobnego piedestału. Jej odświętna szata wydymała się jak balon, a na głowie Sainte-Marine miała pozłacaną koronę. Poniżej zastygły w pełnych czci pozach dwie stare zakonnice, siostra Therese i siostra Extase. Za nimi dostrzegłam na nagiej ścianie zrujnowanej kaplicy jakiś rysunek, coś w rodzaju graffiti.

- Skąd, u diabła, ona się tam wzięła? - Alain gapił się na rozchybotaną Świętą, jakby nie wierzył własnym oczom.

- I co tu robią te dwie sroki? - warknął Aristide, piorunując zakonnice spojrzeniem.

Ale natychmiast umilkł. Obok sióstr klęczała na trawie postać w nocnej koszuli, ze złożonymi rękoma.

- Desiree!

Aristide pokuśtykał najszybciej, jak mógł, w stronę klęczącej sylwetki, która podniosła na niego szeroko otwarte oczy. Jej wymizerowana twarz promieniała.

- Och, Aristide, ona wróciła! - zawołała kobieta. - To cud.

Stary dygotał na całym ciele. Otworzył usta, ale przez kilka sekund nie potrafił wydobyć słowa. Jego głos brzmiał szorstko, gdy wyciągnawszy rękę, przemówił wreszcie do żony.

- Gotowaś zamarznąć, ty stara wariatko. Czemu nie włożyłaś płaszcza, he? Będę ci chyba musiał oddać swój. Zdjął rybacką kurtkę i narzucił ją na ramiona Desiree, która prawie tego nie zauważyła.

- Słyszałam Świętą - oznajmiła z uśmiechem. - Przemówiła... och, Aristide, przemówiła do mnie.

Ludzie gromadzili się powoli pod ścianą.

- Mój Boże - powiedziała Capucine, rozstawiając palce w geście odpędzającym pecha. - Czy to naprawdę Święta?

Angelo kiwnął głową.

- Choć Bóg jeden wie, skąd się tu wzięła.

- Sainte-Marine - zakwilił ktoś spod wydmy.

Toinette opadła na kolana. Przez tłum przebiegło westchnienie - aiiii! Uderzenia fal przyboju o ziemię przypominały bicie serca.

- Jest chora - zawyrokował Aristide, usiłując dźwignąć Desiree z klęczek. - Niech mi ktoś pomoże.

- O, nie - zaprzeczyła Desiree. - Nie jestem chora. Już nie.

- Hej, wy! - zwrócił się Aristide do dwóch karmelitanek, wciąż stojących pod niszą Świętej. - Może byście mi z nią pomogły, he?

Zakonnice popatrzyły na niego, nie ruszając się z miejsca.

- Zostałyśmy wezwane - powiedziała siostra Therese.

- W kaplicy. Jak Joanna d'Arc.

- Nienie, wcale nie jak Joanna d'Arc, u niej to były głosy, ma soeur, nie wizje, i przypomnij sobie, do czego ją doprowadziły.

Wyteżalam słuch, by poprzez wycie wichru zrozumieć, co mówią.

- Marine-de-la-Mer, cała w bieli...
- Z koroną i latarnią, i...
- W welonie zasłaniającym twarz.
- W welonie? - Wydało mi się, że zaczynam pojmować.

Siostry skinęły głowami.

- I przemówiła do nas, mała Mado.

- Przemówiła. Do nas.

- Jesteście pewne, że to była ona? - Nie zdołałam się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Karmelitanki spojrzały na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

- Ależ oczywiście, mała Mado. Któż...
- ...inny mógłby to być? Powiedziała, że wróci dzisiejszej nocy, ha, i oto...
- ...jest.
- Tam, w górze.

Ostatnie słowa wypowiedziały chórem, z oczyma błyszczącymi jak u ptaków. Desiree Bastonnet słuchała w nabożnym skupieniu. Grosjean, który dotychczas trwał w bezruchu, wzniosł ku nim rozpromienione spojrzenie.

Aristide niecierpliwie pokręcił głową.

- Sny. Głosy. Nie warto dla nich wyskakiwać z ciepłego łóżka w zimną noc. Chodź, Desiree.

Ale Desiree wykonała przeczący gest.

- Ona do nich przemówiła, Aristide - oznajmiła dobitnie. - Kazała im tu przyjść.

Przyszły... ty spałeś... zastukały do drzwi i pokazały mi znak na ścianie kaplicy...

- Wiedziałem, że to ich sprawka! - wybuchnął wściekle Aristide. - Te sroki...

- Uważam, że nie powinien nas tak nazywać - wtrąciła siostra Extase. - Te ptaki przynoszą pecha.

- Przyszliśmy tutaj - podjęła Desiree. - I Święta przemówiła do nas.

Za naszymi plecami ludzie wyciągali szyje. Mrużyli oczy, w które wiatr sypał piaskiem. Palce rozczapierzały się ukradkiem w zabobnym geście. Słyszałam chwytną i wstrzymywaną oddech.

- Co powiedziała? - spytał wreszcie Omer.

- Nie brzmiało to zbyt pobożnie - odparła siostra Therese.

- Nienie - zgodziła się siostra Extase. - Wcale nie pobożnie.

- To dlatego, że jest salanianką - orzekła Desiree a nie obłudną houssinianką. - Z uśmiechem ujęła dłoń Aristide'a. - Szkoda, że cię przy tym nie było, Aristide. Szkoda, że jej nie słyszałeś. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd nasz syn utonął; o trzydzieści lat za wiele. Od tamtego dnia widzę tylko gorycz i gniew. Nie potrafiłeś płakać, nie potrafiłeś się modlić, twoja złość i despotyzm wypędziły z domu naszego młodszego syna...

- Milcz - nakazał Aristide z kamienną twarzą.

Desiree pokręciła głową.

- Nie tym razem - odrzekła. - Kłócisz się z wszystkimi. Dokuczasz nawet Mado, gdy napomyka, że życie tutaj mogłoby iść naprzód zamiast stać w miejscu. Tak naprawdę chcesz, żeby wszystko poszło na dno, jak Olivier. Ty sam. Ja. Xavier. Żeby wszyscy przepadli. Żeby wszystko się skończyło.

Aristide popatrzył na nią.

- Desiree, proszę...

- To cud, Aristide - przerwała. - Zupełnie jakby on sam do mnie przemówił. Gdybyś tylko mógł to zobaczyć. - W różowawym świetle uniosła twarz ku Świętej i w tej samej chwili dostrzegłam, że coś opada ku niej łagodnie z wysokości, mrocznej wnęki; coś, co przypominało pachnący śnieg. Desiree Bastonnet klęczała na Pointe Griznoz, obsypana pąkami mimozy.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niszy Świętej. Zdawało się, że coś się poruszyło poniżej - zapewne cień, wywołany przez lampy.

- Ktoś tam jest! - warknął Aristide, wyrwał strzelbę z rąk wnuka, wycelował i wygarnął z obu luf. Rozległ się głośny trzask, porażający w nagłej ciszy.

- Można liczyć na Aristide'a, jeśli chodzi o strzelanie do cudów - zauważyła Toinette. - Strzeliłbyś nawet do Matki Boskiej z Lourdes, gdybyś mógł, prawda, ty półgłówku?

Aristide miał zażenowaną minę.

- Byłem pewien, że kogoś widzę.

Desiree wreszcie wstała, z dłońmi pełnymi kwiatów.

- Wiem.

Zamieszanie trwało kilkanaście minut. W jego centrum znajdowali się Xavier, Desiree,

Aristide i zakonnice, a każde z nich usiłowało postawić tamę fali pytań. Ludzie chcieli zobaczyć cudowne kwiaty, usłyszeć słowa Świętej, przyjrzeć się znakom na ścianie kaplicy. Spoglądając poza cypel, odniosłam wrażenie, że coś kołysze się na falach daleko w dole, a w ciszy przed odpływem chyba nawet usłyszałam plusk, jakby coś wpadło do wody. Ale to mogło być cokolwiek. Figura - jeśli w ogóle tam była - zniknęła z niszy.

23

Kolejka wychylona w barze, który Angelo otworzył po godzinach z tej wyjątkowej okazji, pomogła nam odzyskać spokój. Zapomniano o obawach i podejrzeniach, devinnoise łało się strumieniami i pół godziny później w lokalu zapanował nastrój niemal karnawałowy. Dzieci, zachwycone, że nikt nie zagania ich do łóżek, grały w kącie na flipperach. Nie musiały nazajutrz iść rano do szkoły i już sam ten fakt należało uczcić. Xavier zerkał nieśmiało na Mercedes, która po raz pierwszy odwzajemniała jego spojrzenia. Toinette, między jednym kieliszkiem a drugim, radośnie znieważała, kogo tylko mogła. Zakonnice przekonały w końcu Desiree, żeby się położyła, lecz Aristide przyszedł do baru, dziwnie przygaszony. Flynn zjawił się jako jeden z ostatnich, w czarnej włóczkowej czapce, zakrywającej włosy. Mrugnął do mnie i usadowił się dyskretnie przy stoliku za moimi plecami. Grosjean siedział obok mnie ze swoim devinnoise, paląc gitane'a i nie przestając się uśmiechać. Mimo obaw, że osobliwa ceremonia mogła rozstroić jego nerwy, uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy od mego powrotu ojciec jest szczęśliwy.

Posiedział obok mnie ponad godzinę, a potem wyszedł tak cicho, że prawie tego nie zauważyłam. Nie próbowałam iść za nim; nie chciałam naruszać kruchej harmonii między nami. Obserwowałam go jednak przez okno, gdy szedł w stronę domu; ledwo widoczny ognik jego papierosa żarzył się nad wydumą.

Dysputa trwała. Matthias, siedzący przy największym stole w towarzystwie najbardziej wpływowych salanian, żywił głębokie przekonanie, że pojawienie się Sainte-Marine naprawdę było cudem.

- Czymże innym mogłoby być? - pytał z naciskiem, sącąc trzeci kieliszek devinnoise. - Historia zna mnóstwo przykładów nadprzyrodzonych ingerencji w życie codzienne. Czemu nie miałyby się to przydarzyć tutaj?

Zdążyło się już pojawić tyle wariantów zdarzenia, ilu było świadków. Niektórzy twierdzili, że na własne oczy widzieli Świętą frunącą do zrujnowanej wieży. Inni słyszeli upiorną

muzykę. Toinette, zajmująca zaszczytne miejsce obok Matthiasa i Aristide'a, rozkoszowała się poświęcaną jej uwagą, popijała deuinnoise i opowiadała, jak to pierwsza zauważyła znaki na ścianie. Bez wątpienia stał się cud, oświadczyła. Kto mógł odnaleźć zaginioną Świętą? Kto mógł przenieść ją aż do La Griznoz? Kto mógł umieścić ją wysoko w niszy? Z pewnością żaden człowiek. To było po prostu niemożliwe.

- A na dodatek dzwon - przypomniał Omer. - Wszyscy go słyszeliśmy. Co by to mogło być, jeśli nie La Marinette? I te znaki na ścianie kaplicy...

Uznano zgodnie, że wystąpiło zjawisko nadprzyrodzone. Ale co oznaczało? Desiree doszukała się w nim wiadomości od syna. Aristide nie poruszał tego tematu, siedział jednak nad swoim kieliszkiem pogrążony w niezwykłej zadumie. Zdaniem Toinette, wydarzenie zwiastowało odmianę losu. Matthias wyraził nadzieję na obfitsze połowy. Capucine wyszła, zabierając Lola, lecz i ona sprawiała wrażenie przygaszonej, tak iż zastanowiło mnie, czy nie myśli o swojej córce na kontynencie. Próbowałam przyciągnąć wzrok Flynna, on jednak wydawał się zadowolony z przebiegu dyskusji. Poszłam za jego przykładem i czekałam.

- Tracisz orientację, Rouget - powiedział Alain. - Myślałem, że nam przynajmniej wyjaśnisz, w jaki sposób Święta przyleciała na La Griznoz.

Flynn wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Gdybym potrafił czynić cuda, wyniosłbym się z tej dziury i popijał szampana w Paryżu.

Przyptyw opadł, a wiatr przycichł. Chmury zaczęły się rozpraszać, odsłaniając niebo, które nadchodzący świt zabarwił czerwienią. Ktoś zaproponował, żebyśmy wrócili do kaplicy i obejrzeni miejsce cudu w świetle dziennym. Kilka osób zgłosiło się na ochotnika; reszta rozeszła się do domów, stawiając niezbyt pewne kroki na wyboistej drodze.

Po bliższym zbadaniu znaków na ścianie nadal wiedzieliśmy tyle samo, co przedtem. Wyglądały na wypalone jakimś sposobem w kamieniu, lecz nie były to litery, które ktokolwiek potrafiłby rozpoznać - tylko prymitywny rysunek i kilka liczb.

- To przypomina... jakby plan - zauważył Omer La Patate. - Może tu są zapisane wymiary.

- A może to ma jakieś znaczenie religijne - podsunęła Toinette. - Warto by zapytać siostry.

Ale zakonnice odeszły z Desiree i nikt się nie kwapił po nie pójść, żeby nie przegapić

czegoś ważnego.

- Może Rouget będzie coś wiedział - zasugerował Alain. - Mówi się o nim, że jest intello, no nie?

Obecni pokiwali głowami na znak zgody.

- Tak, niech Rouget tu podejdzie. Hej tam, przepuście go.

Flynn nie okazywał pośpiechu. Obejrzał wypalone znaki z każdej strony. Przymrużył oczy, sprawdził kierunek wiatru, podszedł na skraj urwiska i popatrzył na morze, a następnie wrócił i ponownie dotknął znaków opuszkami palców. Gdyby nie to, że wiedziałam swoje, uwierzyłabym, iż nigdy przedtem ich nie widział. Wszyscy obserwowali jego ruchy wyczekująco i z respektem. Wstał świt.

Wreszcie Flynn podniósł wzrok.

- Wiesz, co one znaczą? - spytał Omer, nie mogąc już pohamować niecierpliwości. - Czy pochodzą od Świętej?

Flynn skinął głową, a choć jego twarz zachowała wyraz powagi, widziałam, że w duchu uśmiecha się szeroko.

24

Aristide, Matthias, Alain, Omer, Toinette, Xavier i ja wysłuchaliśmy wyjaśnień Flynn. A potem Aristide wybuchnął:

- Arka? Chcesz powiedzieć, że ona każe nam zbudować arkę?

Flynn wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Chodzi o sztuczną rafę, pływający mur. Jakkolwiek by to nazwać, widzicie, jak działa. Piasek stamtąd - wskazał odległy punkt na La Jetee - zamiast uciekać od wybrzeża, wraca tutaj, do La Goulue. Taka zatyczka, jeśli wolicie, dzięki której Les Salants nie spłynie do morza.

Zapadła długa, pełna zdumienia cisza.

- I myślisz, że pozostawiła to Święta? - zapytał Alain.

- A któż by inny? - odparł niewinnie Flynn.

Matthias zgodził się z nim.

- Ona jest naszą Świętą - powiedział wolno. - Prosiłszy ją o ratunek. Pewnie w ten sposób chce nas ocalić.

Potakujące gesty. To miało sens. Zniknięcie Świętej zostało najwyraźniej źle zrozumiane; po prostu potrzebowała czasu na przeprowadzenie badań.

Omer spojrzał na Flynna.

- Ale my nie mamy z czego zbudować muru - zaproponował. - Popatrz, ile zapłaciłem za ściągnięcie kamieni do wiatraka. Kosztowały mnie majątek.

Flynn pokręcił głową.

- Nie potrzeba wam kamieni - wyjaśnił. - To musi być coś, co unosi się na wodzie. Nie falochron. Falochron może powstrzymać erozję, w każdym razie na jakiś czas. Ale to będzie znacznie lepsze. Właściwie usytuowana rafa wytwarza własne mechanizmy obronne. Prędzej czy później.

Aristide nie dawał się przekonać.

- Nie uda ci się zbudować tego tak, żeby działało. Nawet za dziesięć lat.

Matthias miał jednak zaintrygowaną minę.

- Myślę, że może się udać - powiedział wolno. - Ale co z materiałem? Nie zbudujesz bariery z papieru i śliny, Rouget. Nawet ty nie jesteś do tego zdolny.

Flynn zastanawiał się przez chwilę.

- Opony - oznajmił. - Opony samochodowe. Unoszą się na wodzie, nieprawdaż? Można je dostać za darmo w każdym autokomisie. W niektórych nawet płacą za ich zabranie. Przetransportuje się je, połączy razem...

- Przetransportuje? - przerwał Aristide. - Jak? Na to, o czym mówisz, potrzeba setek, jeśli nie tysięcy opon. Co...

- Jest przecież „Brismand I” - podsunął Omer La Patate. - Można by go wynająć.

- I nabić kabzę houssinianinowi! - wybuchnął Aristide. - To mi dopiero cud!

Alain długo patrzył na niego bez słowa.

- Desiree miała rację - rzekł wreszcie. - Zbyt wiele już straciliśmy. Zbyt wiele wszystkiego.

Aristide odwrócił się, wsparty na lasce, widziałam jednak, że nadal słucha.

- Nie odzyskamy tego, co przepadło - ciągnął Alain półgłosem. - Ale możemy dołożyć starań, żeby nie stracić więcej. Możemy spróbować nadrobić stracony czas. - Mówiąc, patrzył na Xaviera. - Powinniśmy walczyć z morzem, a nie z sobą nawzajem. Powinniśmy pomyśleć o naszych rodzinach. Zmarli zmarłymi, ale wszystko powraca. Jeśli tylko pozwolimy.

Aristide spojrział na niego w milczeniu. Omer, Xavier, Toinette i inni patrzyli wyczekująco. Gdyby Guenole i Bastonnetowie zaakceptowali plan, reszta poszłaby za ich przykładem. Twarz Matthiasa, ocieniona bujnym wąsem, była nieprzenikniona. Flynn uśmiechnął się. Wstrzymałam oddech.

Po chwili Aristide skłonił lekko głowę, gestem uchodzącym na wyspie za znak szacunku. Matthias odwzajemnił gest. Podali sobie ręce.

Wzniesiliśmy toast za ich decyzję pod kamiennym spojrzeniem Marine-de-la-Mer, świętej patronki wszystkiego, co zaginęło na morzu.

25

Zrobiło się zupełnie jasno, gdy dotarłam do domu. Nigdzie nie widziałam Grosjeana, a żaluzje w jego oknie były opuszczone, uznałam więc, że wrócił prosto do łóżka i poszłam w jego ślady. O wpół do pierwszej obudziło mnie stukanie do drzwi i powlokłam się zaspana do kuchni, żeby otworzyć.

Na progu stał Flynn.

- Wstawaj, szkoda dnia - zachęcił kpiąco. - Czas się zabrać do naprawdę ciężkiej roboty. Jesteś gotowa?

Przyjrzałam się sobie. Bosa, w niekompletnym, wilgotnym i wymiętym ubraniu, z włosami sztywnymi od soli i przypominającymi szczotkę. On natomiast wydawał się pogodny jak zawsze, włosy ściągnął schludnie z tyłu nad kołnierzem płaszcza.

- Wydajesz się trochę za bardzo zadowolony z siebie zauważyłam.

- Czemu za bardzo? - uśmiechnął się. - Uważam, że dobrze mi poszło. Namówiłem Toinette, żeby obeszła domy i zebrała datki, a także zarekwirowałam parę skrzynek w przetwórni ryb, do konstrukcji rafy. Alain próbuje się skontaktować z giełdą samochodową. Pomyślałam, że ty mogłabyś załatwić trochę lin i łańcuchów do mocowania. Omer dostarczy beton. Nie zużył całego przy wiatraku. Jeśli pogoda się utrzyma, niewykluczone, że zdążymy do końca miesiąca. - Umilkł, widząc wyraz mojej twarzy. - Ejże zaczął ostrożnie - coś mi mówi, że zaraz urwiesz mi głowę. O co chodzi? Nie piłaś jeszcze kawy?

- Ty to masz tupet - powiedziałam.

- Co znowu? - Szeroko otworzył oczy, w których błysnęło rozbawienie.

- Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić. Ty i twoje cuda. A gdyby się nie udało? Gdyby

Grosjean...

- Myślałem, że będziesz zadowolona - wtrącił Flynn.

- To jakiś absurd. Zanim się obejrzymy, na Pointę powstanie sanktuarium; ludzie będą chcieli zobaczyć cudowne miejsce.

- Zrobi się ruch w interesie - zauważył.

Zignorowałam go.

- To było okrutne. Wszyscy dali się nabrać: biedna Desiree Aristide, nawet mój ojciec. Tak łatwo ich podejść, każde z nich. Zdesperowani, zabobonni ludzie. Sprawiliś, że naprawdę uwierzyli w cud, czyż nie? I dobrze się przy tym bawiłeś.

- No więc? Przecież poskutkowało, prawda? - Wydawał się nieco urażony. - W tym właśnie rzecz. Nie chodzi tu o salanian i ich godność. Chodzi o to, że zrobiłem coś, czego ty nie potrafiłaś. Ja, człowiek z zewnątrz. A oni mnie wysłuchali.

Podejrzewałam, że w jego słowach kryje się prawda. Wcale go za to bardziej nie polubiłam.

- W nocy, jak zauważyłem, nie zgłaszałaś żadnych zastrzeżeń - dodał Flynn.

- Nie wiedziałam, co zamierzasz. Ten dzwon...

- La Marinette - uśmiechnął się. - Miły akcent, pomyślałem sobie. Taśma z nagraniem i stare głośniki.

- A Święta? - Nie chciałam dodatkowo schlebiać jego próżności, ale byłam ciekawa.

- Znalazłem ją tego dnia, kiedy spotkałem cię w La Bouche. Zamierzałem powiedzieć Grosjeanowi, pamiętasz? Przypuszczałaś, że przywłaszczyłem sobie homary.

Pamiętałam. Musiał do niego przemawiać teatralny, poetycki nastrój; uroczystość ku czci Świętej, lampy, hymny, zamiłowanie salanian do malowniczości.

- Zabrałem odświętną szatę i koronę z zakrystii w La Houssiniere. Pere Alban omal mnie nie przyłapał, ale udało mi się czmychnąć w samą porę. Z zakonnicami poszło jak po maśle.

No oczywiście. Na coś takiego czekały całe życie.

- Jak wstawiłeś posąg do niszy na górze?

Wzruszył ramionami.

- Naprawiłem podnośnik. Podczas odpływu wjechałem na mokry piasek i wywindowałem ją na miejsce. Gdy morze przybrało, wyglądało to niesamowicie. Cud błyskawiczny. Tylko dolać wody.

Istotnie, jak o tym pomyśleć, wszystko wydawało się jasne. A resztę - bukiet kwiatów, race sygnalizacyjne - załatwił za pomocą raków wspinaczkowych, wbitych od tyłu w ścianę kaplicy oraz kajaka przycumowanego w pobliżu, by móc szybko uciec. To było takie proste, gdy się już znało rozwiązanie. Tak proste, że niemal obelżywe.

- Jedyne ryzykowny moment nastąpił, gdy Aristide dostrzegł mnie tam, na ścianie - uśmiechnął się Flynn. - Sól wielkiej krzywdy nie robi, ale szczybie. Na szczęście większość przeleciała obok mnie.

Nie odwzajemniłam uśmiechu. I tak wydawał się nadmiernie zadowolony z siebie.

Oczywiście, nie zamierzał snuć przypuszczeń co do rezultatów. Sprawa i tak była ryzykowna. Właściwie należało przeprowadzić obliczenia, zastosować skomplikowane formuły matematyczne, oparte na tempie opadania ziaren piasku, kącie nachylenia wybrzeża i prędkości fazowej fal przyboju. Większość tego musiała pozostać w sferze domysłów. Ale więcej nie dało się zrobić w tak krótkim czasie.

- Niczego nie obiecuję - przestrzegł Flynn. - To tylko prowizorka. Nie zlikwiduje problemu na zawsze.

- Nawet jeśli się sprawdzi?

- W najgorszym wypadku ograniczy szkody.

- A w najlepszym?

- Brismand zgarniał piasek z La Jete. Czemu nie mielibyśmy robić tego samego?

- Piasek z La Jete - powtórzyłam.

- Wystarczy na jeden albo dwa zamki. Może na więcej.

- Więcej - powiedziałam zachłannie. - Więcej.

26

Mieszkańcowi kontynentu z pewnością trudno to zrozumieć. Mimo wszystko piasek nie bywa raczej symbolem trwałości. Napisy na piasku zmywa woda. Pieczołowicie wznoszone zamki obracają się w ruinę. Piasek jest uparty i zwodniczy. Trawi skałę i grzebie mury pod wydmami. Jest w ciągłym ruchu. Na Le Devin piasek i sól są wszystkim. Nasza żywność rośnie już osolona na czymś, co nie bardzo zasługuje na miano gleby. Nasze owce i kozy, pasące się na wydmach, mają delikatne, słonawe mięso. Z piasku budujemy nasze siedziby. Z piasku powstają nasze kuchnie i piece. Wyspa tysiąc razy zmieniała kształt. Kołysze się na skraju Nid' Poule, co

roku tracąc kolejne fragmenty siebie. Odnowia je piasek z La Jetee, owijając się wokół wyspy niczym ogon syreny, przechodząc niepostrzeżenie z jednej strony na drugą w grudkach leniwej piany, przewalając się, szmerząc. Wszystko może się zmienić, ale piasek będzie zawsze.

Wspominam o tym, by ludzie z kontynentu zrozumieli emocje, jakie odczuwałam w ciągu tych tygodni i później. Pierwszy tydzień zajęło układanie planów. Następne - praca i jeszcze raz praca. Wstawaliśmy o piątej rano, a kończyliśmy późną nocą. Gdy dopisywała pogoda, pracowaliśmy solidnie aż do następnego dnia; kiedy zaś wiał zbyt silny wiatr albo padał deszcz, przenosiliśmy się pod dach - do hangaru, wiatraka Omera lub opuszczonej szopy - byle nie tracić czasu.

Omer udał się z Alainem do La Houssiniere, by wynająć „Brismanda I”, utrzymując, że chodzi o dostawę materiałów budowlanych. Claude Brismand chętnie się zgodził; sezon już minął i z wyjątkiem nagłych wypadków używano promu raz w tygodniu, do przewozu żywności oraz przesyłek z przetwórci ryb. Aristide znał zakład wulkanizacyjny przy drodze do Pornic i zamówił dostawę na pokład „Brismanda I” u tych samych przewoźników, którzy zwykle dostarczali beczki makreli. Postanowiono, że pieczę nad całą operacją obejmie pere Alban - był jedyną osobą, do której ani Bastonnetowie, ani Guenole nie zgłaszali zastrzeżeń. Ponadto, jak zauważył Aristide, nawet ci z kontynentu dwa razy się zastanowią, zanim oszukają księdza.

Pieniądze napływały z najmniej prawdopodobnych źródeł. Toinette odkryła w pończosze pod materacem trzynaście złotych suwerenów, o których istnieniu nawet jej krewni nie mieli zielonego pojęcia. Aristide Bastonnet ofiarował dwa tysiące franków ze swoich oszczędności. Żeby nie być gorszym, Matthias Guenole zaoferował dwa i pół tysiąca. Inni podarowali skromniejsze sumy: Omer dwieście franków plus pięć worków cementu, Hilaire pięćset franków, Capucine także pięćset. Angelo nie wpłacił pieniędzy, lecz za to obiecał darmowe piwo dla robotników. Zapewniało to stały dopływ siły roboczej, choć Omer został kilkakrotnie upomniany, że częściej przesiaduje w lokalu niż przy elementach bariery.

Zadzwoiłam do swojej gospodyni w Paryżu z zawiadomieniem, że nie wracam. Zgodziła się oddać moje meble na przechowanie i wysłać niezbędne rzeczy - ubrania, książki i przybory malarskie - koleją do Nantes. Opróżniłam i zamknęłam konto w banku. W Les Salants nie było mi do niczego potrzebne.

Rafę, jak orzekł Flynn, należało budować w odcinkach. Każdy odcinek składał się ze stu pięćdziesięciu opon, połączonych w pionie stalowymi linami, sprowadzonymi z kontynentu.

Ogółem miało powstać dwanaście takich elementów, złożonych na łądzie, aby później, w czasie odpływu, umieścić je na La Jetee. Betonowe płyty, takie jak te, których używa się przy cumowaniu łodzi, miały posłużyć jako kotwice, z dodatkowymi linami zabezpieczającymi. Była to żmudna praca, z jednym podnośnikiem do przenoszenia ciężarów, i kilkakrotnie następowały przerwy, gdy nie udało się unieść w porę właściwych materiałów, ale każdy starał się, jak mógł.

Toinette przynosiła robotnikom na Pointę gorące napoje. Charlotte przyrządzała kanapki. Capucine podarowała kombinezon i włóczkową czapkę, sama zaś przyłączyła się do grupy mieszających cement, zawstydzając tym samym pewnych przedstawicieli płci męskiej, którzy natychmiast postanowili włączyć się do akcji. Mercedes godzinami przesiadywała na wydmie, niby to w celu przekazywania wiadomości, lecz tak nawiądkę bardziej ją interesowała obserwacja mężczyzn przy pracy. Ja prowadziłam podnośnik. Omer układał opony, a Ghislain Guenole upychał je w skrzyniach. Przy odpływie grupa dzieci, kobiet i starszych mężczyzn kopała głębokie rowy na kotwiczne płyty, które przewoziliśmy przyczepą na La Jetee, oznaczając miejsca bojami. Łódź Bastonnetów, „Cecilia”, sprawdzała elementy konstrukcji podczas przyptywu. Przez cały czas Flynn krążył między nami z arkuszem papieru, mierząc odległości, obliczając kąty i prędkość wiatru, zastanawiając się nad prądami, które oplatały La Goulue i krzyżowały się wokół niej. Święta czuwała nad nami w swej niszy na Pointę Griznoz, a kamienie poniżej oblepione były stearyną. Pod ścianą leżały złożone ofiary - sól, kwiaty, kubki wina. Aristide i Matthias krążyli wokół siebie, utrzymując rozejm i starając się nawzajem prześcignąć w drodze do finalizacji dzieła. Stary Bastonnet, ze względu na swą drewnianą nogę, nie był zdolny do wykonywania ciężkich prac, w związku z czym zmuszał swego nieszczęsnego wnuka - na którego przypadało dwóch Guenole - do coraz większego wysiłku.

W miarę postępu robót stan mojego ojca uległ niezwyklej poprawie. Grosjean nie przesiadywał już godzinami w La Bouche, tylko doglądał robotników, aczkolwiek sam rzadko włączał się w budowanie rafy. Często widywałam na tle wydmy jego zwalistą sylwetkę, powściągliwą i nieporuszoną. W domu częściej się uśmiechał i nawet odzywał do mnie, choć głównie monosylabami. Także w jego milczeniu wyczuwałam zmianę, a oczy nie były już takie puste. W niektóre wieczory nie kładł się spać o zmierzchu, lecz słuchał radia albo przyglądał mi się, gdy szkicowałam coś na kartkach. Raz czy dwa miałam wrażenie, że ktoś przeglądał moje rysunki. Zostawiałam odtąd szkicownik na wierzchu, żeby ojciec mógł do niego zaglądać, choć nigdy tego nie robił w mojej obecności. To dopiero początek, pomyślałam. Nawet u Grosjeana

coś mogło pojawić się na nowo.

No i, oczywiście, był jeszcze Flynn. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje; erozja mojego muru obronnego postępowała stopniowo i podstępnie, zaskakując mnie i zbijając z tropu. Złapałam się na tym, że obserwuję go zupełnie bez powodu, sprawdzam wyraz jego twarzy, jakbym zamierzała namalować portret Flynn'a, szukam tej twarzy w tłumie. Nie rozmawialiśmy tamtego ranka po cudzie, ale coś się między nami zmieniło. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nastąpił dziwny zbieg okoliczności. Zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie zauważałam. Zjednoczyła nas wspólna praca. Pociliśmy się razem, znosząc opony, i razem przemakaliśmy do nitki, mocując je przy wzbierającym przypiływie. Razem piliśmy u Angela. I mieliśmy wspólną tajemnicę, która nas łączyła. Uczyniła z nas parę spiskowców, niemal przyjaciół.

Flynn potrafił słuchać, kiedy trzeba, sam zaś stanowił źródło zabawnych anegdot i niewiarygodnych historii z Anglii, Indii i Maroka. Były to przeważnie bzdury, lecz on istotnie podróżował, znał miejsca i ludzi, potrawy i zwyczaje, rzeki i ptaki. Za jego pośrednictwem ja również poznałam świat. Zawsze jednak wyczuwałam w nim ukrytą część, miejsce, do którego nie miałam dostępu. Nie powinno mnie to być martwić. Gdyby zapytał, czego od niego chcę, trudno byłoby mi odpowiedzieć.

Jego dom urządony w starym blokhauzie był wygodny, choć prowizoryczny. Obszerna izba wewnątrz, czysta i pobielona, okno z widokiem na morze, krzesła, stół, łóżko wszystko z magazynu staroci. Efekt był krzykliwy, a zarazem satysfakcjonujący, jak zdarza się to ludziom - muszelki wetknięte w zaprawę wokół okna, krzesła z opon przykrytych żaglowym płótnem. Z sufitu zwisał hamak zrobiony z sieci rybackiej. Na zewnątrz pomrukiwał generator.

- Nie do wiary, ile tu zrobiłeś - zauważyłam. - Kiedyś to był betonowy sześcian, wypełniony piaskiem.

- Nie mogłem na wieki zamieszkać u Capucine - odparł. - Ludzie już zaczęli gadać. - Z namysłem powiodł stopą wzdłuż muszelek ułożonych na betonowej posadzce. Wzorcowy wyrzutek, nieprawdaż? - zagadnął. - Wszelkie domowe wygody.

Wydało mi się, że słyszę tęskną nutę w jego głosie.

- Wyrzutek? Tak o sobie myślisz?

Flynn parsknął śmiechem.

- Wszystko jedno.

Nie było mi wszystko jedno, ale wiedziałam, że nie można go skłonić do mówienia, jeśli nie chce. Jego milczenie nie powstrzymało mnie jednak od domysłów. Czy schronił się na Le Devin, uciekając przed prawem? To było niewykluczone; tacy ludzie, jak Flynn, zawsze balansują na krawędzi i już wcześniej zachodziłam w głowę, dlaczego w ogóle wylądował na Le Devin, wysepce tak małej, że rzadko kto umieszcza ją na mapach.

- Flynn - zaczęłam po chwili.

- Tak?

- Gdzie się urodziłeś?

- W miejscu podobnym do Les Salants - odparł niedbale. - W małej wiosce na wybrzeżu, w pobliżu górnego Kerry. Oprócz plaży niewiele tam było.

A zatem nie był Anglikiem. Zadałam sobie pytanie, jakie jeszcze błędne założenia poczyniłam na jego temat.

- Nigdy tam nie wracasz? - Chyba nie za bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, że kogoś zupełnie nie obchodzi miejsce urodzenia; szukałam odpowiednika własnego instynktu, który kazał mi powrócić do gniazda.

- Tam? O Boże, skąd! Po co miałbym wracać?

Zmierzyłam go spojrzeniem.

- A po co tu przyjechałeś?

- Po skarb piratów - odparł tajemniczo. - Miliony franków, cała fortuna, w dublonach. Kiedy je już odkopię, fru! Zniknę stąd. Witaj, Las Vegas. - Uśmiechnął się szeroko.

Mimo to znowu usłyszałam w jego głosie nutę tęsknoty, nieomal żalu.

Rozejrzałam się i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mimo pogodnego charakteru nie ma w tym pokoju ani jednego drobiazgu o charakterze osobistym, żadnej fotografii, książki ani listu. Mógłby się stąd jutro wyprowadzić, pomyślałam, nie pozostawiając wskazówki, kim jest i dokąd zmierza.

27

Następne dwa tygodnie przyniosły obfitsze przyływy i silniejsze wiatry. Burzliwa pogoda przez trzy dni uniemożliwiła pracę. Księżyc z okrawką przybrał do rozmiarów plasterka. Pełnia księżyca przy równonocy oznacza sztormy. Wiedzieliśmy o tym i bez słowa prowadziliśmy wyścig z jego zmieniającym się zarysem.

Od dnia mojej wizyty w „Les Immortelles” Brismand zachowywał osobliwe milczenie. Wyczuwałam jednak jego ciekawość, jego wzmożoną czujność. Tydzień po naszym spotkaniu przysłał mi kwiaty i krótki list z zaproszeniem do hotelu na czas nieokreślony, gdyby sytuacja w Les Salants stała się dla mnie zbyt trudna. Wydawało się, że nic nie wie o naszych pracach i przypuszcza, iż poświęcam czas na wprowadzenie w domu niezbędnych wygód dla Grosjeana. Pochwalił moją lojalność, dając jednocześnie do zrozumienia, że brak zaufania, jaki wobec niego okazuję, głęboko go rani i budzi w nim żal. Wyraził nadzieję, iż noszę jego dar, w którym spodziewa się mnie niebawem ujrzeć. Prawdę mówiąc, czerwona suknia nadal leżała nierozpakowana na dnie szafy. Nie odważyłam się jej przymierzyć. Ponadto budowa rafy zbliżała się do końca i mieliśmy mnóstwo roboty.

Flynn rzucił się z energią w wir pracy. Nikt z nas się nie oszczędzał, ale Flynn był zawsze w centrum wydarzeń przenosił ciężary, przeprowadzał próby, studiował wykresy, beształ opornych robotników. Nie tracił zapału; nawet gdy przyptywy zaczęły wzbierać niemal tydzień przed czasem, otucha go nie opuściła. Zupełnie jak rodowity salanianin, walczył z morzem o skrawek lądu.

- Właściwie dlaczego to robisz? - spytałam go raz późnym wieczorem, gdy znowu został w hangarze, by zabezpieczyć połączenia gotowych elementów. - Sam mi mówiłeś, że to się mija z celem.

Byliśmy sami, a jedyna neonówka dostarczała za mało światła. Zapach smaru i gumy niemal zbijał z nóg.

Flynn przyjrzał mi się zmrużonymi oczyma znad elementu bariery, który właśnie sprawdzał.

- Czy masz mi coś do zarzucenia?

- Ależ skąd. Po prostu mnie zaciekawiło, czemu zmieniłeś zdanie.

Wzruszył ramionami i odrzucił włosy z czoła. Jarzeniówka oświetlała go bezlitośnie, podkreślając czerwień włosów i sprawiając, że jego twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle.

- Po prostu poddałaś mi pomysł.

- Ja?

Kiwnął głową. Poczułam niedorzeczne zadowolenie na myśl, że stałam się katalizatorem.

- Uświadomiłem sobie, że przy kilku odpowiednich wskazówkach Grosjean i inni mogą

jeszcze długo mieszkać w Les Salants - powiedział, dokręcając kombinerkami złącze na kablu. - Pomyślałem, że ich zdopinguję.

Ich. Zauważyłam, że nie mówi „my”, choć zaakceptowano go łatwiej niż mnie.

- I co dalej? - spytałam bez zastanowienia. - Zostaniesz tutaj?

- Na jakiś czas.

- A potem?

- Kto wie?

Przyglądałam mu się przez chwilę, usiłując zrozumieć jego obojętność. Ani ludzie, ani miejsca - nic nie wywierało na nim szczególnego wrażenia, zupełnie jakby potrafił przejść przez życie niczym kamień przez wodę, czysty i nietknięty. Zszedł znad konstrukcji, wytarł kombinerki i odłożył do skrzynki z narzędziami.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- To przez to światło. - Odgarnął włosy, brudząc sobie twarz smarem.

Starłam tę plamę.

- Kiedy się poznaliśmy, wzięłam cię za obiboka. Nie miałam racji.

- Miło, że tak mówisz.

- I nigdy ci nie podziękowałam za to, co zrobiłeś dla mojego ojca.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nic takiego. Pozwolił mi zamieszkać w blokhauzie. Miałem wobec niego dług. - W jego głosie zabrzmiała stanowcza nuta, dająca do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych wyrazów wdzięczności. Mimo to z jakichś przyczyn nie chciałam, żeby odchodził.

- Niewiele opowiadasz o swojej rodzinie - zauważyłam, naciągając róg brezentu na ukończony fragment konstrukcji.

- Bo też niewiele o niej myślę.

Pauza. Zastanawiałam się, czy jego rodzice nie żyją, czy ich opłakuje, czy ma kogoś jeszcze. Raz wspomniał o bracie z mimowolną niechęcią, która nasunęła mi myśl o Adrienne. A zatem żadnej bliskości. Może tak woli, pomyślałam; żadnych więzów, żadnych obowiązków. Być jak wyspa.

- Dlaczego to robisz? - powtórzyłam wreszcie. - Dlaczego postanowiłeś nam pomóc?

Ponownie wzruszył ramionami, z wyrazem zniecierpliwienia.

- Bo ja wiem? Była robota do zrobienia. Tak się złożyło, chyba dlatego. Dlatego, że

mogłem.

„Dlatego, że mogłem”. Zdanie to prześladowało mnie później, lecz w tamtej chwili potraktowałam je jako świadectwo więzi z Les Salants i poczułam nagły przypływ sympatii do niego - za tę jego pozorną obojętność, brak temperamentu, metodyczne układania narzędzi w skrzynce, choć był półżywy ze zmęczenia. Rouget, który nigdy nie stawał po niczyjej stronie, stanął po naszej.

28

Dokończyliśmy konstrukcji elementów w hangarze i przygotowaliśmy się do ich ustawienia. Betonowe zakotwiczenia znajdowały się już przy La Jete, razem z sześcioma zmontowanymi fragmentami i teraz pozostało tylko doholować pozostałe przyczepą na płyciznę. Potrzebne były próby, skracanie i wydłużanie lin, przesuwanie opon. Znalezienie najlepszej metody mogło zająć nieco czasu. Za to później, wyjaśnił Flynn, rafa powinna się sama ustawiać w zależności od kierunku wiatru, a nam pozostanie tylko czekać na wyniki eksperymentu.

Niemal przez tydzień morze nie pozwalało dotrzeć do La Jete, a silny wiatr uniemożliwiał pracę. Wdzierał się w wydmy, podrywając w powietrze warstwy piasku. Zrywał okiennice i zasuwy. Pchnął przypływ niemal w samo serce Les Salants i chłostał fale wokół Pointę Griznoz, aż pokryły się bujną pianą. Nawet „Brismand I” nie wypłynął w morze i zaczęliśmy się zastanawiać, czy pogoda w ogóle pozwoli nam zakończyć budowę rafy.

- Wcześniej się zaczyna - obwieścił pesymistycznie Alain. - Za osiem dni pełnia. Do tego czasu pogoda się nie uspokoi. Nie teraz.

Flynn pokręcił głową.

- Żeby skończyć, potrzeba nam jednego ładnego dnia powiedział. - Byle odholować, co trzeba, gdy woda opadnie. Wszystko gotowe i czeka. Później już rafa sama o siebie zadba.

- Ale morze nam nie sprzyja - zaproponował Alain. - Odpływ nie jest dostatecznie daleki o tej porze roku. No i wiatr też nie pomaga. Cofa fale prosto na nas.

- Damy sobie radę - oznajmił niezłomnie Omer. - Przecież nie zrezygnujemy właśnie teraz, kiedy koniec jest już tak bliski.

- Robota zrobiona - przyznał Xavier. - Pozostał tylko ostatni szlif.

Matthias miał sceptyczną minę.

- Twoja „Cecilia” nie zabierze ładunku - rzekł szorstko. - Widziałeś, co się stało z

„Eleanore” i „Korrigan”. Te łodzie po prostu nie podołają takiemu morzu. Powinniśmy poczekać na ciszę.

I czekaliśmy u Angela, posępni niczym żałobnicy na stypie. Kilku starszych mężczyzn grało w karty. Capucine i Toinette siedziały w kącie, udając zainteresowanie jakimś czasopiśmie. Ktoś wrzucił franka w szafę grającą. Angelo podał piwo, na które mało kto z nas miał ochotę. Za to śledziliśmy prognozy pogody z ponurą fascynacją: burzowe chmury ścigały się po mapie Francji, a niefrasobliwa prezenterka zalecała ostrożność. Niedaleko, na Pile de Sein, przypływ zrównał domy z ziemią. Na zewnątrz, za horyzontem, grzmiało i błyskało. Zapadła noc; morze osiągnęło najniższy poziom. Wiatr niósł zapach dymu z broni palnej.

Flynn odsunął się od okna, przy którym stał.

- Zaczyna się - oznajmił. - Jutro może być za późno.

Alain spojrzał na niego.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy to zrobić dzisiaj?

Matthias sięgnął po swój kieliszek devinnoise i parsknął śmiechem, niezbyt przyjemnym.

- Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz, prawda, Rouget?

Flynn w milczeniu wzruszył ramionami.

- W każdym razie mnie tam nie zaciągniesz - podjął stary. - Nie na La Jete po ciemku, gdy nadciąga burza i zbliża się przypływ. Niezły sposób, żeby stracić życie, he? A może myślisz, że Święta cię ocali?

- Myślę, że Święta już zrobiła, co do niej należało - odparł Flynn. - Teraz kolej na nas. I jeśli mamy skończyć tę robotę, zabierzmy się do tego zaraz. Jeżeli nie zabezpieczymy pierwszych elementów, stracimy szansę.

Alain pokręcił głową.

- Tylko szalenciec wypływałby dokądkolwiek tej nocy.

Aristide zarechotał szkaradnie z kąta.

- Za wygodnie ci tutaj, he? Wy, Guenole, zawsze byliście tacy. Siedzieć w knajpie i snuć plany, podczas gdy prawdziwe życie toczy się za oknami. Ja idę - oświadczył, wstając z wysiłkiem. - Potrzymam lampę, jeśli do niczego innego się nie przydam.

Matthias w jednej chwili zerwał się na nogi.

- Pójdiesz ze mną - rzucił w stronę Alaina. - Nie pozwolę, by Bastonnet opowiadał, że Guenole boją się odrobiny wysiłku i wody. Szykuj się, i to już! Gdybym tylko miał moją

„Korrigane”, załatwilibyśmy wszystko dwa razy szybciej, ale nic się na to nie poradzi. Dlaczego...

- Przy mojej „Peoch” twoja „Korrigane” wyglądała niczym wieloryb wyrzucony na brzeg - przerwał zaczepnie Aristide. - Pamiętam, jak pewnego razu...

- Idziemy? - spytała Capucine, wstając z krzesła. - Bo ja pamiętam czasy, kiedy was obu stać było na coś więcej niż gadanie!

Aristide zerknął na nią, rumieniąc się lekko pod wąsem.

- Ha, La Puce, to nie jest zajęcie dla ciebie - burknął. Ja i mój chłopak...

- To jest zajęcie dla wszystkich - ucięła Capucine, naciągając vareuse.

Z pewnością wyglądaliśmy dziwnie, brnąc przez płytką wodę w stronę La Jetee. Prowadziłam wciągarkę na gąsienicach; jej pojedynczy reflektor omiatał mieliznę i zmieniał ochotników w woderach i vareuse w roztańczone cienie. Dojechałam nad samą wodę, wioząc „Cecilię” w przyczepie. Płaskodenna łódź do połowu ostryg mogła bez trudu unosić się na pływicznie i łatwo było ją załadować. Za pomocą podnośnika umieściliśmy na niej fragmenty konstrukcji. Ugięła się pod ciężarem i zanurzyła, lecz wytrzymała. Mężczyźni ustawieni po obu stronach utrzymywali ładunek w stabilnej pozycji. Inni ochotnicy pomagali zepchnąć „Cecilię” na głębszą wodę. Stopniowo, wykorzystując długie wiosła i niewielki silnik, skierowaliśmy łódź ku La Jetee. Powtórzyliśmy tę powolną i żmudną procedurę czterokrotnie, zanim nadszedł przypływ.

Później już niewiele widziałam. Moje zadanie polegało na dostarczeniu elementów rafy i odprowadzeniu wciągarki z powrotem na brzeg. Dostrzegałam tylko oddalone światło i zarys „Cecilii” na tle bladej ławicy piasku, a w chwilach ciszy między podmuchami wiatru dobiegały mnie podniesione głosy.

Przypływ nadchodził szybko. Bez łodzi nie mogłam dołączyć do pozostałych ochotników, ale obserwowałam ich z wydmy przez lornetkę. Wiedziałam, że czas nam się kończy. Na Le Devin przypływ wzbiera prędko - może nie aż tak prędko, jak na Mont Saint-Michel, gdzie fale potrafią prześcignąć galopującego konia, lecz z pewnością szybciej niż biegnący człowiek. Łatwo zostać odciętym od brzegu, a między Pointę a La Jetee prądy są wartkie i niebezpieczne.

Zagryzłam wargi. To wszystko trwało zbyt długo. Na La Jetee znajdowało się sześciu ludzi: Bastonnetowie, Guenole i Flynn. Zbyt wielu dla łodzi rozmiarów „Cecilii”. Do tej pory

zapewne stracili grunt pod nogami. Widziałam światła wędrujące wzdłuż piaszczystych łąch, niebezpiecznie daleko od brzegu. Umówiony, mrugający sygnał. Wszystko szło zgodnie z planem. Ale trwało zbyt długo.

Aristide opowiedział mi później, jak to było. Łańcuch zabezpieczający pozycję jednego z elementów uwiązał pod łodzią, unieruchamiając śrubę. Poziom morza wciąż się podnosił. Praca, która byłaby łatwa w płytkiej wodzie, zaczęła graniczyć z niemożliwością. Alain i Flynn zmagali się z zaczepionym łańcuchem, używając niedokończonej rafy jako dźwigni. Aristide siedział skulony na dziobie „Cecili” i patrzył.

- Rouget! - burknął, gdy Flynn wynurzył się z wody po kolejnej nieudanej próbie poluzowania łańcucha.

Flynn spojrział na starego pytająco. Już wcześniej zrzucił vareuse i czapkę dla większej swobody ruchów.

- To na nic - orzekł szorstko Aristide. - Nie przy tej pogodzie.

Alain uniósł głowę i fala bryzgnęła mu prosto w twarz. Zanurkował, kaszląc i klnąc.

- Możesz tam ugrzęznąć - upierał się Aristide. - Jeśli wiatr popchnie „Cecilię” na rafę...

Flynn po prostu nabrał tchu i zanurzył się ponownie. Alain podciągnął się na łódź.

- Musimy zaraz wracać, bo inaczej trzeba będzie przybijać do brzegu! - zawołał Xavier, przekrzykując wichurę.

- Gdzie Ghislain? - zapytał Alain, otrząsając się jak pies.

- Tutaj! Wszyscy wrócili na pokład. Oprócz Rougeta.

Fale wzbierały. Rozkołys nadchodził zza La Jetee i w świetle lamp widzieli prąd płynący w stronę La Griznoz, nabierający impetu w miarę podnoszenia się poziomu wody. To, co było płycizną, przeobrażało się w otwarte morze, burza nadciągała nieubłaganie. Nawet ja ją wyczuwałam. Wyładowania elektryczne wisiały w powietrzu. „Cecilia” zakołysała się gwałtownie - sprawił to zanurzony fragment niezabezpieczonej rafy a Matthias zaklął i klapnął ciężko na deski. Alain, wypatrujący Flynną w ciemnej wodzie, omal nie upadł.

- To nic nie daje - powiedział z niepokojem. - Jeśli nie założymy ostatnich lin, cała rafa rozleci się na kawałki.

- Rouget? - zawołał Aristide. - Rouget, nic ci się nie stało?

- Śruba się obraca - zawiadomił z rufy Ghislain. - Rouget ją w końcu uwolnił.

- Więc gdzie on się, do diabła, podziewa? - warknął Aristide.

- Posłuchajcie, musimy wracać - nalegał Xavier. - I tak nie pójdzie łatwo. Pepe - zwrócił się do Aristide'a - wracajmy natychmiast!

- Nie. Zaczekamy.

- Ale...

- Zaczekamy, powiedziałem! - Aristide zerknął na Alaina. - Nikt nie będzie mówił, że Bastonnet opuścił przyjaciela w potrzebie.

Alain przez sekundę wytrzymał jego spojrzenie, po czym odwrócił się, żeby zwinąć leżący kawałek liny.

- Rouget! - krzyknął na całe gardło Ghislain.

Flynn wynurzył się w następnej chwili z drugiej strony łodzi. Xavier dostrzegł go pierwszy.

- Jest tam! - zawołał. - Wyciągnijcie go!

Potrzebował pomocy. Udało mu się odczepić łańcuch od dna łodzi, teraz jednak należało umieścić element konstrukcji we właściwym miejscu. Ktoś musiał przytrzymać opony dostatecznie długo, by można było je spiąć razem. Niebezpieczne zadanie: gdyby silna fala pchnęła je ku sobie, mogłyby zgnieść człowieka. Ponadto rafa znajdowała się teraz pod wodą; pięć stóp czarnego, rozkołysanego morza zmuszało do działania po omacku. Alain zdjął vareuse.

- Ja to zrobię - zaproponował. Ghislain chciał go zastąpić, lecz ojciec nie pozwolił. - Nie. Przepuść mnie - powiedział i zsunął się do wody nogami naprzód.

Pozostali ochotnicy wyciągali szyję, ale „Cecilia”, spuszczone z uwięzi, zaczęła się oddalać od rafy.

Przypływ brał górę; pozostał zaledwie wąski pas mulistej płycizny, do której łódź mogła przybić. Jeszcze chwila i zniknie wszystko prócz skał, a ochotnicy, przy wietrze od morza, uwięzną między urwiskiem a nadciągającym sztormem. Dobiegł mnie niesamowity, zawodzący dźwięk z pokładu „Cecilii”, lampa zamrugła ostrzegawczo i dostrzegłam przez lornetkę dwie postaci, wciągane na łódź. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy wszystko w porządku. Nie nadszedł żaden sygnał.

Niecierpliwie obserwowałam z La Goulue pełznącą ku brzegowi „Cecilię”. Za nią błyskawica przecięła horyzont. Księżyc, któremu zaledwie kilku dni brakowało do pełni, wśliznął się za ścianę chmur.

- Nie zdążą - skomentowała Capucine, wpatrzona w kurczącą się płyciznę.

- Oni nie płyną na Le Griznoz - powiedział Omer. Znam Aristide'a. Zawsze powtarzał, że jeśli przyptyw odetnie łódź, powinno się zawrócić do La Goulue. Dłuższa droga, ale prądy nie są takie silne i można bezpieczniej przybić do brzegu.

Miał słuszość. Pół godziny później „Cecilia” okrążyła Pointę, rozkołysana nieco, lecz nadal dość stabilna i skierowała łódź ku La Goulue. Pobiegliśmy na jej spotkanie, wciąż nie wiedząc, czy rafa została zabezpieczona, czy pozostawiona na pastwę żywiołów.

- Patrzcie! To ona!

„Cecilia” wpłynęła w obręcz zatoki. Dalej na morzu wysokie, grzywiaste fale odzwierciedlały siniejące niebo. Wewnątrz kręgu panował względny spokój. Boja świetlna jarzyła się czerwonym blaskiem, wydobywając z mroku ich twarze. W chwilowej ciszy usłyszeliśmy podniesione, śpiewające głosy.

Dziwny, niesamowity dźwięk wśród zimnej nocy i przy nadciągającej burzy. Lampa Aristide'a oświetliła sześciu ludzi na pokładzie i gdy się zbliżyli, potrafiłam już rozróżnić twarze skąpane w czerwonym błasku. Alain i Ghislain mieli na sobie długie peleryny; Xavier stał na rufie, a obok niego siedzieli Aristide Bastonnet i Matthias Guenole. Przedstawiali dramatyczny obraz, coś jak z Johna Martina, na tle tego apokaliptycznego nieba: dwaj starcy o długich włosach i sumiastych wąsach, zwrócenie profilami ku lądowi z posepnym tryumfem. Dopiero później uświadomiłam sobie, że wtedy po raz pierwszy w życiu widziałam Matthiasa i Aristide'a siedzących ramię w ramię i słyszałam ich wspólny śpiew. W owej godzinie dwaj wrogowie stali się może nie przyjaciółmi, lecz kimś w rodzaju sprzymierzeńców.

Pobrnęłam na spotkanie „Cecylii”. Ludzie wskakiwali do wody, żeby pomóc wyciągnąć ją na brzeg. Był wśród nich Flynn. Uścisnął mnie szorstko, gdy ciągnęłam za dziób „Cecylii”. Mimo wyczerpania jego oczy jaśniały. Zarzuciłam mu ręce na szyję, dygocząc w zimnej wodzie. Parsknął śmiechem.

- Co się dzieje?

- Jednak ci się udało. - Mój głos drżał.

- Oczywiście.

Był lodowato zimny i pachniał mokrą wełną. Osłabłam z ulgi; przylgnęłam do niego kurczowo i omal nie przewróciliśmy się obydwoje. Jego włosy smagnęły mnie po twarzy. Usta miały słony smak i były ciepłe.

U dziobu łodzi Ghislain opowiadał wszystkim, którzy chcieli słuchać, jak to Alain i

Rouget nurkowali na zmianę, żeby zamocować ostatni komplet lin. Na urwisku czekała grupa mieszkańców wioski - rozpoznałam Angela, Charlotte, Toinette, Desiree i mojego ojca. Gromadka dzieci z latarkami zaczęła wiwatować. Ktoś odpalił racę sygnalizacyjną, która pomknęła żwawo po kamieniach w stronę wody. Angelo krzyknął z góry:

- Stawiam devinnoise wszystkim ochotnikom! Wypijcie toast za Sainte-Marine!

Podchwycono daleki okrzyk.

- Niech żyje Les Salants!

- Precz z La Houssiniere!

- Hip, hip, hura dla Rougeta!

To wołał Omer, przepychając się koło mnie w kierunku dziobu. Alain z jednej, Omer zaś z drugiej strony dźwignęli Flynna nad powierzchnię wody. Dołączyli do nich Ghislain i Xavier. Flynn uśmiechał się szeroko, jadąc na ich ramionach.

- Pierwszy mechanik! - zakrzyknął Aristide.

- Przecież jeszcze nie wiadomo, czy ta bariera zadziała zaśmiał się Flynn.

Grzmot zagłuszył jego protesty. Czyjś dziarski, wyzywający okrzyk wzniósł się ku niebu. Jak gdyby w odpowiedzi lunął deszcz.

29

Nadszedł teraz okres niepewności, zarówno dla mnie, jak i dla innych. Wyczerpani tygodniami intensywnych zajęć budowlanych, popadliśmy w marazm - zbyt zmęczeni, by pracować, i zbyt niespokojni, by świętować. Dni upływały w nieustannym napięciu. Czekaliśmy, niczym mewy na wodzie, aż fala się odmieni.

Alain napomykał o zainwestowaniu w kolejną łódź. Utrata „Korrigane” udaremniła Guenole połowy ryb i choć robili dobrą minę do złej gry, cała wioska wiedziała, że rodzina tonie w długach. Jeden Ghislain wydawał się optymistą; kilka razy zauważyłam go w La Houssiniere, wałęsającego się wokół kawiarni „Chat Noir” w coraz to nowym podkoszulku o psychodelicznych barwach. Jeśli nawet Mercedes była pod wrażeniem, nie zdradziła się z tym.

Nikt nie wspominał o rafie. Trzymała się na razie, znalazłszy - jak przepowiedział Flynn - odpowiednie dla siebie położenie, wyczuwano jednak, że głośne mówienie na ten temat oznaczałoby igranie z losem. Mało kto żywił większe nadzieje. Ale zmniejszyły się podtopienia w La Bouche, Les Salants było czyste aż po niżej położone mokradła, a po listopadowych

przyptywach nie odnotowano dalszych uszkodzeń ani w La Bouche, ani w La Goulue.

Nikt zbyt głośno nie wyrażał nadziei. Osoba z zewnątrz nie zauważyłaby w Les Salants żadnej zmiany. Ale Capucine dostała kartkę od córki z kontynentu, Angelo zaczął odnawiać bar, Omer i Charlotte uratowali ziemniaki na zimę, a Desiree Bastonnet poszła do La Houssiniere i spędziła ponad godzinę przy telefonie, rozmawiając ze swym synem Philippe'em w Marsylii.

Żadne z tych wydarzeń nie miało wielkiego znaczenia. Z pewnością nie zwiastowały nam ostatecznej odmiany losu. Mimo to coś wisiało w powietrzu: nastrój rysujących się możliwości, zaczątki rozpędu.

Grosjean również się zmienił. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu przejawiał zainteresowanie opuszczonym warszatem na podwórzu i pewnego dnia po powrocie zastałam go w kombinezonie roboczym, słuchającego radia i porządkującego zardzewiałe narzędzia w skrzynce. Kiedy indziej zaczął uprzątać pokój gościnny. Raz poszliśmy razem na grób P'titjeana - podtopienia do tego czasu prawie ustąpiły i wysypaliśmy teren wokół nagrobka świeżym żwirem. Grosjean przyniósł w kieszeni cebulki krokusów, które zasadziliśmy razem. Przez chwilę było niemal tak, jak w dawnych czasach, kiedy pomagałam ojcu przy łodziach, a Adrienne z matką szły do La Houssiniere, zostawiając nas samym sobie. To był nasz czas, kradziony i dlatego cenny; zdarzało się, że porzucaliśmy warsztat i wyprawialiśmy się na ryby do La Goulue albo żeglowaliśmy łódkami po etier, jak gdy - bym była synem, którego powinien mieć.

Jedynie Flynn wydawał się taki sam jak zawsze. Kontynuował codzienne zajęcia, jakby z rafą nie miał nic wspólnego. A przecież, myślałam sobie, naraził dla niej życie tamtej nocy na La Jete. Zupełnie go nie rozumiałam. Pomimo swobodnego obejścia było w nim coś niejednoznacznego, jakieś miejsce w środku, do którego nigdy mnie nie zapraszał. Budziło niepokój, jak cień w głębokiej wodzie. Niemniej, jak każda głębia, przyciągało mnie.

Nasza fala odwróciła się dwudziestego pierwszego grudnia o wpół do dziewiątej rano. Nagle zmienił się wiatr i zapadła cisza; ostatni i najwyższy przyptyw tego miesiąca ustąpił w końcu przed rafą przy La Jete. Jak co dzień, poszłam sama do La Goulue wypatrywać oznak zmiany. Białe światło świtu padało na pozieleniałe od wodorostów kamyki, a cofające się morze odsłoniło płycizny. Kilka bouchotsdrewnianych palików oznaczających stare ławice ostryg które przetrwały zimową pogodę nietknięte, sterczało z wody, obwieszonych naszyjnikami ze sznurów.

Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że całą linię wody zaścietają odpadki naniesione przez przyływ: kawałek liny, wiewiórka na homary, zgubiona tenisówka. W kałuży u moich stóp przywarł do podłoża samotny zielony skałoczek.

Skorupiak żył. To było niezwykle. Burzliwe pływy w La Goulue raczej nie zachęcały morskich stworzeń do osiedlania się tutaj. Jeżowce, od czasu do czasu. Zabłąkane meduzy, przywołujące na myśl foliowe woreczki, które pozostawiono na brzegu do wyschnięcia. Nachyliłam się, by obejrzeć z bliska kamienie. Osadzone w mule, tworzyły szeroki pas, po którym lepiej było nie stąpać. Tego dnia jednak zauważyłam coś nowego. Coś twardszego niż szlam z mielizny, coś lżejszego, co pokrywało zanurzone otoczaki powłoczką jakby rozdrobnionej miki.

Piasek.

O, nie zebrałaby się go nawet garść. Ale to był piasek; jasny piasek z La Jete, połyskujący kręgiem wokół zatoki. Poznałabym go wszędzie.

Powiedziałam sobie, że to nic takiego: cienka warstewka, naniesiona przez przyływ, i tyle. Nic nie oznaczała.

Oznaczała wszystko.

Zgarnęłam na dłoń, ile się dało - szczyptę, na której bez trudu zacisnęłam palce - i pobiegłam ścieżką nad urwiskiem do starego blokhauzu. Flynn był jedyną osobą, która potrafiła zrozumieć znaczenie tych kilku ziarenek. Flynn, który stał po mojej stronie. Zastałam go w niekompletnym stroju, przy kawie; jego worek na skarby z plaży leżał przy drzwiach. Gdy weszłam, zadyszana, odniosłam wrażenie, że Flynn jest zmęczony i - jak na siebie - dziwnie zasępio.

- Udało się! Spójrz! - Wyciągnęłam ku niemu otwartą dłoń.

Patrzył długo, a potem wzruszył ramionami i zaczął wciągać buty.

- Szczypta piasku - mruknął obojętnie. - Można by go zauważyć, gdyby dostał się człowiekowi do oka.

Moje emocje zgasły, jak gdyby wylano na nie wiadro zimnej wody.

- Ale to dowodzi, że rafa działa - zaoponowałam. - Twój cud. Zaczęło się.

Nie zareagował uśmiechem.

- Cuda to nie moja specjalność.

- Piasek jest dowodem - upierałam się. - Odwróciłeś bieg spraw. Uratowałeś Les Salants.

Flynn zaśmiał się złośliwie.

- Na miłość boską, Mado! - rzucił. - Nie potrafisz myśleć o niczym innym? Tylko tego pragniesz? Być częścią tej... tego smętnego kółka nieudaczników i degeneratów, bez pieniędzy, bez życia, starzejąc się i tkwiąc w miejscu, modląc się do morza i dogorywając z roku na rok? Pewnie, twoim zdaniem, powinienem się cieszyć, że tu utknąłem, że to coś w rodzaju przywileju... - Urwał i popatrzył w okno; jego gniew opadł nagle. Złośliwy wyraz zniknął z twarzy bez śladu, jakby go nigdy nie było.

Zdrętwiałam, zupełnie jakby mnie uderzył. Czy jednak nie wyczuwałam tego wcześniej - napięcia, groźby nagłego wybuchu?

- Myślałam, że ci się tu podoba - powiedziałam. - Wśród nieudaczników i degeneratów.

Znowu wzruszył ramionami, tym razem z lekkim zawstydzeniem.

- Podoba mi się - przyznał. - Może aż za bardzo.

W ciszy, która zapadła, nadal wpatrywał się w okno, a w jego ciemnoszarych oczach odbijało się światło poranka. Potem spojrzął na mnie, rozchylił moje palce i rozgarnął piasek, który trzymałam w dłoni.

- Ziarenka są drobne - zauważył po chwili. - Zawierają dużo miki.

- I co z tego?

- To jest lekkie. Nie osiadzie na dłużej. Plaża potrzebuje solidnej podstawy, kamieni, otoczków i tak dalej, jako punktu oparcia. Inaczej woda ją po prostu wypłucze. Z tym będzie podobnie.

- Rozumiem.

Dostrzegł wyraz mojej twarzy.

- Czy to dla ciebie aż tak wiele znaczy?

Nie odpowiedziałam.

- Plaża nie przemieni tego miejsca w La Houssiniere.

- Wiem.

Westchnął.

- No dobra. Spróbuję.

Położył dłonie na moich ramionach. Przez chwilę czułam gęstniejącą w powietrzu zapowiedź możliwości, niczym wyładowania elektryczne. Zamknęłam oczy, czując zapach tymianku, starej wełny i wydm o poranku. Lekko stęchły zapach, jak w zagłębieniach pod

budkami plażowymi w La Houssiniere, gdzie się niegdyś chowałam i czekałam na ojca. Zobaczyłam twarz Adrienne obserwującej mnie i uśmiechającej się pełnymi, umalowanymi ustami - i pośpiesznie otworzyłam oczy. Ale Flynn już się odwrócił.

- Muszę iść. - Podniósł worek i zaczął wkładać kurtkę.

- Dlaczego? Coś ci przyszło do głowy? - Wciąż czułam na ramionach jego dotyk. Było to ciepłe wspomnienie i coś wewnątrz mnie otworzyło się na to ciepło jak kwiat w słońcu.

- Może. Zastanowię się nad tym. - Ruszył szybko ku drzwiom.

- O co ci chodzi? Skąd ten pośpiech?

- Muszę skoczyć do miasteczka. Chcę coś zamówić, zanim prom odpłynie. - Umilkł i posłał mi beztroski, promienny uśmiech. - Do zobaczenia, Mado. Czas na mnie.

Zaintrygowana, wyszłam za nim na zewnątrz. Jego nagłe zmiany nastroju, przechodzenie z jednej skrajności w drugą, przypominające jesienne wahania pogody, nie były niczym nowym. Coś go jednak gnębiło, coś więcej niż moja nieoczekiwana wizyta. Ale szansa, że mi powie, co to takiego, była znikoma.

Wtem, gdy Flynn zamykał drzwi, jakiś drobny ruch przyciągnął mój wzrok; czyjaś biała koszula mignęła w pewnej odległości za wydmiami. Postać na ścieżce. Niemal natychmiast przesłoniła ją sylwetka Flynnna, a zanim się odsunął, postać zniknęła. Mimo to, choć widziałam ją zaledwie przez sekundę i wyłącznie od tyłu, wydało mi się, że rozpoznaję krok, zwalistą figurę i włożoną na bakier rybacką czapkę.

To nie miało sensu; ścieżka wiodła tylko na wydmy, nigdzie indziej. Później jednak, wracając tą samą drogą, odkryłam na twardym piasku ślady espadryli i upewniłam się, że miałam słuszność. Brismand był tam przede mną.

30

Dotarwszy do wioski, od razu wiedziałam, że coś się stało. To wisiało w powietrzu - nieznaczące napięcie, powiew obcości. Biegłam przez całą drogę z La Goulue, ściskając piasek w garści tak mocno, że drobiny miki wbiły mi się w skórę. Gdy znalazłam się za wielką wydumą, naprzeciw opuszczonego warsztatu Grosjeana, poczułam, jak lodowata obręcz zaciska się na moim sercu.

Przed domem stało pięć osób, trójka dorosłych i dwoje dzieci. Wszyscy mieli smagłą cerę; mężczyzna nosił długą, jakby arabską szatę pod grubą zimową kurtką. Dzieci dwaj chłopcy

o śniadej skórze i włosach spłowiałych od słońca - wyglądali na jakieś osiem i pięć lat. Zobaczyłam, że mężczyzna otwiera furtkę, a dwie kobiety wchodzą za nim.

Jedna była drobna i niepozorna; jej włosy skrywał kaptur żółtego burnusu. Kroczyła za dziećmi, gderając w języku, którego nie rozumiałam.

Drugą kobietą okazała się moja siostra.

- Adrienne?

Kiedy ją ostatni raz widziałam, miała dziewiętnaście lat, dopiero co wyszła za mąż, była smukła i ładna na swój chmurny, cygański sposób, naśladowany przez Mercedes Prossage. Nadal była taka, choć odniosłam wrażenie, że lata dodały jej surowości, stała się bardziej czujna, kanciasta. Długie, proste włosy ufarbowane miała henną. Na brązowych przegubach dzwoniły złote bransolety. Odwróciła się, słysząc mój głos.

- Mado! Ależ wyrosłaś! Skąd wiedziałaś, że przyjeżdżamy?

Jej uścisk był krótki i przesycony wonią paczuli. Marin ucałował mnie w oba policzki. Pomyślałam, że wygląda jak młodsza wersja stryja, lecz jego szczupła postać i pokryty meszkiem podbródek nie miały w sobie nic z żywiołowego, niebezpiecznego wdzięku Claude'a.

- Nie wiedziałam.

- No cóż, znasz ojca. Jest raczej małomówny. - Zgarnęła młodszego z chłopców z ziemi i wyciągnęła ramiona w moją stronę. Dziecko zaczęło się wrywać. - Nie widziałaś jeszcze moich małych wojaków, prawda, Mado? To jest Franek. A ten to Lo'ic. Przywitaj się z ciotką Mado, Loic.

Chłopcy zwrócili ku mnie identyczne, smagłe i pozbawione wyrazu buzie, ale się nie odezwali. Drobna kobieta w burnusie, którą uznałam za nianię, zagdakała do nich gorączkowo po arabsku. Ani Marin, ani Adrienne jej nie przedstawili i wydawała się zaskoczona moim powitaniem.

- Napracowałaś się tutaj - zauważyła Adrienne, zerkając na dom. - Za naszej ostatniej bytności był w strasznym stanie. Wszystko się rozpadało.

- Za ostatniej bytności? - O ile wiedziałam, obydwójce z Marinem nigdy nie odwiedzili wyspy.

Ale Adrienne otwierała już drzwi do kuchni. Grosjean stał przy oknie i patrzył przez nie. Za nim resztki śniadania - chleb, zimna kawa, otwarty słoik dżemu - oczekiwały mego przybycia niczym wyrzut sumienia.

Dzieci spoglądały z zaciekawieniem. Franek szepnął coś po arabsku do Loica i obaj zachichotali. Adrienne podeszła bliżej.

- Papo?

Grosjean odwrócił się powoli. Jego powieki opadły.

- Adrienne - powiedział. - Miło cię widzieć.

Z uśmiechem nalał sobie kubek zimnej kawy z dzbanka stojącego na stole. Jego powitanie oczywiście nie zdziwiło Adrienne. Dlaczego miałyby ją dziwić? Oboje z Marinem uścisnęli go sumiennie. Chłopcy trzymali się z tyłu i chichotali. Niania, uśmiechając się, skłoniła głowę i z szacunkiem spuściła oczy. Grosjean poprosił gestem o więcej kawy i zabrałam się do jej parzenia, zadowolona, że mogę się czymś zająć. Niezdarnie nalewając wodę, wyjmowałam cukier. Filiżanki wyslizgiwały mi się z rąk jak świeżo złowione ryby.

Za moimi plecami Adrienne opowiadała wysokim, dziewczęcym głosem o swoich dzieciach. Chłopcy bawili się na dywaniku przed kominkiem.

- Nazwaliśmy ich na twoją cześć, papo - tłumaczyła Adrienne. - Twoją i P'titjeana. Ochrzciliśmy ich Jean-Franck i Jean-Loic, ale na razie skracamy te imiona, dopóki chłopcy do nich nie dorosną. Widzisz, nigdy nie zapomnieliśmy, że jesteśmy salanianami.

- Ha.

Nawet ta monosylaba stanowiła coś w rodzaju cudu. Ile razy od mojego powrotu Grosjean bezpośrednio do mnie przemówił? Odwróciłam się z dzbankiem, lecz mój ojciec wpatrywał się jak urzeczony w chłopców, turlających się i mocujących na dywanie. Franek zauważył jego spojrzenie i pokazał język. Adrienne zaśmiała się pobłaźliwie.

- Mały łobuziak.

Ojciec zachichotał cicho.

Nalałam wszystkim kawy. Chłopcy zjedli po kawałku ciasta i utkwili we mnie szeroko otwarte brązowe oczy. Wyjawszy różnicę wieku, byli niemal identyczni: długie ciemnoblonde grzywki, chude nogi i zaokrąglone brzuszki pod jaskrawymi ocieplanymi kurtkami. Adrienne mówiła o nich z czułością, zauważyłam jednak, że ilekroć należało zrobić coś konkretnego - wytrzeć lepkie usta lub mokre nosy, zabrać puste talerzyki - zwracała się do niani.

- Już od tak dawna chciałam przyjechać do domu - westchnęła, popijając kawę. - Ale interesy, papo, no i dzieci... ciągle brakowało nam czasu. Wiesz, tam nikomu nie można ufać. Europejczycy łatwo padają ofiarą. Złodziejstwo, korupcja, wandalizm, co tylko chcesz. Ani na

chwilę nie można się odwrócić.

Grosjean słuchał. Pił kawę, a filiżanka niemal ginęła w jego potężnej dłoni. Gestem zażądał drugiego kawałka ciasta. Ukroiłam i podałam mu talerzyk nad stołem. Nie doczekałam się reakcji. A jednak kiedy Adrienne mówiła, ojciec od czasu do czasu kiwał głową, czemu towarzyszyło niekiedy wyspiarskie „ha” na znak potwierdzenia. W jego przypadku równało się to gadulstwu.

Później Marin zaczął opowiadać o swoich interesach w Tangerze, o antycznych płytkach ceramicznych, które stały się ostatnim krzykiem mody w Paryżu, o możliwościach eksportu, podatkach, zadziwiająco taniej sile roboczej, francuskiej diasporze, do której się zaliczali, bezwzględności konkurencji, ekskluzywnych klubach, do jakich należeli. Ich życie rozwijało się przed nami niczym bela kolorowego jedwabiu. Bazary, baseny, żebracy, uzdrowiska, wieczorne rozgrywki brydżowe, handlarze uliczni, wyzysk w zakładach pracy. Służący do wszystkiego. Moja matka byłaby pod wrażeniem.

- A oni są chętni do pracy, papo. Tak wygląda tam poziom życia. Absurdalnie niski. Płacimy im znacznie więcej, niż by zarobili wśród swoich. Większość z nich jest nam naprawdę wdzięczna.

Zerknęłam na drobną nianię, która zamasyżuje ocierała buzię Francka wilgotną szmatką. Zastanawiałam się, czy zostawiła w Maroku rodzinę, czy tęskni za domem. Franek wyrывał się i skarżył po arabsku.

- Mieliśmy, oczywiście, pewne problemy - ciągnęła Adrienne. Pożar w magazynie, dzieło zawistnego konkurenta. Milionowe straty. Drobne kradzieże i oszustwa, popełniane przez pozbawionych skrupułów pracowników. Rasistowskie napisy na ścianach ich rezydencji.

Powiedziała, że fundamentaliści zdobywają władzę i utrudniają życie cudzoziemcom. Ponadto należało mieć na względzie dzieci... Przeżyli wszyscy wiele miłych chwil. Teraz jednak należy pomyśleć o przeprowadzce.

- Pragnę dla moich chłopców najlepszego wykształcenia, papo - oznajmiła. - Chcę, żeby wiedzieli, kim są. To dla mnie warte poświęcenia. Żałuję tylko, że mama nie zobaczyła... - Urwała i skierowała wzrok na mnie. - Sama wiesz, jaka ona była - podjęła. - Nie przyjmowała żadnych rad. Nie chciała nawet przyjąć pieniędzy. Była zbyt uparta.

Popatrzyłam na siostrę bez uśmiechu. Pamiętałam, jak bardzo matka była dumna ze swojej pracy sprzątaczką, jak opowiadała mi o koszulach od Hermesa, które prasowała, i

kostiumach Chanel, odbieranych z pralni; i jak gdy znalazła pieniądze między poduszkami sofy, kładła je zawsze na popielnicze, bo ich zabranie byłoby równe kradzieży.

- Pomagaliśmy jej, ileśmy mogli - podjęła Adrienne, zerkając na Grosjeana. - Chyba o tym wiesz, prawda? Bardzo się martwiliśmy, papo, że jesteś tu całkiem sam.

Władczym gestem zażądał kawy. Nalałam.

- Na pewien czas zatrzymamy się w Nantes, żeby załatwić pewne sprawy. Marin ma tam stryja, Amanda, kuzyna Claude'a. Importera antyków. On nas przyjmie, dopóki nie znajdziemy sobie czegoś na dłuższą metę.

Marin przytaknął ruchem głowy.

- Warto wiedzieć, że chłopcy chodzą do dobrej szkoły. Mały Jean-Franck prawie nie mówi po francusku. A obaj muszą się nauczyć czytać i pisać.

- No, a najmłodsze dziecko? - Przypomniałam sobie, że gdy matka umierała, Adrienne była w ciąży. Mimo to nie wyglądała na kobietę, która właśnie urodziła dziecko. Zawsze była bardzo szczupła, a teraz jeszcze bardziej. Zauważyłam jej kruche, kościste przeguby i dłonie, cienie pod kośćmi policzkowymi.

Marin spojrział na mnie z wyrzutem.

- Adrienne poroniła w trzecim miesiącu - odezwał się nosowym głosem. - Nie rozmawiamy na ten temat. - Jego ton sugerował, że bezpośrednio się do tego przyczyniłam.

- Przykro mi - wymamrotałam.

Adrienne uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie szkodzi - odparła. - Jedyne matka potrafi to zrozumieć. - Dotknęła głowy jednego z chłopców chudą, smagłą dłonią. - Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie te moje aniołki - podsumowała.

Chłopcy zachichotali i wymienili kilka słów po arabsku. Grosjean wpatrywał się w nich jak w świętość.

- Możemy ich przywieźć w wakacje - podsunęła Adrienne bardziej ożywionym głosem. - Miło nam będzie przyjechać na dłużej.

31

Spędzili w domu dwie godziny. Adrienne zwiedziła wszystko, od strychu po piwnice, a Marin zbadał opuszczony warsztat. Grosjean zapalił gitane'a, wypił kawę i obserwo - wał

chłopców błyszczącymi, niebieskimi oczyma.

Ci chłopcy. To nie powinno mnie dziwić. Zawsze marzył o synach i przybycie Adrienne, matki jego wnuków, pograżyło naszą wygodną egzystencję w nieoczekiwanym chaosie. Grosjean bacznie śledził ich poruszenia, mierzwiąc od czasu do czasu długie loki chłopców i odsuwając ich od kominka, gdy przetaczali się zbyt blisko; pozbierał ich kurtki i złożył na krześle. Siedziałam niepozornie i niezdarne naprzeciw niani, która również nie miała nic do roboty. Garść piasku - schowana teraz w kieszeni - świerbiła mnie. Pragnęłam wrócić do La Goulue albo na wydmy, gdzie mogłabym zostać sama, ale zafrapował mnie wyraz twarzy mojego ojca. Wyraz, który powinnam zobaczyć tylko ja.

W końcu nie mogłam się powstrzymać.

- Dziś rano poszłam do La Goulue.

Brak reakcji. Franek i Loic tarzali się po podłodze w udawanej walce. Niania uśmiechnęła się nieśmiało, najwyraźniej nie rozumiejąc ani słowa.

- Pomyślałam, że przyplływ coś przyniesie.

Grosjean ukrył twarz w filiżance. Dało się słyszeć ciche siorbanie. Odstawił naczynie i podsunął mi je gestem oznaczającym „chcę więcej”.

Zignorowałam go.

- Widzisz? - Wyciągnęłam rękę z kieszeni i rozłożyłam dłoń. Przyłgął do niej piasek.

Grosjean ponownie trącił swoją filiżankę.

- Wiesz, co to znaczy? - Mój głos ostro się podniósł. Obchodzi cię to choć trochę?

Znowu ten sam gest. Frank i Loic wpatrywali się we mnie z otwartymi ustami, zapomniawszy o zabawie. Grosjean utkwiał oczy gdzieś poza mną, obojętny i nieporuszony niczym posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Nagle ogarnęła mnie złość. Wszystko układało się nie tak jak trzeba: najpierw Flynn, potem Adrienne, a teraz Grosjean. Z rozmachem postawiłam przed nim dzbanek, wychlapując kawę na obrus.

- Chcesz kawy? - rzuciłam wściekle. - To sam jej sobie nalej! A jeśli chcesz, żebym ja ci naląła, poproś! Wiem, że potrafisz. Wystarczy powiedzieć!

Cisza. Grosjean znów wpatrzył się w okno, lekceważąc mnie i wszystko inne. Wyglądał zupełnie tak samo, jak dawniej, przed naszymi ostatnimi postępami. Chwilę później Franek i Loic wznowili zabawę. Nieśmiała niania spuszczała oczy. Z zewnątrz dobiegł mnie wysoki,

podniecony głos Adrienne. Zaczęłam uprzątać naczynia, wrzucając je do zlewu. Wylałam resztę kawy, oczekując sprzeciwu, którego nikt nie zgłosił. Umyłam naczynia i wytarłam je bez słowa. Piekły mnie oczy. Wraz z okruchami zmiotłam ze stołu piasek.

32

Moja siostra z rodziną zatrzymała się na dwa tygodnie w „Les Immortelles”. Przyszli na obiad w Boże Narodzenie, a potem wpadali niemal codziennie na godzinę, by następnie wrócić do hotelu. W Nowy Rok Franek i Lo'ic wyjechali z nowymi rowerami po trzy tysiące franków, specjalnie zamówionymi na kontynencie przez mojego ojca.

Dopiero na trapie „Brismanda I”, gdy Grosjean pomagał niani wnieść bagaż, Adrienne odwołała mnie na bok. Spodziewałam się tego i ciekawa byłam, ile czasu zajmie jej dojście do sedna.

- Chodzi o papę - wyznała. - Nic nie mówiłam przy chłopcach, ale bardzo się martwię.

- Czyżby? - Starłam się, by nie zabrzmiało to sarkastycznie.

Adrienne miała niezadowoloną minę.

- Wiem, że mi nie wierzysz, ale jestem bardzo przywiązana do papę - oznajmiła. - Martwię się, że mieszka tu na odludziu i jego byt zależy od jednej osoby. Nie sądzę, aby to było dla niego dobre.

- Tak naprawdę - odparłam - to sądzę, że jego stan się poprawił.

- Nikt ci nie zarzuca braku starań. - Adrienne uśmiechnęła się. - Ale nie jesteś pielęgniarką i nie masz kwalifikacji, by zająć się jego problemami. Zawsze uważałam, że jest mu potrzebna pomoc.

- Jaka pomoc? - usłyszałam swój podniesiony głos. - Taka jak w „Les Immortelles”? Taka, jaką proponuje Claude Brismand?

Moja siostra zrobiła urażoną minę.

- Nie mów tak, Mado. Wiem, że ciągle jesteś rozstrojona po pogrzebie mamy. Jest mi strasznie przykro, że nie przyjechałam. Ale mój stan...

Zignorowałam to.

- Czy Brismand kazał ci wrócić? - spytałam. - Doniósł ci, że odmawiam współpracy?

- Chciałam, żeby papa zobaczył chłopców.

- Chłopców?

- Tak. Żeby zobaczyć, że życie toczy się dalej. To mu nie służy mieszkać tutaj, kiedy mógłby przebywać w pobliżu rodziny. Twoje postępowanie jest egoistyczne i niebezpieczne.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, zdumiona i wstrząśnięta. Naprawdę jestem egoistką? Naprawdę moje plany i marzenia tak mnie pochłonęły, że nie zważałam na potrzeby mojego ojca? Czy rzeczywiście Grosjean nie chciał ani rafy, ani plaży, ani w ogóle niczego, co dla niego zrobiłam? I pragnął tylko zobaczyć wnuków, których przywiozła Adrienne?

- To jego dom - odparłam po chwili. - A ja należę do jego rodziny.

- Nie bądź naiwna - prychnęła moja siostra i w tym momencie była dawną Adrienne, wzdurliwą starszą siostrą, siedzącą na tarasie kawiarni w La Houssiniere i wysmiewającą moje krótko ostrzyżone włosy oraz znoszone ubrania. Może tobie się wydaje, że życie na pustkowiu jest czymś romantycznym. Ale dla biednego papy to wygląda zupełnie inaczej. Spójrz tylko na ten dom... sklecony z resztek. Nie ma w nim nawet porządnej łazienki. A gdyby ojciec zachorował? Macie tu tylko tego starego weterynarza, jak mu tam? Co by było, gdyby potrzebny był szpital?

- Nie zmuszam go do niczego. - Nienawidziłam obronnego tonu, który pojawił się w moim głosie. - Opiekuję się nim, to wszystko.

Adrienne wzruszyła ramionami. Równie dobrze mogła powiedzieć głośno: „Tak jak opiekowałaś się matką”. Na samą myśl o tym poczułam się chora; rozbolała mnie głowa.

- Przynajmniej spróbowałam - podjęłam. - A co ty dla nich zrobiłaś, żyjąc w tej swojej wieży z kości słoniowej? Skąd możesz wiedzieć, co się z nami działo przez te wszystkie lata?

Nie wiem, dlaczego mama zawsze się upierała, że to ja bardziej przypominam Grosjeana. Adrienne uśmiechnęła się tym swoim nieprzeniknionym uśmiechem, pogodna jak odbitka fotograficzna i równie milcząca. Jej pełne samozadowolenia milczenie zawsze wściekało. Igiełki gniewu zakłuły mnie niczym ukąszenia stada mrówek.

- Ile razy nas odwiedziłaś? Ile razy obiecywałaś zadzwonić? Ty i twoje urojone ciążę... Zadzwoniłam do ciebie, Adrienne, powiedziałam ci, że mama umiera...

Moja siostra wpatrywała się we mnie; krew odpłynęła z jej twarzy.

- Urojone ciążę?

Jej zboląta mina zmusiła mnie do zamilknięcia. Poczułam, że się czerwienię.

- Słuchaj, Adrienne, przepraszam cię, ale...

- Przepraszasz? - Jej głos zabrzmiał piskliwie. - Skąd możesz wiedzieć, jak to ze mną

było? Straciłam dziecko, wnuka mego ojca, a tobie się wydaje, że wystarczy zwykłe „przepraszam”?

Spróbowałam dotknąć jej ramienia, ale odskoczyła z nerwowym, histerycznym wzdrygnięciem, które w jakiś sposób przypomniało mi matkę. Przeszła mnie spojrzeniem ostrym jak sztylet.

- Mam ci powiedzieć, Mado, dlaczego tu nie przyjeżdżaliśmy? Mam ci powiedzieć, dlaczego zamieszkaliśmy w „Les Immortelles”, a nie u papy, gdzie moglibyśmy codziennie go widywać? - Jej głos był jak latawiec, lekki, kruchy i bujający w powietrzu.

Potrząsnęłam głową.

- Proszę cię, Adrienne...

- To przez ciebie, Mado! Dlatego, że ty tu byłaś! - Niemal płakała, złość zapierała jej dech, lecz wyczułam w tym odcień satysfakcji; podobnie jak matka, Adrienne uwielbiała przedstawienia. - Zawsze się czepiałaś! Zawsze mnie prześladowałaś! - Zaszlochała głośno. - Zastraszyłaś mamę, chciałaś, żeby się wyprowadziła z Paryża, który kochała, a teraz robisz to samo z biednym papą! Ta wyspa to u ciebie obsesja, tak jest, Mado, i nie potrafisz zrozumieć ludzi, którzy pragną czegoś innego niż ty! - Adrienne otarła twarz rękawem. - A jeśli nie wrócimy, Mado, to nie z powodu papy, tylko dlatego, że nie zniosę twojej obecności!

Zabuczała syrena promu. Gdy ucichła, usłyszałam za sobą jakieś szuranie i natychmiast się odwróciłam. Na trapie stał, nie wydobywając z siebie głosu, Grosjean. Wyciągnęłam ręce.

- Ojczy...

Ale on już zmierzał w przeciwną stronę.

33

W styczniu w La Goulue pojawiło się więcej piasku. Zanim minęła połowa miesiąca, był już widoczny na pierwszy rzut oka: wąska biała falbanka na tle skał, jeszcze nie plaża, rzecz jasna, ale jednak piasek, pocętkowany drobinami miki, które przy odpływie zaschły na prosek.

Flynn dotrzymał słowa. Z pomocą Damiena i Lolo przydźwigał z wydm worki pełne żwiru i ułożył je na omszałych kamykach u stóp urwiska. Kępy szorstkiej trawy miały zapobiec wymywaniu piasku, a między warstwami żwiru panoszyły się wodorosty, przygwożdżone palikami i oplatanie porzuconą siecią. Obserwowałam ten proces z zaciekawieniem i niechętną nadzieją. La Goulue, gdzie gromadziły się różne odpadki, ziemia, wodorosty i rybackie sieci,

jeszcze mniej niż przedtem przypominała plażę.

- To tylko podłóże - pocieszył mnie Flynn. - Chyba nie chcesz, żeby wywiało ci cały piasek?

W trakcie pobytu Adrienne okazywał dziwną nieśmiałość; zajrzał do nas tylko dwa razy, zamiast - jak przedtem - codziennie. Brakowało mi go - zważywszy zwłaszcza zachowanie Grosjeana - i zaczęłam rozumieć, jak wielki wpływ miała jego obecność w ciągu ostatnich kilku tygodni; w jakim stopniu ubarwił nasze życie.

Opowiedziałam mu o mojej sprzeczce z Adrienne. Słuchał bez swej zwykłej beztroski, z głęboką zmarszczką między oczyma.

- Wiem, że to moja siostra - mówiłam - i wiem, że przeżyła trudne chwile, ale...

- Krewnych się nie wybiera - wpadł mi w słowo Flynn. Spotkał Adrienne tylko raz, przelotnie, i przypominałam sobie, że zachowywał wówczas niezwykle jak na siebie milczenie. - Nie ma powodu, żebyście żyły w zgodzie tylko dlatego, że jesteście siostrami.

Uśmiechnęłam się. Gdyby tylko mama potrafiła to zrozumieć!

- Gros Jean chciał mieć syna - powiedziałam, wrywając źdźbło trawy. - Nie oczekiwał dwóch córek.

Adrienne, jak mi się wydawało, naprawiła ten błąd. Wszelkie moje wysiłki - krótko ścięte włosy, chłopięce ubrania, godziny spędzone w warsztacie ojca, łowienie ryb, strzępki czasu - zostały zaćmione, pozbawione znaczenia. Flynn zapewne dostrzegł coś w mojej twarzy, ponieważ przerwał pracę i obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

- Nie po to tu jesteś, by spełniać oczekiwania Grosjeana czy kogokolwiek innego. Jeśli nie widzi, że to, co ma, jest warte tysiąc razy więcej niż jakaś tam fantazja... Wzruszył ramionami. - Nie musisz niczego udowadniać dorzucił nad wyraz szorstko. - Szczęściarz z niego, że ty mu się trafiłaś.

To samo mówił Brismand. Ale moja siostra zarzuciła mi egoizm i wykorzystywanie ojca. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma racji; czy aby moja obecność nie wyrządza więcej złego niż dobrego. A jeśli jedynym jego pragnieniem była bliskość Adrienne i codzienne widywanie wnuków?

- Masz brata, prawda?

- Przyrodniego. Złotego Chłopca. - Przyspilił do wydmy oderwany kawałek sieci. Próbowałam sobie wyobrazić Flynną jako czyjegoś brata.

- Chyba za nim nie przepadasz.

- Powinien być jedynakiem.

Pomyślałam o sobie i Adrienne. Ona też powinna być jedynaczką. Cokolwiek próbowałam zrobić, moja siostra robiła to wcześniej. I lepiej.

Flynn oglądał nowo wyrosłe trawy oyat na wydmach. Osobom postronnym jego twarz mogła się wydawać pozbawiona wyrazu, ale ja widziałam napięte mięśnie wokół szczęk. Stłumiłam pragnienie, by zapytać go o brata, o matkę. Cokolwiek się z nimi stało, odczuł to boleśnie. Może nawet tak, jak ja odczułam zachowanie Adrienne. Przeszył mnie dreszcz, w którym kryło się coś głębszego niż czułość. Opuściłam dłoń i dotknęłam włosów Flynnna.

- A więc mamy coś wspólnego - rzuciłam lekko. - Tragedię rodzinną.

- W żadnym razie - uśmiechnął się do mnie nieoczekiwanie swym zuchwałym, promiennym uśmiechem. - Ty wróciłaś. A ja uciekłem.

Tylko nieliczni mieszkańcy Les Salants interesowali się rozszerzaniem plaży. U schyłku zimy byli zbyt zajęci, by zauważyć rozmaite zjawiska: że zmieniony prąd morski niesie z sobą barweny, i to więcej niż przedtem; że sieci rzadko bywają puste; że homary, mięczaki i tłuste kraby uwielbiają osłoniętą zatokę i dosłownie biją się o to, który pierwszy wlezie do więcierza. Zimowe przyptywy nie spowodowały żadnych podtopień i nawet działki Omera zaczęły odyskiwać pierwotną postać po niemal trzech latach pod wodą.

Guenole w końcu wprowadzili w życie plan zakupienia nowej łodzi. „Eleanore II” budowano na kontynencie, w przystani niedaleko Pornic, i przez kilka tygodni wysłuchiwałam komunikatów o postępie robót. Miała to być wyspiarska łódź, taka jak jej poprzedniczka, szybka i z wysokim kilem, z dwoma masztami i czworokątnym żaglem. Alain nie zdradził, ile będzie kosztowała, ale przy zmieniających się prądach zakładał optymistycznie, że szybko na siebie zarobi. Ghislain nie wykazywał aż tak wielkiego entuzjazmu - najwyraźniej odciągnięto go od wystawy motorówek - lecz pocieszał się perspektywą rychłego zarobku. Miałam nadzieję, że nowa łódź, mimo swej nazwy, nie wzbudzi w moim ojcu nostalgicznych skojarzeń; i że Guenole wybiorą inne miano. Tymczasem Gros Jean obojętnie przyjmował informacje o budowie „Eleanore II” i doszłam do wniosku, że jestem przewrażliwiona.

Rafa dorobiła się własnego imienia - Bouch'ou i dwóch świetlnych boi po obu końcach, by można ją było dostrzec w nocy.

Bastonnetowie, wciąż utrzymujący zawieszenie broni z Guenole, lecz przy tym zabezpieczający tyły, odnotowali rekordowe połowy. Aristide ogłosił tryumfalnie, że Xavier złapał w ciągu tygodnia szesnaście homarów i sprzedał je houssinianinowi, kuzynowi mera i właścicielowi „La Maree”, nadmorskiej restauracji, po pięćdziesiąt franków za sztukę.

- Spodziewają się przed lipcem masowego napływu turystów - oznajmił z ponurą satysfakcją. - Niedługo ta jego restauracja pęknie w szwach. W sezonie może sprzedać pół tuzina dziennie, więc mu się wydaje, że może je teraz wykupić, umieścić w vivier i zaczekać, aż ceny poszybują w górę. - Zachichotał. - No cóż, to obosieczna broń. Chłopak montuje dla nas pułapkę na przesmyku. Tańsza od zbiornika, z siatką, przez którą homary nie uciekną. Możemy je tam trzymać żywe, nawet te małe. Nie będziemy musieli żadnego wyrzucać. A potem je sprzedamy po najwyższych cenach. Rozdzielimy je, żeby nie walczyły. Przyływ w etier da im jeść. Dobrze pomyślane, he? - Stary zatarł ręce. - My, salanianie, możemy tych houssinian jeszcze niejednego nauczyć.

- Z całą pewnością - przyznałam zaskoczona. - Wykazał pan dużą inicjatywę, monsieur Bastonnet.

- Prawda? - Aristide miał zadowoloną minę. - Przyszło mi do głowy, że już czas dla odmiany pomyśleć o sobie. Zarobić parę groszy dla wnuka. Przecież nie można oczekiwać, że taki chłopak, jak on, będzie żył powietrzem, zwłaszcza gdy myśli o założeniu rodziny.

Uśmiechnęłam się, oczyma duszy widząc Mercedes.

- A to jeszcze nie wszystko - ciągnął Aristide. - Nigdy nie zgadniesz, kto chce wejść ze mną w spółkę, kiedy już będzie miał łódź. - Spojrzałam wyczekująco. - Matthias Guenole. Moje zdziwienie wywołało szeroki uśmiech i błysk w starczych, niebieskich oczach. - Tak też myślałem, że cię to zaskoczy - rzekł, zapalając papierosa. - Idę o zakład, że niewiele osób na wyspie spodziewało się zobaczyć współpracę Bastonnetów i Guenole za mojego życia. Ale tu chodzi o interesy. Pracując razem, dwie łodzie, pięciu mężczyzn, możemy wyłapać wszystkie barweny, ostrygi i homary. Możemy zrobić majątek. Z osobna tylko się nawzajem podgryzamy, a houssinianie bawią się naszym kosztem. - Aristide zaciągnął się dymem i odchylił na oparcie, układając wygodniej drewnianą nogę. - Zdziwiłem cię, he? - zagadnął.

Skromnie powiedziane. Zaniechanie walki, którą obie rodziny prowadziły od lat, radykalna zmiana w sposobie prowadzenia interesów - pół roku wcześniej nie uwierzyłabym, że któraś z tych rzeczy jest możliwa.

Właśnie to ostatecznie mnie przekonało, że Bastonnetowie nie mieli nic wspólnego z utratą „Eleanore”. Sugerowała coś takiego Toinette; Flynn umocnił mnie w podejrzeniach i myśląc o tym, czułam się tak, jakbym stąpała po niepewnym gruncie. Teraz jednak mogłam wreszcie dać spokój całej sprawie. Zrobiłam to z przyjemnością i głęboką ulgą. Cokolwiek spowodowało utratę „Eleanore”, nie uczynił tego Aristide. Nagle obudziła się we mnie sympatia dla szorstkiego staruszka i poklepałam go życzliwie po ramieniu.

- Zasłużyłeś na devinnoise - oznajmiłam. - Postawię ci.

Aristide zdusił papierosa w popielniczce.

- Nie powiem „nie”.

Bożonarodzeniowa wizyta mojej siostry wywołała pewne emocje. Częściowo z powodu chłopców, należycie wychwalanych od Pointę Griznoz po Les Immortelles, ale głównie dlatego, że dawała nadzieję tym, którzy wciąż czekali. Mój powrót wzbudził nieufność, jej natomiast - w tym terminie, z synami i obietnicą czegoś lepszego - spotkał się wyłącznie z aprobatą. Aprobowano nawet jej małżeństwo z houssinianinem; Marin Brismand był bogaty, a nawet jeśli nie on, to jego stryj, w braku zaś innych krewnych Marin miał wszystko odziedziczyć. Powszechnie uważano, że Adrienne świetnie się powiodło.

- Nie byłoby źle, gdybyś poszła za jej przykładem - doradziła Capucine przy ciastkach w swojej przyczepie. - Założenie rodziny dobrze by ci zrobiło. To, co trzyma wyspę przy życiu, to małżeństwa i dzieci. Rybołówstwo i handel są na drugim miejscu.

Wzruszyłam ramionami. Choć moja siostra więcej się ze mną nie skontaktowała, od czasu naszej rozmowy na trapie „Brismanda I” czułam się nieswojo, kwestionując swoje własne i jej motywy. Czy traktowałam ojca jako pretekst do tego, żeby się ukryć? Czy Adrienne wybrała najlepszą drogę życiową?

- Dobra z ciebie dziewczyna - orzekła Capucine, rozparta wygodnie na krześle. - Już bardzo pomogłaś ojcu. I całemu Les Salants. Teraz przyszła pora, aby zrobić coś dla siebie. - Usiadła prosto i przyjrzała mi się krytycznie. - Jesteś całkiem ładna, Mado, naprawdę. Widziałam, jak patrzy na ciebie Ghislain Guenole i kilku innych... - Próbowałam jej przerwać, ale zamachała rękami z dobroduszną irytacją. Nie burczysz już na ludzi jak dawniej - ciągnęła. - Nie paradujesz z wysuniętym podbródkiem, jak gdybyś lada chwila spodziewała się z kimś pokłócić. Ludzie przestali cię nazywać La Poule.

Istotnie, nawet ja to zauważyłam.

- No i znowu zaczęłaś malować. Prawda?

Z absurdalnym poczuciem winy spoglądałam na półksiężycy ochry pod moimi paznokciami. To nie było w sumie nic wielkiego, kilka szkiców i na pół ukończone większe płótno w pokoju. Flynn okazał się nadspodziewanie dobrym modelem. Zauważyłam, że pamiętam jego rysy lepiej niż rysy innych. Naturalna sprawa: spędzałam dość dużo czasu w jego towarzystwie.

Capucine się uśmiechnęła.

- No cóż, to ma na ciebie korzystny wpływ - oznajmiła. Dla odmiany pomyśl o sobie. Przestań dźwigać na barkach cały świat. Przyptywy i odpływy nie potrzebują twego pozwolenia.

34

W lutym zmiany w La Goulue stały się widoczne dla wszystkich. Odwróciwszy kierunek, prąd z La Jetee wciąż nanosił piasek - tylko dzieci i ja śledziliśmy ten stopniowy proces z pewną dozą zainteresowania. Cienka warstewka pokrywała teraz większą część tłucznia i żwiru, przywiezionych przez Flynną z wydmy, a trawa oyat i „zajęcie kitki”, które zasiał, zapobiegały wywiewaniu i wyflukiwaniu piasku. Pewnego ranka zastałam w La Goulue Lola i Damiena Guenole, dzielnie usiłujących zbudować zamek. Niełatwe zadanie: warstwa piasku była zbyt cienka, pod nią jedynie muł, ale przy odrobinie pomysłowości dało się to zrobić. Zbudowali z kawałków drewna coś w rodzaju tamy i przepychali mokry piasek przez kanał wykopany w mulę.

Lolo uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Będziemy mieli plażę z prawdziwego zdarzenia - powiedział. - Piach z wydmy i wszystko. Rouget tak mówi.

Odwzajemniłam uśmiech.

- To by się wam podobało, prawda? Mieć plażę?

Chłopcy kiwnęli głowami.

- Tylko tutaj można się pobawić - wyjaśnił Lolo. - Nawet etier jest strefą zakazaną przez tę nową sieć na homary.

Damien kopnął kamyk.

- To nie był pomysł mojego taty. To ci Bastonnetowie. Rzucił mi wyzywające spojrzenie spod ciemnych rzęs. Może tata zapomniał, co zrobili naszej rodzinie, ale ja nie.

Lolo wykrzywił się do niego.

- Nic cię to nie obchodzi - powiedział. - Po prostu jesteś zazdrosny, bo Xavier chodzi z Mercedes.

- Nie chodzi!

Istotnie, nie było to oficjalne chodzenie. Mercedes wciąż spędzała mnóstwo czasu w La Houssiniere, gdzie - jak twierdziła - najczęściej się działo. Ale widywano ich z Xavierem w kinie i w „Chat Noir”, a Aristide stał się zdecydowanie pogodniejszy i obszernie rozprawiał o inwestycjach i planach na przyszłość.

Posępni Guenole również tryskali niezwykłym optymizmem. Pod koniec miesiąca długo oczekiwana „Eleanore II” została wreszcie ukończona i można ją było odebrać. Alain, Matthias i Ghislain popłynęli po nią promem do Pornic, zamierzając nią wrócić do Les Salants. Zabrałam się z nimi na przejażdżkę i żeby odebrać kufer z moimi rzeczami, głównie przyborami malarskimi i ubraniami, przysłany z Paryża przez gospodynię. Wmówiłam sobie, że jestem ciekawa nowej łodzi; w rzeczywistości czułam się przytłoczona w Les Salants. Od wyjazdu Adrienne Grosjean cofnął się do swego dawnego, apatycznego ja; pogoda była kiepska i nawet perspektywa piasku w La Goulue straciła na świeżości. Potrzebowałam zmiany scenerii.

Alain wybrał warsztat skutniczy w Pornic, ponieważ leżał najbliżej Le Devin. Znał przelotnie właściciela, który był dalekim krewnym Jojo-le-Goelanda, choć mieszkając na kontynencie, nie uczestniczył w waśniach między salanianami a houssinianami. Jego warsztat mieścił się nad morzem, obok niewielkiej przystani, i gdy tam weszliśmy, poczułam niezapomnianą, budzącą nostalgię woń farby, trocin, nadtopionego plastiku, spawania oraz klinkieru nasączonego chemikaliami. Była to firma rodzinna, nie aż tak mała, jak warsztat Grosjeana, lecz dostatecznie skromna, by nie przytłaczać Alaina. On i Matthias odeszli z właścicielem, by porozmawiać o zapłacie, my z Ghislainem pozostaliśmy na podwórzu, patrząc na suchy dok i rozpoczęte prace. Z łatwością dostrzeżliśmy „Eleanore II”, jedyną drewnianą łódź w szeregu kadłubów z tworzywa, które Ghislain zmierzył zazdrosnym spojrzeniem. Była nieco większa niż pierwotna „Eleanore”, lecz Alain kazał ją zbudować w tym samym stylu i choć widziałam, że temu skutnikowi brakuje staranności i kunsztu mojego ojca, łódź wyglądała wspaniale. Obejrzałam ją całą, podczas gdy Ghislain powędrował nad wodę i właśnie zaglądałam pod spód, żeby zbadać kil, kiedy wrócił zadyszany, z rozplamioną twarzą.

- Tam! - oznajmił, wskazując teren głównego magazynu. W hangarze składowano części

oraz podnośniki i zgrzewarki. Ghislain pociągnął mnie za rękę. - Chodź i zobacz!

Okrażając hangar, zauważyłam jakąś dużą jednostkę w trakcie budowy. Nie była skończona nawet w połowie, lecz przewyższała rozmiarami wszystko, co znajdowało się w warsztacie. W powietrzu wisiał ostry zapach oleju i metalu.

- Jak ci się zdaje, co to jest? - spytałam. - Prom? Trawler?

Łódź miała około dwudziestu metrów długości i dwa pokłady, otoczone rusztowaniami. Ścięty dziób, kwadratową rufę - w czasach mego dzieciństwa Grosjean nazywał je „metalowymi prosiakami” i traktował z głęboką pogardą. Nieduży prom, którym przypłynęliśmy do Pornic, był właśnie takim metalowym prosiakiem, kwadratowym, brzydkim i bardzo funkcjonalnym.

- To prom. - Ghislain uśmiechnął się do mnie, zadowolony z siebie. - Chcesz wiedzieć, skąd wiem? Popatrz z drugiej strony.

Druga strona była niekompletna; duże arkusze blachy połączone nitami, tworząc zewnętrzny kadłub, ale wielu brakowało, przez co przypominał niedokończoną i monotonną układankę. Arkusze miały ciemnoszarą barwę, lecz na jednym ktoś wypisał żółtą kredą nazwę metalowego prosiaka: „Brismand II”.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę w milczeniu.

- No i co? - zagadnął niecierpliwie Ghislain. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że jeśli go na to stać, Brismandowi musi się powodzić jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażaliśmy - odparłam. - Drugi prom w La Houssiniere? Ledwo wystarcza miejsca dla jednego.

Rzeczywiście, zatoczka przy Les Immortelles już była przepełniona, a „Brismand I” kursował dwa razy dziennie.

- Może ten nowy ma zastąpić stary? - podsunął Ghislain.

- Niby dlaczego? Tamten nadal działa. - Brismand, który nie przez wyrzucanie pieniędzy zdobył majątek, nigdy nie oddałby na złom sprawnego statku. Nie, jeśli buduje następny prom, zamierza korzystać z obu.

Ghislaina wydawały się interesować wyłącznie szczegóły natury finansowej.

- Ciekawe, ile to kosztuje - zastanawiał się. - Wszyscy wiedzą, że stary łajdak śpi na forsie. Już połowa wyspy do niego należy. - Była w tym jedynie drobna przesada.

Ale prawie go nie słuchałam. Gdy gadał niezmiernie o milionach Brismanda i o tym, co on, Ghislain, zrobiłby z takim majątkiem, gdyby dano mu szansę (większość owych planów

więzała się w jakiś sposób z Ameryką i bardzo szybkimi samochodami), ja rozmyślałam o „Brismandzie II”. Po co Brismandowi drugi prom? - zadałam sobie pytanie. I gdzie zamierzał go uruchomić?

35

Wracałam sama, okreśną drogą przez Nantes, żeby zabrać swój kufer. Może przez to, że upłynęło trochę czasu, odkąd naprawdę poświęciłam uwagę La Houssiniere, ale gdy się rozejrzałam, odniosłam wrażenie, że coś tu jest inne niż zwykle. Nie bardzo wiedziałam co, ale miasteczko wydało mi się jakieś obce, dziwnie odbiegające od dawnego siebie. Ulice jaśniały innym światłem. Powietrze pachniało inaczej, jakby było bardziej słone, trochę jak w La Goulue podczas odpływu. Ludzie obserwowali mnie, gdy przechodziłam; jedni pozdrawiali mnie krótkim skinieniem głowy, drudzy odwracali oczy, jak gdyby byli zbyt zajęci, żeby rozmawiać.

Zima to zawsze na wyspie martwy sezon. Wielu młodszych mieszkańców poza sezonem przenosi się na kontynent w poszukiwaniu pracy i wraca dopiero w czerwcu. Tego roku zimowy sen La Houssiniere wydawał się niezdrowy, bliższy śmierci. Większość sklepów była zamknięta, okna zasłonięte okiennicami. Rue des Immortelles opustoszała. Trwał odpływ, płycizny bieleły się od mew. Tam, gdzie w podobny dzień tuziny rybaków szukałyby sercówek i małży, stała samotna postać z siatką na długiej rączce i szturchała nią bez celu kępę wodorostów.

Był to Jojo-le-Goeland. Przeszłam przez murek i ruszyłam na przełaj przez greve. Rzeźki wiatr omotywał mi twarz włosami i wprawiał w dygot. Stąpanie po gruncie pokrytym kamykami było bolesne. Żałowałam, że nie mam na nogach rybackich butów, jak Jojo, tylko espadryle na cienkiej podeszwie.

Za piaszczystym terenem widziałam „Les Immortelles”, oddalony o kilkaset metrów biały sześcian na wale nadmorskim. Poniżej - wąski klin plaży. Im dalej, tym więcej kamieni. Nie pamiętałam, żeby było ich aż tyle; a z miejsca, w którym stałam, plaża wyglądała inaczej, wydawała się jakby mniejsza i bardziej odległa, zniekształcona skróconą perspektywą, tak iż nawet nie przypominała plaży; falochron odcinał się wyraźnie na tle piasku. Pod murem stał znak z jakimś napisem, zupełnie nie do odczytania z tej odległości.

- Witaj, Jojo.

Odwrócił się na dźwięk mego głosu, z siatką w dłoni. Drewniany kubełek u jego stóp zawierał jedynie kępę wodorostów i kilka rosówek.

- A, to ty. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, nie wyjmując z ust wilgotnego niedopałka.
- Jak tam z rybami?
- Chyba w porządku. Co robisz tak daleko od domu, he? Kopiesz rosówki?
- Chciałam się przejść. Ładnie tu, prawda?
- Ha.

Idąc przez płycizny w stronę Les Immortelles, czułam, że mnie obserwuje. Wiatr wiał umiarkowanie, drobne kamyki uwierały mnie w podeszwy. Zbliżywszy się do plaży, stwierdziłam, że jest bardziej kamienista, niż pamiętałam, a w niektórych miejscach dostrzegłam odsłonięte spłachetki ułożonych kamieni brukowych - tam, skąd pozniakał piasek, ukazały się fundamenty starej grobli.

Les Immortelles utraciło nieco piasku. Zobaczyłam to wyraźniej, dotarwszy do linii przyływu; drewniane paliki budek plażowych sterczały obnażone niczym zepsute zęby. Ile piasku? Nie miałam pojęcia.

- No, witam ponownie!

Głos dobiegł zza moich pleców. Mimo potężnej postury ten człowiek poruszał się niemal bezszelestnie. Odwróciłam się, mając nadzieję, że nie zauważył, jak się wzdygnęłam.

- Monsieur Brismand.

Cmoknął z niezadowoleniem i pełnym wyrzutu gestem uniósł palec.

- Claude, proszę. - Uśmiechnął się, najwyraźniej zachwycony, że mnie spotyka. -

Podziwiasz widoki?

Ten jego wdzięk. Przyłapałam się na tym, że bezwiednie na niego reaguję.

- Są urocze. Twoi pensjonariusze niewątpliwie je sobie cenią.

Brismand westchnął.

- Z pewnością, o tyle, o ile potrafią jeszcze coś ocenić. Ha, to smutne, ale wszystkich nas czeka starość. Gergette Loyon słabnie z każdym rokiem. Ale człowiek stara się, jak może. Mimo wszystko przekroczyła już osiemdziesiątkę. Otoczył mnie ramieniem. - Jak się miewa Grosjean?

Wiedziałam, że muszę zachować ostrożność.

- Znakomicie. Nie wyobrażasz sobie, jak znaczna nastąpiła poprawa.

- Twoja siostra mówi co innego.

Zdobyłam się na uśmiech.

- Adrienne z nim nie mieszka. Nie bardzo rozumiem, skąd mogłaby cokolwiek wiedzieć.

Brismand kiwnął głową współczująco.

- Oczywiście. Łatwo wydawać krytyczne osądy, nieprawdaż? Chyba że ktoś zamierza zostać na zawsze...

Nie chwyciłam przynęty. Popatrzyłam za to w stronę opustoszałej promenady.

- Chwilowo nie ma chyba zbyt wielkiego ruchu w interesie, prawda?

- No cóż, o tej porze roku nigdy go nie ma. Przyznam ci się, że obecnie wolę tę porę; robię się za stary na branżę turystyczną. Za parę lat powinienem przejść na emeryturę. Uśmiechnął się dobrodusznie. - Ale co u ciebie? Ostatnio doszły mnie rozmaite słuchy na temat Les Salants.

Wzruszyłam ramionami.

- Jakoś sobie radzimy.

Jego oczy błysnęły.

- A ja słyszałem, że na tym nie poprzestajecie. Że Les Salants bierze się dla odmiany do poważnych przedsięwzięć. Wiwarium dla homarów na starym etier. Jeszcze trochę i dojdę do wniosku, że zamierzacie wysadzić mnie z siodła. - Zachichotał. - Twoja siostra ładnie wygląda - zauważył. - Życie z dala od wyspy musi jej służyć.

Cisza. Znad linii przyływu poderwało się rozwrzeszczane stadko mew.

- A Marin i chłopcy! Grosjean z pewnością się ucieszył, że wreszcie widzi swoich wnuków.

Cisza.

- Czasami się zastanawiam, jakim ja sam byłbym dziadkiem. - Westchnął rozdzierająco. - Ale nigdy nie udało mi się zaznać radości ojcostwa.

Te wzmianki o Adrienne i jej dzieciach zaczynały mnie krępować, i Brismand to wyczuł.

- Słyszałam, że budujesz nowy prom - rzuciłam nagle.

Przez chwilę jego twarz wyrażała szczere zaskoczenie.

- Naprawdę? Kto tak powiedział?

- Ktoś w wiosce - odparłam, nie chcąc ujawniać mojej wizyty u skutnika. - Czy to prawda?

Brismand zapalił gitane'a.

- Zastanawiałem się nad tym - odparł. - Pomysł mi się podoba. Ale jest raczej niewykonalny. I tak mamy tu za mało miejsca. - Odzyskał pewność siebie; w jego bystrych

ciemnoszarych oczach błyszczało rozbawienie. - Lepiej nie rozpowszechniać takich plotek - doradził. - Sprawisz tylko wszystkim zawód.

Niedługo potem odszedł, błyskając zębami w uśmiechu i namawiając mnie serdecznie do częstszych odwiedzin. Nie byłam pewna, czy po prostu nie wyobraziłam sobie tego przebłysku zakłopotania, autentycznego zaskoczenia. Jeśli budował prom, dlaczego trzymał to w tajemnicy? I po co w ogóle budować prom, skoro - jak Brismand sam przyznał - nie ma gdzie go trzymać?

W połowie drogi do Les Salants uświadomiłam sobie, że ani on, ani Jojo nie napomknęli słowem o uszczuplonej plaży. Może to naturalne zjawisko, pomyślałam sobie. Może występuje każdej zimy.

A może nie. Może to my je wywołaliśmy.

Była to przykra, niepokojąca myśl. Tak czy owak, nic tu nie stanowiło pewnika; moje badania, eksperyment z pływakami, dni spędzone na obserwowaniu Les Immortelles nie oznaczały niczego. Nawet Bouch'ou nie musiała z tym mieć nic wspólnego, upierał się mój umysł. Potrzeba czegoś więcej niż niewielkiej amatorskiej konstrukcji, by zmienić kształt wybrzeża. Czegoś więcej niż odrobiny zawiści, żeby ukraść plażę.

36

Flynn zlekceważył moje podejrzenia.

- Cóż by to mogło być, jeśli nie przypiływ? - rzucił, gdy szliśmy brzegiem morza z Pointe Griznoz. Wiatr wiał prosto z zachodu, tak jak lubię, rozpędzony na tysiącu kilometrów otwartego morza. Już ze ścieżki, ze szczytu niewielkiego urwiska, dostrzegłam jasny półksiężyc piasku, długości trzydziestu metrów i szerokości mniej więcej pięciu.

- Naniosło mnóstwo świeżego piasku! - zawołałam, przekrzykując wiatr.

Flynn pochylił się, żeby obejrzeć kawałek drewna, wystający spomiędzy dwóch kamieni.

- No więc? To chyba dobrze, prawda?

Ale kiedy zesłam ze ścieżki na wybrzeże, zauważyłam ze zdumieniem, że suchy piach zapada się pod moimi stopami, jak gdyby na kamiennym podłożu leżała nie cienka warstewka, lecz gruby pokład. Zagłębiłam w nim dłoń na trzy, może cztery centymetry - niedużo w przypadku plaży o długiej tradycji, lecz w naszych warunkach coś takiego graniczyło z cudem. Zagrabiono ten piasek w głąb wybrzeża, tak iż przywodził na myśl schludną grządkę. Ktoś tu ostro zabrał się do pracy.

- O co chodzi? - Flynn dostrzegł moje zaskoczenie. - Po prostu poszło szybciej, niż przewidywaliśmy, i tyle. Czy nie tego chciałaś?

Naturalnie, że chciałam. Ale pragnęłam również wiedzieć, jak to się stało.

- Jesteś zbyt podejrzliwa - skostatował Flynn. - Powinnaś się trochę odprężyć. Zacząć żyć chwilą. Wdychać zapach wodorostów. - Zaśmiał się i machnął kawałkiem drewna. Wyglądał przy tym jak groteskowy sztukmistrz, ze swymi rozczochranymi włosami i w trzepoczącym czarnym płaszczu. Wezbrała we mnie fala sympatii do niego i mimo woli sama parsknęłam śmiechem. - Spójrz tylko! - zawołał i pociągnął mnie za rękaw, ustawiając twarzą do zatoki i bladego, niezmaconego widnokregu. - Tysiąc mil oceanu, żadnej przeszkody stąd aż do Ameryki. Wygraliśmy, Mado! Czy to nie wspaniale? Czy nie warto tego uczcić?

Udzielił mi się jego entuzjazm. Kiwnęłam głową; śmiech i podmuchy wiatru wciąż zapierały mi dech. Flynn obejmował mnie teraz ramieniem; poła jego płaszcza objęła się o moje udo. Zapach morza, ozonowy zapach przesycony słońcą mgiełką, był odurzający. Radosny wiatr wypełnił mi płuca i miałam ochotę krzyknąć. Zamiast tego jednak obróciłam się spontanicznie w stronę Flynn'a i pocałowałam go; był to długi, pełen uniesienia pocałunek o smaku soli, i nie mogłam oderwać ust. Wciąż się śmiałam, choć już nie pamiętałam dlaczego. Zagubiłam się na chwilę; byłam kimś innym. Moje wargi płonęły, ciarki przebiegały mi po skórze. Włosy jeżyły się jak pod wpływem ładunku elektrycznego. Tak to jest, pomyślałam, na sekundę przed uderzeniem pioruna.

Fala wdarła się między nas, sięgając mi do kolan, i odskoczyłam, wydając stłumiony okrzyk z zaskoczenia i chłodu. Flynn patrzył na mnie dziwnie, najwyraźniej nie zauważając, że woda wlała mu się do butów. Pierwszy raz od miesiąca poczułam się nieswojo w jego towarzystwie, jak gdyby pod nami rozstąpiła się ziemia, odsłaniając coś, z czego aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, odwrócił się ode mnie.

Poczułam się tak, jakby mnie uderzył. Gorąca fala wstydu i zażenowania zalała mnie od stóp do głów. Jak mogłam być taką idiotką? Jak mogłam tak mylnie odczytać jego intencje?

- Przepraszam - zaśmiałam się sztucznie, choć moje policzki płonęły. - Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Flynn obejrzał się, a w jego oczach nie było już blasku.

- Nie ma o czym mówić - odparł beznamiętnie. Wszystko w porządku. Zapomnijmy o

tym, dobrze?

Skinęłam głową, żałując, że nie mogę się skurczyć tak, by zmiotł mnie wiatr.

Flynn nieco się rozluźnił. Uścisnął mnie zdawkowo jednym ramieniem, zupełnie jak mój ojciec swego czasu, gdy był ze mnie zadowolony.

- Dobrze - powtórzył, a rozmowa wróciła na bezpieczniejsze tory.

W miarę jak zbliżała się wiosna, zaczęłam znowu co dnia obserwować plażę, wypatrując uszkodzeń i zmian. Denerwowałam się zwłaszcza na początku marca: wiatr zmienił kierunek na południowy, co zwiastowało wysokie przypiływy. Ale nic złego nie nastąpiło w Les Salants. Przesmyk trzymał się mocno, większość łodzi tkwiła w bezpiecznym miejscu i nawet La Goulue wydawała się nienaruszona, jeśli pominąć przyzmy nieapetycznych czarnych wodorostów, naniesionych przez przypiływ, które Omer zbierał co rano, by użyźnić pola. Bouch'ou ani drgnęła. W czasie między przypiływami Flynn popłynął na La Jetee i stwierdził, że nic nie uszkodziło rafy. Nasza szczęśliwa passa trwała.

Krok po kroku powrócił do Les Salants nowy optymizm. Nie chodziło tylko o poprawę naszego losu czy nawet o plotki na temat La Houssiniere. Chodziło o coś więcej. Dało się to zauważyć u dzieci, które już nie powłóczyły nogami w drodze do szkoły, w nowym, wesołym kapeluszu Toinette, w różowej szmince i rozpuszczonych włosach Charlotte. Mercedes przestała przesiadywać godzinami w La Houssiniere. Aristide'a mniej bolała noga w deszczowe noce. Wciąż porządkowałam warsztat Grosjeana: czyściłam stary hangar, odkładałam na bok to, co nadawało się jeszcze do użytku, odkopywałam kadłuby zasypane przez piasek. Tymczasem w całym Les Salants wietrzono pościel, kopano grządki, odnawiano pokoje na przyjęcie długo oczekiwanych gości. Nikt o nich nie wspominał - w wiosce częściej mówi się o zmarłych niż o dezertkach - lecz mimo to wydobyto z szuflad fotografie, odczytano ponownie listy, zapamiętano numery telefonów. Clo, córka Capucine, miała zamiar przyjechać na Wielkanoc. Desiree i Aristide otrzymali kartkę od młodszego syna. Nie tylko Bouch'ou powodowała te zmiany. Było tak, jakby wiosna nadeszła wcześniej, pobudzając wzrost nowych pędów w pylistych zakątkach i słonych szczelinach.

Mój ojciec także dał się ponieść tej fali. Po raz pierwszy nabrałam podejrzeń, gdy wróciwszy z La Goulue, zastałam stertę cegieł przed gankiem. Były tam również pustaki i worki z betonową mieszanką.

- Twój ojciec planuje pewne prace budowlane - powiadomił mnie Alain, gdy spotkaliśmy się w wiosce. - Jakiś pawilon albo przybudówkę.

Nie byłam tym zaskoczona; w dawniejszych czasach Gros Jean bez przerwy angażował się w jakieś projekty budowlane. Dopiero gdy zjawił się Flynn z ładowarką, betoniarką oraz nową dostawą cegieł i pustaków, zwróciłam na to uwagę.

- Co robisz? - zapytałam.

- Nic takiego - wykręcił się Flynn. - Twój ojciec chce, żeby mu naprawić to i owo.

Niechętnie o tym mówił: niby nowa pralnia, zamiast tej na tyłach hangaru. Może coś więcej. Gros Jean poprosił go o przeprowadzenie robót według własnych planów.

- To chyba dobrze, nie? - zagadnął Flynn, dostrzegając wyraz mojej twarzy. - Świadczy o zainteresowaniu.

Nie byłam tego taka pewna. Od Wielkanocy dzieliły nas dwa miesiące i mówiono już o przyjeździe Adrienne, dostosowanym do szkolnych ferii chłopców. Mógł to być wybieg, by ją tu zwabić. Ponadto dochodziły koszty - materiałów, sprzętu, siły roboczej. Gros Jean nigdy się nie zdradził, że ma gdzieś ukryte pieniądze.

- Ile? - spytałam.

Flynn mi powiedział. Cena była uczciwa, lecz i tak przekraczała możliwości mojego ojca.

- Ja zapłacę - oznajmiłam.

Pokręcił głową.

- Nie. To już ustalone. A zresztą - dodał - jesteś splukana.

Wzruszyłam ramionami. Nie byłam splukana; miałam jeszcze trochę oszczędności. Ale Flynn obstawał przy swoim. Za materiały zapłacono. Robota - jak twierdził - nie kosztowała nic.

Materiały budowlane zajęły prawie cały warsztat. Flynn wyjaśnił ze skruchą, że naprawę nie było gdzie ich umieścić i że poleżą tydzień, najwyżej dwa. Opuściłam zatem chwilowo to miejsce i ze szkicownikiem w ręku powędrowałam do La Houssiniere. Zastałam „Les Immortelles” obstawione rusztowaniami - być może chodziło o wilgoć spowodowaną obfitymi przypiływami.

Morze właśnie wzbierało; zeszłam na pustą plażę i usiadłam, oparta plecami o wał, żeby popatrzeć. Przez kilka minut mój ołówek błądził niemal bezmyślnie po papierze, a potem zauważyłam tablicę przybitą do skały wysoko nad moją głową, białą planszę z czarnym napisem,

który brzmiał:

LES IMMORTELLES. Prywatna plaża.

Zabieranie PIASKU z tej plaży

jest PRZESTĘPSTWEM.

Każda popełniająca je osoba podlega

ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ.

Zarządzenie podpisali:

P. Lacroix (Gendarmerie Nationale)

G. Pinoz (mer)

C. Brismand (właściciel)

Wstałam i przyjrzałam się napisowi, zaintrygowana. Oczywiście, zdarzały się wcześniej wypadki podbierania piasku, po kilka worków tu i ówdzie, zazwyczaj na budowę albo do porządkowania ogrodu. Nawet Brismand patrzył na to przez palce. Dlaczego miałby wywieszać ostrzeżenia? Tak czy inaczej, pomyślałam, wspominając swoją ostatnią wizytę, z plaży ubyło sporo piasku. Znacznie więcej, niż można by przypisać sporadycznym kradzieżom. Plażowe budki, które przetrwały zimę, chwiały się na drewnianych podpórkach, metr lub więcej nad poziomem gruntu. Jeszcze w sierpniu dotykały brzuchami piasku. Zaczęłam pośpiesznie szkicować: budki na długich nogach, zaokrągloną linię przypiływu, pas równo ułożonych kamieni za falochronem, wzbierający przypiływ i jego straż przednią - chmury.

Praca tak mnie pochłonęła, że dopiero po pewnym czasie zdałam sobie sprawę z obecności siostry Extase i siostry Therese, siedzących na wale nadmorskim tuż nade mną. Tym razem nie jadły lodów, lecz siostra Extase trzymała torebkę cukierków, którą od czasu do czasu podsuwała siostrze Therese. Obydwie sprawiały wrażenie szczerze uradowanych na mój widok.

- Przecież to Mado Grosjean, ma soeur...

- Mała Mado ze swoim szkicownikiem. Przyszedł popatrzeć na morze, ha? Odetchnąć południowym wiatrem? zapytała siostra Therese.

- To on zniszczył za pierwszym razem naszą plażę. Południowy wiatr - oświadczyła siostra Extase. - Tak twierdzi Claude Brismand.

- Bystry człowiek ten Claude Brismand. - Zawsze bawił mnie sposób, w jaki ich głosy

wtórowały jeden drugiemu i podejmowały wątek, przypominając tym ptasi szczebiot. Bardzobardzo bystry.

- Aż za bardzo, rzekłabym - uśmiechnęłam się.

Zakonnice parsknęły śmiechem.

- Albo nie dość bystry - powiedziała siostra Therese.

Zeszły z wału i ruszyły ku mnie, unosząc habity, gdy wkroczyły na piasek.

- Wypatrujesz kogoś?

- Tam nikogo nie ma, Mado Grosjean, zupełnie nikogo.

- Któż by mógł tam teraz być, bez względu na pogodę? Zawsześmy to powtarzały twojemu ojcu...

- ...bo on ciągle patrzył na morze, wiesz...

- ...ale ona nigdy nie wróciła.

Stare zakonnice usadowiły się na płaskim kamieniu tuż obok i utkwiły we mnie swe ptasie oczy. Spojrzałam na nie zaskoczona. Wiedziałam, że ojciec miał w sobie coś z romantyka - dowodziły tego nazwy jego łodzi - ale myśl, że mógł tu siedzieć i wpatrywać się w horyzont, oczekując powrotu mojej matki, była niespodziewana i dziwnie poruszająca.

- W każdym razie, ma soeur - zaczęła siostra Extase, sięgając po cukierka - mała Mado wróciła, czyż nie?

- I w Les Salants sytuacja się poprawiła. Dzięki Świętej, ma się rozumieć.

- Ach, tak. Dzięki Świętej. - Obydwie zachichotały.

- U nas jednak sprawy wyglądają gorzej - powiedziała siostra Extase, spoglądając na rusztowania wokół „Les Immortelles”. - Mamy mniej szczęścia.

Przyptyw wzbierał szybko. Zawsze tak było na Le Devin: fala mknęła przez płycizny w zdradliwym tempie. Niejeden rybak musiał porzucić zdobycz i co sił płynąć do brzegu, gdy ogarnęła go znienacka spiętrzona masa wody. Widziałam prąd, na oko dość silny, który torował sobie drogę w kierunku plaży. Nic niezwykłego w wypadku wyspy osadzonej na piaszczystych łąkach; najdrobniejsze ich przemieszczenie może zmienić kierunek prądu, przekształcając w ciągu jednej zimy osłoniętą zatoczkę w posępny cypel, osadzając muł na mieliznach i na przestrzeni zaledwie kilku lat tworząc na nowo plażę, a potem wydmy.

- Po co to tutaj wisi? - zapytałam, wskazując siostronom tablicę z napisem.

- Och, to pomysł monsieur Brismanda. Uważa, że...

- ...ktoś wykrada piasek.

- Wykrada? - Pomyślałam o świeżej warstwie piasku w La Goulue.

- Może wywozi go łodzią albo traktorem. - Siostra Therese uśmiechnęła się pogodnie. -

Wyznaczył nagrodę.

- Przecież to bez sensu - zaśmiałam się. - Na pewno wie, że nikt nie dałby rady zabrać takiej ilości piasku. To dzieło przypiływów. Przypiływów i prądów. I tyle.

Siostra Extase sięgnęła po cukierka. Zauważywszy moje spojrzenie, podsunęła mi torebkę.

- Brismand tak nie uważa - oznajmiła spokojnie. - Brismand myśli, że ktoś mu kradnie plażę.

Siostra Therese przytaknęła ruchem głowy.

- Czemuż by nie? - zaświergotała. - To już się zdarzało.

37

Marzec upłynął pod znakiem wysokich przypiływów, ale także ładnej pogody. Interesy szły dobrze. Omer osiągnął doskonały zysk ze swych zimowych warzyw i zaplanował na następny rok ambitniejsze zbiory. Angelo po drobnych pracach remontowych otworzył bar i miał duże obroty, goszcząc nawet houssinian; ostryg dostarczała mu spółka Guenole-Bastonnet. Xavier zaczął odnawiać pewien niewielki, opuszczony domek w pobliżu La Bouche i kilka razy widziano go spacerującego za rękę z Mercedes Prossage. Nawet Toinette czerpała niezłe zyski z odwiedzin w kaplicy Świętej na La Griznoz, która od czasu podtopień zaczęła cieszyć się popularnością wśród starszych houssinian.

Nie wszystkie zmiany były jednak zmianami na lepsze. Sojusz Guenole i Bastonnetów ucierpiał nieco, gdy Xavier został napadnięty na drodze z La Houssiniere, gdzie odebrał pieniądze za dostawę homarów. Tuż za wioską zatrzymali go trzej mężczyźni na motocyklach, którzy stłukli mu okulary, złamali nos i uciekli z dwutygodniowym zarobkiem. Xavier nie rozpoznał żadnego z napastników, ponieważ mieli na głowach motocyklowe kaski.

- Trzydzieści homarów po pięćdziesiąt franków za sztukę - narzekał Matthias, spotkawszy się z Aristide'em. A twój wnuk wypuścił je z rąk!

- Czy twój wnuk lepiej by sobie poradził? - najeżył się Aristide.

- Mój wnuk przynajmniej by walczył - odparł Matthias.

- Było ich trzech - bąknął Xavier, bardziej onieśmielony niż kiedykolwiek. Bez okularów wyglądał dziwnie i przypominał królika.

- I co z tego? - spytał Matthias. - Mogłeś przecież uciec.

- Przed motocyklem?

- To musieli być houssinianie - wtrącił pojednawczo Omer, czując, że zanoszą się na sprzeczkę. - Xavier, czy oni coś do ciebie mówili? Cokolwiek, co pomogłoby ich rozpoznać?

Xavier pokręcił głową.

- A motocykle? Rozpoznałbyś je chyba?

- Być może. - Xavier wzruszył ramionami.

- Być może?

W końcu Xavier, Ghislain, Aristide i Matthias udali się do La Houssiniere, by porozmawiać z Pierre'em Lacroix, jedynym na wyspie policjantem. Żadna ze stron nie ufała drugiej, jeśli chodzi o rzetelne przedstawienie zdarzenia. Przedstawiciel władzy okazał współczucie, lecz nie tryskał optymizmem.

- Na wyspie jest tak wiele motocykli - powiedział, ojcowskim gestem poklepując Xaviera po ramieniu. - Mogli nawet przypląć na jeden dzień „Brismandem I” z kontynentu.

Aristide pokręcił głową.

- To byli houssinianie - oświadczył z uporem. - Wiedzieli, że chłopak niesie gotówkę.

- O tym wiedział też każdy z Les Salants - odparł Lacroix.

- Tak, ale wtedy Xavier rozpoznałby motocykle.

- Przykro mi. - Zabrzmiało to kategorycznie.

Aristide popatrzył na Lacroix.

- Jednym z nich była czerwona honda - powiedział.

- Pospolita marka - mruknął Lacroix, nie odwzajemniając spojrzenia.

- Czy twój syn Joel nie ma czerwonej hondy?

Zapadła nieoczekiwana, groźna cisza.

- Czyżbyś sugerował, Bastonnet, że mój syn... że mój syn... - Wąsate oblicze Lacroix zapłonęło czerwienią. - To oszczerstwo - dokończył. - Gdybyś nie był starcem, Bastonnet, i gdybyś sam nie stracił syna...

Aristide zerwał się z krzesła, chwytając laskę.

- Mój chłopak nie ma z tym nic wspólnego!

- Mój również!

Stali naprzeciw siebie, Aristide błądy, Lacroix czerwony, obaj dygoczący z wściekłości. Xavier chwycił dziadka za ramię i podtrzymał.

- Pepe, to na nic...

- Ha, puść mnie!

Ghislain łagodnie ujął jego drugie ramię.

- Proszę, monsieur Bastonnet, musimy już iść.

Aristide spiorunował go wzrokiem. Ghislain wytrzymał jego spojrzenie. Zapanowała długa, nabrzmiała furia cisza.

- No cóż - odezwał się wreszcie Aristide - już dość dawno żaden Guenole nie nazwał mnie „monsieur”. Jednak młode pokolenie nie jest aż tak zepsute, jak mi się wydawało.

Opuścili La Houssiniere z największą godnością, na jaką mogli się zdobyć. Joel Lacroix obserwował ich z progu kawiarni „Chat Noir”, z gitane'em w zębach i półuśmiechem na ustach. Czerwona honda stała zaparkowana na zewnątrz. Aristide, Matthias, Ghislain i Xavier minęli kawiarnię, nie zaszczycając Joela ani jednym spojrzeniem, wszyscy jednak usłyszeli uwagę, jaką rzucił do dziewczyny uwieszanej u jego ramienia:

- Znowu ci salanie! Pewnie szykują kolejny szwindel. A mogłoby się wydawać, że czegoś się nauczyli.

Xavier zerknął pożądliwie na drzwi kawiarni, lecz Matthias złapał go za ramię i syknął mu do ucha:

- Ani się waż, synu! Odplacimy mu, odplacimy im wszystkim innym razem.

Xavier spojrzał na Matthiasa w osłupieniu. Czy to zwrot „synu” z ust rywala jego dziadka, czy wyraz twarzy starego - w każdym razie jedna z tych rzeczy pozwoliła mu się opamiętać. Żaden z nich nie miał już wątpliwości, że to Joel stał za napadem i kradzieżą, ale bez wątpienia jeszcze nie nadszedł czas, by o tym mówić. Wolno wyruszyli w drogę powrotną do Les Salants i zanim dotarli do domu, zdarzyło się coś wręcz nie do pomyślenia: po raz pierwszy od pokoleń Bastonnetowie i Guenole zgadzali się w jakiejś sprawie bez zastrzeżeń.

Tym razem, uznali jednomyślnie, zanosilo się na wojnę.

Zanim tydzień dobiegł końca, w wiosce huczało od plotek i domysłów; nawet dzieci usłyszały całą historię, którą przekazywano z ust do ust pełną sprzeczności i ozdobników, aż wreszcie osiągnęła epickie rozmiary. Przy jednym wszakże każdy niezmiennie obstawał: co za

dużo, to niezdrowo.

- Zapomnieliśmy o urazach - mówił Matthias podczas przyjacielskiej gry w belote u Angela. - Chętnie z nimi handlowaliśmy. Ale oni nas wyrolowali; zawsze się na tym kończy, kiedy ma się do czynienia z houssinianami.

Omer skinął głową.

- Czas zacząć się bronić - przytakiwał. - Dać im do myślenia.

- Łatwo ci mówić - zauważyła znad sterty banknotów i monet Toinette, która wygrywała.

- Ale zawsze jest to samo: kończy się na gadaniu. Równie dobrze mógłbyś pluć pod...

- Pff! - prychnął Matthias. - Nie tym razem. Tym razem posunęli się za daleko.

38

Rozpoczęła się ostra kampania przeciw houssinianom. Wymagało tego nasze nowo odkryte poczucie wspólnoty. Cena homarów i krabów gwałtownie wzrosła; Angelo zaczął pobierać ekstra opłaty, ilekroć jakiś houssinianin zajrzał do baru; minimarket w La Houssiniere otrzymał dostawę spleśniałych warzyw z gospodarstwa Prossage'ow (Omer winił pogodę); a pewnej nocy ktoś włamał się do hangaru, w którym Joel Lacroix trzymał swoją drogocenną hondę, i nasypał piasku do baku z benzyną. Całe Les Salants czekało m pojawienie się oburzonego policjanta, lecz to nie nastąpiło

- Ci houssinianie zbyt długo stawiali na swoim - oświadczył Omer. - Myślą, że skoro przez jakiś czas sprzyjało im szczęście, to nic się nigdy nie zmieni.

Nikt tego nie podważył, co świadczyło o postępie, jak] uczyniliśmy. Nawet Matthias, który nie był zwolennikiem zmian, przytaknął energicznie.

- Na zmiany nigdy nie jest za późno - powiedział.

- Ha, a przyptywom czasami trzeba trochę pomóc.

- Powinniśmy się zareklamować - podsunęła Capucine - Stanać na nabrzeżu w La Houssiniere z tablicą, kiedy zaczną przyjeżdżać turyści. To nam napędzi klientów. I da nauczkę tym houssinianom!

Pół roku wcześniej tak nieprawdopodobny pomysł - i te pochodzący od kobiety - wzbudziłby śmiech i wzdargę. Teraz Aristide i Matthias wyglądali na zainteresowanych. Inni dorzucili swoje trzy grosze.

- Ha, czemu nie?

- Dla mnie to brzmi nieźle.
- Dajmy houssinianom powód do płaczu.
- Wyobraźcie sobie minę Brismanda!

Kręceno głowami. Wychylono mnóstwo kieliszków devinnoise. Rzucenie La Houssiniere tak bezpośredniego wyzwania było dla Les Salants wielkim krokiem naprzód. Musiało zostać potraktowane - i słusznie - jako wypowiedzenie wojny.

- No i co w tym złego? - spytał Aristide, który nie zapomniał napaści na swego wnuka. - To jest wojna. Zawsze była. Po prostu dotychczas oni zwyciężali.

Inni zastanowili się nad tym przez chwilę. Nie po raz pierwszy ktoś wyraził to przekonanie głośno, lecz myśl o współzawodnictwie z houssinianami na równej stopie przedtem wydawała się absurdalna. Teraz po raz pierwszy

Matthias przemówił w imieniu wszystkich.

- Branie ekstra opłaty za rybę to jedno - powiedział wolno. - Ale twoja propozycja oznacza...

Aristide prychnął.

- La Houssiniere nie jest cudzą ławicą ostryg, Guenole - rzucił z odcieniem dawnego gniewu. - Turyści są zwierzyną łowną. Nie należą do La Houssiniere. Równie dobrze mogą być nasi.

- To się nam należy - dodała Toinette. - Ze względu na samych siebie powinniśmy przynajmniej spróbować. Boisz się houssinian, Matthias? O to chodzi? Uważasz, że są lepsi niż my?

- Naturalnie, że nie. Zastanawiam się tylko, czy jesteśmy gotowi.

Staruszka wzruszyła ramionami.

- Możemy się przygotować. Sezon zaczyna się za cztery miesiące. To oznacza dziennie, aż do września, pół tuzina wycieczkowiczów, którzy tylko czekają, żeby ich zwabić. Może więcej. Pomyśl o tym!

- Ludzie muszą się gdzieś zatrzymać - ciągnął Matthias. - Nie mamy żadnego hotelu. Ani pola namiotowego z prawdziwego zdarzenia.

- Przemawia przez ciebie tchórzostwo Guenole - zaripostował Aristide. - Pozwól, że Bastonnet da ci przykład lateralnego myślenia. Masz pokój gościnny, no nie?

Toinette kiwnęła głową.

- Ha! Każdy ma pokój lub dwa, które aż się proszą o gości. Większość z nas posiada kawałek ziemi, na którym można rozbić namiot. Dodajcie do tego śniadania i kolacje rodzinne, a dorównacie wszystkim innym miejscowościom na wybrzeżu. A nawet je przewyższycie. Ci miastowi dobrze zapłacą za pobyt w typowym wyspiarskim domu. Można zapalić polana w kominku, powiesić na ścianie parę miedzianych patelni.

- Upiec devinnoiseries w glinianym piecu.
- Wyciągnąć z szafy wyspiarskie stroje.
- Tradycyjna muzyka; mam gdzieś na strychu biniou.
- Rękodzieła, robótki, wycieczki na ryby.

Trudno było zatamować rzekę pomysłów, gdy już raz wezbrała. W miarę jak wokół narastał entuzjizm, z wysiłkiem powstrzymywałam się od śmiechu, choć pomimo rozbawienia gdzieś w głębi duszy byłam wzruszona. Nawet sceptyczni Guenole dali się ponieść emocjom. Wszyscy wykrzykiwali swoje propozycje, walili w stoły, stukali kieliszkami. Zapanowało zgodne przekonanie, że letnicy kupią wszystko, co uznają za typowo wyspiarskie lub wykonane przez rękodzielnicę. Od lat ubolewaliśmy nad brakiem nowoczesnych udogodnień w Les Salants i zazdrościliśmy La Houssiniere hotelu, kina i pasażu z automatami do gry. Teraz po raz pierwszy zrozumieliśmy, że nasze pozorne mankamenty mogą przynieść nam korzyść. Potrzebowaliśmy tylko trochę inicjatywy i skromnych inwestycji.

Niedługo przed Wielkanocą mój ojciec z nowym entuzjazmem zaangażował się w swój projekt budowlany. Nie on jeden; w całej wiosce dały się zauważyć oznaki wzmożonej aktywności. Omer zaczął przerabiać nieużywaną stodołę; inni sadzili kwiaty na pustych podwórzach albo wieszali w oknach gustowne firanki. Les Salants przypominało nieładną kobietę, która się zakochała i po raz pierwszy odkrywa w sobie potencjalną urodę.

Od Bożego Narodzenia nie mieliśmy żadnych wiadomości od Adrienne. Przyjęłam to z ulgą; jej przyjazd przyniósł z sobą falę krępujących wspomnień i wciąż gryzły mnie słowa, które wypowiedziała na odjeźdny. Jeśli nawet Grosjean odczuwał rozczarowanie, nie zdradzał się z tym. Sprawiał wrażenie pochłoniętego bez reszty swoim nowym projektem i za to, mimo jego powściągliwości, byłam wdzięczna. Winą za rezerwę ojca obarczałam moją siostrę.

Flynn również w ostatnich tygodniach trzymał się na dystans. W pewnej mierze dlatego, że ciężko pracował: pomagał nie tylko Grosjeanowi, lecz także innym mieszkańcom wioski.

Zainstalował u Toinette pralnię dla biwakowiczów i pomógł Omerowi zaadaptować stodołę na cele letniskowe. Dowcipkował tak samo, jak zawsze, grywał w karty i szachy z tą samą zabójczą precyzją, prawił komplementy Capucine, droczył się z Mercedes, wzbudzał nabożny podziw u dzieciaków nieprawdopodobnymi opowieściami o swych zamorskich podróżach i coraz bardziej podbijał serce Les Salants wdziękiem, pochlebstwem i kłamstwami. Nie obchodziły go jednak długoterminowe plany i przeobrażenia. Nie podsuwał żadnych nowych pomysłów. Być może już nie musiał, skoro salanianie nauczyli się myśleć samodzielnie.

Nadal dręczyło mnie wspomnienie tego, co zaszło między nami w La Goulue. Flynn natomiast, jak się wydawało, zupełnie o tym zapomniał, więc - odtworzywszy kilka razy ową scenę w przeznaczonym do tego celu zakamarku umysłu postanowiłam zrobić to samo. Pociągał mnie, owszem. Sama byłam tym zaskoczona i pewnie dlatego zachowałam się jak idiotka. Teraz jednak ważniejsza okazała się dla mnie jego przyjaźń. Nikomu bym się do tego nie przyznała, ale od czasu, gdy Les Salants uległo przeobrażeniu, a mój ojciec rozwijał swe plany budowlane, czułam się jak outsiderka.

Nie potrafiłam określić, skąd to się bierze. Ludzie okazywali mi sympatię i życzliwość. Nie było ani jednego domu - łącznie z siedzibą Aristide'a - w którym nie witano by mnie serdecznie. A mimo to odnosiłam niejasne wrażenie, że traktują mnie jak obcą osobę. Ich zachowanie w stosunku do mnie odznaczało się pewną sztywnością, dziwnie przytłaczającą. Kiedy wpadałam do kogoś na herbatę, podawano mi ją w filiżance z najlepszego serwisu. Ilekroć kupowałam warzywa u Omera, zawsze dorzucał coś ekstra. Czułam się przez to skrzępowana. Inna niż wszyscy. Gdy napomknęłam o tym Capucine, wyśmiała mnie. Flynn był jedyną osobą, która potrafiła mnie zrozumieć.

W rezultacie przebywałam w jego towarzystwie częściej niż kiedykolwiek przedtem. Był dobrym słuchaczem i sprowadzał moje problemy do właściwych proporcji jednym uśmiechem lub nonszalancką uwagą. Co istotniejsze, rozumiał, jak wyglądało moje drugie życie, to w Paryżu, i podczas rozmowy z nim nie musiałam szukać prostszych słów ani wysilać się na tłumaczenie trudnych pojęć, jak bywało w wypadku niektórych salanian. Nigdy bym im tego nie powiedziała, ale czasami przy moich znajomych z wioski czułam się jak nauczycielka w niesfornej klasie. Urzekali mnie i irytowali na przemian; chwilami zachowywali się jak rozkapryszone dzieci, a chwilami wykazywali przedziwną mądrość. Gdyby tylko zechcieli rozszerzyć swoje horyzonty...

- Mamy teraz prawdziwą plażę - rzekłam pewnego dnia w La Goulue. - Może nawet zjawiają się prawdziwi turyści.

Flynn leżał na plecach na piasku, patrząc w niebo.

- Kto wie - ciągnęłam uparcie - czy nie staniemy się modnym kurortem. - Moja uwaga zabrzmiała żartobliwie, lecz on nawet się nie uśmiechnął. - Przynajmniej odpłacimy Brismandowi pięknym za nadobne. Po latach jego szczęśliwej passy kolej teraz na Les Salants.

- Myślisz, że tak się rzeczy mają, co? - rzucił. - Że teraz wasza kolej?

Wyprostowałam się gwałtownie.

- Co się stało? O czym mi nie powiedziałaś?

Flynn nadal wpatrywał się w niebo. Przez jego oczy przepływały chmury.

- No?

- Jesteście tacy zadowoleni z siebie. Jedno, dwa drobne zwycięstwa i już wam się wydaje, że możecie wszystko. Lada chwila ktoś zacznie stąpać po wodzie.

- Więc? - Nie podobał mi się jego ton. - Czy jest coś złego w odrobinie inicjatywy?

- Nie, Mado, tylko to wszystko trochę za dobrze idzie. Zbyt szybko, za dużo naraz. Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa, zanim wieść się rozejdzie? Zanim wszyscy zapragną z tego skorzystać?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie da się dozgonnie zachować nowej plaży dla siebie. Na wyspie prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Żadna tajemnica nie przepada na zawsze. Ponadto, co nam można zrobić?

Flynn zamknął oczy.

- Zaczekaj tylko - odparł zaskakująco posępny tonem. - Wkrótce się przekonasz.

Byłam jednak zbyt zajęta, by tracić czas na pesymistyczne prognozy. Do rozpoczęcia sezonu turystycznego pozostały trzy miesiące i cała wioska pracowała ciężiej i z większym zapalem niż przy budowie Bouch'ou. Sukces nas ośmielił; ponadto napawaliśmy się możliwościami, jakie otwierały przed nami nasze plany.

Flynn, który - gdyby zechciał - mógłby jeszcze przez rok wykorzystywać swoje osiągnięcia, ciesząc się życzliwością wszystkich mieszkańców Les Salants i pijąc na ich koszt, wciąż trzymał się na uboczu. Wszelkie zasługi przypisano zatem Świętej i kapliczka wzniesiona przez Toinette wypełniona była po brzegi rozmaitymi ofiarami. W prima aprilis Damien i Lolo

wywołali drobny skandal, ozdabiając ołtarz zdechłą rybą, ale, ogólnie rzecz biorąc, odzyskaną Sainte-Marine otaczano prawdziwą czcią, a Toinette wiodła w tym prym.

Rok wcześniej żaden salanianin nie brał nawet pod uwagę możliwości zainwestowania pieniędzy, nie wspominając już o zaciąganiu pożyczek. Na Le Devin nie ma banku, a nawet gdyby był, nikt nie mógł przedstawić zabezpieczenia kredytu. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Można było wyciągnąć oszczędności z szaf i pudełek. Dostrzeżliśmy możliwości tam, gdzie dotychczas nie istniały. Zwrotu „pożyczka krótkoterminowa” użył po raz pierwszy Omer - i spotkał się z ostrożną aprobatą. Alain wyznał, że on również przemyślał o czymś podobnym. Ktoś słyszał o jakiejś instytucji na kontynencie, związanej chyba z ministerstwem rolnictwa, do której można by się zwrócić o dotację.

Przygotowania nabierały rozpędu, pociągając za sobą coraz ambitniejsze pomysły. Zamawiano u mnie artystyczne szyldy z bryłek klinkieru i kawałków drewna.

Miejscowa sól morska (50 franków za 5 kilo)

Warsztat powroźniczy Bastonneta

Cafe-restauracja u Angela (Plat du Jour 30 franków)

Chambre-d'hote - Pokoje do wynajęcia - Ciepła atmosfera rodzinna

Galerie Prasteau - Wyroby artystyczne

Kaplica Sainte-Marine-de-la-Mer

(Zwiedzanie z przewodnikiem 10 franków)

Wioskę opętał szal: walono młotkami, wrywano chwasty, grabiono ścieżki, pokrzykiwano, malowano, bielono, pito (cała ta robota budziła pragnienie) i dyskutowano.

- Powinniśmy wysłać kogoś do Fromentine w ramach promocji - podsunął Xavier. - Żeby rozprowadził ulotki, szepnął słowo tu i ówdzie.

Aristide przyznał mu rację.

- Pojedziemy razem. Ja stanę na nabrzeżu i zajmę się promem. Ty możesz oblecieć miasto. Mado zrobi ci tablicę reklamową do noszenia, no i jakieś ulotki, he? Zatrzymamy się na kilka dni w pensjonacie. Proste jak drut! - Zarechotał z satysfakcją.

Xavier nie był zachwycony. Może niepokoiła go myśl o opuszczeniu Mercedes, choćby na parę dni. Lecz nie dało się stłumić płomiennego entuzjazmu Aristide'a. Zapakował kilka

rzeczy, łącznie z tablicą reklamową, i rozpuścił pogłoski o wyjeździe w sprawach rodzinnych.

- Lepiej, żeby ci houssinianie nie dowiedzieli się za wcześnie - zauważył.

Nie mając dostępu do drukarki, wypisałam ręcznie sto niedużych plakatów. Xavier został zobowiązany do umieszczenia ich w oknach wszystkich sklepów i kawiarni we Fromentine.

ODWIEDŹCIE LES SALANTS

Niezmienione od stu lat

Wyśmienita miejscowa kuchnia

Nieskalana złocista plaża

Ciepła i gościnna atmosfera

LES SALANTS - POZNAJCIE RÓŻNICĘ!

Bastonnetowie, Guenole i Prossage'owie obmyślali i przerabiali tekst, dopóki wszystkich nie zadowolił. Poprawiłam pisownię. Rozgłosiliśmy, że Bastonnetowie jadą do Pornic, by pomóc krewnemu w potrzebie, i zadbaliśmy, aby ta informacja dotarła do właściwych uszu. Wszystko, cokolwiek usłyszysz Jojo-le-Goeland, rozchodzi się po La Houssiniere w mgnieniu oka. W Les Salants panowało powszechne przeświadczenie, że houssinianie w niczym się nie połapią, dopóki nie będzie za późno.

Nasze natarcie kompletnie ich zaskoczy. Do lata, orzekł tryumfalnie Aristide, wojna dobiegnie końca, zanim zdąży się rozpocząć.

39

Nadeszła Wielkanoc i „Brismand I” zaczął znowu kursować dwa razy w tygodniu. Dobrze się składało dla Les Salants, gdyż wszystkie przebudowy i przeróbki wyczerpały nasze zapasy, a nikt nie chciał ryzykować zdemaskowania, zamawiając materiały w La Houssiniere. Aristide i Xavier spotkali się we Fromentine z doskonałym przyjęciem: rozdali wszystkie ulotki i poinformowali miejscowe biura turystyczne o szczegółach. Dwa tygodnie później pojechali jeszcze raz i dotarli aż do Nantes, zabierając dwukrotnie więcej ulotek do rozprowadzenia. My zaś czekaliśmy niecierpliwie na wieści, nadając pracom ostatni szlif i bacznie wypatrując szpiegów z La Houssiniere. Bo szpiegzy się pojawiali. Kilka razy zauważono Jojo-le-Goelanda zaczajonego w pobliżu La Goulue z lornetką, słyszano warkot motocykli, a Joel Lacroix nabrał

zwyczaju przechadzania się wieczorami po wydmach dopóki ktoś nie postrzelił go solą z dubeltówki. Bez przekonania wszczęto śledztwo, lecz - jak wyznał szczerze Alain Pierre'owi Lacroix - strzelby nabite solą posiadało tak wielu mieszkańców wyspy, że odnalezienie winnego graniczyłoby z niemożliwością, nawet przy założeniu, że był to salanianin.

- Równie dobrze mógł to być ktoś z kontynentu - przyświadczył Aristide. - Albo nawet jakiś houssinianin.

Lacroix zacisnął wargi z irytacją.

- Uważaj, Bastonnet - ostrzegł.

- Kto, ja? - zdumiał się Aristide. - Chyba pan nie podejrzewa, że miałem coś wspólnego z napaścią na pańskiego syna?

Odwet nie nastąpił. Może Lacroix porozmawiał z synem albo houssinianie byli zbyt zajęci przygotowaniami do sezonu turystycznego - lecz w La Houssiniere panowała niezwykła, jak na tę porę roku, cisza. Nawet gang motocyklowy chwilowo znikł z pola widzenia.

- Ha, i bardzo dobrze! - oznajmiła Toinette, która schowała strzelbę z solą za drzwiami, tuż obok sterty drewna. Niech no który z tych hultajów zacznie tu węszyć, a pošlę mu najmocniejszy ładunek prosto w dupę.

Do pełnego tryumfu zabrakło Aristide'owi tylko jednego: oficjalnego ogłoszenia zaręczyn jego wnuka z Mercedes. Dawali powody do domysłów: ciągle przebywali razem, a Xavier nie potrafił wykrztusić słowa, tak ją ubóstwiał, podczas gdy przedmiot jego uczuć flirtował chłodno z wielbicielami w efektownych strojach. Już to samo wystarczyło, by podsycić najrozmaitsze przypuszczenia. Ponadto, co istotne, Omer sprzyjał temu związkowi. Jako zaborczy rodzic, nie ukrywał preferencji. Chłopak ma perspektywy, oznajmił z zadowoleniem. Jest salanianinem z sercem po właściwej stronie. Szanuje starszych. Ma dość gotówki, by rozpocząć działalność na własną rękę. Aristide podarował już Xavierowi bliżej nieokreśloną sumę - krążyły najrozmaitsze plotki, lecz najczęściej powiadano, że stary musiał mieć co nieco odłożone na boku - na początek nowego życia, a Xavier poczynił niezwykle postępy w remoncie opuszczonej chaty, do niedawna składającej się jedynie ze ścian, do której zamierzał się wprowadzić.

- Już czas, żeby założył rodzinę - orzekł Aristide. Wszyscy się starzejemy i chciałbym przed śmiercią zobaczyć prawnuki. Tylko Xavier mi został z krwi nieszczęsnego Oliviera. Liczę, że dzięki niemu nazwisko przetrwa.

Mercedes była ładną salanianką. Omer przyjaźnił się z Bastonnetami od lat. A Xavier

kochał się w niej na zabój, jak oznajmił Aristide z lubieżnym błyskiem w oku; oczekiwał wnuków.

- Co najmniej tuzin - mówił z zadowoleniem, kreśląc w powietrzu kształt klepsydry. Szerokie biodra, mocne pęciny; Aristide znał swój inwentarz nie gorzej niż reszta wyspiarzy. Devinianie, jak mawiał, powinni wybierać sobie żony jak zarodowe klacze. Jeśli jeszcze ładna, tym lepiej. Tuzin - powtarzał radośnie, zacierając ręce. - Może więcej.

A jednak w naszym ożywieniu było coś rozpaczliwego. Aby prowadzić wojnę, trzeba czegoś więcej niż buńczuczne słowa, a nasi przeciwnicy z La Houssiniere wydawali się zbyt chłodni, zbyt obojętni, by to nie budziło niepokoju. Kilkakrotnie widziano Claude'a Brismanda w okolicach La Goulue, z Jojo-le-Goelandem i merem Pinozem. Jeśli nawet zmartwiło go to, co zobaczył, z pewnością nie dał nic po sobie poznać. Zachowywał niefrasobliwą postawę, witając każdego przybysza dobrotliwym, ojcowskim uśmiechem. Mimo to docierały do nas różne pogłoski. Jak się wydawało, interesy nie szły zbyt dobrze.

- Słyszałem, że „Les Immortelles” musiało anulować część rezerwacji - poinformował Omer. - Z powodu zawilgoconych ścian.

Pod koniec tygodnia ciekawość zwyciężyła i powędrowałam do Les Immortelles pod pretekstem zamówienia przyborów malarskich z kontynentu, a tak naprawdę chciałam zweryfikować coraz bardziej nieprawdopodobne plotki o rzekomych zniszczeniach w hotelu.

Były, rzecz jasna, przesadzone. Mimo to stan „Les Immortelles” uległ pogorszeniu od mojej ostatniej wizyty. Sam hotel wyglądał tak jak zawsze, pomijając rusztowanie przy jednej ze ścian, lecz warstewka piasku stała się jeszcze cieńsza i teren opadał stromo ku kamienistemu brzegowi.

Zrozumiałam, jak to się stało. Jaki ciąg zdarzeń doprowadził do tego stadium: nasze prace w Les Salants, połączenie inercji z arogancją u houssinian, którzy nie potrafili dostrzec prawdy, choć mieli ją tuż przed nosem. Skala, zuchwałość naszego podstępu przekraczała wszelkie wyobrażenia. Nawet Brismand, pomimo swej dociekliwości, niczego nie zauważył.

Raz uruchomiony, proces musiał postępować szybko i nieodwracalnie. Fale uderzające o wał nadmorski, cofając się, pociągną za sobą resztki piasku, odsłonią skały i kamienie, a wówczas pozostanie tylko gładka pochyłość starej grobli. Po kilku latach wszystko zniknie. Może nawet po dwóch sezonach, jeśli wichury zrobią swoje.

Rozejrzałam się za Jojo, Brismandem, kimkolwiek, kto udzieliłby mi informacji, ale w

poblizu nie było nikogo. Rue des Immortelles świeciła pustkami. Zauważyłam parę turystów kupujących lody od znużonej, żującej gumę dziewczyny w budce pod spłowiałym parasolem z reklamą „Choky”.

W poblizu wału na mizernej plaży dostrzegłam grupkę wczesnych turystów, sądząc po wyglądzie - rodzinę, z niemowlęciem i psem. Kulili się, drżąc, pod roztrzepotanym parasolem. Kwiecień jest na wyspach niepewnym miesiącem, a tamtego dnia porywisty wiatr od morza wysysał z powietrza całe ciepło. Na drugim końcu plaży wspinała się na skały dziewczynka, mniej więcej ośmioletnia, o okrągłych aksamitnych oczach i kręconych włosach. Zobaczyła mnie i pomachała ręką.

- Przyjechała pani na wakacje? - zawołała.

Pokręciłam głową.

- Nie. Mieszkam tutaj.

- A czy była pani gdzieś na wakacjach? Jeździ pani do miasta, kiedy my przyjeżdżamy tutaj? Pływa pani w morzu w weekendy i chodzi do piscine na specjalne dania?

- Letycjo! - rzucił karcącym tonem ojciec, odwracając głowę, by sprawdzić, co się dzieje.

- Nie zadawaj niegrzecznych pytań.

Letycja obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem. Mrugnęłam do niej. Okazało się to wystarczającą zachętą; w jednej chwili wdrapała się ścieżką na promenadę i usiadła obok mnie na wale, balansując na podwiniętej nodze.

- Czy ma pani plażę blisko domu? Większą niż ta? Może pani tam chodzić o każdej porze? Można tam budować zamki z piasku w Boże Narodzenie?

- Jeśli ktoś zechce - uśmiechnęłam się.

- Super!

Dowiedziałam się, że jej matka ma na imię Gabi, a ojciec Philippe. Pies nazywał się Petrole. Zawsze chorował na łodziach. Letycja miała dorosłego brata, Tima, który studiował w Rennes. Drugi brat, Stephane, był jeszcze malutki. Skrzywiła się z dezaprobatą.

- Nic nie robi. Czasami śpi. Jest strasznie nuudny. Będę codziennie chodziła na plażę! - oznajmiła nagle, rozpromieniona. - Będę kopała, aż się dokopię do gliny. A potem ulepię z niej różne rzeczy. Robiliśmy to rok temu w Nicei wyjaśniła. - To było super. Super ekstra.

- Letycjo! - doleciał głos od strony plaży. - Letycjo, co ci mówiłam?

Letycja wydała teatralne westchnienie.

- Uff. Mama nie lubi, kiedy się za bardzo oddalam. Lepiej już wracać.

Zjechała z wału, beztrosko lekceważąc sterty potłuczonego szkła na dole.

- Cześć! - Już po chwili znalazła się nad samym morzem, rzucając wodorostami w mewy.

Pomachałam jej i wznowiłam przeszukiwanie promenady. Od mojej ostatniej wizyty kilka sklepów przy Rue des Immortelles otworzyło podwoje, lecz poza Letycją i jej rodziną nie było innych potencjalnych klientów. Siostra Therese z siostrą Extase, które wyglądały bardzo surowo w swych staromodnych czarnych habitach, siedziały na ławce z widokiem na morze. Tuż obok stał niedbale zaparkowany motocykl Joela Lacroix, lecz nigdzie nie dostrzegłam właściciela. Pomachałam do zakonnice, a potem podeszłam i usiadłam obok nich.

- Toż to znowu mała Mado - zauważyła jedna z sióstr. Obydwie nosiły identyczne białe coiffes i uświadomiłam sobie, że nie potrafię ich rozróżnić. - Nic dzisiaj nie szkicujesz?

Pokręciłam głową.

- Za mocno wieje.

- Ha, przyszły złe wiatry dla Les Immortelles... - orzekła siostra Therese, majtając nogami.

- ... ale nie dla Les Salants - wpadła jej w słowo siostra Extase. - Dochodzą nas...

- ...rozmaite słuchy. Sama byś się zdziwiła...

- ...gdybyś się dowiedziała.

- Uważają, że jesteśmy takie same, jak ci biedni pensjonariusze, zbyt stare i zbzikowane, żeby zrozumieć, co się dzieje. No bo istotnie jesteśmy, soeur, stare jak świat, aczkolwiek...

- ...świat jest większy niż ta wyspa i te wydmy...

- ...na których zresztą jest mniej piasku niż kiedyś, ma soeur, znacznie mniej.

Milczenie. Zakonnice zerknęły na mnie ptasimi oczyma spod białych coiffes.

- Słyszałam, że Brismand musiał w tym roku anulować rezerwacje - powiedziałam. - Czy to prawda?

Siostry jednocześnie skinęły głowami.

- Nie wszystkie. Ale...

- ...niektóre tak. Był bardzo zły. Przyszła duża fala, nieprawdaż, ma soeur, chyba tuż po...

- ...wiosennych przypływach. Zalała piwnice i frontową ścianę. Architekt mówi, że w murach jest wilgoć, a to przez...

- ...wiatr od morza. W zimie trzeba będzie nad tym popracować. A tymczasem...
- ...dla turystów pozostały tylko pokoje z tyłu, bez widoku na morze, bez plaży. To...
- ...bardzobardzo smutne.

Z pewnym zażenowaniem przytaknęłam.

- Jednakże skoro taka jest wola Świętej...
- O, tak. Skoro taka jest wola Świętej...

Gdy pożegnałam się z nimi i odeszłam, machały za mną i z odległości jeszcze bardziej przypominały ptaki; ich coiffes wyglądały jak mewy kołyszące się na ciepłej fali.

Przecinając drogę, zauważyłam Joela Lacroix, który obserwował mnie z progu „Chat Noir”. Palił gitane’a, osłaniając go stuloną dłonią, jak to robią rybacy. Nasze spojrzenia się spotkały i pozdrowił mnie szorstko, lecz nic nie powiedział. Tuż za nim, przesłonięta kłębam dymu, stała dziewczyna - długie czarne włosy, czerwona sukienka, smukłe nogi, obute w sandały na wysokim obcasie - której sylwetka wydała mi się dziwnie znajoma. W tej samej chwili jednak Joel cofnął się w głąb razem z dziewczyną. Dostrzegłam w jego ruchu coś ukradkowego, jakby chciał ją zasłonić.

Dopiero po pewnym czasie, gdy maszerowałam w stronę Les Salants, uświadomiłam sobie, dlaczego dziewczyna wydawała mi się znajoma.

Była to - niemal na pewno - Mercedes Prossage.

40

Oczywiście nie pisnęłam nikomu ani słowa. Mercedes skończyła osiemnaście lat i mogła chodzić, dokąd jej się podobało. Poczułam się jednak nieswojo; Joel Lacroix nie należał do przyjaciół Les Salants i wolałam nie myśleć, jak wiele Mercedes mogła niechcący wygadać na temat naszych planów.

Wkrótce jednak pojawiły się przede mną inne powody do niepokoju. Po powrocie z La Houssiniere zastałam ojca przy kuchennym stole z Flynnem, oglądającego jakieś rysunki na arkuszach papieru. Zanim podnieśli głowy i mnie zobaczyli, dostrzegłam wyraz ich twarzy - mojego ojca, rozplamioną entuzjazmem, i Flynną, zaabsorbowaną jak u chłopca obserwującego hodowlę mrówek.

- To inna sprawa - wyjaśnił Flynn. - Twój ojciec chce, żebym mu pomógł w adaptacji hangaru.

- Naprawdę?

Grosjean zapewne wyczuł moją dezaprobatę, bo wykonał niecierpliwy gest. Moja ingerencja, jak się wydawało, nie była mile widziana. Odwróciłam się do Flynna, który wzruszył ramionami.

- Co mam robić? - mruknął. - To jego dom. Ja go nie namawiałem.

Oczywiście mówił prawdę. Grosjean mógł czynić ze swoim własnym domem, co mu się żywnie podobało. Zastanawiałam się jednak, skąd wziął pieniądze. A warsztat, choć nieużywany, pozostawał ogniwem łączącym nas z przeszłością. Bardzo nie chciałam go tracić.

Przyjrzałam się bliżej rysunkom. Były dobre; ojciec miał bystre oko, jeśli chodzi o szczegóły, i bez trudu odgadłam, co planuje - letni domek lub może studio z pomieszczeniami mieszkalnymi, niewielką kuchnią i łazienką. Hangar był obszerny: gdyby położyć tam podłogę, zamontować klapę i drabinę, powstałaby przyjemna sypialnia pod okapem.

- Robisz to dla Adrienne, prawda? - zapytałam, znając odpowiedź. Ta sypialnia z klapą, kuchnia, przestronny salon z podłużnym oknem. - Dla Adrienne i chłopców.

Grosjean popatrzył na mnie oczyma pozbawionymi wyrazu niczym dwa kawałki niebieskiej porcelany, a potem znowu pochylił się nad rysunkami. Odwróciłam się sztywno, bliska mdłości, i wyszłam z domu. Po chwili Flynn stanął za mną.

- Kto za to wszystko zapłaci? - spytałam, nie patrząc na niego. - Grosjean nie ma pieniędzy.

- Może ma oszczędności, o których nie wiesz.

- Przedtem umiałeś lepiej kłamać, Flynn.

Cisza. Nadal wyczuwałam za plecami jego obecność i spojrzenie. Z wydmy zerwało się z głośnym łopotem skrzydeł stado mew.

- Może pożyczył jakieś pieniądze - odezwał się wreszcie. - Mado, on jest dorosłym człowiekiem. Sam kieruje swoim życiem.

- Wiem.

- Zrobiłaś, co w twojej mocy. Pomogłaś mu...

- I po co? - Obróciłam się ze złością. - Co to dało? Obchodzi go wyłącznie zabawa w dom z Adrienne i jej synami.

- Witaj w prawdziwym świecie, Mado - powiedział. Chyba nie oczekiwałaś od niego wdzięczności?

Cisza. Nakreśliłam stopą linię na twardym piasku.

- Kto mu pożyczył pieniądze, Flynn? Czy to był Brismand?

Na twarzy Flynna odbiło się zniecierpliwienie.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Czy to Brismand?

- Prawdopodobnie tak - westchnął. - Jakie to ma znaczenie?

Odeszłam, nawet nie spojrzawszy na niego.

Odtąd nie wykazywałam zainteresowania pracami w hangarze. Flynn przywiózł z La Houssiniere całą ciężarówkę materiałów i spędził weekend na oskrobywaniu powierzchni hangaru. Grosjean stale mu towarzyszył, obserwując postępy i sprawdzając wykresy. Mimo woli zaczęłam być zazdrosna o czas, który poświęcał Flynnowi; odnosiłam wrażenie, że - wyczuwając moją dezaprobatę - ojciec mnie unika.

Dowiedziałam się, że Adrienne zamierza przyjechać w lecie na wakacje, razem z chłopcami. Nowina ta wywołała poruszenie w wiosce - kilka rodzin również oczekiwało własnych gości, którzy długo ociągali się z odwiedzinami.

- Naprawdę myślę, że tym razem dotrzyma słowa - zapewniła Capucine. - Nie jest złą dziewczyną ta moja Clo. Żadna z niej uczona, ale serce ma dobre.

Desiree Bastonnet także nie traciła nadziei. Zobaczyłam ją na drodze do La Houssiniere, w nowym zielonym płaszczu i kapeluszu ozdobionym kwiatkami. Wyglądała młodziej w tym wiosennym stroju; trzymała się prosto, policzki miała zaróżowione i uśmiechnęła się do mnie, gdy ją mijałam. Zaskoczona, zawróciłam i podeszłam do niej, by się upewnić, że nie pomyliłam jej z kimś innym.

- Idę na spotkanie z moim synem, Philippe'em - poinformowała mnie swym cichym głosem. - Jest z rodziną w La Houssiniere. W czerwcu skończy trzydzieści sześć lat.

Pomyślałam przelotnie o Flynnie, zastanawiając się, czy on również ma matkę podobną do Desiree, oczekującą jego powrotu.

- Cieszę się - powiedziałam. - I mam nadzieję, że pogodzi się z ojcem.

Desiree pokręciła głową.

- Wiesz, jaki mój mąż jest uparty. Udaje, że nie wie o moich kontaktach z Philippe'em; jego zdaniem, Philippe wrócił po tylu latach wyłącznie z powodu pieniędzy. - Westchnęła. -

Mimo to - podjęła stanowczym tonem - jeśli Aristide chce zmarnować tę szansę, jego rzecz. Ja słyszałam Świątą tamtej nocy na Pointę. Powiedziała, że odtąd sami mamy zadbać o swoje szczęście. Zamierzam jej usłuchać.

Uśmiechnęłam się. Cud, choć fałszywy, niewątpliwie odmienił Desiree. Nawet gdyby nic nie wyszło z Bouch'ou, sztuczka Flynnna zapewniła przynajmniej tyle. Wezbrała we mnie fala ciepłych uczuć wobec niego. Mimo pozornego cynizmu, pomyślałam, nie był tak zupełnie obojętny.

Żałowałam, że nie mogę się zdobyć na bardziej pozytywne nastawienie do przyjazdu mojej siostry. W miarę jak postępowała adaptacja hangaru, Grosjean zdawał się nabierać rozpędu. Było to widoczne we wszystkim, co robił świeża energia, ożywienie, fakt, że nie przesiadywał już w kuchni, wpatrzony tępo w morze za oknem. Zaczął się również częściej odzywać, choć przeważnie mówił o powrocie Adrienne, dlatego nie podnosiło mnie to na duchu, tak jakby mogło w innych okolicznościach. Zachowywał się jak ktoś, kto za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powrócił do życia. Starłam się wykrzesać z siebie radość, ale nie potrafiłam.

Rzuciłam się natomiast z szaleńczym entuzjazmem w wir prac malarskich. Namalowałam plażę w La Goulue, bielone domy z czerwonymi dachami, blokhauz na Pointę Griznoz wśród różowych tamaryszków, drżących jedwabście w podmuchach morskiego wiatru, falujące trawy na wydmach, łódzie podczas odpływu, stada ptaków kołyszące się na falach, długowłosych rybaków w spłowiałych, różowawych vareuses, Toinette Prossage w białej coiffe i wdowiej czerni, szukającą ślimaków pod stertą drewna. Powiedziałam sobie, że gdy przyjadą turyści, znajdę kupców na moje obrazki i że wydatki na płótno, farby i inne materiały stanowią inwestycję. Taką miałam nadzieję; moje oszczędności skurczyły się niebezpiecznie i choć obydwójce z GrosJeanem wydawaliśmy na życie stosunkowo niewiele, niepokoiły mnie koszty prac budowlanych. Zasięgnęłam informacji na miejscu i nawiązałam kontakt z niedużą galerią we Fromentine, której właściciel zgodził się wystawić kilka moich obrazków na sprzedaż, pobierając opłatę za pośrednictwo. Wolałabym, żeby to było bliżej domu, ale od czegoś musiałam zacząć. Ostrożnie wyczekiwałam początku sezonu.

Niebawem ponownie natknęłam się na rodzinę turystów. Poszłam ze szkicownikiem do La Goulue i próbowałam uchwycić połysk fal podczas odpływu, oni zaś wychynęli nagle znikąd:

przodem biegła Letycja z psem Petrole, a za nimi podążali rodzice, Gabi i Philippe, z niemowlęciem w nosidełku. Philippe dźwigał kosz piknikowy i plażową torbę pełną zabawek.

Letycja pomachała do mnie z zapalem.

- Salut! Znaleźliśmy plażę! - Podbiegła bliżej, zadyszana i rozpromieniona. - I w dodatku nikogo tu nie ma! Zupełnie jak na bezludnej wyspie. To najbardziej superowa bezludna plaża na świecie!

Z uśmiechem przyznałam jej słuszność.

Gabi powitała mnie przyjaznym skinieniem ręki. Była niską, pulchną, smagłą kobietą i miała na sobie żółte pareo, narzucone na kostium kąpielowy.

- Czy tu jest bezpiecznie? - zapytała. - Chodzi mi o pływanie. Nie widzę zielonej flagi ani niczego takiego.

- O, jest bezpiecznie! - zaśmiałam się. - Po prostu niewielu turystów dociera na tę stronę wyspy.

- Ta strona najbardziej nam się podoba - oznajmiła Letycja. - Najlepiej się nadaje do pływania. A ja umiem pływać - dodała z godnością - ale muszę dotykać nogą dna.

- Les Immortelles nie jest bezpieczne dla dzieci - wyjaśniła Gabi. - Stromy uskok, no i te prądy morskie.

- Tu jest lepiej - orzekła Letycja i zaczęła schodzić skalistą ścieżką. - Są kamienie i w ogóle. Chodź, Petrole!

Pies pobiegł za nią, szczekając entuzjastycznie. La Goulue rozbrzmiewała od dawna niesłyszczanymi odgłosami dziecięcej żywiołowości.

- Woda jest trochę za zimna - zauważyłam, popatrując w stronę Letycji, która dotarła już do linii przyływu i grzebała patykiem w piasku.

- Nic się jej nie stanie - powiedział Philippe. - Znam to miejsce.

- Naprawdę? - Teraz, z bliska, dostrzegłam jego wyspiarską powierzchowność, czarne włosy i niebieskie oczy. - Przepraszam, ale czy ja pana już gdzieś nie spotkałam? Wygląda pan... znajomo.

Pokręcił głową.

- Nie zna mnie pani - odparł. - Ale może pani zna moją matkę. - Jego oczy powędrowały w bok i uśmiechnął się bardzo znajomym uśmiechem.

Odwrociłam się odruchowo.

- Mamie! - wykrzyknęła Letycja znad brzegu morza i puściła się pędem w stronę plaży, rozbryzgując wodę.

Petrole zaczął ujadać.

- Mado - przemówiła Desiree Bastonnet z roziskrzonymi oczyma. - Widzę, że poznałeś mojego syna.

Przyjechał na Wielkanoc. Wraz z Gabi i dziećmi zatrzymali się w letniskowym domku za Cios du Phare i od czasu naszego spotkania na drodze do La Houssiniere Desiree odwiedziła ich kilkakrotnie.

- To po prostu super - oznajmiła Letycja, wgrzając się z lubością w pain au chocolat z koszyka. - Przez cały czas miałam mamie i nawet o tym nie wiedziałam! Mam jeszcze papi, ale go nie widziałam. Zobaczymy się z nim później.

Desiree zerknęła na mnie i lekko pokiwała głową.

- Uparty stary głupiec - mruknęła, nie bez czułości. Wciąż rozpamiętuje tę dawną historię. Ale my nie damy za wygraną.

Przebudowa hangaru dobiegała końca. Flynn sprowadził do pomocy kilku mężczyzn z La Houssiniere i robota szła jak z płatka. Nadal nie padła żadna wzmianka o źródłach finansowania.

Gdy zagadnęłam Aristide'a o koszty, odniósł się do tego filozoficznie.

- Czasy się zmieniają - skostatował. - Jeśli twój ojciec korzysta z siły roboczej z La Houssiniere, to na pewno robi dobry interes. Inaczej by się w to nie angażował.

Miałam nadzieję, że tak jest; nie podobała mi się myśl, że ojciec mógłby się zadłużyć u Brismanda.

- Teraz zaciągnięcie skromnej pożyczki ma sens - podjął z werwą Aristide. - Trzeba zainwestować w przyszłość. Przy tym układzie spraw spłacimy wszystko bez problemu.

Zrozumiałam, że on również pożyczył pieniądze. Rzecz jasna, wesele na wyspie kosztuje, a wiedziałam, że z chwilą ustalenia daty stary zechce zapewnić Xavierowi i Mercedes wszystko, co najlepsze. Mimo to dręczył mnie niepokój.

41

W pierwszym tygodniu czerwca zaczęły się wakacje szkolne. Tradycyjnie oznaczało to początek sezonu i z nowym zainteresowaniem oczekiwaliśmy przybycia „Brismanda I”. Lolo, na którego zawsze można było pod tym względem liczyć, pełnił straż w zatoce i obydwał z

Damienem na przemian, z udawaną nonszalancją, obserwowali promenadę. Jeśli ktoś zwrócił na nich uwagę, nic nie mówili. La Houssiniere prażyło się cicho w coraz gorętszym słońcu; na niegdyś podtopionym Cios du Phare ziemia pękała nieoczekiwanie pod nogami, przez co spacerzy stały się zajęciem żmudnym, a jazda na rowerze - ryzykownym. „Brismand I” przywoził codziennie zaledwie garstkę wycieczkowiczów, a Les Salants niecierpliwiło się i zżymało niczym panna młoda, zmuszona zbyt długo czekać przy ołtarzu. Byliśmy gotowi, więcej niż gotowi; mieliśmy czas się zastanowić, ile energii i pieniędzy włożyliśmy w budowę Les Salants i ile mamy do stracenia. Niektórym puszczały nerwy.

- Pewnie rozdałeś za mało ulotek! - warknął Matthias do Aristide'a. - Wiedziałem, że trzeba było wysłać kogoś innego!

Aristide prychnął.

- Rozdaliśmy wszystkie! Pojechaliśmy nawet do Nantes.

- No jasne, i zamiast pilnować naszych spraw, pławiliście się w światłach wielkiego miasta.

- Ha, ty stary capie! Pokażę ci, gdzie możesz sobie wsadzić swoje ulotki. - Aristide wstał gwałtownie, chwytając laskę.

Matthias wykonał ruch, jakby chciał złapać za krzesło. Byłaby się z tego wywiązała jedyna w swoim rodzaju bójka starej gwardii, gdyby nie wtrącił się Flynn, proponując kolejną wyprawę do Fromentine.

- Może się zorientujecie, co się tam dzieje - podsunął łagodnie. - A może warto zastosować wobec turystów nieco perswazji.

Matthias miał sceptyczną minę.

- Nie zgadzam się, żeby ci Bastonnetowie używali życia we Fromentine na mój koszt - burknął. Najwyraźniej wyobrażał sobie nieszkodliwe nadmorskie miasteczko jako siedlisko pokus i występku.

- Możecie jechać obaj - zaproponował Flynn. - Będziecie się mieli wzajemnie na oku.

- To jest myśl.

Niepewny sojusz został zawarty na nowo. Ustalono, że Matthias, Xavier, Ghislain i Aristide popłyną w piątek porannym promem do Fromentine. Piątki są dobre, jeśli chodzi o turystów, orzekł Aristide, bo ludzie wyjeżdżają na weekend. Tablice reklamowe, owszem, mogą być, ale nie ma nic lepszego niż naganiacz na trapie. W piątek wieczorem, obiecali, nasze kłopoty

się skończy.

Mieliśmy zatem przed sobą prawie tydzień niecierpliwego wyczekiwania. Zabijaliśmy czas - starsi przy szachach i piwie u Angela, młodszy łowiąc ryby w La Goulue, gdzie połowy zawsze były obfitsze niż koło Pointe.

Mercedes zaczęła się tam opalać w gorące dni, oblekając swe ponętne krągłości kostiumem w lamparcie cętki. Kilka razy przyłapałam Damiena na obserwowaniu jej przez lornetkę. Podejrzewam, że nie był w tym odosobniony.

W piątek po południu połowa wioski czekała na nabrzeżu na powrót „Brismanda I”. Desiree. Omer. Capucine. Toinette. Hilaire. Lolo i Damien. Flynn, jak zwykle, trzymał się nieco na uboczu i mrugnął do mnie, złowiwszy moje spojrzenie. Przyszła nawet Mercedes - pod pretekstem powitania wracającego Xaviera - w kusej pomarańczowej sukience i sandałkach na nieprawdopodobnie wysokich obcasach. Omer przyjrzał się jej bacznie, z mieszaniną niepokoju i aprobaty. Mercedes udała, że tego nie zauważyła.

Claude Brismand również patrzył, siedząc nad nami na tarasie „Les Immortelles”. Widziałam go z mola - monolityczną postać w białej koszuli i rybackiej czapce, ze szklanką w dłoni. Jego poza wydawała się rozluźniona, wyczekująca. Z tej odległości nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Capucine zauważyła, że go obserwuję, i uśmiechnęła się filuternie.

- Ale będzie zaskoczony, kiedy prom przybije.

Nie byłam tego taka pewna. Brismand wiedział niemal o wszystkim, co się działo na wyspie, i choć prawdopodobnie nie mógł już niczego zmienić, raczej nie wątpiłam, że cokolwiek się stanie, nie będzie dla niego niespodzianką. Na myśl o tym poczułam się nieswojo, zupełnie jakby ktoś mnie obserwował; prawdę mówiąc, im dłużej zastanawiałam się nad tą nieruchomą postacią na tarasie, tym głębszego nabierałam przekonania, że istotnie mi się przygląda ze szczególnym, znaczącym skupieniem. Wcale mi się to nie podobało.

Alain zerknął na zegarek.

- Spóźnia się.

Piętnaście minut, nie więcej. Ale nam, gdy tak czekaliśmy spoceni i oślepieni blaskiem bijącym od wody, wydawało się, że upłynęły godziny. Capucine wyciągnęła z kieszeni czekoladowy batonik i pochłonęła go trzema szybkimi, nerwowymi kęsami. Alain ponownie spojrzął na zegarek.

- Powinienem był sam pojechać - sarknął. - Na pewno zawalili sprawę.

Omer gniewnie zmarszczył brwi.

- Ha, jakoś nie słyszałem, żebyś się zgłaszał na ochotnika.

- Widzę coś! - krzyknął Lolo znad wody.

Wszyscy popatrzyli na morze. Na tle mlecznego horyzontu pojawiła się biała smuga.

- Prom!

- Nie pchaj się tak!

- Jest! Tuż za balise.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim dało się dostrzec coś konkretnego. Lolo miał lornetkę, którą przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk. Molo kołysało się pod naszymi stopami. Nieduży prom zmierzał ku Les Immortelles szerokim łukiem, zostawiając za sobą białą brudę. Gdy się zbliżył, zobaczyliśmy, że na pokładzie roi się od pasażerów.

- Letnicy!

- I to ilu.

- Nasi letnicy.

Przez reling przechylał się Xavier, bliski wypadnięcia za burtę. Wymachiwał gwałtownie rękami, a po chwili doleciał do nas nad zatoką jego słaby, odległy głos.

- Udało się, ha! Udało się! Mercedes! Udało się!

Claude Brismand spoglądał beznamiętnie z tarasu „Les Immortelles”, co pewien czas unosząc szklankę do ust. „Brismand I” spuścił w końcu trap i turyści zaczęli gromadnie schodzić na molo. Aristide’a, który zszedł po trapie z wysiłkiem, lecz tryumfalnie, wsparty na ramieniu wnuka, Omer i Alain natychmiast unieśli w górę, dołączając do chóru. Capucine rozwinęła arkusz z napisem: „Tędy do Les Salants”. Lolo, nigdy nieprzepuszczający okazji zarobienia paru groszy, przyciągnął spod ściany rower z drewnianą przyczepką i zaczął wykrzykiwać:

- Bagaże! Transport bagaży do Les Salants za przystępną opłatą!

Na promie musiało się znajdować trzydzieści osób, może więcej. Studenci, rodziny, para staruszków z psem. Dzieci. Słyszałam na molo śmiech i podniesione głosy, niektóre mówiące w obcym języku. Wśród uścisków i poklepywania po plecach bohaterowie dnia wyjaśnili tajemnicze niepowodzenie naszej pierwszej akcji reklamowej: opowiedzieli o zniknięciu ulotek i o perfidii urzędnika z biura informacji turystycznej we Fromentine (wyszło na jaw, że współpracuje z houssinianami), który - stwarzając wrażenie, że stoi po naszej stronie - w rzeczywistości doniósł Brismandowi o szczegółach naszych planów i robił, co mógł, żeby

zniechęcić turystów do odwiedzenia Les Salants.

Na ulicy dostrzegłam Jojo-le-Goelanda z otwartymi ustami i zapomnianym niedopałkiem, wysuwającym się spomiędzy palców. Właściciele sklepów zbiegli się również, zaciekawieni, skąd takie zamieszanie. Zobaczyłam mera Pinoza w drzwiach „Chat Noir” i Joela Lacroix, stojącego okrakiem nad swoim czerwonym motocyklem. Obydwaj wpatrywali się w naszą grupę z rosnącym zdumieniem.

- Rowery do wynajęcia! - obwieścił Omer Prossage. Kawałek dalej, rowery do Les Salants!

Xavier, upojony tryumfem, ruszył z trapu w stronę Mercedes i porwał ją w ramiona. Niewiele było ciepła w jej uścisku, lecz zdawał się tego nie zauważać. Obydwaj z Aristide'em potrzęsali garściami papierów.

- Zadatki! - wykrzykiwał Aristide z ramion Omera. - Za twój dom, Prossage, i twój, Guenole, i od pięciu twoich obozowiczów, Toinette, i...

- Jedenaście zadatków, ha! A będzie więcej!

- Udało się - powiedziała Capucine z nabożnym podziwem.

- Dokonali tego! - zapała Toinette, zarzucając ramiona na szyję Matthiasowi Guenole i całując go z dubeltówki.

- My dokonaliśmy - sprostował Alain, z nieoczekiwaną wylewnością biorąc mnie w objęcia. - Les Salants!

- Les Salants, ha!

- Les Salants!

Nie wiem, dlaczego się wówczas obejrzałam. Może z ciekawości, a może trochę rozpierała mnie pycha. To była chwila naszego tryumfu. Może po prostu chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy.

Zrobiłam to tylko ja. Gdy moi przyjaciele ruszyli naprzód ze śpiewem, okrzykami, nawoływaniami, skandowaniem, odwróciłam się, zaledwie na moment, by spojrzeć w stronę hotelowego tarasu, na którym siedział Brismand. Gra światła wyraźnie wydobyła z cienia jego twarz. Stał teraz, wznosząc szklanekę w milczącym, ironicznym toaście.

- Za Les Salants!

I patrzył przy tym prosto na mnie.

CZEŚĆ TRZECIA

Ujeżdżanie fal

Moja siostra z rodziną zjawiała się trzy dni później. Hangar (nazywany teraz „studium”) był prawie gotowy i Grosjean siedział na ławce na podwórzu, nadzorując prace wykończeniowe. Flynn w środku sprawdzał instalację elektryczną. Dwaj houssinianie, którzy pracowali przy przebudowie, już sobie poszli.

Warsztat szkutniczy, odgradzony teraz od studia żywopłotem z żarnowca, podzielono na dwie części. Połowa pełniła funkcję ogródka, do którego Grosjean wstawił ławki, stół i kilka donic z kwiatami. Resztę nadal zajmowały materiały budowlane. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze potrwa, zanim Grosjean uprzątnie do końca dawne miejsce pracy.

Nie powinnam była aż tak się tym przejmować. Ale nic nie mogłam na to poradzić; warsztat i podwórze były naszym wspólnym miejscem, jedynym, do którego matka i Adrienne nie miały dostępu. Mieszkały tam duchy; ja, siedząca po turecku pod stołem na kozłach, Grosjean obrabiający klocek drewna na tokarce, Grosjean wtórujący przy pracy nuceniem muzyce z radia, Grosjean i ja, dzielący się kanapką w trakcie jednej z rzadkich opowieści mojego ojca, Grosjean z długim pędzlem w dłoni, zadający pytanie: „Jak ją nazwiemy? Odile czy Odette?”, Grosjean zaśmiewający się z mojej próby zszycia żagla, Grosjean podziwiający z pewnej odległości swoje dzieło... Nikt inny w tym nie uczestniczył - ani Adrienne, ani matka. Nie potrafiły tego zrozumieć. Matka nieustannie suszyła ojcu głowę o niedokończone roboty - porzucone w połowie projekty, półki do zmontowania, rynny do naprawienia. Wreszcie traktowała go już tylko jako gorzki żart, budowniczego, który nigdy nie kończy tego, co zaczął, rzemieślnika zdolnego skonstruować zaledwie jedną łódź na rok, próżniaka, który kryje się całymi dniami w gąszczu rupieci, a potem wychodzi, oczekując posiłku na stole. Adrienne wstydziła się jego poplamionych farbą ubrań i braku towarzyskiego obycia i wołała, by jej z nim nie widywano w La Houssiniere. Wyłącznie ja asystowałam mu przy pracy. Ja jedna byłam z niego dumna. Mój duch snuł się ufnie po warsztacie, pewny, że przynajmniej tutaj możemy być takimi, jakimi nie ośmielamy się być gdzie indziej.

W dzień przyjazdu mojej siostry siedziałam na podwórzu, malując gwaszem portret ojca. Było to jedno z bezchmurnych letnich przedpołudni, gdy wszystko jest jeszcze zielone i pokryte rosą. Ojciec, odprężony i pogodny, palił papierosa i popijał kawę w promieniach słońca, osłoniwszy oczy daszkiem rybackiej czapki.

Wtem z drogi za domem dobiegł warkot samochodu i złe przeczucie natychmiast mi

podpowiedziało, kto przyjechał.

Moja siostra miała na sobie białą bluzkę i powłóczystą spódnicę, na widok której poczułam się niechlujna i zaniedbana. Pocałowała mnie w policzek, podczas gdy chłopcy, ubrani w identyczne szorty i podkoszulki, trzymali się z tyłu i szeptali coś do siebie, szeroko otwierając ciemne oczy. Marin z nianią zamykali pochód. Ojciec nie ruszył się z miejsca, lecz jego oczy promieniały.

Flynn pojawił się w drzwiach hangaru, wciąż jeszcze w roboczym kombinezonie. Miałam nadzieję, że zostanie z nami - z niewiadomych przyczyn myśl, że pracuje gdzieś w pobliżu, dodawała mi otuchy - ale na widok Adrienne i reszty rodziny zamarł w bezruchu, kryjąc się niemal instynktownie w cieniu przy wejściu. Wykonałam dłonią nieznaczny, powstrzymujący gest, lecz on już wyszedł na podwórze, ominął furtkę i przeskoczył przez murek na drogę. Pomachał mi, nie odwracając się, wspiął na wydmy, po czym lekko pobiegł ścieżką w stronę La Goulue.

Marin odprowadził spojrzeniem znikającą postać.

- Co on tutaj robi? - zapytał.

Zerknęłam na niego, zaskoczona ostrym tonem jego głosu.

- Pracuje u nas. A co, znasz go?

- Widziałem go w La Houssiniere. Mój stryj... - Urwał, zaciskając usta w wąską kreskę. - Nie, nie znam go - dokończył i odwrócił głowę.

Usiedli z nami do obiadu. Przyrządziłam potrawkę z jagnięcia, którą Grosjean zjadał z właściwym sobie milczącym zapałem, zagryzając chlebem każdą czubatą ociekającą łyżkę. Adrienne jadła drobnymi kęsami, bez apetytu.

- Jak to miło wrócić do domu - oznajmiła, uśmiechając się promiennie do Grosjeana. - Moi chłopcy już nie mogli się doczekać. Od Wielkanocy wręcz szaleją z podniecenia.

Zerknęłam na jej synów. Żaden nie sprawiał wrażenia szczególnie podekscytowanego. Lo'ic bawił się kawałkiem chleba, krusząc go nad talerzem. Franek wyglądał przez okno.

- Urządziłeś dla nich przeuroczy letni domek, papo ciągnęła Adrienne. - Będzie im tu cudownie.

Adrienne z Marinem, jak się po chwili dowiedzieliśmy, zamierzali jednak zatrzymać się w „Les Immortelles”. Chłopcy z nianią mogli zamieszkać w studiu, lecz Marin miał pewne sprawy do załatwienia ze swoim stryjem i nie wiedział, ile czasu mu to zajmie. Grosjean przyjął

nowinę obojętnie i dalej jadł powoli, w zamyśleniu, z oczyma utkwionymi w dzieci. Franek szepnął coś do brata po arabsku i obaj zachichotali.

- Nie spodziewałem się zastać tutaj tego rudego Anglika - zwrócił się Marin do Grosjeana, dolewając sobie wina. - Czy to wasz przyjaciel?

- A co, zrobił coś złego? - spytałam. Nie podobał mi się jego kwaśny ton.

Marin w milczeniu wzruszył ramionami. Grosjean sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał ani słowa.

- W każdym razie dobrze mu wyszedł ten letni domek! - wtrąciła z ożywieniem Adrienne.
- Będziemy się tu świetnie bawili!

Zakończyliśmy posiłek, nic już nie mówiąc.

43

Wraz z przyjazdem chłopców Grosjean znalazł się w swoim żywiole. Przesiadywał na podwórzu, przyglądając się w milczeniu ich zabawom, uczył ich robić łódki z kawałków drewna i resztek płótna albo szedł z nimi na wydmy, gdzie bawili się w chowanego wśród wysokich traw. Adrienne i Marin wpadali od czasu do czasu, lecz rzadko zostawali na dłużej; interesy Marina, jak nas poinformowali, okazały się bardziej zagmatwane i czasochłonne, niż oczekiwali.

Tymczasem Les Salants wkroczyło w cykl letni. Prace w wiosce niemal dobiegły końca - uporządkowano ogródki, w których z piaszczystej gleby wyrastały malwy, lawenda i rozmaryn, odmalowano drzwi i okiennice, zamieciono drogi i zagrabiono pobocza, a domy jaśniały ochrowymi dachówkami i świeżo pobielonymi ścianami. Pokoje gościnne i pośpiesznie wyremontowane budynki gospodarcze zapełniały się stopniowo. Na pole namiotowe w La Houssiniere przyjechała grupa turystów, która niebawem przeniosła się do Les Salants, zwabiona wydmami i krajobrazem. Philippe Bastonnet i jego rodzina wrócili na lato i prawie codziennie przychodzili do La Goulue. Aristide ciągle trzymał się na dystans, lecz często można było zobaczyć Desiree w cieniu wielkiego plażowego parasola, podczas gdy Letycja pluskała się z zapalem w sadzawkach wśród skał.

Toinette udostępniła nieoficjalnie obozowiczom teren za swoim domkiem, pobierając opłatę o połowę niższą niż w La Houssiniere - i już jakaś młoda para z Paryża rozbiła tam namiot. Warunki były prymitywne: wygodka na zewnątrz domu, pralnia oraz kran z wodą i podłączonym węzłem, ale dochodziły do tego artykuły żywnościowe z farmy Omera, bar Angela,

no i oczywiście plaża, niezbyt jeszcze bogata w piasek, lecz rosnąca w siłę z każdym przypływem. Podłoże, z którego nie wystawały już kamienie, było gładkie i równe. Skały za linią przypływu zapewniały wytchnienie i ochronę. Dzieci zachwycały się miniaturowymi zatoczkami i sadzawkami. Zauważyłam, że Letycja łatwo nawiązuje przyjacielskie kontakty z małymi sałanianami. Na początku odnosiły się do niej nieco podejrzliwie - rzadko widywały turystów i w związku z tym były nieufne - ale jej ujmujący sposób bycia prędko przełamał wszelkie lody. Zanim minął tydzień, często widywało się ich razem, biegających boso po Les Salants, grzebiących patykami w etier, dokazujących na wydmach z Petroleem deptającym im po piętach. Pызaty, pełen zapału Lolo darzył ją szczególną sympatią i rozbawiło mnie, że przejął jej miejskie wyrażenia i naśladował jej akcent.

Moi siostrzeńcy nie brali udziału w tych zabawach. Za to - mimo wysiłków mego ojca, by zatrzymać ich przy sobie - większość czasu spędzali w La Houssiniere. Tuż obok kina znajdował się pasaż gier, w którym lubili przebywać. Łatwo się nudzili, jak wyjaśniła Adrienne przepraszającym tonem. W Tangerze mieli znacznie więcej zajęć.

Jedynym chłopcem, którego plaża zdawała się nie interesować, był Damien - najstarszy i najbardziej skryty spośród salaniańskich dzieci. Niejednokrotnie widywałam go włóczącego się samotnie po nadmorskim urwisku i palącego papierosa. Gdy zapytałam go raz, czy pokłócił się z Lolem, wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową. Dziecinada, oświadczył lekceważąco. Czasami po prostu chce być sam.

Częściowo mu wierzyłam. Odziedziczył zgryźliwość ojca i jego drażliwy charakter. Nie będąc towarzyskim z natury, z pewnością poczuł się rozgoryczony, gdy Lolo - dotychczas jego najwierniejszy towarzysz - tak szybko opuścił go dla Letycji, zaledwie ośmioletniej i przybyłej z kontynentu. Zauważyłam z lekkim rozbawieniem, że Damien usilnie próbuje zachowywać się jak dorosły, naśladowując leniwą, nonszalancką pozę Joela Lacroix i jego koleżków z La Houssiniere. Charlotte napomknęła, że młody Damien ma za dużo pieniędzy, jak na chłopca w jego wieku. W wiosce krążyły plotki o nowym członku bandy motocyklistów, jeżdżącym z kimś na tylnym siodełku. I bardzo młodym, jak powiadano.

Podejrzenia się potwierdziły, gdy parę dni później zobaczyłam go w La Houssiniere pod kawiarnią „Chat Noir”. Wysłałam na spotkanie „Brismanda I” z nowymi obrazkami dla galerii we Fromentine i dostrzegłam Damiena, palącego papierosa w słońcu przy promenadzie z Joelem i kilkoma innymi młodymi houssinianami. Były z nimi również dziewczyny, długonogie,

młodziutkie stworzenia w krótkich spódniczkach. Ponownie rozpoznałam Mercedes.

Pochwyciła moje spojrzenie, gdy ich mijałam, i zachnęła się nieco, wyczuwając jego natarczywość. Paliła papierosa - czego nigdy nie robiła w domu - i wyglądała dość blado pomimo czerwonej szminki; jej ciemne oczy były zmęczone, makijaż rozmazany. Zaśmiała się - zbyt piskliwie - gdy przechodziłam obok i z wyzywającą miną zaciągnęła dymem. Damien z zakłopotaniem odwrócił wzrok. Nie odezwałam się do nich.

La Houssiniere przycichło. Nie była to martwa cisza, jak przepowiadali tryumfalnie niektórzy salanie, lecz raczej drzemka. Kawiarnie i bary pozostawały otwarte, ale przeważnie świeciły pustkami; na plaży w Les Immortelles zauważyłam może z tuzin osób. Siostra Extase z siostrą Therese pomachały do mnie z rozświetlonych stopni hotelu.

- To przecież Mado!

- Co tam masz?

Usiadłam obok i pokazałam im teczkę z obrazkami. Siostry pokiwały głowami z aprobatą.

- Powinnaś spróbować coś sprzedać panu Brismandowi, mała Mado.

- Chętnie byśmy popatrzyły na coś ładnego, nieprawdaż, ma soeur? Oglądamy wciąż te same stare...

- ...martyrologie od niepamiętnych czasów. - Siostra Therese przesunęła palcami po jednym z rysunków. Przedstawiał widok Pointe Griznoz ze zniszczonym kościołem na tle wieczornego nieba. - Oko artysty - orzekła z uśmiechem. - Odziedziczyłaś dar po ojcu.

- Przekaż mu od nas serdeczne pozdrowienia, Mado.

- I porozmawiaj z monsieur Brismandem. Jest teraz na spotkaniu, ale...

- ...zawsze miał do ciebie słabość.

Rozważyłam tę myśl. To mogła być prawda, nie podobał mi się jednak pomysł prowadzenia interesów z Claude'em Brismandem. Unikałam go od ostatniego spotkania; wiedziałam już, że interesuje go, jak długo zostanę na wyspie, i nie chciałam narażać się na jego indagację. Podejrzywałam, że jest lepiej zorientowany w tym, co dzieje się w Les Salants, niż nam się wydaje, i choć nigdy nie przyłapał nikogo na kradzieży piasku z Les Immortelles, trwał w przekonaniu, że taki proceder się odbywa. Nie można było ukryć przed houssinianami plaży w La Goulue i nie wątpiłam, iż ujawnienie tajemnicy naszej dryfującej rafy jest tylko kwestią czasu. A gdy to nastąpi, pomyślałam, chciałabym się znaleźć jak najdalej od Brismanda.

Zbierając się do odejścia, dostrzegłam nagle coś niedużego na ziemi przed sobą. Był to

czerwony koralik, podobny do tych, które mój ojciec zawieszał na łodziach. Wielu wyspiarzy nadal je nosiło. Ktoś musiał zgubić swój.

- Masz bystre oko - zauważyła siostra Extase, gdy go podnosiłam.

- Zatrzymaj go, mała Mado - dodała siostra Therese. Noś go, przyniesie ci szczęście.

Pożegnałam się z zakonnice i wstałam („Brismand I” dał znak syreną, że odpływa za dziesięć minut, i nie chciałam się spóźnić), a wówczas dobiegło mnie nagłe trzaśnięcie drzwi i podniesione głosy z holu „Les Immortelles”. Nie rozróżniałam słów, słyszałam jednak gniewne tony, jak gdyby ktoś opuszczał hotel, urządziwszy awanturę. Głęboki głos Brismanda kontrapunktował pozostałe. Następnie z holu tuż nad nami wyłoniła się para, mężczyzna i kobieta z identycznym wyrazem zakamieniałej furii na twarzach. Siostry usunęły się na boki, a potem zsunęły na powrót, niczym uśmiechnięta zasłona.

- Jak tam wasze interesy? - zagadnęłam Adrienne.

Lecz ani ona, ani Marin nie raczyli odpowiedzieć.

44

Nadpłynęło lato. Pogoda była piękna, jak zwykle na wyspach o tej porze roku - ciepła i słoneczna, lecz nie upalna dzięki morskiej bryzie z zachodu. Siedmioro z nas gościło teraz turystów, w tym cztery rodziny, które mieszkały w wolnych pokojach i przerobionych przybudówkach. Toinette miała komplet obozowiczów. Razem zebrało się trzydziścioro ósmioro letników, a „Brismand I” za każdym razem dowoził nowych.

Charlotte Prossage nabrała zwyczaju przyrządzania raz w tygodniu paelli z krabów i langust łapanych w nowym wiwarium. Gotowała to danie w olbrzymim garze i zanosila do Angela, który sprzedawał je w porcjach na wynos. Turyści byli zachwyceni i niebawem musiała zaangażować Capucine do pomocy. zaproponowała układ, w ramach którego każda z nich szykowała jakieś danie raz w tygodniu. Wkrótce mieliśmy paellę w niedziele, gratin devinnois (pieczona barwena, białe wino i ziemniaki w plasterkach z kozim serem) we wtorki i bouillabaisse w czwartki. Inni mieszkańcy wioski właściwie w ogóle przestali gotować.

W dzień świętego Jana Aristide ogłosił wreszcie zaręczyny swego wnuka z Mercedes Prossage i dla uczczenia tej okazji wyprawił „Cecilię” na rundę honorową wokół Bouch’ou. Charlotte odśpiewała hymn, podczas gdy Mercedes siedziała w białej sukience na dziobie i narzekała pod nosem na smród wodorostów i bryzgi wody, padające na nią, ilekroć „Cecilia” się

zakołysała.

„Eleanore II” przeszła najsmielsze oczekiwania. Alain i Matthias nie posiadali się z zachwytem; nawet Ghislain przyjął wiadomość o zaręczynach Mercedes z zadziwiającą pogodą ducha, snując własne, misterne i nieprawdopodobne plany, oparte głównie na zgłoszeniu „Eleanore II” do regat przybrzeżnych i zdobyciu pierwszej nagrody, a co za tym idzie, majątku.

Ziściło się marzenie Toinette, która sprzedała kilkadziesiąt saszetek z solą morską (o zapachu lawendy i rozmarynu).

- To takie proste - powiedziała z błyskiem w czarnych oczach. - Ci turyści kupią wszystko. Pęczki ziół przewiązane wstążką. Nawet morskie błoto. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Wystarczy nakłaść go do słoiczków i przykleić etykietkę z napisem: „talassoterapeutyczna odżywka do skóry”. Moja matka przez lata smarowała tym twarz. To stary wyspiarski sposób zachowania urody.

Omer La Patate znalazł na kontynencie kupca na nadwyżkę warzyw, po cenach znacznie przekraczających te, do których przywykł w La Houssiniere. Część osuszonych gruntów przeznaczył pod jesienne kwiaty, mimo iż od lat trwał w przekonaniu, że szkoda czasu na takie błahostki.

Mercedes często znikła na całe godziny w La Houssiniere, rzekomo odwiedzając salon piękności.

- Tak długo tam przesiadujesz - zauważyła Toinette - że chyba już pierdzisz perfumami. Chanel numer pięć. - Zachichotała.

Mercedes z rozdrażnieniem potrząsnęła głową.

- Jakaż ty jesteś ordynarna, meme.

Aristide z uporem ignorował obecność syna w La Houssiniere, angażując się głęboko i z odcieniem desperacji w plany związane z przyszłością Xaviera i Mercedes.

Desiree, choć ją to martwiło, nie była zaskoczona.

- Wszystko mi jedno - powtórzyła, siedząc pod parasolem z Gabi i niemowlęciem. - Zbyt długo już żyjemy w cieniu grobu Oliviera. Teraz pragnę tylko towarzystwa żywych.

Jej oczy powędrowały ku szczytowi urwiska, skąd Aristide często obserwował powracające łodzie rybackie. Teraz zauważyłam, że jego lornetka zwrócona jest nie w stronę morza, lecz na linię przyływu, gdzie Letycja i Lolo budowali twierdzę z piasku.

- Przesiaduje tam codziennie - powiedziała Desiree. Prawie się do mnie nie odzywa. -

Wzięła dziecko na ręce i poprawiła mu kapelusik. - Chyba przespaceruję się trochę nad morzem - dodała dziarskim tonem. - Przyda mi się łyk świeżego powietrza.

Turyści napływali nieustannie. Angielska rodzina z trójką dzieci. Starsze małżeństwo z psem. Wytworna wiekowa dama z Paryża, ubrana nieodmiennie w róż i biel. Obozowicze z dziećmi.

Nigdy nie widzieliśmy aż tylu dzieci naraz. Cała wioska tętniła ich obecnością: śmiały się i wrzeszczały, żywiołowe i zuchwałe, jaskrawe jak ich plażowe zabawki, ubrane w seledyn, turkus i ciemny róż, pachnące kremem do opalania, olejkami kokosowymi, watą cukrową i życiem.

Nie wszyscy goście byli turystami. Zauważyłam z pewnym rozbawieniem, że nasza młodzież - w tym Damien i Lolo - cieszy się poprzez skojarzenie nieoczekiwanym prestiżem i nawet przyjmuje łąpówki od młodych houssinian za dostęp do plaży.

- Przedsiębiorcze młodziaki - skonstatowała Capucine, gdy o tym napomknęłam. - Cóż komu szkodzi odrobina inicjatywy? Zwłaszcza gdy można oskubać jakiegoś houssinianina. - Zachichotała beztrzesko. - To miło choć raz, dla odmiany, mieć coś, na czym im zależy, ha? Czemu nie mieliby za to płacić?

Przez pewien czas kwitł czarny rynek. Damien Guenole zbierał papierosy z filtrem, które wypalał - jak podejrzewałam - z ukrywanym niesmakiem, Lolo zaś rozsądnie pobierał opłaty w gotówce. Wyznał mi, że oszczędza na motorower.

- Z motorowerem można nieźle zarobić - oznajmił poważnie. - Dorywcze zajęcia, przesyłki, różne zlecenia. Chcesz czy nie chcesz, dystrybucja to najlepsza instytucja!

Zdumiewające, jakie zmiany potrafi wprowadzić kilkanaścioro dzieci. Les Salants nagle ożyło. Staruszkowie już nie tworzyli większości.

- To mi się podoba - oznajmiła Toinette, gdy jej wspomniałam o tym zjawisku. - Czuję się znowu młoda.

Nie była w tym osamotniona. Opryskliwy Aristide przyłapałam go na tej czynności - pokazywał chłopcom, jak wiązać węzły. Alain, tak zazwyczaj szorstki dla własnej rodziny, zabrał Letycję w rejs własną łodzią. Desiree potajemnie rozdawała słodycze, wtykając je w żarliwie wyciągnięte, brudne ręczki. Każdy, rzecz jasna, pragnął przyjazdu letników. Ale dzieci zaspokajały bardziej podstawową potrzebę. Przekupywaliśmy i psuliśmy je bez przerwy. Surowe

starszki kosztowały słodczy. Surowi starcy odkrywali na nowo chłopięce zabawy.

Flynn był ich ulubieńcem. Zawsze przyciągał nasze dzieciaki, może dlatego, że nigdy specjalnie się o to nie starał. Ale dla letników stał się kimś w rodzaju szczurołapa z Hameln; bez przerwy otaczały go dzieci, które zagadywały do niego i obserwowały budowę rzeźb z kawałków naniesionego drewna lub odsiewanie śmieci na plaży. Prześladowały go niemiłosiernie, on jednak nie miał nic przeciw temu. Przynosiły mu trofea z La Goulue i opowiadały o sobie nawzajem. Bezwstydnie rywalizowały o jego uwagę. Flynn przyjmował ich względy z taką samą pogodną obojętnością, jaką okazywał wszystkim innym.

Odniosłam wrażenie, że od chwili przybycia turystów Flynn wydawał się nieco bardziej zamknięty w sobie. Zawsze jednak znajdował chwilę czasu dla mnie i spędziłyśmy razem wiele godzin na dachu blokhauzu albo nad wodą. Byłam mu za to wdzięczna; teraz, gdy Les Salants znalazło się na drodze do ozdrowienia, poczułam się zbyt czarna, jak matka dorastających dzieci. Było to, rzecz jasna, absurdałne uczucie - nikogo bardziej niż mnie nie cieszyła zmiana w Les Salants - lecz mimo to chwilami niemal życzyłam sobie, by coś zakłóciło nasz spokój.

Gdy powiedziałam o tym Flynnowi, parsknął śmiechem.

- Nie powinnaś mieszkać na wyspie - rzucił niedbale. Żeby przetrwać, potrzebujesz nieustannego kryzysu.

Ten beztroski komentarz wówczas mnie rozśmieszył.

- Nieprawda! Uwielbiam spokojne życie!

Flynn wyszczerzył zęby.

- Przy tobie o czymś takim nie ma mowy.

Później pomyślałam o tym, co mi powiedział. Czy miał rację? Czy rzeczywiście potrzebowałam bliskości niebezpieczeństwa, świadomości kryzysu? Czy to właśnie przyciągnęło mnie do Le Devin? I do Flynn'a?

Tamtej nocy, podczas odpływu, nie mogłam usnąć i wyszłam na La Goulue, żeby oczyścić umysł. Półksiężyc świecił jasno; słyszałam przytłumiony szmer fal przy mrocznym greve i czułam zmienne podmuchy wiatru. Spoglądając wstecz od strony La Goulue, widziałam blokhauz, ciemną bryłę na tle rozgwieżdżonego nieba. Przez chwilę byłam pewna, że widzę jakąś postać, która zsunęła się w stronę wydm. Po ruchach rozpoznałam Flynn'a.

Może poszedł na ryby, powiedziałam sobie w duchu, choć nie miał latarni. Wiedziałam że czasami podkrada Guenole homary. Lepiej było to robić po ciemku.

Po tym jednym spojrzeniu już go nie dostrzegłam i, zmarznięta, zawróciłam w stronę domu. Słyszałam z oddali śpiewy i okrzyki, widziałam żółte światła, ścielące się na drodze wokół baru Angela. Na ścieżce tuż poniżej mnie przystanąła para, prawie niewidoczna w cieniu wydmy. Jedna z postaci była potężna i zwałista, z dłońmi zanurzonymi nonszalancko w kieszeniach vareuse, druga zaś mniej masywna - i tylko smuga światła z kawiarni rozplómiła nagle jego włosy.

Widziałam je tylko przez chwilę. Ściszone głosy, uniesiona ręka, uścisk. Potem sobie poszli - Brismand do wioski, rzucając potężny cień na wydmy, a Flynn z powrotem ścieżką, długim, równym krokiem prosto ku mnie. Nie zdążyłam uciec; znalazł się tuż przy mnie w mgnieniu oka, z twarzą oświetloną księżycem. Cieszyłam się, że stoję w cieniu.

- Jeszcze nie śpisz? - zagadnął wesoło. Najwyraźniej nie zauważył, że widziałam go z Brismandem.

- Ty też - odparłam. Moje myśli wirowały; nie byłam pewna, co właściwie widziałam. Musiałam się nad tym zastanowić.

- Belote - uśmiechnął się do mnie. - Tym razem, dla odmiany, wygrałem. Tuzin flaszek wina od Omera. Jak wytrzeźwieje, Charlotte go zatłucze. - Zwichrzył mi włosy. Słodkich snów, Mado. - I odszedł, pogwizdując przez zęby, tą samą drogą, którą nadeszłam.

Zadziwiająco trudno było mi zagadnąć Flynna o jego kontakty z Brismandem. Tłumaczyłam sobie, że to spotkanie mogło być czysto przypadkowe: Les Salants nie stanowiło dla houssinian strefy zakazanej, a Omer, Matthias, Aristide oraz Alain potwierdzili zgodnie, że tamtego wieczoru u Angela Flynn istotnie grał w belote. Nie skłamał. Ponadto, jak lubiła wytykać Capucine, Flynn nie był salanianinem. Nie stawał po niczyjej stronie. Może Brismand zatrudnił go przy jakiejś pracy. Mimo to pozostał cień podejrzenia - ziarnko piasku w muszli, drobny niepokój.

Wciąż wracałam myślą do holu „Les Immortelles”, do hałaśliwego spotkania Brismanda z Marinem i Adrienne, do koralowego paciorka, który znalazłam na stopniach hotelu. Nosiło je wielu wyspiarzy, w tym mój ojciec i większość rybaków.

Ciekawa byłam, czy Flynn jeszcze nosi swój.

siostry Grosjean sprawiał wrażenie jeszcze mniej przytomnego niż zwykle i stał się niemal zupełnie niekomunikatywny. Przywykłam wprawdzie do tego, lecz w jego milczeniu pojawił się nowy akcent. Jakaś mglistość. Studio było ukończone. Bałagan po robotnikach dawno posprzątany. Grosjean nie miał już czego nadzorować na zewnątrz i ku memu przerażeniu, popadł z powrotem w dawną apatię, jeszcze gorszą niż przedtem; siedział w kuchni, patrząc w okno albo popijając kawę, i czekał na chłopców.

Ci chłopcy. Tylko oni wrywali go ze stanu sennej obojętności. Ożywiał się wyłącznie przy nich, i to budziło we mnie gniew, a zarazem litość. Widziałam ich miny, ich tajemne grymasy, słyszałam szepty i żarty kierowane pod jego adresem. Pepere Gros Bide, tak nazywali go za plecami. Stary Brzuchacz. Przedrzeźniali go ukradkiem, naśladowali jego ociężały chód, wysuwając stopy i wypinając zaokrąglone brzuszki z małpią złośliwością. Natomiast stając przed nim twarzą w twarz, chichotali sztucznie, spuszczaali oczy i wyciągali ręce po pieniądze lub słodycze. Zdarzały się i kosztowniejsze prezenty. Nowe dresy - czerwony dla Francka, niebieski dla Loka - włożone jeden raz, a potem porzucone niedbale wśród ostów na tyłach ogrodu. Rozliczne zabawki - piłki, wiaderka, łopatki, gry elektroniczne, które na pewno zamawiał na kontynencie, ponieważ nikogo nie było tutaj stać na coś takiego. W sierpniu przypadały urodziny Loica i zaczęło się mówić o łodzi. Zastanawiałam się z narastającym niepokojem, skąd Gros Jean bierze na to pieniądze.

Żeby choć trochę uśmierzyć ten niepokój, malowałam szybciej i z większym zapałem niż kiedykolwiek przedtem. Nigdy temat nie był mi równie bliski. Malowałam Les Salants i salanian: śliczną Mercedes w krótkiej spódniczce, Charlotte Prossage zdejmującą pranie na tle granatowej burzowej chmury, młodych mężczyzn rozebranych do pasa na słonych mokradłach, wśród stożków śnieżnobiałej soli, tworzących krajobraz jak gdyby z innej planety, Alaina Guenole na dziobie „Eleanore II”, przypominającego celtyckiego wodza, Omera o żarliwej, komicznej twarzy, Flynnna z workiem nad brzegiem morza, przy żagłowie albo wydobywającego z wody wężycierze na homary, z włosami związanymi strzępkami żaglowego płótna i uniesioną dłonią, osłaniającą oczy przed słońcem...

Mam bystre oko, jeśli idzie o szczegóły. Matka często to powtarzała. Malowałam głównie z pamięci - nikt nie miał czasu pozować - i opierałam płótna o ścianę pokoju, by wyschły przed oprawieniem. Adrienne, przybywając z wizytą, przyglądała mi się z zainteresowaniem, niekoniecznie życzliwym.

- Malujesz o wiele bardziej kolorowo niż dawniej - zauważyła. - Niektóre z tych obrazków aż biją po oczach.

Miała rację. Moje wcześniejsze obrazy wydawały się w porównaniu z nowymi posępne, często utrzymane w szaro-beżowej tonacji, oddającej zimę na wyspie. Teraz jednak na mojej palecie, tak jak i w całej wiosce, zagościło lato, przynosząc z sobą matowy róż tamaryszków, chromową żółć żarnowców, kolcolistu i mimozy, rozżarzoną biel soli i piasku, pomarańcz rybackich boi, błękit nieba i czerwień żagli na wyspiarskich łodziach. Cała ta jaskrawość również miała w sobie coś posępnego, ale kochałam to coś. Czułam, że to najlepsze obrazy, jakie w życiu namalowałam.

Tego samego zdania był Flynn, który skłonił głowę przed moimi płótnami z szorstkim podziwem, napełniając mnie dumą.

- Nieźle ci idzie - zauważył. - Niedługo otworzysz własną galerię.

Siedział zwrócony do mnie bokiem, opierając się plecami o ścianę blokhauzu, z twarzą ukrytą w cieniu opadającego ronda kapelusza. Nad jego głową przemknęła po rozgrzanych kamieniach mała jaszczurka. Próbowałam uchwycić wyraz jego twarzy - skrzywienie ust, ukośne cienie pod kośćmi policzkowymi. Z rozbłękitnionej latem wydmy za naszymi plecami dochodziło granie świerszczy. Flynn zorientował się, że go szkicuję, i przybrał sztywną pozę.

- Poruszyłeś się - zbeształam go.

- Jestem przesądny. My, Irlandczycy, wierzymy, że ołówek kradnie część duszy.

- Pochlebiasz mi - uśmiechnęłam się. - Nie sądziłam, że jestem aż tak dobra.

- Dostatecznie dobra, by otworzyć własną galerię. W Nantes albo nawet w Paryżu.

Marnujesz się tutaj.

- Nie sądzę. - Z dala od Le Devin? Nigdy w życiu!

Flynn wzruszył ramionami.

- Nadchodzą zmiany. Wszystko się może zdarzyć. Nie ukryjesz się tu na zawsze.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Miałam na sobie czerwoną sukienkę od Brismanda; prawie nie czułam na skórze dotyku jedwabiu. Budził dziwne wrażenie po całych miesiącach chodzenia w spodniach i płóciennych koszulach; zupełnie jakbym znalazła się z powrotem w Paryżu. Moje boscie stopy oblepiał piasek.

- O, dobrze wiesz. Jesteś utalentowana, inteligentna, piękna... - urwał i przez chwilę wydawał się równie skonsternowany jak ja. - No, jesteś - dokończył obronnym tonem.

Daleko w dole La Goulue ożyła; dziesiątki łódek upstrzyły wodę. Rozpoznawałam je po żaglach: „Cecilia”, „Papa Chico”, „Eleanore II”, „Marie Joseph” Jojo. Za nimi rozciągała się błękitna przestrzeń zatoki.

- Nie nosisz swojego szczęśliwego koralika - zauważyłam nieoczekiwanie.

Dłoń Flynna odruchowo dotknęła szyi.

- Nie - odparł beznamiętnym tonem. - Sam sobie przynoszę szczęście. - Obejrzał się na zatokę. - Z tej perspektywy wydaje się taka mała...

Nie skomentowałam. Coś w moim wnętrzu zacisnęło się jak pięść, tamując oddech. Wsunęłam rękę do kieszeni. Znajdował się tam koralik z „Les Immortelles”, nie większy niż pestka czereśni. Flynn uniósł dłoń i zacisnął palce nad La Goulue.

- Te małe osady - przemówił łagodnie. - Trzydzieści domów i plaża. Myślisz, że zdołasz się im oprzeć. Jesteś ostrożna. Jesteś sprytna. Ale to tak, jakbyś włożyła palec w taką chińską rurkę, która za każdym szarpnięciem zaciska się jeszcze mocniej. Zanim się obejrzyysz, już wpadłaś po uszy. Na początku to tylko drobiazgi. Wydają ci się bez znaczenia. A potem, pewnego dnia, uświadamiasz sobie, że z takich drobiazgów składa się życie.

- Nie rozumiem cię - powiedziałam, przysuwając się do niego. Zapach wydm był teraz silniejszy; zapach goździków, kopru włoskiego i rozgrzanego słońcem żarnowca, który pachniał jak morele. Twarz Flynna wciąż pozostawała na pół ukryta pod opadającym rondem groteskowego kapelusza; miałam ochotę zerwać mu go z głowy i zobaczyć jego oczy, dotknąć obsypanego piegami grzbietu nosa. Moje palce zacisnęły się ponownie na koraliku w kieszeni, a potem rozluźniły. Flynn uważał, że jestem piękna. Była to myśl zaskakująca niczym salwa petard.

Flynn pokręcił głową.

- Za długo tu siedzę - powiedział łagodnym tonem. Mado, chyba nie oczekiwałaś, że zostanę na zawsze?

Może tego właśnie oczekiwałam; mimo jego nerwowej ruchliwości nie wyobrażałam sobie, że mógłby wyjechać. Poza tym była pełnia sezonu; w Les Salants panował ruch jak nigdy przedtem.

- Nazywasz to ruchem? - rzucił Flynn. - Widywałem już takie nadmorskie osady, nawet w nich mieszkalem. Zimą zamierają, latem przyjeżdża do nich garstka ludzi. - Westchnął. - Małe miściny. Mali ludzie. To przygnębiające.

W jego ocienionej twarzy widziałam teraz tylko usta. Zafascynował mnie ich kształt i faktura, pełność górnej wargi, drobne zmarszczki od uśmiechu w kącikach. Zdumienie wciąż odbijało się w moich siatkówkach niczym promień słońca; Flynn uważał, że jestem piękna. W porównaniu z tym słowa, które teraz wypowiadał, wydawały się nieistotne, błyskotliwe nic, które miało za zadanie odwieść mnie od głębszej prawdy. Łagodnie, lecz stanowczo wyciągnęłam rękę i ujęłam w dłonie jego twarz.

Wyczułam w nim przelotne wahanie. Ale jego skóra była ciepła niczym piasek pod moimi stopami, oczy miały barwę miki i w jakiś sposób sama wydałam się sobie odmieniona, jak gdyby dar Brismanda krył w sobie cząstkę jego osobistego uroku, czyniąc mnie - na jedną chwilę kimś innym.

Moje usta stłumiły protest Flynn'a. Smakował brzoskwiniami, wełną, metalem i winem. Wszystkie moje zmysły nagle się wyostrzyły; słyszałam krzyki mew, plusk wody, odległe głosy z plaży i ciche pyknięcia rosnącej trawy; widziałam światło. To wszystko mnie obezwładniło. Wirowałam, zbyt szybko, by pozostał we mnie choć jeden nieruchomy punkt; czułam, że lada chwila mogę wybuchnąć niczym raca, wypisując własne imię wśród gwiazd na oślepiającym niebie.

Cała sytuacja wyglądała niezręcznie. Może taka była, lecz mnie wydawała się zupełnie naturalna. Czerwona sukienka zsunęła się na piasek niemal sama z siebie. Dołączyła do niej koszula Flynn'a; skórę miał bladą, niewiele ciemniejszą niż piasek, i odwzajemniał mi pocałunki z zachłannością człowieka, który łyka wodę po wielu dniach wędrówki przez pustynię - żarliwie, wstrzymując oddech niemal do utraty świadomości. Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie ugasiliśmy pragnienia; gdy oszołomienie minęło, leżeliśmy pokryci potem i piaskiem, nad naszymi głowami kołysały się suche trawy na wydmie, a za nimi wyłaniała się niczym miraż biała ściana blokhauzu i rozmigotane morze.

Spleceni w uścisku, długo patrzyliśmy w przestrzeń, zachowując pełne konsternacji milczenie. To wszystko zmieniało, wiedziałam; a jednak pragnęłam zatrzymać czas, leżąc tak z głową na brzuchu Flynn'a, jedną ręką obejmując od niechcenia jego ramiona. Cisnęły mi się na usta setki pytań, ale zadanie ich byłoby równoznaczne z uznaniem zmiany, pogodzeniem się z faktem, iż Flynn i ja nie jesteśmy już zwykłymi przyjaciółmi, lecz łączy nas coś nieporównanie bardziej niebezpiecznego. Wyczuwałam, że czeka, abym rozładowała napięcie, może udzieliła mi jakiejś wskazówki; nad nami krążyło rozkrzyczane stado mew.

Żadne z nas nie przerwało milczenia.

46

W połowie miesiąca przyływy przyniosły z sobą ciche burze, ponieważ jednak ograniczyły się one do malowniczych błyskawic, rozświetlających niebo, i kilku nocnych ulew, turystyka nie ucierpiała. Uczciliśmy sukces pokazem fajerwerków zorganizowanym przez Flynna i opłaconym przez Aristide'a przy współpracy mera Pinoza. Nie było to wielkie widowisko, jakie można oglądać na kontynencie, ale po raz pierwszy coś takiego odbyło się w Les Salants i wszyscy wyszli z domów, żeby popatrzeć. Przez Bouch'ou przetoczyły się trzy olbrzymie ogniste koła, puszczane z łodzi, które miały lśnić na wodzie. Na wydmach odpalono ognie bengalskie. Race rozkwitały na niebie niczym bujne płomienne kwiaty. Cały pokaz trwał zaledwie kilka minut, lecz dzieci były oczarowane. Lolo nigdy jeszcze nie oglądał fajerwerków, a choć na Letycji i dzieciach turystów nie wywarły aż takiego wrażenia, wszyscy przyznali zgodnie, że było to najpięk - niejsze widowisko, jakie kiedykolwiek zorganizowano na wyspie. Capucine i Charlotte specjalnie upiekły łakocie na tę okazję - zgrabne devinnoiseries i rogaliki, racuszki polewane miodem oraz naleśniki ociekające solonym masłem.

Flynn, który niemal w pojedynkę przygotował i przeprowadził pokaz, wcześniej wrócił do domu. Nie zatrzymywałam go; od naszego spotkania przy blokhauzie prawie z nim nie rozmawiałam. Mimo to codziennie, przechodząc obok blokhauzu, wypatrywałam oznak życia - dymu z komina, prania suszącego się na dachu - i obręcz ściskająca moje żebra rozluźniała się nieco, gdy stwierdzałam, że jeszcze nie wyjechał. Ilekroć jednak spotykałam go u Angela albo łowiącego ryby na etier, albo siedzącego na dachu i obserwującego morze, z trudem zdobywałam się na to, by odwzajemnić jego pozdrowienie. Jeżeli czuł się urażony lub zaskoczony, dobrze to ukrywał. Życie - przynajmniej dla niego - toczyło się normalnym trybem.

Mój ojciec nie przyszedł na uroczystość. Zjawiła się Adrienne z chłopcami, którzy sprawiali wrażenie znudzonych, i to, co zachwycało inne dzieci, zupełnie ich nie interesowało. Zauważyłam później obu przy jednym z ognisk. Towarzyszył im Damien, niezadowolony i zły; dowiedziałam się od Lola, że doszło między nimi do kłótni.

- Chodzi o Mercedes - wyznał ze smutkiem Lolo. - Jest gotów na wszystko, byle jej zaimponować. Tylko na tym mu zależy.

Niewątpliwie Damien się zmienił. Posępna częśćka jego natury całkowicie wzięła górę i

unikał kontaktów z dawnym przyjacielem. Również Alain miał z nim kłopoty. Przyznał się do tego z mieszaniną rozdrażnienia i niechętniej dumy.

- Zawsze tacy byliśmy, rozumiesz - powiedział mi. - My, Guenole. Twardogłowe uparciuchy. - Widziałam jednak, że się martwi. - Nie radzę sobie z tym chłopakiem - przyznał. - Nie chce ze mną rozmawiać. Teraz nawet Ghislain nie potrafi z niego wydobyć słowa ani uśmiechu, choć zawsze byli sobie tacy bliscy. Ale jaw jego wieku zachowywałem się dokładnie tak samo. Wyrośnie z tego.

Alain doszedł do wniosku, że nowy motorower odwróci uwagę Damiena od problemów.

- Może go odciągnie od tych houssinian - dodał. - Zatrzyma w naszej wiosce. Skieruje jego myśli na nowy tor.

Miałam taką nadzieję. Zawsze lubiłam Damiena pomimo jego rezerwy. Przypominał mi trochę mnie samą w tym wieku - podejrzliwą, posępną, chowającą urazy. Gdy się ma piętnaście lat, pierwsza miłość jest jak letnia błyskawica: rozżarzona do białości, gwałtowna i szybko przemijająca.

Mercedes również przysparzała rodzinie troski. Od ogłoszenia zaręczyn stała się jeszcze bardziej chimeryczna niż dotychczas: godzinami przesiadywała w swoim pokoju, odmawiając jedzenia i na przemian przymilając się do narzeczonego i karcąc go, tak iż Xavier sam już nie wiedział, jak ją zadowolić.

Aristide składał to na karb zdenerwowania. Ja jednak dopatrywałam się tu czegoś więcej: dziewczyna sprawiała wrażenie nie tyle zdenerwowanej, ile chorej, paliła za dużo i z byle powodu traciła panowanie nad sobą albo wybuchała płaczem. Toinette ujawniła, że Mercedes pokłóciła się z Charlotte o suknię ślubną i odtąd nie odzywały się do siebie.

- Poszło o suknię Desiree Bastonnet - wyjaśniła Toinette. - Starą, koronkową, ze szczypankami w talii, bardzo ładną. Xavier chciał, żeby Mercedes się w nią ubrała.

Desiree przechowywała tę suknię od własnego ślubu, pieczołowicie owiniętą w płótno pachnące lawendą. Matka Xaviera również miała ją na sobie, gdy wychodziła za mąż za Oliviera. Mercedes jednak kategorycznie odmówiła, a nieśmiałe nalegania Charlotte wywołały u niej atak dzikiej furii.

Złośliwe pogłoski, że Mercedes odmówiła włożenia sukni, ponieważ się po prostu w niej nie mieściła, bynajmniej nie przyczyniły się do przywrócenia spokoju w domu Prossage'ów.

Tymczasem moje kontakty z Flynnem nabrały cech ustalonego porządku. Nie

rozmawialiśmy o zmianie, jaka zaszła między nami, zupełnie jakby przyznanie się do niej mogło nas skompromitować. W rezultacie nasze zbliżenie stało się czymś pozornie zdawkowym, jak wakacyjny romans. Oplatała nas sieć niewidzialnych nitek, których nie odważyliśmy się przerwać. Rozmawialiśmy, kochaliśmy się, pływaliśmy razem w La Goulue, chodziliśmy na ryby, piekliśmy naszą zdobycz na ruszcie zainstalowanym przez Flynna w kotlinie za wydumą. Nie naruszaliśmy wyznaczonych granic. Zastanawiałam się czasami, czy to moje, czy jego tchórzostwo narzuciło nam te ograniczenia. Ale Flynn nie wspominał już o wyjeździe.

Nikt nie słyszał żadnych nowych pogłosek na temat Claude'a Brismanda. Widziano go w towarzystwie Pinoza i Jojo-le-Goelanda, raz w La Goulue i raz w wiosce. Capucine powiedziała, że krążyli w pobliżu jej przyczepy, a Alain zauważył ich przy blokhauzie. Wyglądało jednak na to, że Brismand jest zbyt zajęty zabezpieczaniem „Les Immortelles” przed wilgocią, by cokolwiek planować. Nie padła żadna wzmianka o nowym promie i większość ludzi zaczęła skłaniać się ku przypuszczeniu, że opowieści o „Brisman - dzie II” były czymś - zapewne Ghislaina - niemądrym żartem.

- Brismand wie, że przegrał - skonstatował z uciechą Aristide. - Najwyższy czas, żeby ci houssinianie poznali dla odmiany smak porażki. Szczęście się od nich odwróciło i wiedzą o tym.

Toinette kiwnęła głową.

- Nikt nas już nie powstrzyma. Święta jest po naszej stronie.

Nasz optymizm okazał się jednak przedwczesny. Kilka dni później, wróciwszy z wioski z makrelami dla Grosjeana na obiad, zastałam Brismanda czekającego na mnie pod parasolem na podwórzu. Miał na głowie swoją rybacką czapkę, lecz postanowił dodać sobie powagi płócienną marynarką i krawatem. Bose stopy wsunął, jak zwykle, w spłowiałe espadryle. Między jego palcami żarzył się gitane.

Naprzeciw niego siedział mój ojciec z butelką muscadeta w zasięgu ręki. Na stole stały trzy kieliszki.

- Jesteś, Mado. - Brismand nie bez wysiłku dźwignął się z krzesła. - Miałem nadzieję, że niedługo wrócisz.

- Co tutaj robisz? - Zaskoczenie nadało mojemu głosowi szorstki ton i twarz Brismanda przybrała zbolaty wyraz.

- Chciałem się z tobą spotkać, naturalnie. - Pod żalosną miną kryło się coś na kształt rozbawienia. - Lubię orientować się w sytuacji na bieżąco.

- Tak słyszałam.

Dolał sobie wina, a potem napełnił mój kieliszek.

- Ostatnio Les Salants przeżywa niespotykane szczęśliwą passę, nieprawdaż? Musicie być bardzo zadowoleni z siebie.

Starałam się, by mój głos brzmiał beznamiętnie.

- Jakoś sobie radzimy.

Brismand uśmiechnął się szeroko, strosząc zbójeckie wąsy.

- Przydałby mi się w hotelu ktoś taki, jak ty. Ktoś młody i energiczny. Powinnaś się nad tym zastanowić.

- Ktoś taki, jak ja? A co miałabym tam do roboty?

- Zdziwiłabyś się. - W jego tonie pojawiła się nuta zachęty. - Artystka, projektantka byłaby mi teraz bardzo potrzebna. Moglibyśmy się dogadać. To by ci się opłaciło.

- Wystarczy mi to, co mam.

- Być może. Ale okoliczności się zmieniają. Nie zaszkodziłaby ci odrobina niezależności. Warto zabezpieczyć się na przyszłość. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i podsunął mi kieliszek. - Proszę. Napij się wina.

- Nie, dziękuję. - Wskazałam palcem pakunek z rybami. - Muszę je wsadzić do piekarnika. Robi się późno.

- Makrele, ha? - zagadnął Brismand, wstając. - Znam wspaniały sposób ich przyrządzania, z rozmarynem i solą. Pomogę ci i zamienimy jeszcze parę słów.

Wszedł za mną do kuchni. Jak na tak potężnego mężczyznę, był bardzo zręczny; rozcinał i patroszył każdą rybę jednym szybkim ruchem.

- Jak tam interesy? - zapytałam, włączając piekarnik.

- Nieźle - odparł z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, właśnie obaj z twoim ojcem świętowaliśmy.

- Co świętowaliście?

Brismand uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Transakcję.

Oczywiście wykorzystali do tego chłopców. Wiedziałam, że ojciec zrobi wszystko, byle zatrzymać ich blisko siebie. Marin i Adrienne grali na jego sentymentach, opowiadali o

inwestycjach, namawiali do zaciągania pożyczek, których nie mógł spłacić. Zastanawiałam się, ile ziemi oddał w zastaw.

Brismand czekał cierpliwie, aż się odezwę. Wyczuwałam jego przemożne, chłodne rozbawienie; ciemnoszare oczy miały czujny, koci wyraz. Po chwili, o nic nie pytając, zaczął przyrządzać zalewę do ryby z oliwy, octu winnego, soli i pędów rozmarynu zerwanych sprzed frontowych drzwi.

- Madeleine. Powinniśmy się zaprzyjaźnić, wiesz? - Zrobił żalostną minę, obwisłe policzki, opadające wąsy, ale w jego głosie dźwięczał śmiech. - Tak naprawdę niewiele się od siebie różnimy. Obydwoje nie poddajemy się łatwo. Obydwoje jesteśmy ludźmi interesu. Nie powinnaś się tak do mnie uprzedzać. Z pewnością odniesiesz duży sukces. A ja szczerze pragnę wam pomóc. Zawsze pragnąłem.

Nie patrząc na niego, posoliłam ryby, owinęłam je w foliowe papillotes i wsunęłam do rozgrzanego piekarnika.

- Zapomniałaś o sosie.

- Ja go przyrządzam inaczej, monsieur Brismand.

- Szkoda - westchnął. - Smakowałby ci.

- Za ile? - spytałam wreszcie. - Za ile oddał ci ziemię?

Brismand cmoknął z niezadowoleniem.

- Oddał? - powtórzył z wyrzutem. - Niczego mi nie oddawał. Nie musiał.

Umowę prawną sporządzono na kontynencie. Mój ojciec odnosił się z respektem do zawitych tajników pieczęci i podpisów. Terminologia prawna go oszołamiała. Choć Brismand mówił ogólnikowo, zrozumiałam, że zgodził się przyjąć ziemię jako zabezpieczenie pożyczki. Jak zwykle. Był to po prostu jeden z wariantów jego odwiecznej strategii: krótkoterminowe pożyczki do spłacenia w naturze w późniejszym terminie.

Tak czy inaczej, jakby powiedziała Adrienne, ziemia nie mogła się ojcu na nic przydać. Parę kilometrów wydm między La Bouche i La Goulue, rozpadający się warsztat i podwórze... bezużyteczne, przynajmniej do tej pory.

Tak jak podejrzewałam od początku, nie zapłacił za studio z oszczędności. Remont domu, prezenty dla chłopców, nowe rowery, gry komputerowe, deski do surfingów...

- Ty zapłaciłeś za to wszystko. Pożyczałeś mu pieniądze.

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście. A któż by inny? - Polał sałatę winegretem z salicorne, wyspiarskim zieleńcem o mięsistych listkach, często używanym do zapraw, i wymieszał całość w drewnianej misie, podczas gdy ja kroiałam pomidory. - Powinniśmy dodać trochę szalotki - zauważył łagodnym tonem. - Nic tak nie podkreśla smaku dojrzałych pomidorów. Gdzie ją trzymasz?

Zignorowałam go.

- Ach, tutaj, w koszyku z warzywami. Ładna, dorodna. Widzę, że farma Omera nieźle prosperuje. To nader pomyślny rok dla Les Salants, nieprawdaż? Ryby, warzywa, turyści.

- Nie jest najgorzej.

- Co za skromność. Ha. To graniczy z cudem. - Posiekał szalotkę szybkimi, wyćwiczonymi ruchami. Ostry zapach przypomniał mi morze. - A wszystko dzięki tej ładnej plaży, którą ukradłaś. Ty i twój sprytny przyjaciel Rouget.

Miękkim ruchem odłożyłam nóż na stół. Dłonie drżały mi lekko.

- Uważaj. Chyba nie chcesz się skaleczyć.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To, że powinnaś bardziej uważać z tym nożem, Mado. Zaśmiał się cicho. - Czyżbyś próbowała mi wmówić, że nic nie wiesz o plaży?

- Plaże zmieniają miejsce. Piasek się przemieszcza.

- Owszem, czasami nawet z własnej inicjatywy. Ale nie w tym wypadku, ha? - Rozłożył ręce zamasztywym gestem. - Nie, nie myśl, że mam do ciebie pretensje. Podziwiam to, czego dokonałaś. Wydobyłaś Les Salants z morskiej otchłani. Odniosłaś sukces. A ja tylko bronię własnych interesów, Mado, dbam o swój udział. Nazwij to rekompensatą, jeśli chcesz. Tyle jesteście mi winni.

- To przez ciebie zaczęły się podtopienia - rzuciłam gniewnie. - Nikt nie jest ci nic winien.

- Ależ jest. - Brismand pokiwał głową. - Jak myślisz, skąd pochodziły pieniądze, ha? Pieniądze na bar Angela, młyn Omera, dom Xaviera? Kto, twoim zdaniem, dostarczył funduszy? Kto położył fundamenty pod to wszystko? - Skinął ręką w kierunku okna, jak gdyby zamykając w zatłuszczonej dłoni La Goulue, wioskę, niebo i migotliwe morze.

- Zapewne ty - odparłam. - Ale to należy do przeszłości. Teraz radzimy sobie sami. Les Salants już nie potrzebuje twoich pieniędzy.

- Ćśśś. - Brismand z przesadnym skupieniem polał pomidory zaprawą. Pachniała mocno i

kuszaco. Wyobrażałam sobie, jak pasowałyby do gorącej ryby, jak parowałyby ocet winny z rozmarynem, jak skwierczałyby oliwa. - Zdziwiłabyś się, ile potrafi zmienić perspektywa zarobku. Czemu zadowalać się parą turystów w gościnnym pokoju, skoro można niewielkim kosztem przerobić garaż na letnie mieszkanie albo zbudować kilka domków na nieużytkach? Poznałaś przedsmak sukcesu, Mado. Naprawdę sądzisz, że ludzie poprzestaną na małym?

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym w milczeniu.

- Może masz rację - odparłam wreszcie. - Nadal jednak nie rozumiem, co będziesz z tego miał. Niewiele zbudujesz na kawałku ziemi mojego ojca.

- Madeleine. - Ramiona Brismanda opadły w wyrazistym geście, z całej jego postaci bił jeden wielki wyrzut. Dlaczego we wszystkim dopatrujesz się ukrytych motywów? Dlaczego po prostu nie przyjmiesz do wiadomości, że chcę pomóc? - Błagalnie rozłożył ręce. - Między naszymi społecznościami zaległa się nieufność. Narosły antagonizmy. Nawet ty dałaś się w to wciągnąć. Co ja takiego zrobiłem, żeby narazić się na twoje podejrzenia? Oferuję twojemu ojcu pieniądze w zamian za ziemię, której nie potrzebuje: podejrzone. Proponuję ci pracę w „Les Immortelles”: jeszcze bardziej podejrzone. Próbuję przerzucić pomost między naszymi społecznościami dla dobra moich krewnych: to już najbardziej podejrzone. Ha! - Dramatycznie uniósł ramiona. - Powiedz, o co mnie teraz podejrzewasz?

Nie odpowiedziałam. Czar, jaki roztaczał, był wyczuwalny i przemożny. Mimo to wiedziałam, że nie mogę mu ufać. Obmyślił jakiś plan - przypomniałam sobie „Brismanda II”, na poły ukończonego pół roku temu, a teraz zapewne gotowego do spuszczenia na wodę, i raz jeszcze zadałam sobie pytanie, co to za plan. Brismand westchnął głęboko i rozluźnił kołnierzyk.

- Jestem starym człowiekiem, Mado. I samotnym. Miałem żonę. I synka. Obydwoje poświęciłem na ołtarzu ambicji. Przyznaję, że kiedyś nade wszystko ceniłem pieniądze. Ale pieniądze się starzeją. Tracą blask. Teraz zapragnąłem rzeczy, których nie można kupić. Rodziny. Przyjaciół. Spokoju.

- Spokoju!

- Mam sześćdziesiąt cztery lata, Madeleine. Źle sypiam. Trochę za dużo piję. Mechanizm zaczyna się zużywać. Zadaję sobie pytanie, czy było warto, czy dorobienie się majątku mnie uszczęśliwiło. Zadaję je sobie coraz częściej. Zerknął na piekarnik. Minutnik wskazywał zero. - Madeleine, twoje ryby są chyba gotowe.

Używając rękawic, wyciągnął makrele z piekarnika. Odwinął folię i polał ryby resztką

zaprawy. Zapach był taki, jak sobie wyobrażałam - gorący, aromatyczny i smakowity.

- Ha, pójdę sobie, żebyś mogła spokojnie zjeść obiad. Westchnął teatralnie. - Wiesz, ja zazwyczaj jadam w hotelu. Mogę wybrać stolik, jaki zechcę, i dowolne danie z karty. Ale mój apetyt - ze smutkiem poklepał się po żołądku mój apetyt nie jest już taki jak dawniej. Być może to na widok tych wszystkich pustych stolików...

Naprawdę nie wiem, dlaczego go zaprosiłam. Może dlatego, że żaden mieszkaniec Le Devin nigdy nie odmawia gościny. A może jego słowa potrafiły we mnie jakąś strunę.

- Czy nie zjadłbyś z nami? - zaproponowałam impulsywnie. - Wystarczy dla wszystkich.

On jednak ryknął nieoczekiwanym śmiechem, aż brzuch zatrzęsł mu się z niepohamowanego rozbawienia. Poczułam, jak czerwienieją mi policzki, i zrozumiałam, że zagrano na moich emocjach, skłaniając do wyrażenia współczucia, które wcale nie było potrzebne, i że mój odruch tylko rozśmieszył Brismanda.

- Dziękuję ci, Mado - odparł wreszcie, ocierając zażawione oczy skrajem chusteczki. - Co za miłe zaproszenie. Ale naprawdę muszę już iść. Mam dzisiaj kilka ważnych spraw do załatwienia.

47

Gdy nazajutrz rano przechodziłam obok blokhauzu, nigdzie nie dostrzegłam Flynna. Okiennice były zamknięte, generator wyłączony, żadnych zwykłych oznak jego obecności. Zajrzawszy przez szparę, nie zobaczyłam naczyń w zlewie, narzuty na łóżku ani ubrań. Weszłam na moment do środka - prawie nikt w Les Salants nie zamyka drzwi na klucz i poczułam jedynie woń niewietrzonego, pustego domu. Co gorsza, łódka zacumowana u wylotu etier zniknęła.

- Pewnie popłynął na ryby - skonstatowała Capucine, gdy zatrzymałam się przy jej przyczepie.

Alain był tego samego zdania i dodał, że chyba widział łódź Flynna wczesnym rankiem, wypływającą w morze. Angelo również nie wydawał się zmartwiony. Aristide jednak okazał niepokój.

- Wypadki się zdarzają - orzekł posepnie. - Przypomnijcie sobie Oliviera.

- Ha - rzucił Alain - Olivier zawsze był pechowcem.

Angelo przytaknął.

- Rouget prędzej narobi kłopotów komuś niż sobie. Spadnie jak kot na cztery łapy,

gdziekolwiek się podziewa.

Ale dzień mijał, a Flynn się nie pokazał. Zaczęłam się trochę niepokoić. Zawiadomiłby mnie przecież, gdyby miał zamiar wyjechać na dłużej. Kiedy nadeszło późne popołudnie, a on jeszcze nie wrócił, wyruszyłam do La Houssiniere, skąd lada chwila odpływał „Brismand I”. Kolejka turystów czekała w cieniu markizy „Chat Noir”; walizki i plecaki stały na pomoście. Odruchowo zaczęłam szukać spojrzeniem mężczyzny o rudych włosach.

Oczywiście wśród odjeżdżających turystów nie było Flynna. Już miałam zawrócić w stronę promenady, gdy nagle dostrzegłam w kolejce oczekujących znajomą postać. Długie włosy skrywały jej twarz, lecz bez trudu rozpoznałam obcisłe dzinsy i ciemnopomarańczową, kusą bluzeczkę bez rękawów. Duży plecak leżał u jej stóp jak pies.

- Mercedes?

Odwróciła się na dźwięk mojego głosu. Twarz miała bladą, bez makijażu. Widać było, że płakała.

- Zostaw mnie w spokoju - rzuciła, zwracając się ponownie ku „Brismandowi I”.

Ogarnął mnie niepokój.

- Mercedes? Dobrze się czujesz?

Nie patrząc na mnie, pokręciła głową.

- Nic ci do tego, La Poule. Nie wtrącaj się. - Stałam obok niej nieruchomo i w milczeniu, czekając. Mercedes odrzuciła włosy. - Zawsze mnie nienawidziłaś. Powinnaś się cieszyć, że się mnie pozbędziesz. A teraz daj mi spokój, dobrze? - Jej twarz zamajaczyła smutną plamą za zasłoną włosów.

Położyłam dłoń na jej szczupłym ramieniu.

- Nigdy cię nie nienawidziłam. Chodź, postawię ci kawę i pogadamy. A potem, jeśli nadal będziesz chciała wyjechać...

Zza zasłony włosów wydobył się gwałtowny szloch.

- Nie chcę wyjeżdżać!

Podniosłam plecak.

- No to chodź ze mną.

- Nie do „Chat Noir” - powiedziała szybko, gdy skierowałam się ku drzwiom kawiarni. -

Dokądkolwiek, byle nie tam.

Znalazłam niewielki bar szybkiej obsługi na tyłach Cios du Phare i zamówiłam dla nas

kawę i pączki. Mercedes wciąż była napięta i bliska łez, lecz już nie okazywała wrogości.

- Dlaczego chciałaś uciec? - zapytałam. - Twoi rodzice na pewno się martwią.

- Nie wrócę do nich - oświadczyła stanowczo.

- Czemu? Chodzi ci o tę głupią suknię ślubną?

Na jej twarzy pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem wymuszony uśmiech.

- Tak, od tego się zaczęło.

- Ale przecież nie ucieka się z domu tylko dlatego, że sukienka nie pasuje - zauważyłam, powściągając rozbawienie.

Mercedes pokręciła głową.

- To nie dlatego - powiedziała.

- Więc dlaczego?

- Bo jestem w ciąży.

Za pomocą łagodnej perswazji i drugiego dzbanka kawy wydobyłam z niej całą historię. Ta dziewczyna w przedziwny sposób łączyła w sobie dojrzałą arogancję i dziecięcą naiwność, wydając się na przemian znacznie starszą i znacznie młodszą, niż by na to wskazywał jej wiek. Podejrzywałam, że przede wszystkim dlatego zwrócił na nią uwagę Joel Lacroix - przez ten jej rozflirtowany, pozornie pewny siebie sposób bycia. Ale pomimo krótkich spódniczek i seksualnej brawury pozostała w głębi serca dziewczyną z wyspy, wzruszająco i zatrwająco nieświadomą. Najwyraźniej zaufała Świętej w sprawach antykoncepcji.

- A oprócz tego - dodała - myślałam, że za pierwszym razem to się nie zdarza.

Jak się dowiedziałam, był tylko jeden raz. Joel dał jej do zrozumienia, że wina leży po jej stronie. Przedtem wystarczały im pocałunki, potajemne przejażdżki motocyklem, rozkoszne poczucie buntu.

- Na początku był taki miły - powiedziała tęsknie. Wszyscy inni zakładali z góry, że wyjdę za Xaviera i zostanę po prostu żoną rybaka, utyję i będę chodziła w chustce na głowie, jak moja matka. - Osuszyła oczy rogiem serwetki. Teraz wszystko skończone. Powiedziałam mu, że możemy razem uciec, na przykład do Paryża. Wynająć mieszkanie. Znalazłabym jakąś pracę. A on... - Apatycznym ruchem odgarnęła włosy z czoła. - On mnie po prostu wyśmiał.

Za radą pere Albana wyznała wszystko rodzicom. Co zaskakujące, to cicha, pedantyczna Charlotte wpadła w furję; Omer La Patate usiadł tylko przy stole z miną człowieka, który doznał wstrząsu. Charlotte oznajmiła, że należy zawiadomić Xaviera; zawarto przecież umowę, której w

zaistniałej sytuacji nie można było dotrzymać. Opowiadając mi o tym, Mercedes szlochała cicho i rozpaczliwie.

- Nie chcę wyjeżdżać na kontynent. Ale teraz będę musiała. Po tym, co się stało, nikt mnie nie zechce.

- Omer mógłby porozmawiać z ojcem Joela - podsunęłam.

Pokręciła głową.

- Nie chcę Joela. Nigdy go nie chciałam. - Otarła oczy wierzchem dłoni. - I nie wrócę do domu - dodała zapłakany głosem. - Kazaliby mi spotkać się z Xavierem. Wolę umrzeć.

Z oddali dobiegł dźwięk syreny. „Brismand I” opuszczał przystań.

- No cóż, musisz tu zostać przynajmniej do jutra oznajmiłam rzeczowo. - Spróbujemy znaleźć dla ciebie jakiś dach nad głową.

48

Zastałam Toinette Prossage w ogrodzie, wykopując cebulki dzikiego czosnku z piaszczystej gleby. Wyprostowała się i skinęła mi przyjaźnie głową; jej twarzy nie ocieniała tego ranka quichenotte, lecz słomkowy kapelusz z szerokim rondem, zawiązany z boku czerwoną wstążką. Na zarośniętym dachu chaty pasła się koza.

- A więc czego sobie życzysz tym razem?

- Czy muszę mieć jakiś ukryty motyw? - Wydobyłam wielką torbę z ciastkami zakupionymi w La Houssiniere. Przyniosłam ci kilka pain au chocolat.

Toinette przyjęła torbę i łakomie zajrzała do środka.

- Dobra z ciebie dziewczyna - oznajmiła. - Oczywiście chcesz mnie przekupić. Mów, słucham cię z uwagą. Przynajmniej dopóki tego nie zjem.

Uśmiechnęłam się, gdy sięgnęła po pierwsze ciastko, i opowiedziałam jej o Mercedes.

- Pomyślałam sobie, że pani się nią chwilowo zaopiekuje - dokończyłam. - Dopóki kurz nie opadnie.

Toinette przyjrzała się słodkiej bułeczce z cynamonem. Czarne oczy zaświeciły bystro spod słomkowego ronda.

- Co za męcząca dziewczyna z tej mojej wnuczki - westchnęła. - Już kiedy się urodziła, wiedziałam, że narobi nam kłopotów. Za stara jestem na to. Ale ciastka są naprawdę niezłe - zauważyła, wgrzyzając się ze smakiem w bułeczkę.

- Może pani zjeść wszystkie - zapewniłam.

- Ha.

- Omer nie powiedziałby pani o Mercedes - zdobyłam się na odwagę.

- Z powodu pieniędzy, ha?

- Prawdopodobnie.

Toinette żyje oszczędnie, lecz krążą plotki o jej ukrytym bogactwie. Staruszka nie potwierdza ani nie zaprzecza, ale jej milczenie uważa się ogólnie za przyznanie. Omer, choć bardzo kocha matkę, jest przerażony jej długowiecznością. Toinette zdaje sobie z tego sprawę i zamierza żyć wiecznie.

Zachichotała z satysfakcją.

- Myśli, że w razie skandalu go wydziedziczę, ha? Biedny Omer. Powiem ci, że ta dziewczyna ma więcej ze mnie niż z kogokolwiek innego. Zatrulałam życie moim rodzicom.

- No to niewiele się pani zmieniła.

- Ha! - ponownie zajrzała do torebki. - Chlebek orzechowy. Zawsze go lubiłam. Dobrze, że jeszcze mam zęby, co? Ale lepiej smakuje z miodem. Albo z kawałkiem koziego sera.

- Przyniosę pani jedno i drugie.

Toinette wpatrywała się we mnie przez chwilę z cynicznym rozbawieniem.

- Przy okazji przyprowadź tę dziewczynę. Obawiam się, że zamęczy mnie na śmierć. A kobieta w moim wieku naprawdę potrzebuje odpoczynku. Młodzi tego nie rozumieją. Myślą tylko o własnych sprawach.

Nie zwiódły mnie te pozory słabości. Przewidywałam, że najdalej po dziesięciu minutach Mercedes zostanie zapędzona do sprzątanania i gotowania. I zapewne dobrze jej to zrobi.

Toinette czytała w moich myślach.

- Odwróć jej uwagę od kłopotów - oznajmiła władczym tonem. - A jeśli ten chłopak zacznie tu węszyć... ha! Machnęła kromką orzechowego chleba, wyglądając przy tym jak najstarsza na świecie dobra wróżka. - Nauczę go rozumu. Pokażę mu, z jakiej gliny są ulepiani salanie.

Zostawiłam Mercedes u babki. Było już po pierwszej i słońce stało w zenicie. Les Salants prażyło się, opustoszałe, w szklistym żarze; okiennice były zamknięte, a pod pobielonymi ścianami słały się nieśmiało strzępki cienia. Marzyłam o tym, by położyć się cicho pod osłoną parasola, najchętniej z drinkiem, ale chłopcy mogli się zjawić lada chwila i zostać aż do otwarcia

pasażu z automatami do gier, a po wizycie Brismanda nie chciałam zbliżyć się do ojca. Dlatego wolałam pójść na wydmy. W La Goulue było chłodniej i o tej porze nie spotykało się turystów. Przyływ wzbierał, morze olśniewało blaskiem. Wiatr wywiewał złe myśli.

Po drodze nie mogłam nie spojrzeć na blokhauz. Nadal sprawiał wrażenie opuszczonego. Ale La Goulue nie była pusta. Nad wodą stała samotna postać z papierosem w zębach.

Zignorował moje powitanie, a gdy stanęłam obok, odwrócił twarz, choć nie dość prędko; zauważyłam jego zaczerwienione oczy. Wieści na temat Mercedes rozniosły się w mgnieniu oka.

- Życzę im śmierci - powiedział cicho Damien. - Oby morze pochłonęło całą tę wyspę. Oby ich zmyło, wszyst - kich, do ostatniego. Do końca. - Podniósł kamyk i cisnął nim z całej siły w nadchodzące fale.

- Może w tej chwili czujesz, że... - zaczęłam, ale mi przerwał.

- Nie powinni byli budować tej rafy. Trzeba było zostawić decyzję morzu. Wydawało im się, że są tacy sprytni. Że zbijają forszę i śmieją się z houssinian. Myśleli tylko o pieniądzach i nie widzieli, co się dzieje tuż obok. - Kopnął piasek czubkiem buta. - Lacroix nawet by na nią nie spojrział, gdyby nie to, mam rację? Wyjechałby przed końcem lata. Nic go tu nie trzymało. Ale jemu się wydawało, że na nas zarobi. - Położyłam dłoń na jego ramieniu, lecz ją strząsnął. - Udawał, że jest moim przyjacielem. Obydwoje udawali. Kazali przekazywać wiadomości. Szpiegować w wiosce. Pomyślałam, że jeśli coś dla niej zrobię, to może ona...

- Damien, to nie twoja wina. Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ale przecież... - Urwał raptownie i podniósł następny kamyk. - Och, co ty w ogóle wiesz? Nie jesteś nawet prawdziwą salanianką. Cokolwiek się stanie, wyjdiesz na swoje. Twoja siostra nazywa się Brismand, no nie?

- Nie rozumiem, co...

- Zostaw mnie w spokoju, dobra? To nie twoja sprawa.

- Moja. - Ujęłam go za ramię. - Damien, wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi.

- To samo myślałam o Joelu - odburknął posepnie. Rouget mnie ostrzegął. Powiniennem był go posłuchać, co? Podniósł następny kamyk i cisnął w wzbierające fale. Wmawiałem sobie, że to wina ojca. Przez te pułapki na homary i tak dalej. Spółka z Bastonnetami, po tym wszystkim, co nam zrobili. Udawał, że panuje między nimi najlepsza zgoda tylko dlatego, że połów okazał się pomyślny.

- No i jeszcze Mercedes - wtrąciłam łagodnie.

Damien kiwnął głową.

- Jak tylko Prossage'owie zwietrzyli pieniądze starego Bastonnetta, bo przecież tkwią w długach po uszy, po prostu wepchnęli mu ją w ramiona. Przedtem nawet nie spojrzęła na Xaviera. Na miłość boską, bawili się razem w dzieciństwie.

- Gang motocyklowy - przypominałam sobie. - Byłeś z nimi? Powiedziałeś im o pieniądzach, żeby odegrać się na Bastonnetach?

Damien żałośnie skinął głową.

- Ale myślałem, że Xavierowi nic się nie stanie. Że po prostu odda gotówkę. A po tym, co się stało, Joel powiedział, że nie mam nic do stracenia i powinienem dołączyć do jego bandy.

Nic dziwnego, że wyglądał niezbyt radośnie.

- I przez cały czas zachowywałeś to dla siebie? Nie powiedziałeś nikomu?

- Rougetowi. Jemu czasami można się zwierzyć.

- I co on na to?

- Poradził, żebym się dogadał z ojcem i Bastonnetami. Powiedział, że w przeciwnym wypadku będzie jeszcze gorzej. A ja mu na to, że chyba zwariował; mój tata pewnie by mnie zabił, gdyby się dowiedział, co zrobiłem.

Uśmiechnęłam się lekko.

- Wiesz co, może miał rację.

Damien apatycznie wzruszył ramionami.

- Może. Ale teraz jest już za późno.

Zostawiłam go na plaży i wróciłam tą samą drogą, którą przyszłam. Obejrawszy się, dostrzegłam samotną postać, kopiącą piasek z dziką energią, zupełnie jakby tym sposobem można było zepchnąć całą plażę z powrotem do La Jete, skąd pochodziła.

49

Gdy wróciłam do domu, zastałam tam Adrienne z Marinem i chłopcami; kończyli właśnie obiad. Podnieśli głowy, kiedy weszłam, wszyscy z wyjątkiem Grosjeana, który pochylił się nad talerzem i dojadł sałatkę powolnymi, metodycznymi ruchami.

Zaparzyłam kawę, czując się jak intruz. Piłam ją w milczeniu, jak gdyby moja obecność wykluczała rozmowę. Czy tak już miało pozostać? Moja siostra z rodziną, Grosjean z wnukami, a obok ja, osoba z zewnątrz, niechciany gość, którego nikt nie ma odwagi wyprosić? Czułam

badawcze spojrzenie Adrienne, jej zmrużone niebieskie oczy, utkwione we mnie. Od czasu do czasu któryś z chłopców szeptał coś, zbyt cicho, żebym usłyszała.

- Stryj Claude wspominał, że rozmawiał z tobą - odezwał się Marin po chwili.

- I dobrze zrobił - odparłam. - A może zamierzaliście mnie zawiadomić w swoim czasie?

Adrienne zerknęła na Grosjeana.

- Decyzja, jak rozporządzić własną ziemią, należy do papy.

- Omawialiśmy to wcześniej - powiedział Marin. - GrosJean wiedział, że nie stać go na rozbudowę posiadłości. Doszedł do wniosku, że sensowniej będzie, jeśli my to zrobimy.

- My?

- Claude i ja. Rozważaliśmy wejście w spółkę.

Popatrzyłam na ojca, wyraźnie pochłoniętego wybieraniem oliwy z dna miski po sałacie.

- Wiedziałaś o tym, ojcze?

Milczenie. Grosjean sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał.

- Tylko go denerwujesz, Mado - bąknęła Adrienne.

- A co ze mną? - Podniosłam głos. - Czy nikomu nie przyszło do głowy zapytać mnie o zdanie? A może właśnie to Brismand miał na myśli, kiedy mówił, że chce mnie mieć po swojej stronie? O to mu szło? By się upewnić, że przymknę oko, kiedy oddacie mu ziemię za darmo?

Marin rzucił mi wymowne spojrzenie.

- Czy nie moglibyśmy pomówić o tym przy innej...

- Zrobił to dla chłopców, tak? - Gniew trzepotał we mnie niczym ptak w klatce. - Tym go przekupiliście? Grosjean i P'titjean, powstali z grobu? - Zerknęłam na ojca, lecz on, zamknięty we własnym wnętrzu, wpatrywał się spokojnie w przestrzeń, jak gdyby nikogo z nas tam nie było.

Adrienne spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Och, Mado. Przecież widziałaś, jak reaguje na chłopców. Mają na niego zbawienny wpływ. Dzięki nim jego stan ogromnie się poprawił.

- A z tej ziemi nie było żadnego pożytku - dodał Marin. - Uznaliśmy, że lepiej skupić się na samym domu, przerobić go na letnią rezydencję z prawdziwego zdarzenia, żebyśmy wszyscy mogli z niej korzystać.

- Pomyśl, ile to będzie znaczyło dla Francka i Loica wtrąciła Adrienne. - Uroczy letni domek nad morzem.

- I rozsądna inwestycja - dorzucił Marin - na przyszłość... no, wiesz.
- Spuścizna - uzupełniła Adrienne. - Do przekazania dzieciom.
- Przecież to nie jest letni dom - zaczęłam, czując lekkie mdłości.

Moja siostra pochyliła się ku mnie z rozpromienioną twarzą.

- Ale mamy nadzieję, że będzie, Mado - oznajmiła. - Bo widzisz, poprosiliśmy papę, żeby we wrześniu wyjechał z nami. Chcemy, by mieszkał u nas przez cały rok.

50

Wysłałam z domu z walizką i teczką na rysunki - tak jak przedtem, wracając, przekroczyłam próg. Tym razem jednak nie wyruszyłam w stronę wioski. Podążyłam inną ścieżką, tą, która prowadziła do blokhauzu nad La Goulue.

Flynn nadal nie było. Weszłam do jego domu i położyłam się na polowym łóżku, czując, że jestem zupełnie sama i nie mam dokąd pójść. W owej chwili oddałabym niemal wszystko, by znaleźć się z powrotem w paryskim mieszkaniu, z piwiarnią pod oknem i hałasami płynącymi od strony Boulevard Saint-Michel wraz z dusznym, szarym powietrzem. Być może Flynn miał słuszość, pomyślałam. Może już czas ruszyć w drogę.

Teraz w pełni zrozumiałam, jak manipulowano moim ojcem. Dokonał jednak wyboru; nie mogłam go powstrzymać. Jeżeli chciał zamieszkać z Adrienne, jego sprawa. Dom w Les Salants przekształcił się w rezydencję wakacyjną. Będę tam, oczywiście, zawsze mile widziana, a Adrienne uda zaskoczenie, gdy wymówię się od przyjazdu. Ona i Marin zaczną tam spędzać każde wakacje. Poza sezonem może wynajmą dom. Ujrzałam nagle siebie i Adrienne jako małe dziewczynki, kłócące się o zabawkę i wyrywające ją sobie; nie obchodziło nas, że ją zniszczymy i nikt nie będzie już mógł się nią bawić. Nie, powiedziałam sobie w duchu. Dom nie jest mi potrzebny.

Oparłam teczkę o ścianę, a walizkę wsunęłam pod łóżko. Potem poszłam na wydmy. Dochodziła trzecia po południu, słońce prażyło nieco słabiej i zaczął się odpływ. Po drugiej stronie zatoki migotał samotny żagiel, daleko za ochronnym kręgiem La Jete. Nie widziałam dokładnie jego kształtu i nie miałam pojęcia, kto mógł o tej porze wyprawić się tak daleko. Ruszyłam ku La Goulue, zerkając od czasu do czasu na zatokę. Krążące ptaki kłapały na mnie dziobami. Jaskrawy blask utrudniał rozpoznanie dalekiego żagla; w każdym razie nie był to nikt z wioski. Żaden salanianin nie miał takich maślanych rąk, żeby przy halsowaniu stracić wiatr i

dryfować z opadającym żaglem, poddając się prądowi.

Zbliżywszy się do urwiska, dostrzegłam Aristide'a, obserwującego morze ze swego ulubionego miejsca. Obok siedział Lolo z lornetką na szyi i turystyczną lodówką, pełną owoców na sprzedaż.

- Kto to może być? Jak tak dalej pójdzie, wyląduje na La Jetee.

Stary kiwnął głową. Jego twarz przybrała wyraz dezaprobaty. Nie chodziło mu przy tym o nieostrożnego żeglarza - na wyspie każdy uczy się dbać o siebie, a prośba o pomoc przynosi człowiekowi wstyd - lecz o dobrą łódź, która mogła się zmarnować. Ludzie przychodzą i odchodzą. Rzeczy pozostają.

- Nie sądzicie, że to ktoś z La Houssiniere?

- Nie. Nawet houssinianin nie wypływałby tak daleko. Może jakiś turysta, co ma więcej pieniędzy niż rozumu. Albo coś zerwało się z cumy. Z tej odległości nie da się stwierdzić.

Popatrzyłam na zatłoczoną plażę. Dostrzegłam Gabi i Letycję. Dziewczynka przysiadła na stercie kamieni pod urwiskiem.

- Chcesz plasterek melona? - zagadnął Lolo, popatrując z zawiścią na Letycję. - Zostały mi dwa ostatnie.

- Chcę - odparłam z uśmiechem. - Wezmę oba.

- Super!

Melon był słodki i przyjemnie zwilżył moje wysuszone gardło. Z dala od Adrienne znowu poczułam apetyt i jadłam powoli, siedząc w cieniu przy krętej ścieżce, prowadzącej z urwiska. Niezidentyfikowany żagiel wydał mi się teraz bliższy, choć było to zapewne złudzenie optyczne.

- Na pewno znam tę łódź - odezwał się Lolo, patrząc zmrużonymi oczyma przez lornetkę. - Obserwuję ją od bardzo dawna.

- Daj popatrzeć - poprosiłam, ruszając w jego stronę. Podał mi lornetkę i zerknęłam przez szklę na odległy żagiel.

Był, rzecz jasna, czerwony, czworokątny, bez widocznych znaków szczególnych. Łódka - podłużna i smukła, niewiele większa niż kajak - dryfowała zanurzona w wodzie, jak gdyby ktoś ją zatopił. Moje serce nagle zamarło.

- Rozpoznałaś ją? - niecierpliwiał się Lolo.

Skinęłam głową.

- Chyba tak. Wydaje mi się że to łódka Flynnna.

- Jesteś pewna? Zapytajmy Aristide'a. On zna wszystkie łodzie. Bez wątpienia rozpozna, która to.

Stary przez długą chwilę wpatrywał się w milczeniu w szkła lornetki.

- Ha, to on - oznajmił wreszcie. - Daleko go zniosło, ale poszedłbym o zakład, że to on.

- Czego tam szuka? - zdziwił się Lolo. - Dotarł już prawie do La Jetee. Myślicie, że osiadł na mieliźnie?

- Skądże! - prychnął Aristide. - On? Ale mimo wszystko - tu dźwignął się na nogi - czekają nas kłopoty.

Identyfikacja łodzi zmieniła sytuację. Rouget nie był bezimiennym turystą, który po pijanemu wynajął łódź, lecz jednym z nas, niemal salanianinem. Już po chwili na urwisku zebrała się grupka ludzi, obserwujących z niespokojnym zaciekawieniem odległą łódkę. Salanianin ma kłopoty? Trzeba temu zaradzić.

Aristide chciał od razu popłynąć swoją „Cecilią”, lecz Alain wyruszył pierwszy na pokładzie „Eleanore II”. Nie on jeden. Do baru Angela dotarła wieść o kłopotach w La Goulue i już po dziesięciu minutach na plaży zjawilo się kilku ochotników z hakami, żerdziami i linami. Angelo sprzedawał devinnoise po piętnaście franków za kieliszek; przyszli również Omer, Toinette, Capucine i Guenole. Nieliczni turyści przyglądali się i snuli rozmaite przypuszczenia. Z urwiska morze wydawało się srebrzystozielone i pienne, prawie nieruchome.

Akcja ratunkowa zajęła prawie dwie godziny. Wydawało się, że trwa dłużej. Dotarcie do La Jetee zabiera nieco czasu, nawet motorówką, a łódka Rougeta znalazła się dalej, tuż obok mielizn przy ławicach, dokąd większe łodzie nie odważały się zapuszczać. Alain musiał wyprowadzić „Eleanore II” z za wystających przyzmy piasku, podczas gdy Ghislain przyciągał łódź Flynna za pomocą bosaków i żerdzi, starając się utrzymać bezpieczną odległość. Następnie obydwaj odholowali ocaloną łódź na pełne morze. Aristide, który uparł się, by uczestniczyć w akcji, objął ster, wygłaszając od czasu do czasu pesymistyczne komentarze.

Wiatr z za zatoki dął mocno, fale wzbierały i musiałam wspomóc Alaina, stając na rufie „Eleanore II”, by utrzymywać w równowadze rozkołysany bóm, podczas gdy mała łódka miotala się i podskakiwała tuż obok. Flynna nigdzie nie było widać - ani na łodzi, ani w morzu.

Byłam zadowolona, że nikt nie skomentował mojej obecności. To ja pierwsza rozpoznałam żagiel. Dzięki temu miałam prawo tam być. Alain, siedzący na dziobie „Eleanore II”, widział wszystko najlepiej i dowodził akcją ratunkową, gdy Ghislain przyciągał łódkę

Flynna. Sam przyczepił do burty stare opony, by uchronić „Eleanore” przed skutkami zderzenia.

Aristide był, jak zwykle, posępny.

- Wiedziałem, że szykuje się jakiś kłopot - oznajmił po raz piąty. - Coś czułem, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy sztorm zabrał moją „Peoch ha Labour”. Czułem coś złego w powietrzu.

- Wygląda mi to na niestrawność - mruknął Alain.

Aristide nie zwrócił na niego uwagi.

- Mieliśmy za dużo szczęścia, ot co - oznajmił. - W końcu musiało się odwrócić. No bo dlaczego przydarzyło się to akurat Rougetowi? Temu szczęściarzowi?

- Może nic mu się nie stało - powiedział Alain.

Aristide wyrzucił ręce w górę.

- Żegluję od sześćdziesięciu lat, a coś takiego widziałem ze dwadzieścia razy. Człowiek wypływa sam, robi się nieostrożny, odwraca się plecami do bomu, a wtedy wystarczy jeden podmuch wiatru i cześć! - Wymownym gestem przesunął palcem po gardle.

- To jeszcze nic pewnego - zaprzeczył Alain z uporem.

- Wiem swoje - odparł Aristide. - To samo przydarzyło się Ernestowi Pinozowi w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Zmiotło go za burtę. Już nie żył, zanim wpadł w wodę.

W końcu udało się przyciągnąć dryfującą łódkę do burty „Eleanore” i Xavier wskoczył na pokład. Flynn leżał nieruchomo na dnie. Musiał tak leżeć ładnych kilka godzin, jak ocenił Xavier, bo na jednym policzku widniały ślady słonecznych oparzeń. Xavier nie bez wysiłku dźwignął Flynna pod ramiona, usiłując go przesunąć bliżej rozkołysanej „Eleanore”, podczas gdy Alain próbował zabezpieczyć łódkę. Bezużyteczny żagiel łopotał i trzepotał, poluzowane liny śmigały groźnie we wszystkie strony. Xavier przezornie nie dotykał czegoś, co przypominało podartą i mokrą foliową torbę; czegoś owiniętego wokół ramienia Flynna i częściowo zanurzonego w wodzie.

Po kilku próbach przyciągnięto wreszcie łódkę.

- A nie mówiłem, ha? - obwieścił Aristide. - Nie wystarczy człowiekowi czerwony koralik, kiedy przychodzi ostatnia godzina.

- On nie umarł - powiedziała nieswoim głosem.

- Nie - wydyszał Alain, wciągając bezwładne ciało Flynna na pokład „Eleanore II”. - Jeszcze nie.

Ułożyli go na rufie i Xavier wywiesił flagę ostrzegawczą. Poprawiała żagle

„Eleanore” drżącymi rękoma, dopóki nie poczułam, że mogę spojrzeć na Flynnna, nie dygocząc na całym ciele. Płonął gorączką. Co pewien czas otwierał oczy, ale nie reagował, gdy do niego przemawiałam. Czerwone smugi, wskazujące na stan zapalny, biegły wzdłuż jego ramienia, widoczne pod półprzezroczystym stworem, który przylgnął do skóry. Starłam się mówić opanowanym głosem, lecz mimo to mój ton brzmiał piskliwie, na granicy hysterii.

- Alain, musimy to z niego zdjąć!

- To robota dla Hilaire'a - odparł szorstko. - Musimy po prostu jak najszybciej dobić do brzegu. Osłoń go przed słońcem. Wierz mi, nic więcej w tej chwili nie możemy zrobić.

Była to dobra rada i usłuchaliśmy jej. Aristide trzymał nad głową nieprzytomnego Flynnna kawałek płótna żaglowego, a my z Alainem wprowadziliśmy „Eleanore” do La Goulue najszybciej, jak się dało. Mimo sprzyjającego zachodniego wiatru cała akcja trwała blisko godzinę. Na brzegu czekali chętni do pomocy ludzie z termosami, linami, kocami. Plotki zdążyły się już rozejść. Ktoś pobiegł po Hilaire'a.

Nikt nie wiedział, co za stworzenie przyssało się do ramienia Flynnna. Zdaniem Aristide'a, była to osa morska, która przypląnęła z golfsztromem z cieplejszych mórz. Matthias, pojawiwszy się na brzegu w towarzystwie Angela, odrzucił z pogardą to przypuszczenie.

- Nieprawda - prychnął. - Ślepy jesteś? To bąbelnica. Pamiętasz, jak się masowo pojawiły tuż za La Jetee? Ha, dryfowały na skraju Nid'Poule całymi setkami. To było chyba w pięćdziesiątym pierwszym. Niektóre dotarły aż do La Goulue i musieliśmy je zgarniać grabiami.

- Osa morska - upierał się Aristide, kręcąc głową. - Gotów jestem się założyć o każdą sumę.

Matthias wziął go za słowo i założyli się o sto franków. Kilkoro innych poszło za ich przykładem.

Cokolwiek to było, nie pozwoliło się łatwo oderwać. Czułki - jeśli można tak nazwać owe wydłużone, pierzaste macki - przywierały do nagiej skóry, ilekroć zdarzyło im się ją musnąć. I tkwiły w niej, nie dając się wyciągnąć.

- Ha, pewnie wyglądała w wodzie jak kawałek plastikowej torby - rozważała Toinette. - Pochylił się, żeby ją wyłowić...

- Całe szczęście, że nie zanurzył się w morzu. Wtedy by go dopadły. Ich macki mają co najmniej dwa metry.

- Osa morska - powtórzył Aristide z ponurą satysfakcją. - A te pręgi oznaczają zakażenie

krwi. Już to widziałem.

- Babelnica - zaprotestował Matthias. - Odkąd to osy morskie wyprawiają się tak daleko na północ, ha?

- Papierosy. Tak się robi z pijawkami - wtrącił Omer La Patate.

- A może kieliszek devinnoise? - podsunął Angelo.

Capucine zasugerowała ocet.

Aristide odniósł się do całego wydarzenia z fatalizmem, twierdząc, że jeśli to istotnie osa morska, Rouget nie ma szans. Na jej jad nie było odtrutki. Dawał mu najwyżej dwanaście godzin. Chwilę później zjawił się Hilaire w towarzystwie Charlotte niosącej butelkę octu.

- Ocet - mruknęła Capucine. - Mówiłam, że to załatwi sprawę.

- Przepuście mnie - burknął Hilaire. Zachowywał się niezwykle szorstko, kryjąc niepokój pod maską irytacji. Ludziom się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty. Ha! Muszę rzucić okiem na kozy Toinette i na konie z La Houssiniere. Czy ci ludzie nic nie rozumieją? Może im się wydaje, że mnie to bawi? - Grupka obserwatorów niespokojnie śledziła ruchy Hilaire'a, który odrywał macki za pomocą octu i szczypiec.

- Osa morska - powtórzył Aristide pod nosem.

- Kapuściana głowa - odparł Matthias.

Zabrali Flyna do „Les Immortelles”. Hilaire uparł się, że tak będzie najlepiej, bo mają tam łóżka i pomoc medyczną. Mógł mu dać jedynie zastrzyk adrenaliny i wołał nie przewidywać, co się dalej stanie. Zadzwoił ze swojego gabinetu na kontynent, najpierw po lekarza - w nagłych wypadkach wysyłano motorówkę z Fromentine - a potem do straży przybrzeżnej z ostrzeżeniem. Dotychczas nie zauważono takich stworzeń w La Goulue, lecz teraz dokładnie ogrodzono nową plażę liną i pływakami rozciągniętymi wzdłuż wybrzeża, z siecią zagrządzającą drogę nieproszonym gościom. Później Alain i Ghislain mieli popłynąć na La Jete. Robimy to czasami po jesiennych burzach.

Trzymałam się na uboczu; odnosiłam wrażenie, że jestem zbyt cicha i nie mam nic do roboty. Capucine zaproponowała, że będzie towarzyszyła Rougetowi do „Les Immortelles”. Wspomniano o wezwaniu pere Albana.

- Więc jest aż tak źle?

Hilaire, który nie był obeznany z żadnym z omawianych gatunków meduz, niczego konkretnego nie potrafił stwierdzić. Lolo wzruszył ramionami.

- Aristide mówi, że do jutra wszystko już będziemy wiedzieli.

51

Nie wierzę w dobre czy złe wróżby. Pod tym względem nie jestem prawdziwą wyspiarką. Ale tamtego wieczoru były wszędzie; unosiły się na falach jak stado mew. Nadchodził przypływ, mroczny przypływ. Wyczuwałam go. Próbowałam sobie wyobrazić umierającego Flynna, martwego Flynna. Nie potrafiłam. Był nasz, był częścią wyspy, częścią Les Sa - lants. Ukształtowaliśmy go, a on nas.

Pod wieczór poszłam do oblepionej woskiem i ptasimi odchodami kaplicy Sainte-Marine na Pointę. Ktoś zostawił wśród ofiar na ołtarzu głowę plastikowej lalki. Głowa miała odcień jaskrawego różu i jasne włosy. Wokół płonęły świece. Wydobyłam z kieszeni czerwony koralik. Przez chwilę obracałam go w dłoni, a potem położyłam na ołtarzu. Sainte-Marine spoglądała na mnie z góry, a jej kamienne oblicze przybrało wyraz jeszcze bardziej zagadkowy niż zwykle. Uśmiechała się? Udzielała mi błogosławieństwa?

Santa Marina. Odbierz nam plażę, jeśli chcesz. Odbierz wszystko. Ale nie rób tego. Proszę. Nie rób tego.

Coś - zapewne ptak - zakrzyczało nad wydumą. Ten krzyk zabrzmiał jak śmiech.

Toinette Prossage zastała mnie w kaplicy. Podniosłam głowę, gdy dotknęła mojego ramienia; za nią nadchodzili inni. Niektórzy nieśli latarnie. Rozpoznałam Bastonnetów, Guenole, Omera, Angela, Capucine. Za nimi szedł pere Alban ze swoim pastorałem, a także siostra Therese z siostrą Extase. Ich coiffes chwiały się na tle zachodzącego słońca.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi Aristide - wyznała Toinette. - Sainte-Marine żyje tu dłużej niż ktokolwiek z nas i nie wiadomo, jakie jeszcze cuda sprawi. Przecież dała nam plażę, prawda?

Skinęłam głowę, bojąc się otworzyć usta. Za plecami Toinette pojawili się inni salanianie; niektórzy nieśli kwiaty. Nieco dalej zobaczyłam Lola. Kilkoro turystów przyglądało się nam z zaciekawieniem.

- Nigdy nie życzyłem mu śmierci - bronił się Aristide. Jeśli umrze, zasłużył na miejsce w La Bouche. Pochowam go obok mojego własnego syna.

- Nie ma co mówić o śmierci i pogrzebach - ucięła Toinette. - Święta do tego nie dopuści. To przecież Marine-de - - la-Mer, patronka salanian. Nie zawiedzie nas.

- Ha, ale Rouget nie jest salanianinem - zauważył Matthias. - Sainte-Marine to wyspiarska święta. Może nie troszczy się o ludzi z kontynentu.

Omer pokręcił głową.

- Niewykluczone, że Święta dała nam plażę, ale to Rouget zbudował Bouch'ou.

Aristide chrząknął.

- Zobaczycie - powiedział. - W Les Salants pech czyha na każdym kroku. Teraz mamy dowód. Meduzy w zatoce, po tylu latach. Chyba nie sądzicie, że to wpłynie korzystnie na interesy, ha?

- Interesy? - obruszyła się Toinette. - Tylko to jedno ci w głowie? Myślisz, że Święta akurat tym się zajmuje?

- Może i nie - wtrącił Matthias - ale tak czy inaczej, to zły omen. Ostatnio coś takiego zdarzyło się w Czarnym Roku.

- Czarny Rok - powtórzył Aristide posępnie. - Szczęście przychodzi i odchodzi, jak przyływy.

- Nasze szczęście nie odejdzie! - zaprotestowała Toinette. - W Les Salants sami je tworzymy. To, co się stało, niczego jeszcze nie dowodzi.

Pere Alban z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie wiem, po co właściwie mnie tu ściągęliście oznajmił. - Jeśli chcecie się pomodlić, idźcie do kościoła. A jeśli nie... ha! Te wszystkie wasze zabobony. Nie powinienem był ich popierać.

- Chodzi tylko o jedną modlitwę - nalegała Toinette. Tylko my i Santa Marina.

- No dobrze już, dobrze. Potem wracam do domu, a wy tu sobie zamarzajcie na śmierć. Zanosi się na deszcz.

- Nie dbam o to, co mówicie - mruknął Aristide. - Interesy są ważną sprawą. Jeśli to nasza Święta, powinna nas zrozumieć. Na tym polega szczęście Les Salants.

- Panie Bastonnet!

- Ha, dobra, dobra.

Jak dzieci pochyliliśmy głowy. Wyspiarska łacina jest łaciną kuchenną, nawet wedle norm kościelnych, lecz wszelkie próby unowocześnienia nabożeństw napotykały opór. W starych słowach kryje się czar, coś, co przepadłoby w tłumaczeniu. Pere Alban dawno już zrezygnował z wyjaśniania, że to nie w słowach jako takich tkwi moc, ale w uczuciach, które dają im początek.

Dla większości salanian jest to myśl niepojęta, a nawet nieco bluźniercza. Katolicyzm zadomowił się na wyspach, powracając do swych przedchrześcijańskich korzeni. Talizmany, symbole, zaklęcia, rytuały są mocno osadzone w tutejszej rzeczywistości, wśród ludzi, którzy rzadko czytają cokolwiek, nawet Biblię. Silna jest tradycja ustnego przekazu, każdy dodaje do opowieści nowe szczegóły, lecz wolimy cuda niż liczby i reguły. Pere Alban godzi się z tym, wiedząc, że bez niego Kościół stałby się niebawem pieśnią przeszłości.

Oddalił się zaraz po modlitwie. Słyszałam zgrzytanie piasku pod jego stopami, gdy opuścił krąg latarni. Toinette śpiewała wysokim, starczym falsetem; wychwyciłam kilka słów, ale - podobnie jak łaciny - nie rozumiałam dawnej wyspiarskiej gwary.

Dwie stare zakonnice stały po obu stronach drewnianego ołtarza, nadzorując modły. Mieszkańcy wioski ustawili się w milczącej kolejce. Kilkoro z nich - między innymi Aristide - zdjęło z szyi koraliki i położyło je na ołtarzu, pod mrocznym i nieodgadnionym spojrzeniem Świętej.

Pozostawiłam ich pogrążonych w modlitwie i ruszyłam ku La Goulue, rozległej i rozplomienionej poblaskiem zachodzącego słońca. Daleko, tuż nad wodą, dostrzegłam jakąś postać, niemal ginącą w odbitym świetle. Skierowałam się w tamtą stronę, czując pod stopami rozkoszny chłód wilgotnego piasku i cichy szum odpływu. Postacią okazał się Damien.

Spojrzał na mnie oczyma, w których odbijała się rozżarzona czerwień słońca. Ciemna smuga w poprzek nieba zapowiadała deszcz.

- Widzisz? - odezwał się. - Wszystko się rozpada. To już koniec.

Zadrzałam. Z oddali dobiegło śpiewne, niesamowite zawodzenie Toinette.

- Chyba nie będzie aż tak źle - odparłam.

- Nie? - Wzruszył ramionami. - Mój ojciec popłynął na La Jetee i zabrał platt. Mówi, że jest tam więcej tych stworów. Pewnie sztormy je do nas przygnały. Dziadek powiada, że to zły omen. Zwiastuje niedobre czasy.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że jesteś przesądny.

- Nie jestem. Ale dla nich to ostatnia deska ratunku. W ten sposób udają, że się nie boją. Śpiewy, modły i girlandy dla Świętej. Jakby to mogło pomóc Rou... Roug... - Głos mu się załamał, a oczy z dziką zawziętością wpatrzyły się w wodę.

- Wyjdzie z tego - powiedziałam. - Jak zawsze.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzucił nieoczekiwanie Damien, nie podnosząc głosu. - To

przez niego wszystko się zaczęło. Jeśli nawet umrze, mam to w nosie.

- Chyba nie mówisz poważnie!

Damien wyrzucał z siebie słowa, patrząc w przestrzeń.

- Uważałem go za przyjaciela. Myślałem, że jest inny niż Joel, Brismand i cała reszta. A tymczasem okazało się, że potrafi po prostu lepiej kłamać.

- O co ci chodzi? - zapytałam. - Co on takiego zrobił?

- Myślałem, że nienawidzą się z Brismandem - odparł. Zawsze stwarzał takie wrażenie. Ale oni się przyjaźnią, Mado. On i Brismandowie. Współpracują z sobą. Wczoraj, kiedy miał wypadek, wykonywał ich polecenie. To dlatego wypłynął tak daleko. Sam Brismand tak mówił!

- Pracował dla Brismanda? Co robił?

- Jakieś obliczenia przy Bouch'ou - wyjaśnił Damien. Prowadził je przez cały czas. Manipulował nami, a Brismand mu za to płacił. Słyszałem jego rozmowę z Marinem przed „Chat Noir”.

- Ale, Damien - zaprotestowałam - to, co zrobił dla Les Salants...

- A co on takiego zrobił, ha? - głos Damiena załamał się nagle i zabrzmiał niemal dziecinnie. - Że zbudował to coś w zatoce? - Wskazał odległą Bouch'ou, na której dwa ostrzegawcze światelka mrugały niczym lampki choinkowe. - Po co? Dla kogo? Z pewnością nie dla mnie. Nie dla mojego ojca, który tkwi w długach po uszy i ciągle ma nadzieję na interes życia. Myśli, że dzięki tym kilku rybom dorobi się majątku. Ludzka głupota nie ma granic. Nie dla Grosselów ani Bastonnetów, ani Prossage'ow. Nie dla Mercedes!

- Jesteś niesprawiedliwy. Z tym akurat plaża nie ma nic wspólnego. Ani Flynn.

Słońce zaszło. Niebo przypominało siniec, blednący po bokach.

- Aha, i jeszcze jedno - Damien spojrzał na mnie. - On nie nazywa się Flynn. Nie nazywa się też Rouget. Ma na imię Jean-Claude. Tak jak jego ojciec.

CZEŚĆ CZWARTA

Powrót do domu

Biegłam ścieżką nad urwiskiem, a myśli tłukły się pod moją czaszką niczym nasiona w pustej tykwie. To nie miało sensu. Flynn synem Brismanda? Niemożliwe. Damien z pewnością się przesłyszał. A jednak odezwał się we mnie wewnętrzny głos; rozbudzone przecucie niebezpieczeństwa, wysyłające ostrzeżenia donośniejsze niż dźwięk La Marinette.

Istniały poszlaki, gdybym tylko zechciała je dostrzec: potajemne spotkanie, uścisk, wrogość Marina, rozterki Flynnna. Nawet jego przydomek - Rouget, czyli Rudy - kojarzył się z lisim sprytem Brismanda. Wyspiarskim obyczajem nosili to samo imię.

Z drugiej strony Damien był tylko chłopcem przeżywającym młodzieńcze zauroczenie. Niezbyt wiarygodny informator. Nie, musiałam się dowiedzieć czegoś więcej, zanim w głębi serca potępię Flynnna. I wiedziałam, dokąd się udać.

W holu „Les Immortelles” zastałam jedynie Joela Lacroix, który siedział w recepcji i palił gitane’a, trzymając na blacie nogi w kowbojskich butach. Zmieszał się lekko na mój widok.

- Ha, Mado. - Wysilił się na drwiący uśmieszek i zdusił niedopałek w popielniczce. - Szukasz pokoju?

- Słyszałam, że jest tutaj mój znajomy - odparłam.

- Angliche? Tak, jest tutaj. - Zapalił następnego papierosa teatralnym gestem i wydmuchnął długą, leniwą smugę dymu, zupełnie jakby odgrywał scenę z filmu. - Lekarz zabronił go przenosić. Chciałaś go zobaczyć, ha?

Skinęłam głową.

- No cóż, nie możesz. Monsieur Brismand nie pozwolił nikogo wpuszczać, więc, ma belle, dotyczy to również ciebie. - Puścił do mnie oko i przysunął się nieco bliżej. - Lekarz przyplął specjalną łodzią, mniej więcej godzinę temu. Stwierdził, że poparzyła go bąbelnica. Paskudztwo.

A zatem nie sprawdziły się ponure prognozy Aristide’a. Mimo woli poczułam ulgę.

- Nic poważniejszego?

Joel pokręcił głową jakby z odcieniem żalu.

- Nie. Ale i tak kiepsko to wygląda.

- Jak kiepsko?

- Ba, co ci lekarze w ogóle wiedzą? - Zaciągnął się dymem. - Gorzej, że przez kilka godzin leżał nieprzytomny w słońcu. Udar słoneczny może cholernie zaszkodzić, jeśli człowiek

nie uważa na siebie. No, ale skąd facet z kontynentu ma to wiedzieć? - Jego ton sugerował, że on, Joel, jest twardzielem, któremu podobna rzecz by się nie przydarzyła.

- A meduza?

- Ten idiota wziął i wyciągnął ją z wody, masz pojęcie? Joel z niedowierzaniem pokręcił głową. - Wyobrażasz sobie? Doktor mówi, że działanie jadu potrwa dwadzieścia cztery godziny.

- Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Więc jeśli twój przyjaciel jeszcze tu będzie jutro rano, ha... - Znowu mrugnął i przysunął się bliżej.

Odstąpiłam w bok.

- W takim razie chcę się zobaczyć z Marinem Brismandem. Jest gdzieś tutaj?

- Ha, co z tobą? - Joel wydawał się dotknięty. - Nie lubisz mnie?, - Lubię cię na odległość, Joel. Pomyśl o tym jak o prawie do połowów. Wody terytorialne. Trzymaj się swoich i nie wpływaj na moje.

Odchrząknął.

- Wydaje jej się, że jest Santa Marina - mruknął. - Marin wyszedł godzinę temu. Z twoją siostrą.

- Dokąd?

- Bóg jeden wie.

W końcu znalazłam Marina i Adrienne w „Chat Noir”. Robiło się późno i kawiarnia tonęła w gwarze i dymie. Moja siostra siedziała przy barze; Marin grał w karty przy stoliku obleganym przez houssinian. Na mój widok zrobił zaskoczoną minę.

- Mado! Nieczęsto cię tu widzujemy. Czy coś się stało? Zmrużył oczy. - Chyba nie chodzi o Grosjeana?

- Nie. O Flyna.

- O? - zdziwił się. - Czyżby umarł?

- Oczywiście, że nie.

Marin wzruszył ramionami.

- Właściwie nie robiłem sobie zbyt wielkich nadziei.

- Przestań się zgrywać - rzuciłam ostro. - Wiem o nim i o twoim stryju. O waszych wspólnych interesach.

- Ach, tak. - Posłał mi uśmiech. Wcale nie wydawał się niezadowolony. - No, dobrze.

Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce. Niech wszystko zostanie w rodzinie, ha? Odłożył karty na stół i wstał. - I tak przegrywałem - dodał. - Nie mam tyle szczęścia, co twój przyjaciel.

Wyszliśmy na promenadę, gdzie było chłodniej i nie tak tłoczno. Adrienne podążyła za nami. Usiadłam na wale nadmorskim, zwrócona twarzą do nich obojga. Mój głos brzmiał spokojnie, choć serce waliło jak młotem.

- Opowiedz mi o Flynnie - zażądałam. - A najlepiej opowiedz, kim jest Jean-Claude.

53

- To miałem być ja, rozumiesz. - Uśmiech nie złagodził goryczy na twarzy Marina. - Byłem jedynym krewnym starego. Kimś więcej niż synem. A przynajmniej kimś bliższym niż jego syn. To wszystko miało należeć do mnie. „Les Immortelles”. Cały biznes. Wszystko.

Przez lata Brismand pozwalał mu w to wierzyć. Tu pożyczka, tam drobny prezent. Podobnie jak mnie, nie tracił Marina z oczu, zostawiając sobie otwartą furtkę, możliwość wyboru w przyszłości. Nigdy nie wspominał o żonie, z którą był w separacji, ani o synu. Dał Marinowi do zrozumienia, że ich los przestał go obchodzić, że przenieśli się obydwoje do Anglii, chłopak nawet nie zna francuskiego i jest Brismandem w takim samym stopniu, jak każdy inny Angliche na tej wyspie rosbifu i meloników.

Oczywiście kłamał. Cwany Brismand nigdy nie stracił nadziei. Utrzymywał kontakt z matką Jean-Claude'a, łożył na jego naukę, latami prowadził podwójną grę i oczekiwał stosownej chwili. Od początku zamierzał przekazać interesy Jean-Claude'owi. Ale jego syn nie zdradzał rządnej chęci współpracy; skwapliwie korzystał z przysyłanych pieniędzy, lecz nie zachwyił go pomysł zatrudnienia się w firmie ojca. Brismand był cierpliwy; pozwalał chłopakowi się wyszumieć i starał się nie myśleć o uciekającym czasie. Tymczasem Jean-Claude przekroczył trzydziestkę, a jego plany - jeśli je miał - pozostawały niesprecyzowane. Brismand zaczął myśleć, że jego syn nigdy nie wróci.

- I to by załatwiło sprawę - powiedział Marin nie bez satysfakcji. - Mimo obsesji na punkcie rodziny Claude nigdy nie zostawiłby swoich pieniędzy komuś, kto by na nie nie zapracował. Postawił sprawę jasno: jeżeli Jean-Claude chce zobaczyć choć pensa ze swego spadku, musi najpierw przyjechać na wyspę.

Oczywiście Brismand nie zwierzył się ze swoich trosk Marinowi i Adrienne. W owym okresie niepewności szczególnie mu zależało na przychylności bratanka. Marin stanowił dla

niego zabezpieczenie, rezerwę na wypadek, gdyby Jean-Claude się nie pojawił. Prócz tego kontakt z mężem córki Grosjeana był dla Brismanda cenny.

- Chciał zacieśnić więzi z Les Salants. A przede wszystkim kupić dom Grosjeana i należącą do niego ziemię. Ale Grosjean odmówił sprzedaży. Wynikła między nimi sprzeczka, nie wiem, o co. Może przez ten jego upór.

Ponieważ jednak Adrienne i Marin mieli w stosownym czasie odziedziczyć posiadłość, Brismand musiał po prostu uzbroić się w cierpliwość. Był dla młodego małżeństwa więcej niż hojny, wspomógł ich okazałą sumą, gdy zakładali własną firmę.

Zauważyłam w trakcie opowieści Marina narastający niepokój Adrienne.

- Chwileczkę. Czy chcesz przez to powiedzieć, że twój stryj cię przekupił, abyś się ze mną ożenił?

- Nie mów głupstw. - Marin miał zakłopotaną minę. Po prostu wykorzystał okazję, nic więcej. Ożeniłbym się z tobą i tak. Niezależnie od pieniędzy.

Ceny gruntów w kwitnym La Houssiniere były wyśrubowane. Les Salants pozostawało tanie. Punkt zaczepienia w Les Salants byłby dla Brismanda niezmiernie cenny. Dom Grosjeana wraz z połącją ziemi rozciągającą się aż po La Goulue mógł przynieść znaczne korzyści człowiekowi z głową do interesów. Dlatego Brismand odnosił się bardzo życzliwie do Marina i Adrienne. Przesyłał chłopcom podarki. Oczekując spokojnie przyszłych udziałów w jego zyskach, przez całe lata żyli ponad stan.

A potem zjawił się Flynn.

- Syn marnotrawny - wycodził kąśliwie Marin. - Trzydzieści lat za późno, prawie cudzoziemiec, ale kompletnie zawrócił staremu w głowie. Można by pomyśleć, że potrafi czynić cuda.

Marin z powrotem stał się tylko bratankiem. Odzyskawszy syna, Claude przestał się interesować tangerskimi przedsięwzięciami i cofnął pożyczki i inwestycje, na które Marin i Adrienne liczyli.

- O, nie od razu poznaliśmy przyczynę. Powiedział, że „Les Immortelles” potrzebuje remontu. Że trzeba wzmocnić wały nadmorskie. Wprowadzić nowe udogodnienia. No i w końcu to leżało również w naszym interesie, bo mieliśmy przecież odziedziczyć „Les Immortelles”.

Istnienie Jean-Claude'a nie zostało oficjalnie ujawnione. Wrodzona ostrożność Brismanda wzięła górę i nie chciał, by ktokolwiek miał wgląd w jego sprawy, dopóki się nie upewni, że

przybysz jest rzeczywiście jego synem. Wstępne dochodzenie zdawało się to potwierdzać. Matka Jean-Claude'a po opuszczeniu Le Devin wróciła do swego dawnego domu w Irlandii. Wyszła po raz drugi za mąż, założyła nową rodzinę. Zawiadomiła Brismanda, że Jean-Claude wyjechał kilka lat wcześniej i prawie nie utrzymują kontaktów, choć zawsze przekazywała mu czeki. To w pewnej mierze potwierdzało historię Flynna. Co istotniejsze, miał listy pisane przez Brismanda, zdjęcia byłej żony z Jean-Claude'em, metrykę. Ponadto przytaczał anegdoty, które mogli znać tylko Jean-Claude i jego matka. Marin doradzał badanie krwi. Ale Brismand w głębi serca nie potrzebował dalszych dowodów. Flynn miał oczy swojej matki.

Zwerbował Flynna do pomocy, przedstawiając mu problem erozji i dając do zrozumienia, że jeśli dobrze się spisze w Les Immortelles, zostanie w przyszłości jego współnikiem. W ten sposób miał Flynn na oku i mógł go wybadać.

- Ale mój stryj jest kuty na cztery nogi - powiedział Marin z gorzką satysfakcją. - Nawet jeśli Jean-Claude był tym, za kogo się podawał, od razu rzuciłoby się w oczy, dlaczego wrócił. Chodziło mu o pieniądze. No bo czemu pokazał się dopiero po tak długim czasie?

Brismand, jak wszyscy Devinianie, dobrze znał takie sytuacje. Zbiegów witają otwarte ramiona i zamknięte portfele, wiadomo bowiem, że to, co powraca, nie zawsze pozostaje.

- Znalazł mu robotę. Powiedział, że jeśli ma przejąć kiedyś interesy, powinien zacząć od najniższego szczebla drabiny. - Marin zaśmiał się krótko. - Jedyne, co w tej całej aferze sprawia mi odrobinę satysfakcji, to myśl o minie tego sukinsyna, kiedy usłyszał od stryja, że musi zapracować na swoje nazwisko.

Wywiązała się sprzeczka. Twarz Marina pojaśniała na to wspomnienie.

- Stary wszystko mi opowiedział. Był wściekły. Jean-Claude zrozumiał, że się zagalopował, i próbował go ułagodzić, ale było za późno. Stryj zapowiedział mu, że nie zobaczy ani pensa, dopóki na to nie zasłuży, i wyprawił go do Les Salants.

Obie strony powściągnęły jednak emocje. Jean-Claude pozwolił ojcu ochłonać, starając się jednocześnie odzyskać jego przychylność. Brismand zaś stopniowo uświadomił sobie, jakie korzyści wypływają z posiadania szpiega w Les Salants.

- Jean-Claude dowiadywał się o wszystkim. Komu brakuje gotówki, czyje interesy marnie idą, kto z czyją żoną się spotyka, kto ma długi. On łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi. Wzbudza zaufanie.

W ciągu paru miesięcy Brismand poznał wszelkie możliwe tajemnice. Jego umocnienia

ochronne w Les Immortelles doprowadziły do niemal całkowitego zastoju w Les Salants. Połowy ryb ustały. Kilka osób zadłużyło się u niego. Mógł je przyprzeć do muru, kiedykolwiek by zechciał.

Do takich osób należał Grosjean. Flynn zbliżył się do niego na samym początku i dawał mu rozmaite drobne dowody przyjaźni, pośrednicząc w zaciąganiu pożyczek, gdy oszczędności Grosjeana ostatecznie się wyczerpały. Brismand odniósł się do planu z entuzjazmem. Gdyby dało się wykupić Grosjeana, to, co by pozostało z Les Salants, mogłoby za rok lub dwa należeć do Brismanda.

- I wtedy wróciłaś ty - wtrąciła Adrienne.

To zmieniło wszystko. Grosjean, dotychczas tak uległy, zaniechał współpracy. Moja ingerencja wszystko popsuła. Subtelna i żmudna praca Flynnna poszła na marne.

- Dlatego Jean-Claude obrał inną drogę - dodała Adrienne ze złośliwym uśmieszkiem. - Zamiast brać na cel papę, skupił się na tobie. Odkrywał twoje słabe strony. Schlebiał ci...

- To nieprawda - przerwałam. - Pomagał mi. Pomagał nam wszystkim.

- Pomógł samemu sobie - sprostował Marin. - Zawiadomił Brismanda o rafie, gdy tylko w La Goulue pokazał się piasek. Zastanów się, Mado - dorzucił, widząc wyraz mojej twarzy. - Chyba nie sądziłaś, że robi to dla ciebie?

Popatrzyłam na niego zgnębiona.

- Ale Les Immortelles... - zaczęłam. - Wiedział od początku, co się stanie z plażą Claude'a.

Marin wzruszył ramionami.

- Ten proces można odwrócić - odparł. - A Rougetowi był potrzebny, żeby wywrzeć nacisk na mojego stryja. - Marin spojrział na mnie z gorzkim rozbawieniem. - Moje gratulacje, Mado - powiedział. - Twój przyjaciel zapracował w końcu na swoje nazwisko. Stał się Brismandem z firmową książeczką czekową i pięćdziesięcioprocentowym udziałem w spółce Brismand i Syn. A wszystko dzięki tobie.

54

„Les Immortelles” było ciemne. W holu świeciła się nieduża lampka, lecz drzwi były zamknięte na klucz i naciskałam dzwonek raz po raz przez pięć minut, zanim ktoś do nich wreszcie podszedł. Był to Brismand z gitane'em w kąciku ust i podwiniętymi rękawami koszuli.

Jego oczy rozszerzyły się lekko, gdy dostrzegł mnie za szybą. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi.

- Mado. - Miał zmęczony głos i cała jego postawa wyrażała znużenie: załośnie wygięte usta, obwisłe wąsy, półprzymknięte oczy. Garbił się pod rozciągniętą vareuse i bardziej niż kiedykolwiek przypominał głaz, prymitywny posąg samego siebie. - Nie jestem pewien, czy to aby najlepsza pora, ha?

- Rozumiem. - Gniew zalał mnie gorącą falą, lecz wzięłam się w karby. - Musisz być zdruzgotany.

W jego oczach zamigotała jakaś iskierka.

- Chodzi ci o meduzy? Ha, to zaszkodzi interesom. I tak szły kiepsko.

- Cóż, meduzy niewątpliwie stanowią problem - przyznałam. - Ale ja miałam na myśli wypadek twojego syna.

Brismand przez chwilę wpatrywał się we mnie ze smutkiem, a potem wydał jedno ze swych potężnych westchnień.

- To była bezmyślność z jego strony - powiedział. - Głupi błąd. Żaden prawdziwy wyspiarz by go nie popełnił. Uśmiechnął się. - Ale mówiłem ci, że kiedyś go odzyskam, czyż nie? Trochę to trwało, lecz w końcu wrócił. Wiedziałem, że wróci. Człowiek w moim wieku potrzebuje bliskości syna. Kogoś, na kogo mógłby liczyć. Kto przejmie firmę, kiedy mnie już nie będzie.

Wydało mi się teraz, że dostrzegam podobieństwo; coś w uśmiechu, sylwetce, gestach, oczach.

- Z pewnością jesteś bardzo dumny - zauważyłam. Czułam się przybita.

Brismand uniósł brew.

- Owszem, uważam, że jest w nim coś ze mnie.

- Ale po co to udawanie? Dlaczego ukrywaliście to przed nami? Dlaczego nam pomagał, dlaczego ty nam pomagałeś, skoro on przez cały czas stał po twojej stronie?

- Mado, Mado. - Pokręcił głową z ubolewaniem. - Czemu ma to być kwestia opowiadania się po jakiejś stronie? Czy ktoś tu toczy wojnę, ha? Zawsze musisz się doszukiwać ukrytych zamiarów?

- Dobro czynione potajemnie? - zadrwiłam.

- Ranisz mnie, Mado. - Jego postawa odzwierciedlała słowa; zwrócił się lekko w bok,

garbiąc plecy i wbijając ręce w kieszenie. - Wierz mi, chcę jak najlepiej dla Les Salants. Zawsze chciałem. Spójrz, jak wiele udało się zrobić „potajemnie”. Rozwój, handel, turystyka, ha! Myślisz, że przyjęliby to wszystko w darze ode mnie? Nieufność, Mado. Nieufność i pycha. One gubią Les Salants. Ci ludzie kurczowo czepiają się skał, coraz starsi i tak przerażeni na myśl o zmianach, że woleliby dać się porwać morzu niż podjąć rozsądną decyzję, wykazać nieco inicjatywy. - Rozłożył ręce. - Co za marnotrawstwo! Wiedzieli, że to bezcelowe, lecz nikt nie godził się na sprzedaż. Prędzej by utonęli, niż nabrali rozumu.

- Teraz nawet mówisz jak on - zauważyłam.

- Jestem zmęczony, Madeleine. Zbyt zmęczony, żeby poddawać się takiemu przesłuchaniu. - Znowu wyglądał staro, jego energia nagle się ulotniła. Kąciki ust opadły. Lubie cię. Mój syn cię lubi. Nigdy byśmy nie dopuścili, by stała ci się krzywda. Teraz idź do domu i odpocznij - poradził łagodnie. - Czeka nas ciężki dzień.

55

A zatem to było to, czego podświadomie szukałam. Brismand i jego odzyskany po latach syn. Obaj współdziałający skrycie po dwóch stronach wyspy, snujący plany... Jakież? Przypomniałam sobie sentymentalne wynurzenia Brismanda o nadchodzącej starości. Czy to możliwe, by Flynn w jakiś sposób nakłonił go do wyrównania szkód? Czy naprawdę mogli działać na naszą korzyść? Nie. Wiedziałam o tym. Najgłębsza częśćka mnie, przed którą nic się nie ukryje, wiedziała o tym od samego początku.

Biegłam przez całą drogę do blokhauzu. Niejasno zdawałam sobie sprawę z uczucia wewnętrznego oderwania; doznałam go już kiedyś, po śmierci matki. Było to tak, jakby zaczął działać delikatny mechanizm, włączający się jedynie w sytuacjach kryzysowych, po to, by oddzielić mnie od wszystkiego z wyjątkiem konkretnej sprawy do załatwienia. Później przyjdzie mi za to zapłacić - smutkiem, może łzami. Na razie jednak panowałam nad sobą. Zdrada Flynna była czymś, co przysniło się komuś innemu; przedziwny spokój spłynął na moje serce, niczym fala zmywająca napis na piasku.

Przypomniałam sobie Grosjeana i nowo wybudowane studio. Pomyślałam o wszystkich salanianach, którzy zaciągnęli pożyczki na remonty domów, nowe przedsięwzięcia, wszelkie drobne inwestycje na przyszłość. Za schludnie odmalowanymi ścianami, wygracowanymi ogródkami, kioskami, błyszczącymi ladami sklepowymi, odremontowanymi łodziami rybackimi,

pełnymi spizarniami, letnimi sukienkami, jasnymi okiennicami, ukwieconymi żardinierami, szklankami koktajlowymi, rusztami, hodowlami homarów, wiadrami i łopatami krył się błysk pieniędzy Brismanda, wpływy Brismanda.

I jeszcze „Brismand II”, na poły gotowy pół roku temu. Teraz zapewne był już ukończony i oczekiwał włączenia w plan Brismanda - jako wkład Jean-Claude’a w przedsięwzięcie. Zrozumiałam wreszcie rolę Flynna, punkt osiowy Brismandowskiego triumwiratu. Claude, Marin, Rouget. La Houssiniere, Les Salants, kontynent. Tkwiła w tym niepodważalna symetria - pożyczki, rafa, zainteresowanie podtopionymi gruntami. Już wcześniej przejrzałam część planów Brismanda; jedyną niewiadomą w równaniu była zdrada Flynna.

Moja wylewna matka natychmiast opowiedziałaby o wszystkim pierwszej napotkanej osobie, ale ja byłam bardziej podobna do Grosjeana. Mamy więcej wspólnych cech, niż przypuszczałam; obydwójce zachowujemy nasze urazy w tajemnicy. Patrzymy na siebie od wewnątrz. Nasze serca są kolczaste i pokryte zwartymi łuskami, jak karczochy. Obiecałam sobie, że zachowam dyskrecję. Najpierw dowiem się prawdy. Przeanalizuję ją spokojnie. Postawię diagnozę.

Musiałam jednak z kimś porozmawiać. Ale nie z Capucine, do której w zwyczajnej sprawie udałabym się od razu. Była zbyt ufna, zbyt spokojna. Podejrzliwość nie leżała w jej naturze. Ponadto przepadała za Rougetem i nie chciałam jej niepokoić bez potrzeby - przynajmniej dopóki nie zbadam głębi jego zdrady. Oszukał nas, owszem. Jego motywy jednak nadal pozostawały niejasne. Mógł jeszcze jakimś cudem okazać się niewinny. Pragnęłam, oczywiście, by tak się stało. Ale prawdomówna częśćka mnie, ta, którą odziedziczyłam po Grosjeanie, nieubłaganie się temu sprzeciwiała. Później, nakazałam sobie. Później przyjdzie na to czas.

Toinette? Wiek obdarzył ją szczególnym dystansem do rzeczywistości; obserwowała rywalizację salanian z leniwą obojętnością, bo już od dawna nic jej nie bawiło. Niewykluczone, że odgadła, kim naprawdę jest Rouget, lecz ukrycie tego przyniosło jej - z niezgłębionych przyczyn - wewnętrzną satysfakcję.

Aristide? Matthias? Głowy rybackich rodzin. Gdybym pisnęła choć słowo któremukolwiek z nich, całe Les Salants poznałoby prawdę jeszcze przed wschodem słońca. Trudno było sobie wyobrazić reakcję. Omer? Angelo? Wykluczone. Niemniej musiałam się komuś zwierzyć. Choćby po to, by sprawdzić, czy nie popadam w obłąd.

Przez otwarte okno dobiegały nocne odgłosy z wydm. Od La Goulue napłynął zapach soli, stygnącej ziemi, miliona drobnych istot ożywających pod gwiazdami. Grosjean zapewne siedział teraz w kuchni z filiżanką kawy, wpatrzony jak zawsze w okno, w cichym wyczekiwaniu...

Oczywiście. Powiem o tym mojemu ojcu. Przecież nikt tak jak on nie potrafi dochować sekretu.

Podniósł głowę, gdy weszłam. Twarz miał obrzmiałą i napiętą; oklapł na kuchennym krzeselku jak figura ulepiona z ciasta. Wezbrała we mnie nagła fala miłości i współczucia dla biednego, milczącego Grosjeana o smutnych oczach. Tym razem to dobrze, pomyślałam sobie. Tym razem nie musiał nic mówić, tylko słuchać.

Pocałowałam go, zanim usiadłam naprzeciw niego przy stole. Dawno tego nie robiłam i przez jego twarz przemknął cień zaskoczenia. Uświadomiłam sobie, że od przyjazdu mojej siostry prawie nie odzywałam się do ojca. Bądź co bądź, on również się do mnie nie odzywał.

- Przepraszam, papo - powiedziałam. - Przecież ty w niczym nie zawiniłeś.

Nalałam nam kawy - odruchowo wsypałam mu cukier do filiżanki, tak jak lubił - i odchyliłam się na oparcie krzesła. Zapewne trzymał okno otwarte, gdyż pod lampą kłębiły się ćmy, przesłaniając światło. Czułam zapach morza i wiedziałam, że nadchodzi przyływ.

Nie jestem pewna, ile wypowiedziałam głośno. W okresie pracy w warsztacie zdarzało się nam rozmawiać bez słów, dzięki swoistej empatii - tak mi się wydawało. Ruch głowy, uśmiech, brak uśmiechu. Wszystko to może być bardzo wymowne dla kogoś, kto potrafi zrozumieć znaki. W dzieciństwie uważałam jego milczenie za zjawisko mistyczne, niemal boskie. Czytałam z pozostawionych przez niego śladów jak wróżbici z wnętrzości zwierząt. Ustawienie filiżanki lub ułożenie serwetki mogło oznaczać zadowolenie lub niełaszkę; porzucona skórka chleba mogła odmienić bieg dnia.

To już należało do przeszłości. Kiedyś go kochałam; kiedyś go nienawidziłam. Nigdy go tak naprawdę nie widziałam. Teraz zobaczyłam przy stole smutnego, milczącego, starego człowieka. Jak ta miłość nas ogłupia. Jacy stajemy się przez nią brutalni.

Popełniłam błąd, myśląc, że muszę na wszystko zapracować. Zasłużyć. Naturalnie, odezwała się we mnie wyspa; przekonanie, że wszystko kosztuje, za wszystko trzeba zapłacić. Ale zasługi nie mają z tym nic wspólnego. Inaczej kochalibyśmy tylko świętych. Wielokrotnie

popępniałam ten błąd. Z Grosjeanem. Z moją matką. Z Flynnem. Może nawet z Adrienne. Przed wszystkim zaszkoziłam sobie, starając się tak usilnie zasłużyć na miłość, na własne miejsce, na garstkę ziemi, że przeoczyłam to, co najważniejsze.

Przykryłam ręką jego dłoń. Była gładka i wytarta jak kawałek drewna wyrzuconego przez morze.

Miłość mojej matki wyrażała się żywiółowo: moja była zawsze posępna i skryta. Odzywała się we mnie wyspa, krew Grosjeana. Zamykaliśmy się w sobie jak małże. Otwartość nas przerażała. Pomyślałam o ojcu wpatrującym się w morze z grzbietu urwiska. Tak długo czekał, by Sainte-Marine wywiązała się z obietnicy. Grosjean nigdy do końca nie uwierzył, że P'titjean odszedł na zawsze. Ciało wyłowione wraz z „Eleanore” z La Goulue, wygładzone i pozbawione rysów niczym obdarta ze skóry foka, mogło być kimkolwiek. Śluby milczenia - czy zawarł taki pakt z morzem, zaofiarował swój głos w zamian za powrót brata? Czy raczej popadł w nawyk, pielęgnował w sobie dziwactwo, dopóki mówienie nie zaczęło mu sprawiać poważnych trudności, a w chwilach napięcia graniczyć z niemożliwością?

Oczy Grosjeana wwierciły się w moje. Bezgłóśnie poruszył wargami.

- Co? Co mówisz?

Wydało mi się, że słyszę chrapliwy szept, zaledwie jedno słowo. P'titjean. Jego pełne ekspresji dłonie zacisnęły się w pięści, rozdrażnione oporem języka.

- P'titjean?

Aż poczerwieniał z wysiłku, lecz nie zdołał wydobyć głosu. Poruszał tylko ustami. Wskazał ściany i okno. Jego ręce zafalowały zwinnie, imitując wzbierający przypyływ. Odegrał niezwykle wyrazistą pantomimę: zgarbił się, wetknął ręce w kieszenie. Brismand. Potem z naciskiem wykonał dwa gesty w powietrzu, jeden wyżej, drugi niżej. Duży Brismand, mały Brismand. I zamaszysty ruch w stronę La Goulue.

Otoczyłam go ramionami.

- Wszystko dobrze. Nie musisz nic mówić. Wszystko dobrze.

Sprawał wrażenie drewnianej rzeźby, bezlitosnej karykatury samego siebie, wykonanej przez niedbałego rzemieślnika. Czułam rozpaczliwe, niezrozumiałe ruchy jego warg i oddech przesycony wonią gitane'ow i kawy. Nawet w moich objęciach jego dłonie trzepotały po bokach, dziwnie delikatnie, podejmując próbę przekazania czegoś bardzo ważnego.

- Wszystko dobrze - powtórzyłam. - Nie musisz nic mówić. To nie ma znaczenia.

Ponownie odegrał pantomimę: Brismand. P'titjean. Ponownie wskazał La Goulue. Łódź? „Eleanore”? Jego oczy miały błagalny wyraz. Pociągnął mnie za rękaw i z uporem powtórzył gest. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak poruszonego. Brismand. P'titjean. La Goulue. „Eleanore”.

- Napisz to na kartce, jeśli ci aż tak zależy - poprosiłam wreszcie. - Znajdę ołówek.

Zaczęłam grzebać w kuchennej szufladzie i w końcu wyszukałam ogryzek czerwonej kredki i skrawek papieru. Ojciec spojrział, lecz nie sięgnął po nie. Przesunęłam je po stole w jego stronę.

Grosjean pokręcił głową.

- No, proszę cię. Napisz.

Popatrzył na kartkę. W jego grubych palcach kredka wydawała się groteskowo mała. Zaczął pisać niezdarne, z wysiłkiem, bez śladu zręczności, z jaką niegdyś zszywał żagle i strugał zabawki. Zanim jeszcze spojrzałam, wiedziałam, co napisał. Nie pamiętałam, by kiedykolwiek pisał coś innego. Własne imię i nazwisko, Jean-Francois Prasteau, dużymi, niepewnymi literami. Zapomniałam nawet, że jego pełne imię brzmi Jean-Francois. I dla mnie, i dla wszystkich zawsze był Grosjeanem. Nigdy nic nie czytał, wołał przeglądać rybackie czasopisma z kolorowymi zdjęciami; nigdy nie pisał - przypomniały mi się moje listy z Paryża, na które nie dostałam odpowiedzi. Zawsze sądziłam, że mój ojciec nie lubi pisać. Teraz zrozumiałam, że nie umie.

Zastanawiałam się, jakie jeszcze tajemnice zdołał przede mną ukryć. I czy moja matka wiedziała. Siedział nieruchomo, zwiesiwszy ramiona, jak gdyby wysiłek związany z napisaniem własnego nazwiska pozbawił go resztek energii. Zdałam sobie sprawę, że próba porozumienia dobiegła końca. Porażka - a może obojętność - wygładziła jego rysy tak, iż stały się pogodne niczym u posągów Buddy. Ponownie spojrział w kierunku La Goulue.

- Wszystko dobrze - powtórzyłam raz jeszcze i ucałowałam jego chłodne czoło. - To nie twoja wina.

Na zewnątrz zaczął padać długo wyczekiwany deszcz. W jednej chwili wydmy za domem wypełnił szept tysięcy kropeł, płynących ku La Bouche rowkami wyżłobionymi w piasku. Korony ostów rosnących na piasku zalśniły od deszczu. Daleko na horyzoncie pojawił się samotny czarny żagiel nocy.

W letnie noce nigdy nie bywa zupełnie ciemno i niebo zaczynało już jaśnieć, gdy wolnym krokiem maszerowałam w stronę La Goulue. Przeszłam ostrożnie przez wydmy, czując puszyste kitki traw, ocierające się o moje gołe kostki, a potem wdrapałam się na dach blokhauzu, by obserwować wzbierający przypływ. Na Bouch'ou mrugały dwa światełka, zielone i czerwone, oznaczając położenie rafy.

Wydawała się tak dobrze zakotwiczona. Bezpieczna, podobnie jak całe Les Salants. A mimo to sytuacja uległa zmianie. Rafa już nie należała do nas. Tak naprawdę nigdy do nas nie należała. Nasze marzenie opierało się na pieniądzach Brismanda, machinacjach Brismanda, kłamstwach Brismanda.

Dlaczego to zrobili?

Żeby zawładnąć Les Salants. Napomknął o tym sam Brismand. Ziemia wciąż jest tutaj tania; odpowiednio wykorzystana, może przynieść zysk. Jedynie mieszkańcy sprawiają kłopot, trwając uparcie przy swoich działkach, których nie potrafią spożytkować ani docenić; tkwią w miejscu, wykazując nie więcej rozumu i ambicji niż łowione przez nich skorupiaki.

Cenione przez smakoszy okładniczki, które potrafią zakopać się do głębokości trzech metrów w mokrym piasku, można bez trudu wyłowić, gdy zmienia się fala pływowa, a one wystawiają nosy, wietrząc zapach otwartego morza. Brismandowie ze swoimi pieniędzmi odmienili jedynie kierunek fal i czekali, aż wychyniemy z kryjówki. Niczym homary w wiwarium Guenole i Bastonnetów obrastaliśmy tłuszczem i nabieraliśmy nadziei, zupełnie się nie domyślając, dlaczego nas oszczędzono.

Na Le Devin dług to świętość. Zwrócenie go jest kwestią honoru. Niespłacenie - rzeczą nie do pomyślenia. Plaża pochłoneła nasze oszczędności, rulony monet ukryte pod podłogą i pudełka z banknotami odłożonymi na czarną godzinę. Ośmieleni sukcesem, zapożyczyliśmy się pod zastaw naszych nadziei. Uwierzyliśmy w szczęśliwą passę. Był to w końcu pomyślny rok.

Znowu pomyślałam o „metalowym prosiaku” w warsztacie szkutniczym we Fromentine i przypomniałam sobie pytanie Capucine: dlaczego Brismand miałby być zainteresowany kupnem zalanych gruntów? Może to nie budowlane działki go interesują, przyszło mi nagle do głowy. Może od samego początku zależało mu na gruntach zalanych wodą.

Zatopione ziemie. Ale dlaczego chciał je mieć? Na co mogły mu się przydać?

I nagle zrozumiałam. Przystań dla promu.

Gdyby Les Salants zniknęło pod wodą - a jeszcze lepiej, gdyby morze oddzieliło je

całkowicie od La Houssiniere prom mógłby wpływać w poszerzony przesmyk i dobijać do przystani. Należało wyburzyć domy i zatopić cały obszar wioski. Pomieściłyby się tam wówczas co najmniej dwa promy. Brismand, gdyby zechciał, obsługiwałby wszystkie wyspy u wybrzeży kontynentu, zapewniając stały napływ turystów na Le Devin. Wahadłowe rejsy nie pozwoliłyby się zmarnować faworyzowanym terenom La Houssiniere.

Popatrzyłam na Bouch'ou, na światełka mrugające spokojnie nad wodą. To własność Brismanda, pomyślałam sobie. Dwanaście elementów konstrukcyjnych, złożonych ze zużytych opon samochodowych i stalowych lin, zakotwiczonych w betonie na dnie morza. Swego czasu rafa wydawała mi się czymś trwałym; teraz przerażała mnie jej kruchość. Jak to możliwe, że pokładaliśmy w niej tak wielkie zaufanie? Oczywiście wierzyliśmy wtedy, że Flynn jest po naszej stronie. Wydawało się nam, że tacy jesteśmy przebiegli. Sprzątnęliśmy Brismandowi sprzed nosa kawałek Les Immortelles. On tymczasem umacniał swoją pozycję, obserwował nas, wabił, zdobywał nasze zaufanie, podnosił stawkę przed końcowym posunięciem...

Poczułam się nagle bardzo zmęczona. Rozboliła mnie głowa. Z okolic La Goulue dobiegł dźwięk - monotonny świst wiatru wśród skał, słyszalna zmiana w powietrzu - pojedynczy, wibrujący dźwięk, niemal jak głos zatopionego dzwonu. A potem, między uderzeniami fal, niesamowita cisza.

Jak wszystkie natchnione pomysły, plan Brismanda okazał się genialny w swej prostocie. Teraz pojęłam, w jaki sposób można było nas złamać, wykorzystując do tego naszą dobrą passę. Jak nami manipulowano, podsycano wiarę w naszą niezależność, podczas gdy krok po kroku wchodziliśmy w pułapkę. Czy to właśnie usiłował mi przekazać GrosJean? Czy taką tajemnicę skrywały jego zasmucone oczy?

Z zachodu napłynęło ciepłe powietrze, pachnące solą i kwiatami. Poniżej światło przedświtu rozjaśniało greve, a ciemnoszary pas wody odcinał się od mrocznego nieba. „Eleanore II” wyszła już w morze, a za nią w dużym oddaleniu płynęła „Cecilia”. Z tej odległości wydawały się nieruchome, przytłoczone kłębiastymi chmurami.

Przypomniała mi się inna, dawna noc, ta, podczas której ustawialiśmy rafę. Nasz plan wydawał się wówczas niewiarygodnie ambitny, budził nabożny podziw swoim rozmachem. Wykraść plażę. Zmienić linię brzegu, jakbyśmy byli bogami. Ale plan Brismanda - kryjąca się za nim myśl usunął w cień nasze drobne ambicje.

Wykraść całe Les Salants.

Teraz pozostało mu tylko przesunąć ostatni pionek, by wszystko stało się jego własnością.

57

- Domyślam się, co tu robisz o tak wczesnej porze - oznajmiła Toinette.

Przechodziłam obok jej domu w drodze powrotnej do wioski. Wraz z przyływem mgła uniosła się znad morza i zasnuła słońce, co mogło zwiastować deszcz. Toinette miała na sobie ciepłą pelerynę, na dłoniach rękawiczki, i karmiła kozę obierkami z warzyw. Kozka polizała bezczelnie rękaw mojej vareuse. Odepchnęłam ją z lekkim rozdrażnieniem.

Toinette zachichotała.

- Udar słoneczny, moja mała, nic więcej mu teraz nie dolega. Ha, to może być nieprzyjemne przy jego rozcieńczonej północnej krwi, ale go nie uśmierci, o nie. - Uśmiechnęła się do mnie. - Za dzień lub dwa będzie jak nowy. Teraz jesteś spokojniejsza? Czy o to chciałaś zapytać?

Nie od razu zrozumiałam, o co jej chodzi. Prawdę mówiąc, byłam tak pogrążona w myślach, że zepchnęłam chorobę Flynnna - gdy już wiedziałam, że nic mu nie grozi gdzieś w zakamarki umysłu, czując coś w rodzaju tępego bólu. To nagłe przypomnienie kompletnie mnie zaskoczyło i poczułam, że płoną mi policzki.

- Tak naprawdę chciałam się dowiedzieć, co słychać u Mercedes.

- Gonię ją do roboty - wyznała staruszka, oglądając się przez ramię. - Pracuje na okrągło. No i bez przerwy ktoś się tu wałęsa; młody Damien Guenole zakrada się późną nocą, Xavier Bastonnet nie chce nas zostawić w spokoju, a jej matka co i rusz przychodzi i wydziera się jak opętana. Przysięgam, że jeśli ta kobieta jeszcze raz się tu zjawi... Ale co z tobą? - Przeszyła mnie byстрыm spojrzeniem. - Nie wyglądasz najlepiej. Chyba nie bierze cię jakieś choróbko, co?

Zaprzeciłam ruchem głowy.

- Niewiele spałam tej nocy.

- Przyznam, że ja także. Ale podobno rudzi to szczęściarze. Nic się nie martw. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jeszcze dziś wrócił do domu.

- Hej! Mado!

Wołanie dobiegło zza moich pleców; odwróciłam się, wdzięczna za ten przerywnik. To Gabi i Letycja wracały z zakupami. Letycja pomachała do mnie zamasyście z grzbietu wydmy.

- Widziałaś duży statek? - zaświergotała.

Pokręciłam głową. Letycja nieokreślonym gestem wskazała La Jete.

- Jest super! Idź i zobacz! - Ruszyła w podskokach ku plaży, ciągnąc za sobą Gabi.

- Pozdrów ode mnie Mercedes - poprosiłam Toinette. Powiedz, że o niej myślę.

- Ha. - Toinette miała podejrzliwą minę. - Może przejdę się z tobą kawałek. Duży statek, ha?

- Dobrze.

Z wioski zobaczyliśmy go wyraźnie: podłużny, ciemny kształt, przesłonięty białą mgłą za Pointę Griznoz. Za mały jak na tankowiec, różniący się budową od promu pasażerskiego, mógł być jakimś statkiem-przetwornią - tyle że znaleźliśmy wszystkie przepływające tędy jednostki i nie była to żadna z nich.

- Może ma kłopoty? - Toinette spojrzała na mnie. - Albo czeka na przyływ?

Zapytałam o zdanie Aristide'a i Xaviera, którzy oczyszczali sieci nad przesmykiem.

- Ma chyba coś wspólnego z tymi meduzami - wysunął przypuszczenie Aristide, wyciągając z więcierza dorodnego kraba dormeur. - Stał tam już, jak wypływaliśmy. Zaraz za Nid' Poule, duża rzecz, ha, z maszynami i różnymi takimi. Jojo-le-Goeland powiada, że to rządowy statek.

Xavier wzruszył ramionami.

- To by była lekka przesada. W końcu chodzi tylko o parę meduz, co jeszcze nie oznacza końca świata.

Aristide rzucił mu ponure spojrzenie.

- Parę meduz, ha? Nic nie rozumiesz. Ostatnim razem, kiedy to się zdarzyło... - Ugryzł się w język i wrócił do swojej sieci.

Xavier zaśmiał się nerwowo.

- Przynajmniej Rouget wyjdzie z tego - powiedział. Jojo mi mówił dziś rano. Posłałem mu butelkę devinnoise.

- Uprzedzałem cię, żebyś nie wdawał się w pogaduszki z Jojo-le-Goelandem.

- Nie wdawałem się.

- Lepiej byś zrobił, pilnując własnych spraw. Gdybyś był mądrzejszy, miałbyś większą szansę u Prossage'owny.

Xavier, rumieniąc się, odwrócił wzrok. Toinette wzniosła oczy ku niebu.

- Zostaw go w spokoju, Aristide - wtrąciła ostrzegawczym tonem.

- No cóż - burknął Aristide - myślałem, że chłopak mojego syna ma więcej oleju w głowie.

Xavier nie zwracał na nich uwagi.

- Rozmawiałaś z nią, prawda? - spytał cicho, gdy zbierałam się do odejścia. Skinęłam głową. - Jak wyglądała?

- A co cię to obchodzi, ha? - zbeształ go Aristide. - Wyszedłeś przez nią na kompletnego idiotę, bez dwóch zdań. Co się zaś tyczy jej babki...

Zirytowana Toinette pokazała mu język, tak nieoczekiwanie, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Xavier zignorował obydwój. Niepokój zagłuszył jego nieśmiałość.

- Dobrze się czuje? Spotka się ze mną? Toinette nic nie chce powiedzieć.

- Jest zagubiona - odparłam. - Na razie nie wie, co ma robić. Daj jej trochę czasu.

- Jeszcze czego! - prychnął Aristide. - Miała swoją szansę. Są na świecie lepsze dziewczyny. Przyzwoite dziewczyny.

Xavier milczał, lecz dostrzegłam wyraz jego twarzy. Toinette nastroszyła się.

- Moja Mercedes nie jest przyzwoita?

Pośpiesznie otoczyłam ją ramieniem.

- Chodźmy. To nie ma sensu.

- Niech on najpierw odwoła, co powiedział!

- Proszę, Toinette. Chodź. - Zerknęłam na statek, sprawiający dziwnie złowieszcze wrażenie na tle bladego horyzontu. - Kto to może być? - mruknęłam prawie niesłyszalnie. -

I co tu robi?

Tego ranka wszyscy w wiosce wydawali się jacyś niespokojni. W sklepie Prossage'ow nie zastałam nikogo za ladą, a z pomieszczenia na zapleczu dobiegały podniesione głosy. Wzięłam chleb i zostawiłam pieniądze obok kasy. Omer i Charlotte nadal sprzeczały się za moimi plecami; w nieruchomym powietrzu ich głosy nabierały niesamowitego brzmienia. Matka Ghislaina i Damiena, z głową obwiązaną szmatką, oskrobywała więcierze przy wiwarium. Bar Angela świecił pustkami, jeśli nie liczyć Matthiasa, siedzącego samotnie nad cafe-devinnoise. Turystów prawie nie było, może z powodu mgły. Ciężkie powietrze pachniało dymem i nadciągającym deszczem. Nikt nie miał ochoty rozmawiać.

W drodze powrotnej natknęłam się na Alaina z gitane'em w zębach. Podobnie jak jego

żona, wyglądał blado i mizernie. Pozdrowiłam go skinieniem.

- Nie płyniesz dziś na połów?

Pokręcił głową.

- Szukam mojego syna - poinformował mnie. - A gdy go znajdę, przysięgam, że pożałuje.

Wedle wszelkich oznak, Damien nie wrócił do domu na noc. Gniew i troska wyźłobiły głębokie bruzdy między brwiami i wokół ust Alaina.

- Nie mógł się zbyt oddalić - powiedziałam. - Jak daleko da się zejść na wyspie?

- Dostatecznie daleko - odparł pośpiesznie Alain. - Zabrał „Eleanore II”.

Zostawili łódź zacumowaną w La Goulue. Alain zamierzał popłynąć rano z Ghislainem na La Jete i sprawdzić, czy są tam meduzy.

- Pomyślałem, że może chłopak będzie chciał się z nami zabrać - wyjaśnił z goryczą. - Że to go oderwie od innych spraw.

Gdy jednak przybyli na plażę, okazało się, że „Eleanore II” zniknęła bez śladu. Niewielki platt, z którego korzystali podczas przyływów, był przycumowany obok boi.

- Co on sobie wyobraża? - zrywał się Alain. - Ta łódź jest za duża, żeby ją prowadzić samemu. Rozbije się. I dokąd się, u diabła, wybrał w taką pogodę?

Doszłam do wniosku, że o świcie musiałam widzieć „Eleanore II” ze swego punktu obserwacyjnego na zewnątrz blokhauzu. Która to była godzina? Trzecia? Czwarta? „Cecilia” również znajdowała się w zatoce, aczkolwiek tylko w celu sprawdzenia więcierzy na homary; już wtedy mgła zaczynała gęstnieć, a Bastonnetowie mają dość rozumu, żeby w takich warunkach nie ryzykować utknięcia na mieliźnie.

Alain pobladł, gdy mu o tym powiedziałam.

- Co ten chłopak wyprawia, ha? - jęknął. - O, jak go znajdę... Chyba nie przypuszczasz, że zrobił coś naprawdę głupiego? Nie próbuje popłynąć na kontynent?

Z pewnością nie. Kurs z Fromentine zajmuje „Brismandowi I” prawie trzy godziny, a po drodze jest kilka niebezpiecznych miejsc.

- Nie wiem. Czemu miałby próbować?

Alain zrobił zakłopotaną minę.

- Powiedziałem mu kilka słów prawdy. Wiesz, jacy są chłopcy. - Przez chwilę wpatrywał się w swoje knykie. Może trochę za daleko się posunąłem. Zabrał część swoich rzeczy.

- O. - To brzmiało nieco poważniej.

- Skąd miałem wiedzieć, że tak głupio postąpi? - wybuchnął Alain. - Daję słowo, jak tylko go dostanę w swoje ręce... - Umilkł; wydawał się zmęczony i postarzały. - Jeśli coś mu się stało, Mado, jeśli coś się stało Damienowi... Gdybyś go spotkała, daj mi znać, dobrze? - Spojrzał na mnie przenikliwie pełnymi troski oczyma. - On ci ufa. Powiedz mu, że nie będę się złościł. Chcę tylko, żeby wrócił bezpiecznie.

- Powiem - obiecałam. - Na pewno jest gdzieś niedaleko.

58

południe mgła nieco się podniosła. Niebo nabrało jasnoszarego odcienia, zerwał się wiatr, a fala pływowa znowu się odwróciła. Szłam wolno w stronę La Goulue, bardziej zaniepokojona, niżby na to wskazywało optymistyczne pożegnanie z Alainem. Od dnia, w którym pojawiły się meduzy, wszystko balansowało na granicy rozpadu; nawet pogoda i pływy sprzysięły się przeciw nam. Zupełnie jakby Flynn był Szczurołapem z Hameln i zabrał ze sobą, odchodząc, całe nasze szczęście.

Plaża w La Goulue niemal całkowicie opustoszała. W pierwszej chwili byłam zaskoczona, ale przypominałam sobie ostrzeżenia przed meduzami i zaraz potem zauważyłam nad wodą białą falbanę, znacznie grubszą niż morska piana. Wcześniej usunięto sieci i przyptyw wyrzucił dziesiątki stworzeń o przezroczystych ciałach, które nabierały mlecznego zabarwienia, gdy zdychały na brzegu. Plażę koniecznie należało oczyścić. Zważywszy grożące niebezpieczeństwo, jak najszybciej.

Tuż nad linią przyptywu dostrzegłam jakąś postać, odwróconą do mnie plecami; stała niemal w tym samym miejscu, co wcześniej Damien. Mógł to być każdy: splotowała vareuse, twarz osłonięta szerokim rondem słomkowego kapelusza. Niewątpliwie ktoś z wyspy. Ale ja od razu wiedziałam, kto to jest.

- Cześć, Jean-Claude. A może powinniśmy cię teraz nazywać Brismandem Drugim?

Musiał usłyszeć moje kroki, bo nie okazał zaskoczenia.

- Mado. Marin już mi powiedział, że wiesz. - Podniósł kawałek drewna i dźgnął nim jedną ze zdychających meduz. Miał bandaż na ramieniu. - Nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. Nikt nie zostanie na lodzie. Uwierz mi, że mieszkańcy Les Salants tylko na tym zyskają. Naprawdę myślałaś, że dopuszczę do jakiejś okropności?

- Nie wiem, co zamierzasz - odparłam przygnębiona. Nie wiem nawet, jak mam się teraz

do ciebie zwracać.

Odniosłam wrażenie, że go to ubodło.

- Mów mi Flynn - powiedział. - Tak się nazywała moja matka. Nic się nie zmieniło, Mado.

Łagodnie brzmienie jego głosu omal nie doprowadziło mnie do łez. Zamknęłam oczy i pozwoliłam się ogarnąć fali zimna. Dobrze, że nie próbował mnie dotknąć.

- Wszystko się zmieniło! - Nie potrafiłam już zapanować nad głosem. - Okłamałeś nas! Okłamałeś mnie!

Jego rysy stwardniały. Wyglądał na chorego, był blady i wymizerowany. Na lewym policzku miał ślady oparzenia słonecznego. Lekko skrzywił usta.

- Mówiłem ci to, co pragnęłaś usłyszeć - odrzekł. - Zrobiłem, co chciałaś. Wtedy byłaś zadowolona.

- Ale nie robiłeś tego dla nas! - Nie mogłam uwierzyć, że on jeszcze próbuje usprawiedliwić swoją zdradę. - Dbalesz tylko o wasze sprawy. I to ci się opłaciło, prawda? Spółka z Brismandem i konto w banku.

Flynn z nieoczekiwaną brutalnością kopnął zdechłą meduzę.

- Nie masz zielonego pojęcia, o co tu chodzi - wyrzucił z siebie. - Skąd miałabyś mieć? Zawsze zależało ci tylko na tym miejscu. Nigdy nie musiałaś się zastanawiać nad tym, że mieszkasz w cudzym domu, nikogo nie obchodzisz, nie masz ani pieniędzy, ani pracy, ani przyszłości. Zapragnąłem czegoś więcej. Gdybym chciał na tym poprzestać, nie ruszałbym się z Kerry. - Kopnął martwą meduzę. - Obrzydlistwo. - Spojrzał na mnie z nagłym wyzwaniem. - Powiedz mi prawdę, Mado. Zadałaś sobie kiedyś pytanie, co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej? Nic cię nigdy nie kusiło?

Zignorowałam pytanie.

- Dlaczego Les Salants? Dlaczego nie przywarowaliście cicho w La Houssiniere?

Skrzywił usta.

- Niełatwo dojść do porozumienia z Brismandem. Lubi wszystko kontrolować. Sama wiesz, że nie powitał mnie z otwartymi ramionami. To wymagało czasu. Planowania. Roboty. Mógł kazać mi pracować latami. To by mu najbardziej odpowiadało.

- W związku z czym my zaopiekowaliśmy się tobą, żebyś mógł go przekonać.

- Zapłaciłem za siebie - oznajmił gniewnie. - Na wszystko zapracowałem. Nic wam nie

jestem dłużny. - Wykonał nagły gest zdrową ręką, płosząc rozwrzeszczane stado mew. - Nie wiesz, jak to jest - powtórzył półgłosem. - Ja połowę życia spędziłem w biedzie. Moja matka...

- Przecież Brismand przysyłał ci pieniądze - przerwałam.

- Owszem, przysyłał. Dla... - Ugryzł się w język. - To nie wystarczało - dodał beznamiętnym tonem. - W najmniejszym stopniu. - Na moją wzgardliwą minę odpowiedział wyzywającym spojrzeniem.

Cisza zawisła nad nami jak chmury.

- No więc - nadałam głosowi beznamiętny ton - kiedy to nastąpi? Kiedy wasi ludzie rozmontują Bouch'ou?

To go zaskoczyło.

- Kto tak powiedział?

Wzruszyłam ramionami.

- Przecież to oczywiste. Wszyscy są zadłużeni u Brismanda. Wszyscy liczą na pokaźne zyski w tym sezonie. Są mu winni masę pieniędzy. Ale gdy zabraknie rafy, będą musieli sprzedać domy po najniższych cenach, żeby spłacić długi. Za rok Brismand wkroczy do akcji. Pozostanie mu tylko poczekać na powrót dawnych przyptyków i rozpocząć budowę nowego portu dla promów. Zgadłam?

- Prawie - przyznał.

- Ty sukinsynu. Czy to był twój pomysł, czy jego?

- Mój. A właściwie twój. - Wzruszył ramionami. - Jeśli można ukraść plażę, to czemu nie wioskę? Czemu nie całą wyspę? Już i tak w połowie należy do Brismanda. Druga połowa znajduje się praktycznie pod jego kontrolą. Zaproponował mi spółkę. Teraz... - Dostrzegł wyraz mojej twarzy i zmarszczył brwi. - Nie patrz tak na mnie, Mado. Nie jest aż tak źle, jak myślisz. Każdy będzie miał wybór.

- Jaki wybór?

Odwrocił się do mnie z błyskiem w oczach.

- Ach, Mado, czy uważasz nas za potworów? Są mu potrzebni robotnicy. Pomyśl, jakie znaczenie dla wyspy miałby taki port. Praca. Pieniądze. Życie. Znajdzie się robota dla wszystkich z Les Salants. Lepsza niż to, co mają teraz.

- Przypuszczam, że nie za darmo. - Obydwoje znaleźmy warunki Brismanda.

- I co z tego? - Wydało mi się, że słyszę w jego głosie obronną nutę. - W czym problem?

Praca dla każdego, dobre zarobki, ruch w interesie. Teraz panuje chaos, każdy ciągnie w swoją stronę. Ziemia się marnuje, bo nikt nie ma pomysłu ani pieniędzy na jej wykorzystanie. Brismand może to zmienić. Wszyscy zdajecie sobie z tego sprawę, ale duma i upór nie pozwalają wam się do tego przyznać.

Zmierzyłam go spojrzeniem. Mówił tak, jakby naprawdę wierzył we własne słowa. Na jedną krótką chwilę prawie mnie przekonał. To brzmiało kusząco: porządek zamiast chaosu. Tania sztuczka, jak przelotny błysk słońca na wodzie, który przyciąga oko zaledwie na moment, lecz to wystarcza, by odwrócić uwagę człowieka od groźnych skał w pobliżu, niekiedy z fatalnym skutkiem.

- A co ze staruszkami? - Wykryłam lukę w jego rozumowaniu. - Co z tymi, którzy nie mogą lub nie chcą brać udziału w waszym przedsięwzięciu?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Zawsze pozostaje „Les Immortelles”.

- Nie zgodzą się. Są salanianami. Wiem, że się nie zgodzą.

- A myślisz, że będą mieli wybór? Tak czy inaczej, wkrótce się przekonamy - dodał łagodniej. - Dziś wieczorem u Angela odbędzie się zebranie.

- Im prędzej, tym lepiej. Póki ci nadmorscy kontrolerzy nie odpłynęli.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

- O, więc widziałaś statek.

- Bez niego byłoby warn trudno usunąć Bouch'ou mruknęłam wzgardliwie. - Jak mi sam kiedyś powiedziałaś, jest to konstrukcja nielegalna. Pozaplanowa. Powoduje szkody. Wystarczy szepnąć słowo właściwej osobie, usiąść wygodnie i poczekać, aż urzędnicy was wyrećczą.

Musiałam przyznać, że było to zręczne posunięcie. Salanianie obawiają się urzędników, władza ich onieśmiela. Tam gdzie zawodzi dynamit, poskutkuje służbowy notatnik.

- Nie planowaliśmy natychmiastowej akcji, ale i tak trzeba byłoby znaleźć jakiś pretekst, żeby ich wezwać - poinformował mnie Flynn. - Meduzy nieźle się do tego nadawały. Szkoda tylko, że padłem ich ofiarą. - Z niesmakiem wskazał zabandażowane ramię.

- Przyjdiesz na to dzisiejsze zebranie? - spytałam, ignorując jego ostatnią uwagę.

Uśmiechnął się lekko.

- Nie sądzę. Chyba wrócę na kontynent i tam zajmę się swoją robotą. Coś mi się zdaje, że nie będę szczególnie lubiany w Les Salants, gdy usłyszą, co Brismand ma im do powiedzenia.

Przez chwilę byłam pewna, że zamierza mnie poprosić, bym z nim wyjechała. Moje serce zatrzepotało jak konająca ryba; ale on już się odwrócił. Poczułam niejasną ulgę; przynajmniej zakończył sprawę czysto, bez dalszego udawania.

Milczenie rozdzieliło nas niczym ocean. Daleko, za płycznami, szemrały fale. Zdumiewało mnie, że tak niewiele czuję; byłam pusta jak suchy patyk, lekka jak piana. Mgliste obłoki przecinały słońce jasnym pasmem. Mrużąc oczy w tym zwodniczym świetle, dostrzegłam - jak mi się zdawało - jakąś łódź, daleko na La Jetee. Pomyślałam o „Eleanore II” i spojrzałam uważniej, lecz nic już nie zobaczyłam.

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się Flynn. Jego głos ściągnął mnie z powrotem na ziemię. - Zawsze znajdzie się dla ciebie praca. Brismand wspominał, że pomoże ci założyć galerię w La Houssiniere albo nawet na kontynencie. Dopilnuję, żeby wyszukał dla ciebie ładny dom. Będzie ci o wiele lepiej niż w Les Salants.

- Co cię to obchodzi? - fuknęłam. - Przecież tobie dobrze się układa.

Spojrzał na mnie i twarz jego zmierzchła.

- Owszem - odparł twardym, mocnym głosem. - Układa mi się świetnie.

59

Spóźniłam się na zebranie. O dziewiątej było już po wszystkim, jeśli nie liczyć wrzawy, która zapewne wybuchła wcześniej. Już z Rue de l’Ocean słyszałam podniesione głosy, tupanie i uderzenia pięścią w stół. Zajrzawszy przez okno, zobaczyłam Brismanda stojącego przy barze z kieliszkiem devinnoise w ręku; miał minę pobłażliwego nauczyciela w klasie pełnej niesfornych uczniów.

Flynn nie było. Nie spodziewałam się, że przyjdzie - jego obecność niewątpliwie przekształciłaby owo i tak bezładne zgromadzenie w rozruchy lub zgoła pogrom - lecz mimo to poczułam dziwne ukłucie w sercu. Otrząsnęłam się, zła na siebie.

Brakowało jeszcze kilku osób: Guenole i Prossage’ow zapewne wciąż szukali Damiana - Xaviera, Grosjeana. Pozostali Salanie zjawili się niemal w komplecie, wraz z żonami i dziećmi. Ludzie tłoczyli się wokół stolików, jeden przy drugim; aby uzyskać więcej miejsca, otwarto i zaklinowano drzwi. Nic dziwnego, że Angelo wydawał się oszołomiony: wpływy z tego wieczoru zapowiadały się rekordowo.

Nadchodził przypływ; ciemnofioletowa, poszarpana burzowa chmura przesłaniała

horyzont. Wiatr zmienił kierunek na południowy, jak to się często zdarza przed sztormem. Powietrze pochłodziło.

Mimo to stałam nadal przy oknie, próbując rozpoznać poszczególne głosy, ociągając się z wejściem. Widziałam Aristide'a i Desiree, trzymających się za ręce; tuż obok zauważyłam Philippe'a Bastonneta z rodziną - była z nimi nawet Letycja i pies Petrole. Choć Aristide nie rozmawiał z Philippe'em, jego postawa wydawała mi się nieco mniej agresywna, jak gdyby coś w nim oklapło, pozbawione życiowej podpory. Odkąd dowiedział się o Mercedes, stracił wiele z dawnej pewności siebie i pod pozorami szorstkości skrywał dezorientację i bezradność.

Nagle usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Odwróciwszy się, zobaczyłam Xaviera Bastonnet i Ghislaina Guenole, zbiegających ramię w ramię ze zbocza wydmy. Ich twarze miały zacięty wyraz. Nie patrząc na mnie, ruszyli natychmiast w stronę etier, wypełnionego teraz morską wodą z wezbranej fali przyływu. Cumowała tam „Cecilia”.

- Chyba nie zamierzacie nigdzie wypływać? - zawołałam za nimi, gdy Xavier zaczął luzować cumy.

Ghislain miał posępną minę.

- Przy La Jetee widziano łódź - odrzekł krótko. - W tej mgle nic nie widać, więc musimy dostać się bliżej.

- Nic nie mów dziadkowi - poprosił Xavier, zmagając się z silnikiem „Cecili”. - Wściekłyby się, gdyby wiedział, że wypływam z Ghislainem w taką noc. Ciągłe powtarza, że to lekkomyślność Guenole zabiła mojego ojca. Ale jeśli Damien tam jest i nie może wrócić...

- A Alain? - zapytałam. - Czy ktoś jeszcze nie powinien popłynąć z wami?

- Poszedł z Matthiasem do La Houssiniere - wruszył ramionami Ghislain. - Pozostało niewiele czasu. Musimy doprowadzić tam „Cecilię”, zanim wiatr przybierze na sile.

Kiwnęłam głową.

- No to powodzenia. Uważajcie na siebie.

Xavier posłał mi nieśmiały uśmiech.

- Alain z Matthiasem są już w La Houssiniere. Trzeba ich zawiadomić. Powiedz im, że damy sobie radę.

Silnik zawarczał i ożył. Ghislain trzymał bom „Cecili”, Xavier zaś wyprowadził łódź spomiędzy podstemplowanych drewnem brzegów kanału do zatoki, a potem na otwarte morze.

Aristide nadal siedział u Angela, wołałam więc nie tłumaczyć zniknięcia Xaviera i „Cecylii” i postanowiłam sama zawiadomić Alaina.

Zanim dotarłam do La Houssiniere, zrobiło się niemal zupełnie ciemno. I było zimno; porywisty wiatr, który czułam już w Les Salants, wprawiał w wibrację druty i łopotał flagami na wysuniętym na południe krańcu wyspy. Na niebie kłębiły się ciemnofioletowe chmury, przesłaniające bladą smugę nad plażą; grzbiety fal jeżyły się białym grzebieniami, a ptaki przysiadły wyczekująco. Jojo-le-Goeland schodził z promenady, niosąc tabliczkę z informacją, iż w związku z ostrzeżeniami meteorologów wieczorny kurs „Brismanda I” do Fromentine zostaje odwołany. Za Jojo kroczyła para turystów o ponurych minach; dźwigali walizki i głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

Nie dostrzegłam na promenadzie ani Matthiasa, ani Alaina. Stałam przy wale nadmorskim i zmrużyłam oczy, przyglądając się Les Immortelles. Drżałam z zimna i żałowałam, że nie wzięłam płaszcza. Z kawiarni za moimi plecami dobiegł nagle wzmożony gwar, jakby ktoś otworzył drzwi.

- Przecież to Mado, ma soeuń Przyszła złożyć nam wizytę.

- Mała Mado, ha, wygląda na zmarzniętą. Bardzobardzo zziębła, doprawdy.

Wiekowe zakonnice, siostra Extase z siostrą Therese, wychynęły z „Chat Noir”, trzymając w dłoniach filiżanki z czymś, co przypominało cafe-devinnoise.

- Może byś weszła do środka, ha, Mado? Napić się czegoś gorącego.

Pokręciłam głową.

- Dziękuję. Nie trzeba.

- Znowu ten zły południowy wiatr - zauważyła siostra Therese. - Brismand powiada, że to ten wiatr przywiał meduzy. Stają się istnym utrapieniem...

- ...co trzydzieści lat, ma soeur, kiedy nadchodzą fale od golfsztromu. Paskudztwa.

- Pamiętam tamten rok - podjęła siostra Therese. - On czekał i czekał w „Les Immortelles”, patrząc na fale...

- ...lecz ona nie wróciła, prawda, ma soeur? - Obie pokręciły głowami. - Nie, nigdy już nie wróciła. Nigdyprzenigdy.

- O kim siostry mówią? - spytałam.

- Ależ o tamtej dziewczynie, oczywiście. - Spojrzały na mnie równocześnie. - Kochał się

w niej. Obydwaj się w niej kochali, ci bracia.

Bracia? Skonsternowana, wpatrywałam się w zakonnice.

- Mają siostry na myśli mojego ojca i P'titjeana?

- Lato Czarnego Roku. - Siostry pokiwały głowami, uśmiechając się promiennie. -

Doskonale je pamiętamy. Byłyśmy wtedy młode...

- ...a w każdym razie młodsze.

- Powiedziała, że wyjeżdża. Dała nam list.

- Kto? - zapytałam, zdezorientowana.

Siostry utkwiły we mnie czarne oczy.

- No przecież dziewczyna, rzecz jasna - odparła siostra Extase z pewnym zniecierpliwieniem. - Eleanore.

To imię tak mnie zaskoczyło, że w pierwszej chwili prawie nie usłyszałam bicia dzwonu; jego uderzenia dźwięczały głucho nad zatoką, odbijając się od powierzchni wody niczym kamień. Kilka osób wyległo z „Chat Noir”, by zobaczyć, co się dzieje. Ktoś mnie potracił, wylewając drinka. Gdy chwilowe zamieszanie ucichło, podniosłam głowę. Siostra Extase z siostrą Therese znikły bez śladu.

- Co pere Alban kombinuje, że o tej porze dzwoni w kościele? - mruknął leniwie Joel, nie wyjmując papierosa z ust. - Przecież dzisiaj nie ma mszy.

- Ano nie - zgodził się Rene Loyon.

- Może wybuchł pożar - zasugerował Lucas Pinoz, kuzyn mera.

Ludzie uznali, że pożar jest najbardziej prawdopodobny; na małej wyspie, takiej jak Le Devin, organizacja pomocy w nagłych wypadkach właściwie nie istnieje i dzwon kościelny bywa często najszybszym sposobem wezwania pomocy. Ktoś wrzasnął: „Pożar!”, i zapanowało lekkie zamieszanie, gdy kawiarniani goście zaczęli się przepychać przy wejściu; Lucas zwrócił jednak uwagę na fakt, iż na niebie nie widać czerwonej łuny i znikąd nie dochodzi zapach spalenizny.

- Ha, uderzyliśmy w dzwon w pięćdziesiątym piątym, kiedy w stary kościół trafił piorun - oznajmił sędziwy Michel Dieudonne.

- Widzę coś za Les Immortelles - zawiadomił Rene Loyon, który wspiął się na grzbiet wału. - Coś tam jest na skałach.

Była to łódź. Teraz, gdy już wiedzieliśmy, gdzie patrzeć, łatwo ją było dostrzec - tkwiła o sto metrów od brzegu, na tych samych spiętrzonych skałach, które w ubiegłym roku

przypieczętowały los „Eleanore”. Wstrzymałam oddech. Bez widocznego zagła i z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy to któraś z naszych salaniańskich łodzi.

- To holk - orzekł autorytatywnie Joel. - Pewnie tkwi tam od wielu godzin. Nie ma co panikować. - Zgniółł butem niedopałek papierosa.

Jojo-le-Goeland nie był przekonany.

- Warto by tam poświęcić - zaproponował. - Może da się coś uratować. Przyprawdzą ciągnik.

Ludzie gromadzili się już pod nadmorskim wałem. Kościelny dzwon umilkł, wysławszy ostrzeżenie. Traktor Jojo sunął, kołysząc się, ku skrajowi nierównej plaży; potężny reflektor rozświetlał wodę.

- Widzę ją - odezwał się Rene. - Jest cała, ale to już niedługo potrwa.

Michel Dieudonne kiwnął głową.

- Fala jest za wysoka, żeby tam teraz dotrzeć, nawet na „Marie Joseph”. A jeszcze przy szkwale... - Rozłożył ręce. Do kogokolwiek należy, już po niej.

- O Boże! - Ten okrzyk wydała Paule Lacroix, matka Joela, stojąca powyżej nas na promenadzie. - Ktoś wypadł za burtę!

Twarze zebranych zwróciły się w jej stronę. Reflektor traktora świecił zbyt jasno; widać było jedynie ciemny kadłub rozbitej łodzi.

- Zgaście światło! - krzyknął mer Pinoz, który pojawił się właśnie w towarzystwie pere Albana.

Nasze oczy musiały się przyzwyczaić do ciemności. Morze wydawało się teraz czarne, łódź nabrała barwy indygo. Wyteżaliśmy wzrok, próbując wypatrzeć bielejącą plamkę wśród fal.

- Widzę ramię! W wodzie jest jakiś człowiek!

Gdzieś po mojej lewej stronie rozległ się krzyk. Rozpoznałam głos. Odwróciwszy się, zobaczyłam matkę Damiena; gruba chustka osłaniała jej zrozpaczoną twarz. Alain stał z lornetką na wale, choć wątpiał, czy przy tym południowym wietrze i wzbierającej fali widzi coś więcej niż my. Matthias tkwił u jego boku, wpatrując się bezradnie w wodę.

Matka Damiena podbiegła do mnie; poły jej płaszczka łopotąły na wietrze.

- To „Eleanore II”! - Chwyciła mnie kurczowo, bez tchu. - Na pewno! Damien!

Próbowałam dodać jej otuchy.

- Nic jeszcze nie wiadomo - powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam.

Ale ona mnie nie słyszała. Zaczęła zawodzić wysokim, przenikliwym głosem, wykrzykując pojedyncze słowa, wśród których kilka razy padło imię jej syna. Reszty nie zrozumiałam. Uświadomiłam sobie, że nie zdążyłam nikogo zawiadomić, iż Xavier i Ghislain wypłynęli „Cecilią”; teraz jednak to by tylko pogorszyło sytuację.

- Jeśli ktoś tam jest, powinniśmy spróbować do niego dotrzeć, ha? - Mer Pinoz, choć niezupełnie trzeźwy, dzielnie usiłował stanąć na wysokości zadania.

Jojo-le-Goeland pokręcił głową.

- Nie moją „Marie Joseph” - odrzekł stanowczo.

Lecz Alain biegł już ścieżką łączącą promenadę z zatoką.

- Lepiej nie próbuj mnie zatrzymywać! - zawołał przez ramię.

„Marie Joseph” była niewątpliwie jedyną łodzią dostatecznie stabilną, by zbliżyć się do jednostki unieruchomionej na mieliźnie. Mimo to pogoda właściwie uniemożliwiała jakąkolwiek akcję.

- Nikogo tam nie ma! - zawył z oburzeniem Jojo, ruszając plażą za Alainem. - Nie możesz płynąć sam!

- Więc popłyn z nim! - ponagliłam go. - Jeżeli ten chłopak się tam znalazł...

- To już po nim - mruknął Jojo. - Nie ma sensu ryzykować.

- Ja zaryzykuję! - Wbiegłam na Rue des Immortelles, przeskakując po dwa stopnie naraz. Łódź wpadła na skały; salanianin był w niebezpieczeństwie. Pomimo niepokoju moje serce śpiewało. Ogarnęła mnie dzika radość - tak to jest, gdy się pochodzi z wyspy, tak to jest, gdy się do niej przynależy. Żadne inne miejsce nie wzbudza tak wielkiej lojalności, tak niewzruszonej, niezłomnej miłości.

Obok mnie biegli inni. Zauważyłam pere Albana, Matthiasa Guenole - domyślałam się, że jest gdzieś w pobliżu i Omera, człapiącego za nimi, ile sił w nogach. Marin i Adrienne gapili się z oświetlonego okna La Maree. Obserwowały nas grupki houssinian, jedne zdeorientowane, inne pełne niedowierzania. Nie zwracałam na to uwagi. Biegłam w stronę zatoki.

Alain już tam był. Ludzie na molo wpatrywali się w niego, lecz mało kto zdradzał chęć towarzyszenia mu na pokładzie „Marie Joseph”. Matthias wołał coś z ulicy; słyszałam w tle inne podniesione głosy. Dostrzegłam plecy jakiegoś mężczyzny w wyblakłej vareuse, zwijającego zagle. Gdy dogonił nas zadyszany Omer, mężczyzna odwrócił się i wtedy poznałam Flynnę.

Nie zdążyłam zareagować. Nasze oczy spotkały się na moment, a potem, niemal

obojętnie, spojrział w inną stronę. Alain ustawiał się już przy sterze, Omer próbował uruchomić nieznany mu silnik. Pere Alban na pomoście uspokajał matkę Damiena, która przybiegła zaraz za nami. Alain zmierzył mnie wzrokiem, jakby oceniając, czy się do czegoś przydam, a potem skinął głową.

- Dziękuję ci.

Ludzie tłoczyli się wokół nas; niektórzy, jak mogli, starali się pomóc. Na pokład „Marie Joseph” - niby od niechcenia - wrzucano różne przedmioty: bosak, zwój liny, wiadro, koc, latarkę elektryczną. Ktoś wręczył mi piersiówkę z brandy; ktoś inny dał Alainowi rękawice. Gdy odbijaliśmy od przystani, Jojo-le-Goeland rzucił mi swój płaszcz.

- Spróbuj go nie zamoczyć, ha? - zawołał szorstko.

Wyłynęliśmy z zatoki podejrzanie gładko. Wprawdzie łódź kołysała się lekko, ale zatoka była osłonięta i bez trudu poprowadziliśmy „Marie Joseph” wąskim środkowym pasem ku otwartemu morzu. Wokół nas podskakiwały na falach boje i pontony; wychylałam się z dziobu i odpychałam je na boki.

A potem musieliśmy stawić czoło morzu. W tym krótkim czasie, jaki nam zajęło zmobilizowanie sił, wzmógł się wiatr; zawodził teraz głośno, a padające krople były twarde jak żwir. „Marie Joseph” sprawiała się dzielnie, lecz nie bardzo się nadawała do żeglugi przy sztormowej pogodzie. Zanurzyła się głęboko, jak łódź do połowu ostryg; fale biły w jej dziób. Alain zaklął.

- Widzisz ją? - zawołał do Omera.

- Coś widzę! - odkrzyknął Omer, zmagając się z wichurą. - Ale nie wiem, czy to „Eleanore II”!

- Obróć ją! - ryknął Alain. Ledwo go słyszałam. Oślepiła mnie woda. - Musimy ją skierować dziobem do wiatru!

Rozumiałam, o co mu chodzi. Sterowanie prosto pod wiatr wiązało się z ryzykiem, lecz wysokie fale groziły wywróceniem łodzi, gdybyśmy ustawili się do nich bokiem. Parliśmy naprzód z denerwującą powolnością, wznosząc się i opadając na przemian. „Eleanore II” - jeśli to była ona niemal całkowicie przesłaniała kryza gęstej piany. Nie dostrzeżliśmy ani śladu człowieka, którego wcześniej wypatrzyliśmy w wodzie.

Po dwudziestu minutach zmagania wciąż nie byłam pewna, czy posunęliśmy się choćby o kilkadziesiąt metrów; morze pochłaniało całą naszą uwagę, a po ciemku trudno ocenić odległość.

Uświadamiałam sobie niejasno, że Flynn wybiera wodę z dna łodzi, ale nie miałam czasu o tym myśleć ani rozpamiętywać ostatniego razu, gdy znaleźliśmy się w podobnej sytuacji.

Nadal widziałam światła Les Immortelles; mimo oddalenia wydawało mi się, że słyszę głosy. Alain skierował promień latarki ku morzu. W nikłym świetle woda miała szarobrunatny odcień, w końcu jednak dostrzegłam roztrzaskaną łódź, którą już teraz dało się rozpoznać, niemal przepołowioną na wystających skałach.

- To ona! - Wiatr wywiął udrękę z głosu Alaina; wołanie zabrzmiało słabo i odległe, jak świst pośród trzcin. - Uważaj! - krzyknął do Flynn, który wysunął się naprzód tak daleko, że niemal zwisał z dziobu „Marie Joseph”. Coś mignęło w wodzie; coś białawego, co nie było morską pianą. Ukazało się na sekundę i zapadło wraz z falą.

- Widzę kogoś! - krzyknął Flynn.

Alain rzucił się w stronę dziobu, pozostawiając Omerowi prowadzenie łodzi. Złapałam i rzuciłam linę, ale zdradziecki podmuch wiatru chlasnął mnie nią po twarzy, tnąc mokrym sznurem po oczach. Upadłam na wznak, zaciskając powieki, spod których popłynęły strumienie łez. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, świat wydał mi się dziwnie nieostry; wyłowiłam z mgły twarze Flynn i Alaina, rozpaczliwie szczepionych ze sobą niczym akrobaci na trapezie, podczas gdy fale pod nimi gwałtownie wznosiły się i opadały. Obaj przemokli do nitki. Alain owiązał liną kostkę nogi, by nie wypaść za burtę; Flynn, który trzymał linę w pogotowiu, wychylał się na zewnątrz, opierając jedną stopę o brzuch Alaina, drugą zaś o burtę łodzi, rozpostarłszy ramiona nad wzburzonym morzem. Tuż obok błysnęło coś białego. Flynn spróbował złapać to coś i chybił. Za naszymi plecami Omer starał się utrzymywać kurs. „Marie Joseph” podskoczyła nerwowo; fala przechyliła łódź, powalając obu mężczyzn na pokład. Wszystkich nas zbryzgała zimna woda. Przestraszyłam się, że obaj mężczyźni wylecieli za burtę. Dziób „Marie Joseph” niemal zanurzył się w morzu. Robiłam, co mogłam, by wybrać wodę z dna, podczas gdy zdumiewająco blisko wyłoniły się skały. Wtem rozległ się potworny trzask i łoskot niczym od uderzenia gromu. Zastygliśmy w oczekiwaniu najgorszego; lecz to „Eleanore II” poddała się ostatecznie, łamiąc kręgosłup na skalnym grzebieniu. Mimo to wcale nie byliśmy bezpieczni i znosiło nas nieustannie w stronę dryfujących szczątków. Coś uderzyło w burtę. Coś utknęło pod kilem - lecz wówczas uniosła nas fala i „Marie Joseph” prześliznęła się obok skał w samą porę. Omer odepchnął łódź bosakiem. Uniosłam głowę. Alain pilnował dziobu, a Flynn zniknął. Po chwili jednak wydałam chrapliwy okrzyk ulgi, widząc go wynurzającego się spod powierzchni

wody z liną w rękę. Coś połyskiwało między falami i obaj z Alainem zaczęli to przyciągać. Coś białego.

Choć paliła mnie ciekawość, musiałam wybierać wodę; „Marie Joseph” nie pomieściłaby więcej. Usłyszałam krzyki i ośmieliłam się wyrzeć, lecz plecy Alaina przesłaniały mi widok. Wybierałam wodę co najmniej przez pięć minut, zanim wydostaliśmy się spomiędzy tych groźnych skał. Miałam wrażenie, że słyszę odległe, głuche wiwaty z Les Immortelles.

- Kto to jest? - krzyknęłam. Podmuch wiatru porwał mój głos. Alain nawet się nie obejrzał. Flynn zmagął się z płachtą brezentu na dnie łodzi. Płachta zasłaniała wszystko.

- Flynn! - Wiedziałam, że mnie słyszy. Zerknął w moją stronę i szybko odwrócił wzrok. Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie ma dla mnie dobrych wieści. - Czy to Damien? zawołałam. - Czy żyje?

Flynn odepchnął mnie ręką, nadal owiniętą przemoczonym bandażem.

- Nie warto! - wrzasnął, przekrzykując wiatr. - Już po wszystkim!

Przyptyw zagnał nas szybko do zatoki; miałam wrażenie, że wyczuwam ciszę na morzu. Omer spojrział pytająco na Alaina, który odpowiedział wzrokiem pełnym trwogi i niezrozumienia. Flynn nie patrzył na nich; wziął wiadro i zaczął wylewać wodę, choć już nie musiał.

Złapałam go za ramię, skłaniając, żeby na mnie spojrział.

- Powiedz mi, Flynn, na miłość boską! Czy to Damien?

Wszyscy trzej popatrzyli na brezentową płachtę, a potem na mnie. Flynn przybrał nieodgadniony wyraz twarzy. Popatrzył na swoje dłonie, pocierane mokrymi linami.

- Mado - odezwał się w końcu. - To twój ojciec.

61

Pamiętam to wszystko jak obraz, jak burzliwe płótno van Gogha z wirującym fioletowym niebem i zamazanymi twarzami, pogrążone w ciszy. Pamiętam łódź, drgającą jak niespokojne serce. Pamiętam, że zakryłam twarz dłońmi i zobaczyłam skórę pomarszczoną od morskiej wody. Chyba upadłam.

Grosjean leżał przykryty brezentową płachtą. Po raz pierwszy zdałam sobie w pełni sprawę z jego ogromu, patrząc na martwy, zwalisty kształt. Gdzieś po drodze spadły mu buty i w

porównaniu z resztą jego stopy wydawały się drobne, niemal delikatne. Kiedy jest mowa o śmierci, słyszy się często, że zmarły ma spokojną twarz, wygląda, jakby spał. Grosjean przypominał zwierzę, które wpadło w sidła. Jego ciało było w dotyku gumowate, jak świńska tusza wisząca w rzeźni; usta miał otwarte w grymasie odsłaniającym poźółkłe zęby, jak gdyby w ostatniej chwili, w obliczu śmierci, zdołał wreszcie odnaleźć głos. Nie czułam również tego odrętwienia, o którym wspomina większość osób po utracie kogoś bliskiego; tego błogosławionego wrażenia nierealności. Wezbrała we mnie natomiast fala strasznego gniewu.

Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł, po tym wszystkim, co przeszliśmy razem? Ufałam mu, zwierzałam się, próbowałam zacząć od nowa. Czy w ten sposób chciał przekazać, co myśli o mnie? I o sobie samym?

Ktoś ujął mnie za ramię; młóciłam pięściami oślizłe ciało mojego ojca. Zupełnie jakbym tłukła kawał mięsa.

- Mado, proszę.

Był to Flynn. Wściekłość ogarnęła mnie na nowo; bez zastanowienia obróciłam się na pięcie i uderzyłam go w twarz. Odskoczył. Cofnęłam się i runęłam na deski pokładu. Zza powłoki chmur zaświecił Syriusz. Gwiazdy podwoiły się, potroiły, a potem wypełniły całe niebo.

Dowiedziałam się później, że znaleziono Damiena w luku towarowym „Brismanda I”. Był głodny i zmarznięty, ale nic mu się nie stało. Najwyraźniej próbował dotrzeć na gapę na kontynent, gdy odwołano rejs.

Ghislain z Xavierem nie dopłynęli do Les Immortelles. Próbowali, lecz po kilku godzinach musieli przybić do brzegu w La Goulue i wrócili do wioski mniej więcej wtedy, gdy ochotnicy z La Houssiniere rozchodzili się do domów.

Mercedes czekała. Spotkała w wiosce Aristide'a i obydwójce stanęli na wysokości zadania, wyzbywając się wszelkich zahamowań i wrzeszcząc na siebie ile sił w płucach. Spotkanie z Xavierem i Ghislainem było bardziej stonowane. Obaj, mimo wyczerpania, prezentowali stan osobliwej euforii. Ich żeglarskie wysiłki nie przyniosły rezultatów, lecz najwyraźniej zawarli porozumienie. Dawni zawzięci rywale gotowi byli na nowo zawrzeć przyjaźń. Gdy Aristide zaczął besztuć wnuka za zabranie „Cecylii”, Xavier bynajmniej nie miał onieśmiałej miny. Zabrał za to Mercedes na stronę, z uśmiechem całkowicie odbiegającym od jego dotychczasowego bojaźliwego zachowania; i choć za wcześnie byłoby mówić o pojednaniu między nimi, Toinette liczyła skrycie na pomyślny rezultat.

Przeziębłam się na pokładzie „Marie Joseph” i dostałam zapalenia płuc. Może dlatego niewiele pamiętam; zaledwie kilka scen w kolorach sepii. Ciało ojca, wnoszone w kocu na nabrzeże. Powściągliwi Guenole, ściskający się z dziką, niepohamowaną pasją. Pere Alban, oczekujący cierpliwie, z sutanną podciągniętą ponad cholewy gumiaków. I Flynn.

Dopiero po tygodniu zaczęłam się orientować, co się wokół mnie dzieje. Wcześniej wszystko tonęło we mgle; barwy chwilami wydawały się ostrzejsze, dźwięki wygłuszone. Moje płuca wypełniał beton, gorączka wzrastała.

Przeniesiono mnie niezwłocznie do „Les Immortelles”, gdzie pozostał jeszcze lekarz z pogotowia. Stopniowo, w miarę jak opadała temperatura, zaczęłam dostrzegać białe ściany pokoju, kwiaty, prezenty zostawiane pod drzwiami niczym ofiary przez nieustępliwą falę gości. Początkowo nie zwracałam uwagi. Byłam tak chora i słaba, że oczy same mi się zamykały. Oddychanie wymagało dodatkowego wysiłku. Nawet wspomnienie śmierci ojca ustępowało przed fizycznym cierpieniem.

Adrienne, którą myśl o pielęgnowaniu mnie napełniła paniką, uciekła wraz z Marinem na kontynent, gdy tylko pogoda na to pozwoliła. Lekarz oznajmił, że wracam do zdrowia, i zostawił mnie pod opieką Capucine, a zrzędzący Hilaire miał mi wstrzykiwać antybiotyki. Toinette wmuszała we mnie swoje ziołowe napary. Pere Alban siedział przy mnie, jak powiedziała Capucine, noc w noc. Brismand trzymał się na odległość. Flynn nikt nie widział.

Może to i dobrze, że nikt go nie widział; przed końcem tygodnia wszyscy już wiedzieli, jaką rolę odegrał w niedawnych wydarzeniach, i całe Les Salants odnosiło się do niego wyjątkowo wrogo. O dziwo, mniej wrogo traktowano Brismanda; w końcu był rodowitym houssinianinem, więc czego można się po nim spodziewać? Ale Rouget był jednym z nas. Tylko Guenole odważyli się go bronić - tak czy inaczej, pośpieszył na ratunek „Eleanore II” - a Toinette nie traktowała całej sprawy poważnie, lecz wielu salanian napomykało posępnie o zemście. Capucine, przekonana, że Flynn wrócił na kontynent, z żalem kręciła głową.

Plaga meduz została opanowana; rozpięto sieci w poprzek mierzei, by odgrodzić zatokę, a straż przybrzeżna wybierała te, które pozostały. Oficjalnie wyjaśniono, że przypłynęły z golfsztromem, przygnane przez klimatyczne anomalie, być może aż z Australii. Wioskowa plotka wolała je traktować jako przestrożę od Świętej.

- Od początku mówiłem, że to będzie czarny rok - zapewniał Aristide z ponurą satysfakcją. - Widzicie, co się dzieje, kiedy nie chcecie słuchać?

Mimo gniewu skierowanego przeciw Brismandowi stary wydawał się zrezygnowany. Zauważył, że wesela są kosztowne, a jeśli jego głupi wnuk nadal będzie trwał w uporze... Kręcił głową.

- W końcu przecież nie będę żył wiecznie. Miło pomyśleć, że zostawię chłopakowi coś więcej niż piaski i trzęsawisko. Może los znowu się odwróci.

Nie wszyscy tak myśleli. Guenole ostro się sprzeciwiali planom Brismanda - i nic dziwnego. Przy pięciu członkach rodziny, z których jeden był osiemdziesięcioletnim starcem, drugi zaś chłopcem w wieku szkolnym, pieniędzy brakowało zawsze. Teraz nastąpił kryzys. Nikt nie wiedział, ile dokładnie pożyczyci, lecz panowało przekonanie, że ponad sto tysięcy. Utrata „Eleanore II” stała się ostatecznym ciosem. Alain protestował zawzięcie, mówiąc, że to nie w porządku, że na całej społeczności spoczywa odpowiedzialność, że z powodu zniknięcia Damiena nie mógł wziąć udziału w zebraniu i dyskusji; ale prawie nikt go nie słuchał. Nasza krucha wieź pękła i znowu każdy salanianin myślał tylko o sobie.

Matthias Guenole odmówił, naturalnie, przeniesienia się do „Les Immortelles”. Alain popierał jego decyzję. Rozeszła się pogłoska, że zamierzają opuścić wyspę. Powróciła wzajemna niechęć Guenole i Bastonnetów; Aristide, wyczuwając słabość swego największego rywala i przewidując jego rychły wyjazd, najwyraźniej dokładał starań, by nastawić całe Les Salants przeciw Guenole.

- Wszystko popsują swoim uporem, ha! Zmarnują naszą jedyną szansę. To samolubstwo, ot co, i nie pozwolę, żeby samolubni Guenole zrujnowali przyszłość mojego wnuka. Musimy uratować z tego bałaganu, co się da, inaczej wszyscy pójdziemy na dno!

Wiele osób przyznawało mu słuszość. Alain jednak, gdy o tym usłyszał, zawrzał gniewem.

- A więc to tak? - ryknął. - Tak dbamy o swoje w Les Salants? Co z moimi chłopakami? Co z moim ojcem, który walczył na wojnie? Chcecie machnąć na nas ręką? Dla pieniędzy? Żeby wredny houssinianin odniósł korzyść?

Rok wcześniej taki argument mógł brzmieć przekonująco. Teraz jednak zapachniały nam pieniądze. Poznaliśmy ich wartość. Zapadła cisza, kilka twarzy oblało się rumieńcem. Ale mało kto był naprawdę poruszony. Cóż znaczyła jedna rodzina, gdy w grę wchodziło dobro całej wioski? Mimo wszystko promowy port Brismandów był lepszy niż nic.

Mojego ojca pochowano, gdy leżałam w „Les Immortelles”. W lecie trudno jest

przechowywać zwłoki, a kontynentalne rytuały w rodzaju sekcji czy balsamowania nie przyjęły się na wyspie. No i w końcu mieliśmy przecież księdza. Pere Alban odprawił nabożeństwo żałobne w La Bouche, jak zwykle przyodziany w sutannę i wodery.

Funkcję nagrobka pełniła bryła różowo-szarego granitu z Pointę Griznoz. Przywieziono ją moim traktorem. Później, gdy piach osiadzie, pomyślę o wyryciu napisu - może poproszę o to Aristide'a.

- Dlaczego to zrobił? - Czułam taki sam gniew, jak owej nocy na pokładzie „Marie Joseph”. - Dlaczego zabrał wtedy „Eleanore II”?

- Kto to może wiedzieć? - Matthias zapalił gitane'a. Ja wiem tylko, że znaleźliśmy cholernie dziwne rzeczy, gdyśmy wreszcie ściągnęli...

- Ta dziewczyna jest chora, ty idioto! - przerwała Capucine, zręcznym ruchem wyjmując mu z palców papierosa.

- Jakie rzeczy? - spytałam, siadając na łóżku.

- Liny. Słupolazy. I pół skrzynki dynamitu.

- Co?

Stary westchnął i wzruszył ramionami.

- Nie przypuszczam, żebyśmy się kiedykolwiek dowiedzieli, co zamierzał. Szkoda tylko, że wybrał do tego akurat „Eleanore”.

„Eleanore”. Spróbowałam sobie dokładnie przypomnieć, co mówiły mi przed burzą zakonnice.

- Była kimś, kogo znali - powiedziałam. - Obaj coś do niej czuli, on i P'titjean. Do tej Eleanore.

Matthias z dezaprobatą pokręcił głową.

- Nie wierz tym srokom. Gadają byle co. - Zerknął na mnie i zaczerwienił się nieznacznie.

- Zakonnice, ha! To najgorsze plotkarki pod słońcem. Poza tym tamta sprawa, cokolwiek to było, zdarzyła się dawno temu. Nie może mieć nic wspólnego ze sposobem, w jaki zginął Grosjean.

Ze sposobem zapewne nie, ale z przyczyną? Nieustannie o tym rozmyślałam, o związku łączącym jego śmierć z samobójstwem brata sprzed trzydziestu lat, samobójstwem popełnionym na „Eleanore”. Czy mój ojciec zrobił to samo? I do czego był mu potrzebny dynamit?

Roztrząsałam sprawę bardzo długo i Capucine doszła do wniosku, że opóźnia to mój powrót do zdrowia. Musiała odbyć na ten temat rozmowę z pere Albanem, ponieważ dwa dni

później stary ksiądz zjawił się u mnie, z obliczem równie smętnym jak zawsze.

- Już po wszystkim, Mado - powiedział. - Twój ojciec spoczywa w spokoju. Niech tak zostanie.

Czułam się znacznie lepiej, choć nadal dokuczało mi osłabienie. Oparta o poduszki, widziałam za plecami księdza bezchmurne sierpniowe niebo. Wspaniały dzień na ryby.

- Proszę księdza, kim była Eleanore? Znał ją ksiądz?

Zawahał się.

- Znałem, ale nie mogę z tobą o niej rozmawiać.

- Mieszkała w „Les Immortelles”? Była zakonnica?

- Wierżaj mi, Mado, lepiej o niej zapomnieć.

- Skoro jednak nazwał łódź jej imieniem... - Próbowałam tłumaczyć, jaką wagę musiało to mieć dla mojego ojca, który nigdy więcej tak nie postąpił, nawet gdy poznał moją matkę. Z pewnością nie wybrał tej łodzi przypadkowo. I co oznaczało odkrycie Matthiasa?

Ale pere Alban był jeszcze bardziej małowówny niż zazwyczaj.

- To nie ma żadnego znaczenia - powtórzył po raz trzeci. - Niech Grosjean spoczywa w pokoju.

62

Przebywałam w „Les Immortelles” już od tygodnia. Hilaire zalecał jeszcze tydzień odpoczynku, ale ja zaczynałam się niecierpliwić. Niebo prowokowało mnie zza wysokiego okna, złote cętki drżały na mojej pościeli. Nadchodził koniec miesiąca; pozostało kilka dni do pełni księżyca i kolejnego święta Sainte-Marine na Pointę. Doznałam uczucia, jakby te wszystkie znajome zjawiska zachodziły po raz ostatni; każda sekunda zmieniała się w pożegnanie i nie mogłam już dłużej wytrzymać. Przygotowałam się do powrotu. † Capucine protestowała, lecz bezlitośnie odrzuciłam jej argumenty. Zbyt długo mnie tam nie było. Musiałam prędzej czy później stawić czoło Les Salants. Nawet nie widziałam jeszcze grobu ojca.

La Puce ugięła się w obliczu mojej determinacji.

- Zatrzymaj się u mnie na jakiś czas - zaproponowała. Nie możesz siedzieć w tym pustym domu.

- Nie martw się - uspokoiłam ją. - Nie wracam tam. Ale muszę trochę pobyc sama.

Nie poszłam tamtego dnia do domu Grosjeana. Z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że

nie czuję ciekawości i wcale nie pragnę zajrzeć do środka. Udałam się natomiast na wydmy powyżej La Goulue popatrzeć na to, co pozostało z mojego świata.

Większość letników wyjechała. Morze było gładkie niczym jedwab, niebo surowe i błękitne jak na dziecięcym rysunku. Les Salants blakło cicho w promieniach sierpniowego słońca, tak samo jak przed rokiem i jeszcze dawniej. Kwiaty w skrzynkach i ogrodach, ostatnio zaniedbane, zwiędły i pousychały; karłowate drzewka figowe zrodziły małe, nędzne owoce; psy wałęsały się wokół domów o pozamykanych okiennicach; trawy na wydmach stały się białe i łamliwe. Ludzie również wrócili do poprzednich zwyczajów. Omer przesiadywał godzinami u Angela, grając w karty i pijąc jedno devinnoise za drugim. Charlotte Prossage, która tak zlągodniała przy dzieciach letników, znowu osłaniała twarz chustkami w kolorach ziemi. Damien był posepny i kłótlivy. Zanim upłynęła doba, wiedziałam już, że Brismandowie nie tylko złamali Les Salants - oni pożarli je na surowo.

Niewiele osób odzywało się do mnie; wystarczyło, że wcześniej okazali troskę, ofiarując prezenty i kartki. Teraz, gdy wyzdrowiałam, zaczęłam w nich wyczuwać pewną inercję, zauważyłam, że zachowują się jak niegdyś. Powitania ograniczano do krótkiego skinienia głową. Rozmowy się nie kleiły. Na początku myślałam, że może mają do mnie pretensję; bądź co bądź moja siostra wyszła za mąż za Brismanda. Ale potem zrozumiałam. Dostrzegłam spojrzenia, jakie rzucali w stronę morza, niemal nie odrywając oczu od konstrukcji unoszącej się na falach zatoki, naszej Bouch'ou, naszego własnego miecza Damoklesa. Robili to nieświadomie. Ale patrzyli wszyscy, nawet dzieci, bledsze i bardziej przygaszone niż kiedykolwiek w ciągu lata. Rafa stała się dla nas tym cenniejsza, że wymagała poświęceń. Im większe poświęcenie, tym większej nabierała wartości. Nasza dawna miłość do Bouch'ou przerodziła się teraz w nienawiść, lecz to, że moglibyśmy ją utracić, było nie do pomyślenia. Pożyczka zaciągnięta przez Omera zagrażała posiadłości Toinette, choć nie do niego należało prawo własności. Aristide obciążył hipotekę swego domu znacznie powyżej jego wartości. Alain tracił syna - może nawet obu synów, teraz, gdy nastąpił zastój w interesach. Prossage'owie utracili córkę: Xavier i Mercedes zamierzali opuścić Le Devin na zawsze i osiąść w Pornic albo we Fromentine, gdzie narodziny dziecka nie wywołają skandalu.

Aristide był zdruzgotany tą wiadomością, choć duma nie pozwalała mu się do tego przyznać. Do Pornic wcale nie jest daleko, powtarzał każdemu, kto chciał słuchać. Trzygodzinny rejs promem dwa razy w tygodniu. Nikt chyba nie powie, że to daleko, ha?

Wciąż krążyły różne pogłoski na temat śmierci GrosJeana. Usłyszałam o nich z drugiej ręki, od Capucine wiejska etykieta wymagała, by w tym wypadku zostawić mnie w spokoju - lecz snuto rozmaite przypuszczenia. Wiele osób uważało, że popełnił samobójstwo.

Istniały powody, by w to wierzyć. Grosjean zawsze był niezrównoważony; może zdrada Brismanda doprowadziła go do ostateczności. W dodatku tuż przed rocznicą śmierci P'titjeana i uroczystością ku czci Sainte-Marine... Historia lubi się powtarzać, zauważano przyciszonymi głosami. Wszystko powraca.

Niektórzy jednak nie dawali się przekonać. Znalezienie dynamitu na pokładzie „Eleanore II” nie uszło niczyjej uwagi; zdaniem Alaina, Grosjean usiłował wysadzić falochron w Les Immortelles, gdy stracił kontrolę nad łodzią i wpadł na skały.

- Poświęcił się - mówił wszystkim Alain. - Wcześniej od nas wiedział, że to jedyny sposób, by powstrzymać Brismanda przed zagarnięciem wioski.

Nie było to wyjaśnienie bardziej naciągane niż inne. Wypadek, samobójstwo, heroiczny gest... Tak naprawdę nikt nie wiedział; Gros Jean nie wtajemniczył nikogo w swoje plany i musieliśmy poprzestać na domysłach. I za życia, i po śmierci mój ojciec miał swoje tajemnice.

Rano po powrocie poszłam do La Goulue. Lolo z Damienem siedzieli nad wodą, milcząco i nieruchomi jak głązy. Wyglądali, jakby czekali na coś. Zaczynał się odpływ; fale zostawiły za sobą ciemne smugi mokrego piasku. Damien miał świeżego siniaka na policzku. Mój komentarz zbył wzruszeniem ramion.

- Przewróciłem się - mruknął, nie siląc się nawet na przekonujący ton.

Lolo spojrział na mnie.

- Damien miał rację - powiedział ponuro. - Ta plaża nie była nam do niczego potrzebna. Wszystko popsuka. Lepiej było przedtem. - W jego głosie nie słyszałam urazy, tylko głębokie znużenie, jeszcze bardziej niepokojące. - Ale wtedy po prostu o tym nie wiedzieliśmy.

Damien kiwnął głową.

- Jakoś byśmy przetrwali. Gdyby morze podeszło za blisko, pobudowalibyśmy się na nowo gdzieś wyżej.

- Albo wyprowadzili.

Przytaknęłam. Nieoczekiwanie przeprowadzka przestała mi się wydawać aż tak straszną ewentualnością.

- W końcu to tylko miejsce, ha?

- No jasne. Jedno z wielu.

Zastanawiałam się, czy Capucine wie, co myśli jej wnuk. Damien, Xavier, Mercedes, Lolo... W tym tempie cała młodzież zniknie z Les Salants przed nadejściem Nowego Roku.

Chłopcy spoglądali w kierunku Bouch'ou. Teraz niewidoczna, ukaże się mniej więcej za pięć godzin, gdy cofająca się fala odsłoni ławice ostryg.

- A gdyby tak ją rozebrali, ha? - W głosie Lola wyczuwało się napięcie.

Damien skinął głową.

- Mogą sobie zabrać powrotem swój piasek. Nie potrzebujemy go.

- Aha. Nic nam po houssiniańskim piasku.

Wstrząśnięta, uświadomiłam sobie, że do pewnego stopnia zgadzam się z nimi.

Mimo to odkryłam po powrocie, że salanie spędzają na plaży więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem. Nie kapali się ani nie opalali - to były zajęcia dla turystów - nawet nie prowadzili towarzyskich rozmów, tak częstych jeszcze tego lata. Teraz nie było mowy o ogniskach, pieczeniu na rożnie czy popijaniu i zabawach w La Goulue. Zapuszczaliśmy się tam ukradkiem, wcześniej rano lub przy zmianie pływu i skrycie przesypywaliśmy piasek przez palce, unikając nawzajem swego wzroku.

Piasek nas fascynował. Teraz patrzyliśmy na niego inaczej, już nie jak na złoty pył, lecz jak na rumowisko, gromadzące się przez wieki: kości, muszle, mikroskopijne skamieliny, sproszkowane szkło, rozdrobniony kamień, odpryski niewyobrażalnie długiego czasu. W piasku byli ludzie: kochankowie, dzieci, zdrajcy, bohaterowie. Były dachówki dawno zburzonych domów. Byli wojownicy i rybacy, niemieckie samoloty, potłuczone naczynia i roztrzaskane bożki. Był bunt i porażka. Było w nim wszystko i wszystko było takie samo.

Teraz widzieliśmy, jak bezcelową prowadziliśmy walkę z przyplływami i z houssinianami. I wiedzieliśmy, co będzie.

63

Dwa dni przed świętem Sainte-Marine postanowiłam wreszcie odwiedzić grób ojca. W pogrzebie uczestniczyć nie mogłam, lecz teraz wróciłam i tego ode mnie oczekiwano.

Houssinianie mają własny schludny, trawiasty cmentarz i dozorcę, który zajmuje się grobami. W La Bouche wszelkie prace wykonujemy sami. Musimy. Nasze nagrobki w porównaniu z tamtymi wydają się pogańskie, monolityczne. Opiekujemy się nimi troskliwie. W

pewnym bardzo starym grobie spoczywa młoda para, a napis głosi po prostu: „Guenole-Bastonnet, 1861-1887”. Ktoś do dziś kładzie na nim kwiaty, choć z pewnością nikt nie jest aż tak wiekowy, by pamiętać pochowane tam osoby.

Mojego ojca złożono obok P'titjeana. Ich kamienie nagrobne były niemal identycznej wielkości i barwy, tyle że kamień P'titjeana z biegiem lat pokryły porosty. Z bliska zobaczyłam czysty, świeżo zagrabiony żwir wokół grobów. Ktoś również przygotował ziemię do zasadzenia kwiatów.

Przyniosłam sadzonki lawendy i rydel do kopania. Pere Alban najwyraźniej uczynił to samo, gdyż ręce miał powalane ziemią, a przy obu nagrobkach zauważyłam dopiero co posadzone czerwone pelargonie.

Stary ksiądz drgnął lekko na mój widok, jakbym go na czymś przyłapała. Kilka razy potarł brudne dłonie.

- Cieszę się, że tak zdrowo wyglądasz - przemówił. - Nie będę ci przeszkadzał w pożegnaniu.

- Niech ksiądz nie odchodzi. - Postąpiłam krok naprzód. - Dobrze, że ksiądz tu jest. Chciałam...

- Przykro mi. - Pokręcił głową. - Wiem, czego ode mnie chcesz. Myślisz, że coś mi wiadomo o śmierci twojego ojca. Ale nic ci nie mogę powiedzieć. Daj temu spokój.

- Dlaczego? - nalegałam. - Muszę zrozumieć! Mój ojciec zginął z jakiegoś powodu i ksiądz go zna!

Popatrzył na mnie surowo.

- Twojego ojca zabrało morze, Mado. Wypłynął na „Eleanore II” i wypadł za burtę. Tak jak kiedyś jego brat.

- Ale ksiądz o czymś wie - powiedziałam cicho. - Prawda?

- Mam pewne... podejrzenia. Podobnie jak ty.

- Jakie podejrzenia?

Pere Alban westchnął.

- Daj temu spokój, Madeleine. Nic ci nie mogę powiedzieć. Cokolwiek wiem, wiąże mnie tajemnica spowiedzi i nie wolno mi z tobą o tym rozmawiać.

Zastanowiło mnie coś w jego głosie, jakaś osobliwa intonacja, jak gdyby wypowiedane słowa stały w sprzeczności z czymś innym, co próbował przekazać.

- Ale jest ktoś, komu wolno? - zapytałam, ujmując jego dłoń. - Czy to ksiądz miał na myśli?

- Ja ci pomóc nie mogę. - Czy ponosiła mnie wyobraźnia, czy rzeczywiście położył lekki nacisk na pierwsze słowo? - Powinienem już wracać - dodał, łagodnie uwalniając dłoń z mojego uścisku. - Muszę uporządkować stare księgi parafialne. Rejestry narodzin i zgonów, wiesz. Bardzo długo to odkładałem. Ale obowiązek wymaga, żebym się tym zajął. Dla spokoju sumienia.

Znowu wychwyciłam tę dziwną intonację.

- Papiery? - zapytałam.

- Rejestry. Kiedyś miałem sekretarza. Potem zakonnice. Teraz nie mam nikogo.

- Mogłabym księdzu pomóc. - Nie myliłam się; naprawdę próbował mi coś przekazać. - Pere Albanie, niech mi ksiądz pozwoli pomóc.

Uśmiechnął się do mnie z niezwykłą słodyczą.

- Jak to miło z twojej strony, Madeleine. Wyświadczysz mi wielką przysługę.

64

Wypiarze odnoszą się do papierkowej roboty nieufnie. Dlatego powierzyliśmy pieczy księdza nasze sekrety, osobliwe narodziny i gwałtowne zgony, nasze drzewa genealogiczne. Informacje są ogólnie dostępne, przynajmniej teoretycznie. Kładzie się na nich jednak cień konfesjonału i pokrywa je warstwa kurzu. Komputera nigdy tu nie było i nie będzie. Są za to księgi, gęsto zapisane czerwono-brunatnym atramentem i beżowe teczki z dokumentami niemal rozsypującymi się ze starości.

Wpisy na tych stronicach, czy to zamaszyste, czy drobne, zawierają całe historie: tu niepiśmienna matka przykleiła płatek róży na świadectwie urodzenia dziecka, ówdzie jakiemuś mężczyźnie zadrżała ręka przy adnotacji o śmierci żony. Małżeństwa, martwe noworodki, zgony. Dwaj bracia, rozstrzelani przez Niemców za przemyt czarnorynkowych towarów z kontynentu; cała rodzina, która zmarła na gripę; dziewczyna - z Prossage'ow - urodziła dziecko „nieznanego ojca”. Na sąsiedniej stronie inna dziewczyna, zaledwie czternastoletnia, umarła, wydając na świat kalekie dziecko, które również nie przeżyło.

Te niezliczone warianty ludzkich losów nie miały w sobie nic z monotonią i - o dziwo - podniosły mnie na duchu. Kontynuowanie naszych zmagania mimo wszystko i w obliczu

nieuchronnego kresu wydało mi się dziwnie heroiczne. Wyspiarskie nazwiska - Prossage, Bastonnet, Guenole, Prasteau, Brismand - maszerowały przez stronice niczym żołnierze. Niemal zapomniałam, po co przyszłam.

Pere Alban zostawił mnie samą. Może sobie nie ufał. Zatonęłam całkowicie w dziejach Le Devin i dopiero przygasające światło dnia przypomniało mi, dlaczego tu jestem. Upłynęła jeszcze godzina, zanim znalazłam informację, której szukałam.

Właściwie nie byłam do końca pewna, czego szukam, i straciłam nieco czasu na nasze drzewo genealogiczne - łązy zakręciły mi się w oczach, gdy natrafiłam na górze strony na pismo matki, a obok dostrzegłam niewprawny podpis Grosjeana. Dalej narodziny Grosjeana i jego brata, na tej samej stronie, choć o wiele lat wcześniejsze. Śmierć Grosjeana i P'titjeana - „zginęli na morzu”. Długo odszyfrowywałam stronice zapisane tak gęsto, że chwilami prawie nieczytelne. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniłam omyłki i czy na cokolwiek tutaj natrafie.

I nagle to zobaczyłam. Informację o małżeństwie Claude'a Saint-Josepha Brismanda i Eleanore Margaret Flynn, z dwoma podpisami ciemnoczerwonym atramentem - zwięzły „Brismand”, a obok zamaszysta „Eleanore”, z pętlą przy literze „I” zahaczającą niczym bluszcz o nazwiska powyżej.

Eleanore. Wymówiłam to imię głośno i z przejęciem.

Odnalazłam ją.

- Odnalazła ją, ma soeur.

- Wiedziałam, że to uczyni, jeśli wytrwa w swoim zamiarze.

Siostry stały w progu, uśmiechnięte. W przyćmionym świetle wyglądały niemal młodo; ich oczy błyszczały.

- Trochę nam ją przypominasz. Czyż nie tak, ma soeur? Ona jest podobna do...

- ...Eleanore.

Odtąd już poszło łatwo. Wszystko zaczęło się od Eleanore, a skończyło na „Eleanore”. Razem z zakonniceami rozplątywałam całą tę historię w kancelarii parafialnej, przy świecach, które zapaliłyśmy, gdy zapadł zmierzch.

Część już sama wcześniej odgadłam. Siostry dopowiedziały resztę. Niewykluczone, że pere Albanowi coś się wymknęło, gdy pomagały mu przy rejestrach.

Jest to” wyspiarska opowieść, zapewne nieco ponura, lecz my tutaj, czepiający się skał od

niepamiętnych czasów, wyrobiliśmy w sobie odporność - a przynajmniej niektórzy z nas. Zaczęło się od dwóch braci, bardzo sobie bliskich: Jean-Marina i Jean-Francois Prasteau. I od dziewczyny, rzecz jasna, pełnej ognia i temperamentu. Jej podpis, szeroki i zamaszysty, zdradzał żywiołową, niespokojną i romantyczną naturę.

- Nie pochodziła stąd - wyjaśniła siostra Therese. Monsieur Brismand przywiózł ją z zagranicznej podróży. Nie miała rodziców, przyjaciół ani majątku. Była od niego dziesięć lat młodsza, dopiero skończyła dwadzieścia...

- Ale prawdziwa piękność - dodała siostra Extase. Piękna i niespokojna, istna mieszanka wybuchowa...

- ...a monsieur Brismand tak był zajęty zarabianiem pieniędzy, że po ślubie prawie nie zwracał na nią uwagi.

Pragnął mieć dzieci, jak wszyscy wyspiarze. Ale ona pragnęła czegoś więcej. Nie znalazła przyjaciółki wśród houssinianek - była dla nich zbyt młoda i zbyt obca - więc zaczęła codziennie przesiadywać samotnie w Les Immortelles, spoglądając na morze i czytając książki.

- Ach, przepadała za różnymi opowieściami - zauważyła siostra Extase. - Czytała je, a potem mówiła...

- ...o rycerzach i damach...

- ...o królewiczach i smokach.

Tam właśnie bracia zobaczyli ją po raz pierwszy. Przyłączyli się do materiały zamówione dla warsztatu, w którym pracowali z ojcem, a ona już na nich czekała. Przebywała na Le Devin niecałe trzy miesiące.

Impulsywny P'titjean natychmiast stracił głowę. Zaczął odwiedzać Eleanore w La Houssiniere, rozmawiać z nią na plaży. Grosjean przyglądał się temu spokojnie, najpierw rozbawiony, później zaciekawiony, nieco zazdrosny i w końcu nieodwołalnie, ostatecznie usidlony.

- Wiedziała, co robi - orzekła siostra Therese. - Na początku to była zabawa... ona lubiła się bawić. P'titjean, taki przecież młody, wkrótce by o niej zapomniał. Ale Grosjean...

Mój ojciec, milczący i nieprzenikniony, był inny. Wyczuła to; pociągał ją. Spotykali się potajemnie na wydmach albo w La Goulue. Grosjean uczył ją żeglarstwa; ona opowiadała mu rozmaite historie. Dlatego nadawał łodziom wymyślne nazwy z książek i wierszy, których sam nigdy by nie przeczytał.

Brismand nabrał jednak pewnych podejrzeń. Przyczynił się do nich głównie P'titjean; jego zaloty nie uszły uwagi houssinian, a choć tak młody, był bliższy wiekiem Eleanore niż jej małżonek. Skończyły się jej samotne wyprawy do Les Salants, a Claude specjalnie zatrudnił zakonnice z Les Immortelles, by strzegły jego żony. Ponadto Eleanore zaszła w ciążę i Claude nie posiadał się z radości.

Chłopiec urodził się nieco przed spodziewanym czasem. Dała mu na imię Claude, zgodnie z wymogami wyspiarskiej tradycji, lecz przewrotnie wpisała inne, tajemne imiona w świadectwie urodzenia.

Nikt tego nie skojarzył. Nawet mój ojciec - zawiłe, ozdobne pismo było dla niego zupełnie nieczytelne - a niepokój Eleanore złągodziły na kilka miesięcy wymagania niemowlęcia.

Brismand jednak na wieść o synu stał się bardziej zachłanny. Na Le Devin synowie są ważni, ważniejsi niż na kontynencie, gdzie dzieci rodzą się zdrowsze. Wyobrażałam sobie, jaki jest dumny z syna. Wyobrażałam sobie spojrzenia braci, pełne wzgardy, poczucia winy, zazdrości i pożądania. Zawsze zakładałam, że mój ojciec nienawidził Claude'a Brismand?. z powodu doznanej krzywdy. Dopiero teraz zrozumiałam, że najbardziej nienawidzimy tych, którym wyrządziliśmy zło.

A Eleanore? Przez pewien czas istotnie próbowała poświęcić się dziecku. Ale nie była szczęśliwa. Podobnie jak moja matka, nie potrafiła znieść życia na wyspie. Kobiety spoglądały na nią podejrzliwie i zazdrośnie; mężczyźni nawet nie otwierali ust.

- Czytała i czytała te swoje książki - mówiła siostra Therese - ale nic nie pomagało. Schudła, straciła blask. Zupełnie jak te dzikie kwiaty, które od razu więdną we flakonie. Czasem z nami rozmawiała...

- ...Ale nawet wtedy byłyśmy dla niej za stare. Trzeba jej było życia.

Obie kiwnęły głowami, a ich bystre oczy rozbłyły.

- Pewnego dnia dała nam list, żeby go dostarczyć do Les Salants. Bardzobardzo się denerwowała...

- ...ale też zrywała boki ze śmiechu...

- ...i nazajutrz fru, uciekła razem z dzieckiem.

- Nikt nie wiedział dokąd ani dlaczego...

- ...aczkolwiek my wiemy, ma soeur. Wprawdzie nie wysłuchujemy spowiedzi, lecz...

- ...mimo to ludzie się nam zwierzają.

Kiedy P'titjean odgadł prawdę? Dowiedział się przypadkiem, sama mu wyznała, czy może zobaczył na własne oczy, tak jak ja po trzydziestu latach, metrykę dziecka, wypisaną jej własną dłonią?

Siostry, obie uśmiechnięte, wpatrywały się we mnie wyczekująco. Spojrzałam na świadectwo urodzin: ciemnoczerwony atrament, ozdobne, wyszukane pismo. Imię...

Jean-Claude Desire St-Jean Francois Brismand.

Chłopiec był synem Grosjeana.

65

Znam poczucie winy. Znam je doskonale. W ten sposób odzywa się we mnie ojciec, jego gorzkie dziedzictwo. Wywołuje paraliż, dusi. Tak właśnie ojciec musiał się czuć, gdy fala niosła P'titjeana i jego łódź do La Goulue. Unieruchomiony. Zamknięty. Milczał, odkąd pamiętam; a teraz tym bardziej. Żywy P'titjean przysporzył mu niewątpliwie cierpienia; martwy stał się przeszkodą nie do usunięcia.

Zanim ojcu przyszło do głowy porozumieć się z Eleanore, ona już wyjechała, zostawiając list, który znalazł otwarty i zaadresowany do siebie w kieszeni brata.

Znalazłam ten list, przeszukując potem po raz ostatni dom ojca. Dzięki listowi zdołałam wreszcie dopasować ostatnie fragmenty układanki: śmierć ojca, samobójstwo P'titjeana, osobę Flynna.

Nie rozumiałam wszystkiego do końca. Ojciec nie zostawił dodatkowych wyjaśnień. Za życia niczego mi nie tłumaczył, dlatego też nie oczekiwałam niczego. Omawialiśmy jednak tę kwestię z siostrami i chyba zbliżyłyśmy się do prawdy.

Flynn, rzecz jasna, był katalizatorem. Nieświadomie uruchomił mechanizm. Syn mojego ojca, syn, do którego Grosjean nigdy nie mógłby się przyznać, ponieważ przyjąłby jednocześnie odpowiedzialność za samobójstwo brata. Teraz rozumiałam reakcję ojca na wiadomość o tożsamości Flynna. Wszystko powraca: Czarny Rok, Eleanore, wszystko. Poetyczna gorycz tego zakończenia niewątpliwie przemówiła do jego romantycznej natury.

Może Alain miał rację i ojciec wcale nie chciał umrzeć, mówiłam sobie w duchu. Może to był rozpaczliwy gest, próba odkupienia, sposób wynagrodzenia krzywdy. W końcu człowiek, który za to wszystko ponosił odpowiedzialność, był jego synem.

Odłożyłyśmy dokumenty i księgi na miejsce. W skrytości ducha byłam wdzięczna

siostram za ich obecność, za nieustanną paplaninę, która powstrzymywała mnie od zbyt szczegółowego roztrząsania mojej własnej roli w tej historii.

Zapadła już noc, gdy wracałam powoli do Les Salants, nasłuchując cykania świerszczy wśród tamaryszków i spoglądając w gwiazdy. Od czasu do czasu spod moich stóp wzbijał się blady ogień robaczka świętojańskiego. Czułam się tak, jakbym oddała krew. Opuściła mnie złość. Żal również. Nawet groza wiejąca z tego, czego się dowiedziałam, była dla mnie czymś nierealnym, odległym jak opowieści z dzieciństwa. Coś się we mnie oberwało i po raz pierwszy w życiu odnosiłam wrażenie, iż mogłabym opuścić Le Devin bez tej okropnej świadomości, że dryfuję, znajduję się w stanie nieważkości, jestem deską z rozbitego okrętu, którą unosi obca fala. W końcu uprzytomniłam sobie, dokąd idę.

W domu mojego ojca panowała cisza. Odniosłam jednak osobliwe wrażenie, że nie jestem sama. Coś wisiało w powietrzu; woń zstającego dymu świec, nieznanome echo. Nie bałam się. Przeciwnie, czułam się dziwnie swobodnie, jak gdyby ojciec po prostu wypłynął na nocny połów, a matka siedziała w sypialni, czytając któryś ze swoich podniszczonych romansów w miękkich okładkach.

Zawahałam się na moment, zanim pchnęłam drzwi pokoju ojca. Wszystko wyglądało tam tak samo, jak zawsze; może trochę schludniej. Ubrania były poukładane, łóżko zasłane starannie. Poczułam ukłucie w sercu na widok starej vareuse Grosjeana, wiszącej na kołku za drzwiami, lecz nie naruszyło ono mojego wewnętrznego spokoju. Tym razem wiedziałam, czego mam szukać.

Jak wielu mężczyzn jego pokroju, trzymał swoje osobiste papiery w pudełku po butach, przewiązanym żyłką, na dnie szafy. Niewiele tam było; potrząsnąwszy pudełkiem, przekonałam się, że jest wypełnione zaledwie do połowy. Kilka fotografii z wesela rodziców - ona w bieli, on w wyspiarskim stroju. Jego twarz pod płaskim rondem kapelusza wyglądała boleśnie młodo. Zdjęcia pokazujące Adrienne i mnie; zdjęcia P'titjeana w różnym wieku. Na resztę składały się głównie rysunki.

Rysował na kartkach z bloku, przeważnie węglem lub grubym czarnym ołówkiem. Upływ czasu i ocieranie się kartek o siebie zatarły kreskę, lecz mimo to widziałam wyraźnie, że Grosjean odznaczał się niegdyś wybitnym talentem. Oszczędność w szkicowaniu rysów niemal dorównywała jego oszczędności słowa, ale każda kreska i każda plamka były pełne wyrazu. W jednym miejscu jego kciuk zaznaczył grubą smugą zarys szczęki; w innym zza węglowej maski

wyzierały oczy o niezwykle skupionym wyrazie.

Wszystkie portrety przedstawiały tę samą kobietę. Znałam jej imię; widziałam je wypisane ozdobnym charakterem pisma w księdze parafialnej. Teraz mogłam ocenić jej urodę - wydatne kości policzkowe, uniesienie głowy, zarys ust.

Zrozumiałam, że te rysunki były jego listami miłosnymi. Mój milczący, niepiśmienny ojciec przemówił pięknym językiem. Spomiędzy dwóch kartek wypadł zasuszony kwiat - goździk kartuzek, pożółkły ze starości. I kawałek wstążki, która była niegdyś zielona lub niebieska. A potem list.

Był to jedyny pisany dokument. Pojedynczy arkusik papieru, przetarty na zgięciach od wielokrotnego rozkładania i składania. Rozpoznałam jej pismo od pierwszego rzutu oka - zamaszyste litery i fioletowy atrament.

*Mój drogi Jean-Francois,
zapewne miałeś słuszność, nie kontaktując się ze
mną tak długo. Z początku czułam się urażona i by-
łam na Ciebie zła, teraz jednak rozumiem, że chcia-
łeś mi zostawić czas do namysłu.*

*Wiem, że nie ma tu miejsca dla mnie. Ulepiono
mnie z innej gliny. Przez chwilę wydawało mi się, że
potrafimy się nawzajem odmienić, ale okazało się to
zbyt trudne dla nas obojga.*

*Odpywam jutrzejszym promem. Claude mnie
nie zatrzyma, wyjechał w interesach do Fromentine
i wróci dopiero za kilka dni. Będę czekała na Ciebie
na przystani do 12.00.*

*Nie potępię Cię, jeśli nie przyjdiesz. To miejsce
jest Twoim domem i nie mogę Cię zmuszać, byś wyje-
chał ze mną. Mimo to spróbuj o mnie pamiętać. Być
może, jeśli nie ja, to nasz syn zjawi się tu pewnego
dnia.*

Wszystko powraca

Eleanore

Pieczołowicie złożyłam list i umieściłam go na powrót w pudełku. Otóż to, pomyślałam sobie. Ostateczne potwierdzenie, jeśli coś takiego było potrzebne. Nie potrafiłam odgadnąć, jakim sposobem P'titjean wszedł w jego posiadanie, lecz niewątpliwie przewrotność brata wywołała straszny wstrząs u tego wrażliwego, podatnego na wpływy młodzieńca. Czy popełnił samobójstwo, czy po prostu wykonał dramatyczny gest, który zakończył się tragedią? Nikt nie miał co do tego pewności, może jeden pere Alban.

Wiedziałam, że Grosjean udał się do niego. Tylko on, houssinianin i ksiądz, nie był zaangażowany w całą sprawę i mógł przeczytać list Eleanore. Dla starego kapłana równało się to spowiedzi i dochował tajemnicy.

Grosjean nie zdradził się przed nikim. Po wyjeździe Eleanore coraz bardziej zamykał się w sobie; przesiadywał godzinami w Les Immortelles, wpatrując się w morze i uciekając coraz głębiej w siebie. Przez jakiś czas wydawało się, że obudzi go małżeństwo z moją matką, lecz zmiana była jedynie chwilowa. Matkę ulepiono z innej gliny, jak to określiła Eleanore. Należała do innego świata.

Zamknęłam pudełko po butach i wyszłam z nim do ogrodu. Gdy drzwi zatrasnęły się za mną, poczułam z nagłą pewnością, że moja noga nigdy więcej nie postanie w domu Grosjeana.

- Mado. - Stał przy bramie warsztatu, prawie niewidoczny w czarnych dżinsach i pulowerze. - Nareszcie się ciebie doczekałem.

Zacisnęłam palce na pudełku.

- Czego chcesz?

- Przykro mi z powodu twojego ojca. - Jego twarz kryła się w cieniu, cienie przesłaniały oczy. Coś we mnie ścisnęło się mocno.

- Mojego ojca? - powtórzyłam szorstko.

Wzdrygnął się, słysząc mój ton.

- Mado, proszę.

- Nie podchodź do mnie! - Dłoń Flynnna musnęła moje ramię. Przez gruby materiał kurtki wyczułam jego palący dotyk, a pożądanie, które wysunęło łeb niczym wąż w moim podbrzuszu, wzbudziło we mnie zgrozę i mdłości. - Nie dotykaj mnie! - krzyknęłam, wymierzając cios na oślep. Czego chcesz? Po co wróciłeś?

Moje uderzenie trafiło go w twarz. Przyłożył dłoń do ust, wpatrując się we mnie z całkowitym spokojem.

- Wiem, że jesteś zła - zaczął.

- Zła?

Nie jestem gadatliwa, lecz tym razem mój gniew doszedł do głosu. Do całego chóru głosów. Wykrzyczałam mu wszystko: Les Salants, Les Immortelles, Brismanda, Eleanore, mojego ojca, siebie. Wreszcie zaparło mi dech i wepchnęłam mu pudełko w dłonie. Nie wziął go; upadło na ziemię, a smutne drobiazgi z życia mojego ojca rozsypały się dookoła. Ukłękłam i zaczęłam je zbierać drżącymi rękoma. Jego głos zabrzmiał beznamiętnie.

- Syn Gr»sjeana? Jego syn?

- Eleanore nic ci nie powiedziała? Czy nie dlatego tak się starałeś, żeby wszystko zostało w rodzinie?

- Nie miałem pojęcia. - Zmrużył oczy; niewątpliwie rozważał coś pośpiesznie. - To nie robi żadnej różnicy - oznajmił wreszcie. - Niczego nie zmienia. - Mówił bardziej do siebie niż do mnie. Odwrócił się nieoczekiwanie w moją stronę. Mado - powtórzył z naciskiem - nic się nie zmieniło.

- Co ty mówisz? - Omal go nie uderzyłam po raz drugi. Wszystko się zmieniło. Wszystko. Jesteś moim bratem. Oczy zaczęły mnie piec; gardło miałam wyschnięte i obolałe. - Moim bratem - powtórzyłam, ściskając papiery GrosJeana i wybuchnęłam rozgłośnym, chrapliwym śmiechem, zakończonym długim, bolesnym atakiem kaszlu.

Zapadła cisza. A potem Flynn zaczął śmiać się cicho w ciemności.

- O co ci chodzi?

Nie przestawał się śmiać. Był to, mimo wszystko, nieprzyjemny dźwięk.

- Ach, Mado - powiedział wreszcie Flynn. - Miało być tak pięknie. Tak prosto. Najlepszy numer wszech czasów. Wszystko pod ręką: stary, bogaty facet, forsa, plaża, jego rozpaczliwa potrzeba posiadania spadkobiercy. - Pokręcił głową. - Wszystko na miejscu. Trzeba było tylko trochę czasu. Więcej, niż myślałam, no, ale wystarczyło poczekać na normalny bieg wydarzeń. Rok spędzony w takiej dziurze jak Les Salants nie był wygórowaną ceną. - Posłał mi swój niebezpieczny, promienny uśmiech. - I wtedy zjawiałaś się ty.

- Ja?

- Ty, razem z twoimi niezwykłymi pomysłami. Z twoimi wyspiarskimi imionami i

niewykonalnymi planami. Uparta, naiwna, absolutnie nieprzekupna ty. - Musnął mój kark opuszkami palców; poczułam coś w rodzaju wyładowania elektrycznego.

Odepchnęłam go.

- Zaraz pewnie powiesz, że zrobiłeś to dla mnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- A jak ci się wydaje, dla kogo to robiłem? - Wciąż czułam jego oddech na czole. Zamknęłam oczy, lecz na siatkówkach pozostało mi odbicie jego twarzy. - Och, Mado. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo się starałem trzymać cię na dystans. Ale ty jesteś jak to miejsce, które powoli, podstępnie wrasta w człowieka. I zanim się obejrzysz, wpadasz po uszy.

Otworzyłam oczy.

- Nie możesz - powiedziałam.

- Już za późno - westchnął. - Wspaniale byłoby zostać Jean-Claude'em Brismandem - dodał z odcieniem żalu. Mieć pieniądze, ziemię, robić wszystko, na co przyjdzie ochota.

- To nadal możliwe - zapewniłam go. - Brismand nie musi o niczym wiedzieć.

- Ale ja nie jestem Jean-Claude.

- O czym ty mówisz? Twoje dane są w metryce.

Flynn pokręcił głową. Jego oczy były nieodgadnione, niemal czarne. Tańczyły w nich ogniki.

- Mado - zaczął - ta metryka nie jest moja.

66

Jego opowieść brzmiała dziwnie znajomo, niczym typowa wyspiarska historia i mimo woli słuchałam jej z rosnącą fascynacją. W końcu odsłonił przede mną swoją tajemnicę, wpuścił mnie do pilnie strzeżonego zakątka duszy. Była to opowieść o dwóch braciach.

Miej%ca ich urodzenia dzieliło tysiąc mil, a różnica wieku wynosiła niecałe dwa lata. Byli przyrodni braćmi, lecz obydwaj wdali się w matkę i dlatego istniało między nimi uderzające podobieństwo fizyczne, choć pod innymi względami bardzo się różnili. Ich matka miała nie najlepszy gust, jeśli idzie o mężczyzn, i często ich zmieniała, w związku z czym John i Richard mieli wielu ojców.

Ojciec Johna był jednak zamożny. Mieszkał za granicą, lecz utrzymywał stały kontakt z chłopcem i jego matką, wspierając ich finansowo, aczkolwiek nigdy nie zjawił się osobiście.

Bracia widzieli w nim życzliwą, choć zagadkową postać, do której mogli się zwrócić w potrzebie.

- To był żart - powiedział Flynn. - Przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy poszedłem do szkoły.

Dwa lata wcześniej John rozpoczął naukę w szkole, w której wykładano łacinę i grano w krykieta; Richard natomiast uczęszczał do miejscowej podstawówki, istnego bagna, gdzie wszelką odmienność - przede wszystkim inteligencję - bezlitośnie obnażano i prześladowano na rozmaite brutalne sposoby.

- Matka nigdy mu o mnie nie powiedziała. Bała się, że mógłby zakręcić kurek z gotówką, gdyby się dowiedział o innych mężczyznach w jej życiu.

Eleanore ani razu nie wymieniła imienia Richarda i dokładała wszelkich starań, by utrzymać Brismanda w przekonaniu, że mieszka tylko z Johnem.

- Wszelkie pieniądze były zawsze przeznaczone dla Złotego Chłopca - podjął Flynn. - Wycieczki, mundurki szkolne, stroje sportowe. Nikt nie wyjaśniał dlaczego. John miał rachunek oszczędnościowy na pocztę. Miał rower. Dla mnie zostawało to, czym John się znudził, albo co zepsuł, albo czego nie umiał zużytkować, bo był za głupi. Nikomu nie przyszło do głowy, że mógłbym pragnąć czegoś własnego.

Pomyślałam przelotnie o sobie i Adrienne. Mimowolnie skinęłam głową.

Po szkole John poszedł na studia. Brismand zgodził się je finansować pod warunkiem, że jego syn wybierze kierunek przydatny dla rodzinnego przedsiębiorstwa; John nie wykazywał jednak zdolności do inżynierii czy zarządzania, a ponadto nie znosił, gdy ktoś mu mówił, co ma robić. Rozpieszczany od dzieciństwa, w ogóle nie znosił pracy jako takiej i na drugim roku rzucił studia. Żył z oszczędności, trwoniąc czas w towarzystwie zrujnowanych finansowo i cieszących się złą sławą znajomych.

Eleanore kryła go, dopóki mogła, lecz nie miała już na niego wpływu, John zaś handlował kradzionymi radiami samochodowymi i przemycanymi papierosami, a po paru kieliszkach zwykł się przechwalać bogatym ojcem.

- Zawsze to samo. Pewnego dnia dostanie pracę, stary go ustawi, żaden problem, ma mnóstwo czasu. Myślę, że w skrytości ducha żywił nadzieję, iż zanim będzie zmuszony podjąć decyzję, Brismand umrze. John nigdy nie był szczególnie wytrwały, a sama myśl o przeprowadzce do Francji, nauce języka, porzuceniu kumpli i łatwego życia... - Flynn zaśmiał się

nieprzyjemnie. - Co do mnie, dostatecznie długo pracowałem w portach i na budowach, a rola Jean-Claude'a czekała na obsadzenie. Złoty Chłopiec wcale się do tego nie kwapił.

Okazja wydawała się wręcz wymarzona. Flynn dysponował dokumentami i anegdotami, dzięki którym mógł uchodzić za swego brata, a ponadto byli do siebie niezwykle podobni. Zrezygnował z pracy w przedsiębiorstwie budowlanym i za resztkę oszczędności kupił bilet na Le Devin.

Jego pierwotny plan zakładał wyłudzenie od Brismanda możliwie największej sumy i ucieczkę.

- Na początek wystarczyłaby Złota Karta albo jakiś fundusz powierniczy. Całkiem często ojciec i syn zawierają takie porozumienia. Ale na wyspie ludzie są inni.

Miał słuszość; wyspiarze nie ufają funduszom. Brismand wymagał głębszego zaangażowania. Wymagał pomocy. Najpierw w Les Immortelles. Potem w La Goulue. Wreszcie w Les Salants.

- Les Salants przesądziło sprawę - podsumował z lekkim żalem Flynn. - Byłbym urządzony na resztę życia. Najpierw plaża, potem wioska, a w końcu cała wyspa. To wszystko mogło być moje. Brismand myślał o emeryturze. Powierzyłby mi kierowanie najważniejszymi interesami. Miałbym nieograniczony dostęp do wszystkiego.

- Ale teraz to już nieaktualne.

Z uśmiechem musnął mój policzek czubkami palców.

- Tak, Mado. To już nieaktualne.

Z oddali, od strony La Goulue dobiegał mnie szum wzbierającego przyływu i pokrzykiwania spłoszonych mew. Pulsowanie krwi w uszach tłumiło te odległe dźwięki. Próbowałam zrozumieć opowieść Flynn'a, lecz zaczynała mi już umykać. Huczało mi w głowie, a ściśnięte gardło utrudniało oddychanie. Wszystko usunęła w cień jedna niepodważalna prawda.

Flynn nie był moim bratem.

- Co to? - Odsunęłam się od niego. Niemal bez udziału świadomości zarejestrowałam ostrzegawczy dźwięk, głęboki i wibrujący, zagłuszany szumem morza.

Flynn zerknął na mnie z ukosa.

- Niby co?

- Ćśśś! - Przytknęłam palec do ust. - Posłuchaj.

Dźwięk rozległ się znowu, daleki i monotony w nieruchomym wieczornym powietrzu; bicie zatopionego dzwonu, wprawiające w drzenie nasze bębni.

- Nic nie słyszę. - Niecierpliwym gestem wyciągnął ramię, jakby chciał mnie objąć.

Wyprostowałam się i odepchnęłam go, tym razem nieco silniej.

- Nie słyszysz? Nie rozpoznajesz, co to jest?

- Wszystko mi jedno.

- Flynn, to La Marinette.

67

Jaki początek, taki koniec. Dzwon - nie legendarna Marinette, jak się okazało, lecz kościelny dzwon z La Houssiniere - bił na trwogę po raz drugi w tym miesiącu, śląc wyraźne przesłanie. Nocą dźwięk dzwonu brzmi inaczej niż za dnia; zareagowałam z instynktownym pośpiechem na jego mroczny, naglący zew. Flynn usiłował mnie zatrzymać, lecz mu na to nie pozwoliłam. Wyczuwałam katastrofę gorszą nawet niż zatonięcie „Eleanore II” i zanim Flynn się zorientował, zbiegłam już z wydmy, byle prędzej dotrzeć do Les Salants.

Wioska była jedynym miejscem, do którego nie mógł podążyć za mną; przystanął na grzbiecie wydmy i zaniechał pogoni. Przed otwartym barem Angela zgromadziła się grupa klientów, zaalarmowanych biciem dzwonu. Dostrzegłam wśród nich Omera, Capucine i Bastonnetów.

- Zzwon na trwogę, ha - odezwał się nieco bełkotliwie Omer. Ilość wypitego devinnoise wyraźnie spowolniła jego reakcje. - Zzwon houssinian.

Aristide pokręcił głową.

- Ha, więc chyba nic nam do tego. Niech teraz ich dla odmiany spotka jakiś kryzys. Nie wydaje się, żeby wyspa tonęła, co?

- Tak czy inaczej, ktoś powinien sprawdzić - podsunął niepewnie Angelo.

- Niech ktoś pojedzie na rowerze - zaproponował Omer.

Kilka osób przyznało mu rację, lecz nikt się nie zgłosił na ochotnika. Wysuwano rozmaite sugestie odnośnie do charakteru zagrożenia, począwszy od meduz, a skończywszy na cyklonie zmiatającym Les Immortelles z powierzchni ziemi. To ostatnie przypuszczenie znalazło uznanie u większości zebranych i Angelo zaproponował, żeby wypić jeszcze po jednym.

Wtedy właśnie na zakręcie Rue de l’Ocean ukazał się Hilaire, krzycząc coś i wymachując

rękoma. Już samo to było niezwykle, ponieważ nasz weterynarz zawsze zachowywał się powściągliwie, lecz jeszcze bardziej osobliwy okazał się jego strój - Hilaire w pośpiechu narzucił vareuse na piżamę, a na bosych stopach miał spłowiałe espadryle. To przekraczało wszelkie wyobrażenie, gdyż nawet w największe upały ubierał się nienagannie. Wykrzykiwał coś o radiu.

Angelo napełnił dla niego kieliszek i Hilaire natychmiast go wychylił, pośpiesznie i z ponurym upodobaniem.

- Wszystkim się przyda po kieliszku - oznajmił zwięźle - jeżeli to, co słyszałem, jest prawdą.

Słuchał radia. Lubił sobie posłuchać przed snem wiadomości ze świata o dziesiątej, choć mieszkańcy wyspy rzadko śledzą bieżące wydarzenia. Gazety zwykle docierają na Le Devin z opóźnieniem i jedynie mer Pinoz deklaruje zainteresowanie polityką i aktualnościami; tego wymaga jego stanowisko.

- No cóż, tym razem usłyszałem coś ważnego - powiedział Hilaire - i niezbyt przyjemnego.

- Nic mnie nie zdziwi - kiwnął głową Aristide. - Mówiłem, że to Czarny Rok. Wiadomo było, że coś się kroi.

- Czarny Rok! Ha! - Hilaire chrząknął i sięgnął po drugi kieliszek devinnoise. - Wygląda na to, że będzie znacznie czarniejszy.

Przypuszczam, że przeczytacie o tym w gazetach. Uszkodzony tankowiec u wybrzeży Bretanii, wypływający z siebie setki galonów ropy na minutę. Tego rodzaju wydarzenie może zawładnąć powszechną wyobraźnią na kilka dni, nawet tydzień. Stacje telewizyjne pokazują martwe ptaki, oburzeni studenci protestują przeciw zatruciu środowiska, ochotnicy z miasta oczyszczają jedną czy dwie plaże, pobudzając swą społeczną wrażliwość. Turystyka kuleje przez pewien czas, choć władze zazwyczaj czynią kroki, by uprzętnąć bardziej dochodowe okolice. Rybołówstwo, rzecz jasna, cierpi najdłużej.

Ostrygi są wrażliwe; nawet niewielkie skażenie może je poważnie przetrzebić. Podobnie rzecz się ma z krabami i homarami, a z barwenami jeszcze gorzej. Aristide pamięta barweny z 1945 roku, z brzuchami wzdętymi od oleju; wszyscy pamiętamy wyciek z lat siedemdziesiątych - o wiele, wiele dalszy od wyspy niż ten - po którym zdrapywaliśmy ze skał na Pointę Griznoz wielkie czarne plamy smoły.

Zanim Hilaire skończył mówić, w barze pojawili się ludzie z informacjami zarówno

potwierdzającymi jego słowa, jak i zaprzeczającymi im, a my popadliśmy w stan bliski paniki. Statek znajdował się niecałe siedemdziesiąt kilometrów od nas - nie, raczej pięćdziesiąt - i przewoził nieoczyszczony olej silnikowy, substancję najgorszą z możliwych; plama osiągnęła już kilkukilometrową długość i całkowicie wymknęła się spod kontroli. Parę osób wyruszyło do La Houssiniere wypytać Pinoza, który mógł wiedzieć coś więcej. Reszta została z zamiarem sprawdzenia, czy kanały telewizyjne nie podadzą bliższych szczegółów; niektórzy powyciągali stare mapy, by rozważyć teoretycznie, w jakim kierunku plama może się przemieszczać.

- Jeżeli jest tutaj - zastanawiał się pośpiesznie Hilaire, wskazując punkt na mapie Aristide'a - to nie wiem, jakim cudem może nas ominąć. Tędy przepływa golf sztrom.

- Wcale nie wiadomo, czy plama dotrze do golfsztromu - wtrącił Angelo. - Mogą ją zlikwidować wcześniej. A może opłynie Noirmoutier z lewej strony i w ogóle do nas nie dotrze.

Aristide nie dał się przekonać.

- Jeśli trafi do Nid'Poule - mruknął - gotowa tam ugrzęznąć i potem zatruwać nas przez pół wieku.

- Cóż, ty robisz to dwa razy dłużej - zauważył Matthias Guenole - a jednak jakoś przetrwaliśmy.

Tu i ówdzie rozległy się nerwowe chichoty. Angelo zaserwował następną kolejkę devinnoise. Ktoś z głębi baru poprosił o ciszę i dołączyliśmy do grupki skupionej wokół telewizora.

- Uciszcie się wszyscy! Teraz się dowiemy!

Bywają wiadomości, których nie można wysłuchać inaczej niż w głębokim milczeniu. Słuchaliśmy nadawanych informacji jak dzieci, otwierając szeroko oczy. Nawet Aristide nic nie mówił. Trwaliśmy w oszołomieniu, wpatrzeni w ekran i czerwony krzyżyk, oznaczający miejsce katastrofy.

- Jak blisko dotarła? - zapytała niespokojnie Charlotte.

- Bardzo blisko - odparł cicho Omer z pobladłą twarzą.

- Cholerni dziennikarze z kontynentu! - wybuchnął Aristide. - Nie mają porządnej mapy, ha? Na tym głupim schemacie to tak wygląda, jakby była dwadzieścia kilometrów od nas! A gdzie szczegóły?

- Co będzie, jeśli tu dopłynie? - szepnęła Charlotte.

Matthias starał się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Coś wymyślimy. Zmobilizujemy siły. Już to robiliśmy.

- Nie w takich okolicznościach - zauważył Aristide.

Omer wymamrotał coś pod nosem.

- Co mówisz? - spytał z naciskiem Matthias.

- Szkoda, że nie ma z nami Rougeta.

Popatrzyliśmy po sobie. Nikt nie zaprzeczył.

68

Tej samej nocy, pokrzepieni devinnoise, zabraliśmy się do roboty. Zgłosili się ochotnicy do dyżurów przed telewizorem i przy radiu, by wysłuchiwać wszelkich nowych wiadomości o wycieku. Hilaire, jako posiadacz telefonu, został mianowany oficjalnym przedstawicielem w naszych kontaktach z kontynentem. Miał za zadanie nawiązać łączność ze strażą przybrzeżną i towarzystwami żeglugowymi, które mogły nas zawczasu ostrzec. Warty zmieniały się co trzy godziny w La Goulue; gdyby coś miało się pojawić, orzekł ponuro Aristide, to najpierw tam. Prócz tego zaczęliśmy pogłębiać przesmyk i odgradzać go od otwartego morza, używając kamieni z La Griznoz i cementu pozostałego po budowie Bouch'ou. „Jeśli uda nam się utrzymać etier w czystości, to przynajmniej będziemy coś mieli” - powiedział Matthias. Aristide wyjątkowo zgodził się z nim bez protestu.

Xavier Bastonnet wrócił około północy - najwyraźniej obaj z Ghislainem dwukrotnie wypływali „Cecilią” - z wiadomością, że statek straży przybrzeżnej nadal stoi za La Jete. Wyglądało na to, iż uszkodzony tankowiec stanowił zagrożenie już od pewnego czasu, lecz władze informowały o tym dopiero od kilku dni. Prognozy, jak doniósł Xavier, nie były optymistyczne. Nadciągał południowy wiatr, który - gdyby powiał dłużej - popchnąłby plamę oleju prosto w naszą stronę. A wtedy tylko cud mógłby nas uratować.

Poranek w dniu święta Sainte-Marine zastał nas w minorowych nastrojach. Poczyniliśmy przy zabezpieczaniu etier pewne postępy, acz to nie wystarczało. Nawet gdybyśmy mieli odpowiednie materiały, orzekł Matthias, należyte odgradzenie go od morza zajęłoby co najmniej tydzień. O dziesiątej rano do wsi dotarły pogłoski o czarnym osadzie, wypatrzonym kilka kilometrów od La Jete, co wzbudziło w nas rozdrażnienie i niepokój. Piaszczyste łachy zdążyły się już pokryć ciemnym nalotem i choć nie dotarł jeszcze do brzegu, była to kwestia najbliższej

doby.

Niemniej, jak zauważyła Toinette, w żadnym wypadku nie należało zaniedbywać Świętej w jej szczególnym dniu, toteż rozpoczęto tradycyjne przygotowania: odmalowano kapliczkę, zaniesiono kwiaty na Pointę, rozpalono ogień w koksiaku obok ruin kościoła.

Nawet przez lornetkę nie dało się wyraźnie zobaczyć, co to za osad, lecz Aristide zawiadomił nas, że jest go piekielnie dużo i przy południowym wietrze dotrze zapewne wraz z przypiływem do La Goulue. Następny wysoki przypiływ miał nadejść około dziesiątej wieczorem; już po południu grupa salanian obserwowała morze z Pointę Griznoz, przyniósłszy ofiary, kwiaty i wizerunki Świętej. Toinette, Desiree i wielu starszych mieszkańców wioski skłaniało się ku przekonaniu, że jedynym rozwiązaniem jest modlitwa.

- Ona już czyniła cuda - oznajmiła Toinette. - Nie traćmy nadziei.

Czarny przypiływ stał się widoczny gołym okiem od popołudnia. Przebłył pod wodą, coś spływającego z piaszczystych ławic, nietypowe kołysanie fali w cieniu skał. Na powierzchni wody nie było jednak ani śladu ropy, nawet cienkiej warstewki, choć - jak zasugerował Omer - mogła to być substancja szczególnego rodzaju, paskudztwo gorsze niż te, z którymi mieliśmy do czynienia w przeszłości. Zamiast unosić się na powierzchni, taka ropa krzepła w lepkie grudy, które opadały na dno i zanieczyszczały wszystko. Ten postęp techniczny bywa przerażający, ha? Ludzie kręcili głowami, ale właściwie nikt się nie znał na tych sprawach. Nie byliśmy ekspertami w tej dziedzinie. Przed wieczorem krążyły już rozmaite fantastyczne opowieści o czarnym przypiwku. Aristide twierdził, że pojawiają się dwugłowe ryby i jadowite kraby. Samo ich dotknięcie grozi straszliwym zakażeniem. Ptaki oszaleją, łodzie będą szły na dno, ściągane ciężarem zakrzepłego szlamu. Czarny przypiływ mógł nawet być powodem niedawnej plagi meduz. Lecz mimo to - a może właśnie dlatego - Les Salants nie zamierzało się poddać.

Przynajmniej taką korzyść przyniósł nam czarny przypiływ. Połączył nas na nowo wspólny cel. Powrócił duch Les Salants, odnaleźliśmy tkwiącą głęboko w nas niezłomność, którą wcześniej dostrzegłam na kartach rejestrów pere Albana. Wyczuwałam ją. Dawne urazy znowu poszły w niepamięć. Xavier i Mercedes zrezygnowali z wyjazdu - na razie - i zgłosili chęć pomocy. Philippe Bastonnet, oczekujący w La Houssiniere na prom, wrócił do Les Salants razem z Gabi, Letycją, niemowlęciem oraz psem Petrole i - wbrew słabym protestom Aristide'a - postanowił zostać, żeby pomóc. Desiree odstąpiła im pokój w domu, a Aristide tym razem nie zgłosił sprzeciwu.

Gdy zapadł zmrok i wezbrał przyptyw, tłum ludzi zaczął się gromadzić na La Griznoz. Pere Alban odprawiał specjalne nabożeństwo w La Houssiniere, ale przyszły obie stare zakonnice, żwawe i czujne jak zawsze. Rozpalono ogień w koszach, wokół ruin kościoła rozbłysły czerwone, pomarańczowe i żółte latarnie - i po raz kolejny salanie, dziwnie wzruszający w swych wyspiarskich kapeluszach i odświętnych strojach, ustawili się rzędem u stóp Sainte-Marine-de-la-Mer, by wznosić modły i składać prośby przy wtórze fal.

Byli tam Bastonnetowie z Francois i Letycją, Guenole i Prossage'owie. Była Capucine i Lolo, i Mercedes, nieśmiało trzymająca Xaviera za rękę i drugą dłonią dotykająca brzucha. Toinette śpiewała drżącym głosem pieśń ku czci Świętej, a Desiree, która stała między Philippe'em a Gabi, była zaróżowiona i radosna, jak na weselu.

- Nawet jeżeli Święta nie zechce się w to wdawać oznajmiła pogodnie - mam przy sobie moje dzieci, więc warto było przyjść. Stałam z boku, na wydmie, przysłuchując się i wspominając zeszłoroczne święto. Noc była bezwietrzna, świerszcze cykały głośno w zacisznych, trawiastych kotlinkach. Pod stopami czułam twarde, chłodny piasek. Od strony La Goulue dobiegał szum wzbierającego przyptywu. Sainte-Marine spoglądała na nas z góry z kamienną obojętnością; od czasu do czasu pełgające płomienie ożywiały jej rysy. Salanie, jeden po drugim, podchodzili do brzegu.

Mercedes wrzuciła do wody garść kwiatnych płatków.

- Sainte-Marine. Pobłogosław moje dziecko. Pobłogosław moich rodziców i ochroń ich przed niebezpieczeństwem.

- Santa Marina. Pobłogosław moją córkę. Niech będzie szczęśliwa ze swoim młodzieńcem i niech nas czasami odwiedza.

- Marine-de-la-Mer, pobłogosław Les Salants. Pobłogosław nasze wybrzeże.

- Pobłogosław mego męża i synów.

- Pobłogosław mego ojca.

- Pobłogosław moją żonę.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. W blasku płomieni salanie podali sobie ręce: Omer i Charlotte, Ghislain i Xavier, Capucine i Lolo, Aristide i Philippe, Damien i Alain. Mimo drążącego niepokoju ci ludzie się uśmiechali; zamiast posepnie opuszczonych głów, jak w ubiegłym roku, zobaczyłam roziskrzone oczy i dumne twarze. Kobiety zsunęły chusty z rozpuszczonych włosów; dostrzegłam oblicza rozjaśnione nie

tylko płomieniami ognisk. Roztańczone sylwetki rzucały w morze garści płatków, wstążki i torebki z ziołami. Toinette podjęła śpiew i tym razem wiele osób jej zawtórowało, łącząc się stopniowo w jedyny, niepowtarzalny głos Les Salants.

Niemal słyszałam pośród nich głosy Grosjeana, P'titJeana i mojej matki. Nieoczekiwanie zapragnęłam przyłączyć się do nich, wejść w krąg światła i zanieść modły do Świętej. Nie zrobiłam tego jednak i wyszeptalam modlitwę na grzbiecie wydmy, bardzo cicho, niemal w myślach...

- Mado?

Kiedy zechciał, potrafił poruszać się bezszelestnie. Odzywała się w nim wyspiarska krew, jeżeli - wbrew pozorom - miał jej w sobie choć trochę. Moje serce zamarło i odwróciłam się szybko.

- Jezu, Flynn, co ty tutaj robisz?

Stał za mną na ścieżce, w miejscu, którego uczestnicy ceremonii nie mogli dostrzec. Miał na sobie ciemną vareuse i byłby zupełnie niewidzialny, gdyby nie poblask księżycy w jego włosach.

- Gdzie się podziewałeś? - syknęłam, zerkając nerwowo na grupę salanian. Zanim zdążył odpowiedzieć, z Pointę Griznoz dobiegł krzyk wartowników, któremu niemal natychmiast zawtórowały lamenty z La Goulue.

- Aii! Przyptyw! Aii!

W kaplicy umilkły śpiewy. Zapanowało chwilowe zamieszanie; niektórzy wybiegli na brzeg Pointę, lecz w rozproszonym świetle latarni nic nie było widać. Coś unosiło się na falach, jakaś ciemna, na wpół zatopiona masa, której nikt nie potrafił rozpoznać. Alain złapał latarnię i ruszył biegiem; Ghislain poszedł za jego przykładem. Wkrótce sznur lampionów i latarek przeciął wydme, zmierzając ku La Goulue, gdzie dotarł czarny przyptyw.

W zamieszaniu nikt nie dostrzegł Flynn'a ani mnie. Tłum przetoczył się tuż obok nas, pokrzykując, dopytując się i kołysząc latarniami, lecz nikt nawet nie spojrział w naszą stronę. Każdy chciał jak najprędzej dotrzeć do La Goulue. Niektórzy zgarnęli po drodze grabie i sieci, jak gdyby od razu chcieli rozpocząć akcję oczyszczania wybrzeża.

- Co tu się dzieje? - spytałam Flynn'a, gdy pozwoliliśmy się zagarnąć ludzkiej fali.

Pokręcił głową.

- Chodź i zobacz.

Zatrzymaliśmy się przy blokhauzie, najlepszym punkcie obserwacyjnym. Poniżej, w La Goulue, jarzyły się światła. Ludzie stali w kotlinach z latarniami, jak nocni rybacy. Widziałam czarne kształty, dziesiątki czarnych kształtów, unoszących się na falach i na poły zatopionych. Z oddali dobiegły mnie podniesione głosy i - czyżby śmiech? W świetle latarni nie potrafiłam rozpoznać czarnych kształtów, choć w pewnej chwili wydało mi się, że mają geometryczny zarys, zbyt regularny, by miały być dziełem natury.

- Tylko popatrz - powiedział Flynn.

Poniżej wzmógł się szmer podniesionych głosów; nad wodą zgromadził się tłum ludzi, a niektórzy zanurzyli się w wodzie po pachy. Światło latarni ślizgało się po falach; cienie na mieliznach przybrały nierzeczywisty, trupi odcień.

- Patrz dalej - nakazał Flynn.

Najwyraźniej słyszałam śmiech; widziałam ludzkie sylwetki na płycznach La Goulue.

- Co się dzieje? - spytałam z naciskiem. - Czy to czarny przypływ?

- W pewnym sensie.

Omer i Alain wyciągali z morza jakieś ciemne przedmioty. Inni pośpieszyli z pomocą. Przedmioty miały regularny kształt i około metra średnicy. Z tej odległości przypominały opony samochodowe.

- Bo to właśnie to - oznajmił cicho Flynn. - Zdemontowałem Bouch'ou.

- Co takiego? - Poczułam się tak, jakby częśćka mnie nagle odpłynęła z prądem. - Bouch'ou?

Przytaknął ruchem głowy. Poblask z plaży rzucił osobliwe światło na jego twarz.

- Mado, to było jedyne rozwiązanie.

- Ale dlaczego? Tyle się napracowaliśmy...

- Teraz musimy powstrzymać prąd wpływający do La Goulue. Pozbądźmy się rafy, a prądy odpłyną razem z nią. Wtedy, gdyby ropa podpłynęła pod Le Devin, mogłaby ominąć Les Salants. To jest przynajmniej jakaś szansa.

Wyruszył przy odpływie. Przeciął liny samolotowe, wiążące opony. Zajęło mu to pół godziny; przypływ załatwił resztę.

- Jesteś pewien, że to już koniec? - spytałam. - Będziemy bezpieczni?

Wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie wiesz?

- Ach, Mado, a czego się spodziewałaś? - W jego głosie pobrzmiwał ton rozdrażnienia. - Przecież nie podaruję ci całego świata. - Pokręcił głową. - Teraz przynajmniej możesz walczyć razem ze mną. Les Salants nie musi ginąć.

- A Brismand? - spytałam tępo.

- Jest zbyt zajęty własnymi sprawami, by poświęcać wam uwagę. Ostatnio, o ile wiem, łamał sobie głowę nad tym, jak usunąć stutonowy falochron w dwadzieścia cztery godziny. - Uśmiechnął się. - Może Grosjean wpadł na dobry pomysł.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam jego słów. Pograżona w myślach o czarnym przypływie, zapomniałam zupełnie o planach Brismanda. Nieoczekiwanie wezbrała we mnie dzika, radosna fala.

- Jeśli Brismand zniszczy swój falochron, wszystko się zatrzyma - powiedziałam. - Przypływy będą takie jak dawniej.

Flynn parsknął śmiechem.

- Ogniska na plaży. Trójka gości w sypialni na tyłach domu. Trzy franki za spojrzenie na Świętą. Żadnych pieniędzy, żadnego rozwoju, nic zupełnie.

Pokręciłam głową.

- Mylisz się - powiedziałam. - Jest jeszcze Les Salants.

Zaśmiał się ponownie, dość dziko.

- Masz rację. Jest Les Salants.

69

Wiem, że nie zostanie w Les Salants. Nie powinnam tego oczekiwać. Dzieli nas zbyt wiele kłamstw, zbyt wiele oszustw. Zbyt wielu ludzi żywi do niego nienawiść. A ponadto w głębi serca czuje się mieszkańcem kontynentu. Marzy o światłach wielkiego miasta. Może by chciał zostać, ale nie może. Ja natomiast nie wyjadę - tak przemawia przeze mnie Grosjean i cała wyspa. Mój ojciec kochał Eleanore, lecz w końcu z nią nie wyjechał. Wyspa potrafi zatrzymać człowieka. Tym razem jest to czarny przypływ. Plama znajduje się teraz dziesięć kilometrów od nas, tuż obok Noirmoutier. Nie wiadomo, czy do nas dotrze, czy nas ominie - nie wie tego nawet straż przybrzeżna. Zanotowano już zniszczenia u wybrzeży Wandei; telewizja przedstawia nam wizje przyszłości w denerwująco ziarnistych, jaskrawych obrazach. Nikt nie potrafi przewidzieć,

co z nami będzie; plama ropy powinna popłynąć za golfsztrzemem, ale teraz to kwestia kilku kilometrów i nie wiadomo, jaki obierze kierunek.

Niemal na pewno dotrze do Noirmoutier. Może również do L'île d'Yeu, choć to nie jest pewne. Rozszalałe prądy, które nas oddzielają, toczą nieustanną wojnę. Jedna z wysp - może tylko jedna - zakazi się tą trucizną. Ale Les Salants nie straciło nadziei. Przeciwnie, pracujemy ciężiej niż kiedykolwiek. Przesmyk jest zabezpieczony, wiwarium dobrze zaopatrzone. Aristide, któremu drewniana noga przeszkadza w podejmowaniu aktywnych obowiązków, śledzi wiadomości w telewizji, podczas gdy Philippe pomaga Xavierowi. Charlotte i Mercedes przygotowują posiłki dla ochotników u Angela. Omer, wraz z Guenole i Bastonnetami, przesiaduje niemal bez przerwy w Les Immortelles. Brismand powołał wszystkich, houssinian i salanian, do pomocy przy rozbiórce falochronu; zmienił również testament na korzyść Marina. Damien, Lolo, Hilaire, Angelo i Capucine nadal oczyszczają La Goulue i zamierzamy wykorzystać stare opony jako barierę ochronną przed ropą, gdyby dotarła do naszego wybrzeża. Zgromadziliśmy już sprzęt i środki na tę ewentualność. Zadbaj o to Flynn.

Owszem, został tu na razie. Niektórzy odnoszą się do niego chłodno, lecz Guenole i Prossage'owie przyjęli go serdecznie, a Aristide zagrał z nim wczoraj w szachy, więc może nie wszystko stracone. Z pewnością nie jest to czas na wzajemne oskarżenia. Pracuje równie ciężko jak my nawet ciężiej - a teraz na Le Devin tylko to naprawdę się liczy. Nie wiem, po co tu siedzi. Niemniej podnosi mnie na duchu widok jego sylwetki w La Goulue, codziennie w tym samym miejscu, gdy trąca patykami stworzenia wyrzucone przez fale albo wtacza na wydmy opony samochodowe. Pozostał ostry i kanciasty - zapewne pozostanie taki na zawsze - ale wydaje się łagodniejszy, bardziej wygładzony, częściowo odzyskany, niemal jak jeden z nas. Nawet go polubiłam - trochę.

Czasami, kiedy się budzę, spoglądam przez okno na niebo. O tej porze roku nigdy nie jest zupełnie ciemno. Niekiedy wymykamy się z Flynnem na zewnątrz i patrzymy na La Goulue, na zielonkawoniebieskie morze, jak przy Jadeitowym Wybrzeżu, siedząc na zboczu wydmy. Rosną tam tamaryszki, późne goździki i „zajęcze kitki”, połyskujące blado w świetle księżyca. Niekiedy widać nad wodą światła z kontynentu: na zachodzie ostrzegawczą latarnię, na południu mrugającą balise. Flynn lubi sypiać na plaży. Lubi głosy owadów nad głową i szum traw. Zdarza się nam spędzić na dworze całą noc.

EPILOG

Nadeszła zima, a czarny przypływ nas nie dotknął. L'île d'Yeu nieco ucierpiała, Fromentine zaląa ropa, wyspa Noirmoutier została doszczętnie spustoszona. Fala zmierza na północ, obmywając cyple i mielizny. Jeszcze nie wiemy, co nas może spotkać. Ale Aristide jest dobrej myśli. Toinette zasięgnęła porady u Świętej i twierdzi, że miała wi - zje. Mercedes z Xavierem wprowadzili się do chatki na wydmach, ku cichej radości starego Bastonneta. Omer miał niespotykane dobrą passę przy grze w belote. Ja zaś jestem pewna, że przedwczoraj dostrzegłam uśmiech na twarzy Charlotte Prossage. Nie, nie powiedziałabym, że fala się odwróciła, ale coś powróciło na Le Devin. Poczucie celu. Nikt nie odmieni przypływu, a przynajmniej nie na zawsze. Wszystko powraca. Ale Le Devin nie zamierza się poddać. Niech to będzie powódź, susza, czarny rok, czarny przypływ - nie podda się. Bo nie poddajemy się my, Devinianie - Bastonnetowie, Guenole, Prasteau, Prossage'owie, Brismandowie; a ostatnio także Flynnowie. Nic nas nie złamie. Równie dobrze można by pluć pod wiatr.

PODZIĘKOWANIA

Żadna książka nie jest wyspą, dlatego chciałam podziękować ludziom, bez których nic by mi się nie udało. Dziękuję z całego serca mojej agentce, Wojowniczej Księżniczce Serafinie, a także Jennifer Luithlen, Laurze Grandi, Howardowi Morhaimowi i wszystkim innym, którzy doprowadzili do wydania tej książki drogą porozumienia, pochlebstwa bądź groźby. Dziękuję również mojej niezwyklej redaktorce Francesce Liversidge, mojej specjalistce od reklamy Louise Page, wszystkim z Transworld; rodzicom, bratu Lawrence'owi, mężowi Kevinowi i córce Anouchce za to, że byli (przeważnie) bezpieczną przystanią; moim e-mailowym korespondentom: Curtowi, Emmie, Simonowi, Julesowi, Charlesowi i Mary za kontakt ze światem; Christopherowi za nieodkładanie słuchawki, Steviemu, Paulowi i Davidowi za miętową herbatę, naleśniki i konstruktywną krytykę.

Dziękuję niezliczonym księgarzom, wstawiającym moje książki na półki, i wreszcie - dziękuję mieszkańcom Les Salants, którzy - mam nadzieję - kiedyś mi wybaczą...